

W obitej atlasem trumnie leżał Strahd Von Zarovich, wampirzy władca krainy, z zamkniętymi oczami, z bladą, przypominającą woskową maskę kościstą twarzą. Ręce miał skrzyżowane na piersi; emanował spokojem. Wyglądał, zresztą zgodnie ze stanem faktycznym, na martwego.

- Dzięki niech będą Panu Poranka, że wciąż mamy dzień - mruknął kapłan. Jander przytaknął i odsunął ręce Strahda na boki, ułatwiając Saszy przyłożenie zaostzonego kołka dokładnie nad sercem hrabiego. Kapłan zamierzył się młotkiem.

„Teraz cię mamy, draniu” pomyślał z satysfakcją Jander w nagłym przypiływie nienawiści.



Ravenloft to mroczne piekło, do którego można trafić z każdego normalnego świata - ale wydostać się stąd, o, to już zupełnie co innego. Pechowcy, którzy znajdują się w Domenie Ciemności, przekonują się, że zamieszkują ją wampiry, wilkołaki, zombi i inne, gorsze jeszcze stwory.



**Christie Golden**

**Wampir z mgieł**

„KB”

Książkę tę dedykuję z miłością (i wdzięcznością) moim rodzicom, Jamesowi R. Goldenowi i Elizabeth C. Golden, którzy nie mogą uwierzyć w wampiry i elfy, ale zawsze wierzyli we mnie. Podziękowania należą się również Veldzie i Robertowi za to, że zawsze wszystko czytali i zwykle większość z tego podobała im się. Na koniec dziękuję TSR, że pozwolili nowicjusze rzucić własne, mroczne cienie na Ravenloft oraz memu wydawcy, Jimowi Lowderowi, za cierpliwość, wskazówki i wsparcie.

Ten, który śmierci śmieje się w twarz, któremu nie zaszkodzą zarazy, zdolne uśmiercić całe narody; ach, gdyby istota taka służyła Dobru, miast od diabła pochodzić, ileż dobra mogłaby uczynić w tym naszym świecie.

Bram Stoker *Dracula*



## PROLOG

Ostatnie promienie gasnącego słońca, przefiltrowane przez witrażowe okna zamkowej kaplicy, kładły się na kamiennej podłodze plamami blednących barw. Jedyne dodatkowe światło pochodziło z niewielkiego kosza z żarzącymi się węglami na ołtarzu. Najwyższy z Wysokich Kapłanów Barovii nie przerywał pracy aż do chwili, kiedy przestał wyraźnie widzieć, wreszcie poirytowany niepotrzebną przerwą odłożył amulet i zapalił tyle świec, by móc kontynuować zajęcie.

Większość kaplicy pozostała w cieniu i kiedy ciepły blask stożkowatych płomyków oświetlił niski drewniany ołtarz, nie było to już miejsce odpowiednie dla świętych symboli i odprawiania rytualnych obrzędów - raczej warsztat wypełniony narzędziami do precyzyjnej roboty w metalu: małe młoteczki, szczypce, gładkie, jubilerskie kowadełko, bryłki wosku na formy. Siwowłosy kapłan zapalił ostatnią świecę i pośpiesznie zajął się amuletem. Czuł w mózgu pulsujący, płaczący zew przedmiotu, nakazujący ukończyć pracę nad nim.

Najwyższy z Wysokich Kapłanów poświęcił mu już wiele tygodni, pracując z gorączkowym natężeniem, które nie pozwalało mu spocząć i teraz, gdy był bliski ukończenia dzieła. Nie czuł jednak zmęczenia. Energia zdawała się poruszać

kręgu w jego żyłach, kierując ruchami niezgrabnych, niewyszkolonych dłoni. Amulet sam się tworzył, powykrzywiane palce kapłana były zaledwie narzędziem.

Gdzieś, w jakiejś części swojej istoty, czuł się winny - zaniedbywał obowiązki kapłana lecz widok amuletu zapewniał go, że jest to poważniejsze zadanie, że wykuje coś więcej niż zwykle świecidelko. Klejnot miał stać się bronią, jakiej jeszcze ten marny świat nie widział, wróg zaś, przeciw któremu go szykowano, był znacznie gorszy od goblinów - jego przybycie miało dopiero pogrążyć Barovię w ciemności.

Najwyższy z Wysokich Kapłanów przerwał, czując drżenie dłoni z wysiłku, przetarł przekrwione oczy i wrócił do pracy. Postępując zgodnie z płynącymi z głowy wskazówkami połączył dwie stare rzeczy tworząc jedno nowe dzieło. Kryształ kwarcu był darem ziemi. Platynę, w której go osadził, równie starożytną, jak sam kamień, jego ręce poznały runami miłości, zamiast gwałtu. Cały wisior ukształtowany został na podobieństwo słońca z rozchodzącymi się promieniami i kiedy kryształ znalazł się w jego środku, rzeczywiście przypominał miniaturowe słońce.

Stary kapłan starannie wyciął ostatni run. Zamrugał oczami, by usunąć spływający do nich pot i przyjrzał się swemu dziełu. Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Zawiesił wisior na szyi, skrywając pod szatą, żeby nie było go widać. Klepnął sakiewkę, upewniając się, że napisany przed kilkoma dniami list wciąż jeszcze się tam znajduje i uśmiechnął się lekko. Czując, jak wypełnia go tajemnicza energia, spiesznym krokiem oddalił się od ołtarza i ruszył przez długie, rozjaśnione pochodniami korytarze zamku z szybkością i pewnością ruchów właściwą komuś o wiele młodszemu.

Jeden ze służących usłyszał go, kiedy wychodził przez podwójne drzwi kaplicy. Z trudem nadążając za jego krokami, zapytał:

- Co teraz, Wasza Błogosławiennosc?

- Konia - rzucił Najwyższy z Wysokich Kapłanów, nie zadając sobie nawet trudu, by spojrzeć na mężczyznę, który bez słowa pobiegł wypełnić polecenie. Zanim pan zamczyska wyruszył na wojnę, przykazał swym sługom być posłusznym we wszystkim Jego Błogosławiennosci. Chociaż służący uwijał się żwawo, kapłan spędził parę minut przechadzając się nerwowo pod pięknie rzeźbioną bramą zamku, zanim stajenny przyprowadził wierzchowca. Najwyższy z Wysokich Kapłanów właściwie wskoczył na siodło, szarpnął wodze kierując konia w odwrotnym kierunku i przy stukocie kopyt opuścił podwórzec. Zmierzał do kręgu, by dopełnić boskiej misji.

Nocne mgły gęstniały, a kapłan galopował drogą do lasu Svalich. Bryzgające spod kopyt kawałki błota oblepiały i jego, i zwierzę, ale niepomny na to popędzał rumaka, jak nakazywał amulet. Niecierpliwie zjechał z drogi, kierując się ku lasowi Svalich; nie znał skrótu, ale prowadził go amulet. Wreszcie dotarł do celu - kręgu ogromnych głazów, znajdującego się tuż za Barovią.

Próbował jednocześnie zeskoczyć z konia, wydobyć amulet i pobic do środka kręgu, ale nogi zaplątały mu się w powłóczyście szaty i ciężko upadł. Podnosząc się pomyślał ponuro: po tym starym

ciele nie można się niczego więcej spodziewać. Opadł na ziemię w środku koła, tuż obok dużego, płaskiego głazu, na którym z czcią złożył klejnot.

Ostatnie błogosławieństwo, pomyślał, i wszystko skończone...

Młody nowicjusz znalazł go następnego ranka w tym samym miejscu. Po śmierci twarz Najwyższego z Wysokich Kapłanów była spokojna i osobliwie wygładzona, a poszarzałe usta ułożyły się w niepewny, słodki uśmiech. W jednej dłoni trzymał wisior w kształcie rozbłyskującego słońca, w drugiej - list. Młodzieniec, z oczyma pełnymi łez, musiał kilkakrotnie zamrużyć, zanim zdołał przeczytać ostatnie słowa, jakie nakreślił kapłan.

Oto boski dar dla utrudzonej krainy. Używajcie go dobrze i ze czcią, ale niech tajemnica przechodzi tylko z kapłana na kapłana. Narodzi się krucze plemię, a to ma być święty symbol tej rodziny. Moc jego jest podobna mocy słońca: niesie ciepło i światło. W nim ostatnia nadzieja na powstrzymanie Cienia, który padnie na to posępne królestwo.

## JEDEN



„Duma Królowej” z Evermeet kołysała się łagodnie na atramentowych wodach portu Waterdeep. Swawolna nocna bryza poruszała olinowaniem katamaranu sprawiając, że uderzało o łódź, hałasując we względnej ciszy o późnej porze. Wiatr się nasilił i bandera z heraldycznym wizerunkiem złotego drzewa na tle ciemnoniebieskiego, wygwieżdzonego nieba wyduła się i załopotała gwałtowniej. W oddali pławy wydzwaniały przyjazne ostrzeżenia, a woń ryb i soli unosiła się ciężko w chłodnym, wilgotnym powietrzu.

Samotna postać bezpiecznie ukryta w alejce tęsknie spoglądała na katamaran. Światło Selune nadawało skórze i włosom złotego elfa perlowo białą barwę, a jego znoszona, niebieska tunika zdawała się szara, upodabiając się do płaszcza i spodni; w jej wyblakłym, srebrnym wykończeniu nadal lśnił mleczny odblask księżycowego światła.

Jander Sunstar był smukły i, jak na elfa, wysoki - miał bez mała sześć stóp wzrostu. Wyraźne, ostre rysy twarzy czasem tylko łagodniały w przypływie nostalgii. Elfie uszy zwężyły się w zgrabne koniuszki, prawie ginąc w złotej powodzi włosów. Buty z szarej, miękkiej skóry, nie czyniące żadnego hałasu na nasiąkłych wodą deskach doku, sięgały do pól uda. Lewe biodro zdołał prosty sztylet w pochwie.

Srebrne oczy Jandera wypełniał smutek. Ileż to już dzie sięcioleci minęło od chwili, kiedy widział statek ze swej ojczyzny, wspaniałego Evermeet, krainy piękna i harmonii, której nigdy już nie dane mu będzie ujrzeć? Szczupłe, długie palce zacisnęły się kurczowo na płaszczu i naciągnęły go

szło mu na myśl, że domy wariatów są miejscami bardziej przerażającymi od nawiedzonych zamczysk - tu naprawdę rozlegał się płacz potępieńców. Poszukiwanie pożywienia w takim miejscu nie sprawiało mu przyjemności, toteż czynił to tylko raz na kilka lat, kiedy straszliwego pragnienia nie dawało się już ugasić krwią zwierząt Przygotowując się w duchu na to, co go czekało wewnątrz, Jander podszedł do drzwi.

W przytułku były dwa główne duże pomieszczenia: dla mężczyzn i dla kobiet, w innych, mniejszych, przetrzymywano tych, którzy zachowywali się zbyt gwałtownie, by trzymać ich razem z innymi oraz nieliczne godne pożałowania istoty, tak zdeformowane, że ich płci nie sposób już było rozpoznać. Jander z zasady nie wchodził do pojedynczych cel. Mógł być wampirem, ale nie potrafił znieść takiego bólu i brzydoty.

Z początku nie był niczym więcej, jak pasemkami mgły, przeciskającymi się przez szczeliny drewnianych drzwi celi kobiet. Opar nabrał koloru błękitu, srebra i złota i w miejscu, które

głębiej, by skryć właściciela przed wścibskimi spojrzzeniami.

Nie mogąc dłużej znieść tego widoku, odwrócił się i cicho odszedł, opuszczając dok; udał się do centrum miasta, przez ludzi zwanego Waterdeep. To miejsce również jakiś czas było jego domem, dopóki żądza wędrówki nie ściągnęła nań jego przeznaczenia.

Teraz Jander już rzadko zapuszczał się do miasta; jak na jego gust stawało się zbyt zatłoczone. Mieszkał w małej jaskini poza jego granicami, gdzie wciąż można było odnaleźć ciszę i drzewa. Tam dawał upust wrodzonemu elfom umiłowaniu piękna i natury, pielęgnując niewielki ogród kwitnących nocą kwiatów. Tej nocy jednak wielka potrzeba przygnała go do dzielnicy Doków. Przemierzał ją w całkowitej ciszy w morderczych zamiarach, a szare skórzane buty nie wydawały dźwięku. Ignorował tawerny, sklepy i magazyny, kierując się ku najgorszemu miejscu w mieście, gdzie najbardziej umęczone dusze Torii w nędzy i bólu wypłakiwały beznadziejność swego istnienia. Łopocząc płaszczem skreślił za róg. Głód podkreślał ostrość jego rysów.

W Waterdeep za pieniądze można było kupić lekarstwo niemal na wszystko. Znalazłby się kleryk leczący rany, znalazłby się i mag, którego czary zapewnią szczęście. Ale czasami bogowie nie wysłuchują modłów swych kapłanów, kiedy indziej zaś czary działają źle, przerażająco źle.

Kiedyś nieszczęśliwców, których choroby umysłowej nie dało się uleczyć za pomocą magii, zamykano w piwnicach bądź wypędzano na ulice. Wyjątkowo bezwzględni ludzie dokładali nawet starań, by ich niewygodni, szaleni krewni „zniknęli”. Teraz jednak, w cywilizowanym roku 1072, znalazło się miejsce dla nieuleczalnie obłąkanych.

Zbliżając się do dużej budowli z drewna i kamienia Jander skrzywił się, nawet tu, na zewnątrz, jego wrażliwe uszy cierpiały z powodu dobiegającej ze środka kakofonii. Przy zajmowała bezkształtna mgła, stanęła postać, którą można by było wziąć za anioła.

Pochodnie, umieszczone w uchwytych dostatecznie wysoko, by pensjonariuszki nie mogły ich dosięgnąć, dawały dość światła. Zbyt wielu obłąkanych obawiało się ciemności, żeby takie miejsce pozostawało nie oświetlone. Słoma i gnijące sienniki zaścielały podłogę, w pomieszczeniu znajdowało się kilka nocników, ale niewiele pacjentek z nich korzystało. Co kilka tygodni wyznaczeni przez władze miejskie strażnicy opróżniali cele i zmywali je wodą przynieszoną w wiadrach, co w niewielkim stopniu wpływało na utrzymanie higieny.

Z kocią gracją Jander przesuwiał się wśród leżących na podłodze wariatek, poruszając jasnowłosą głową na obie strony, ogarniając miejsce spojrzeniem srebrzystych oczu. Niektóre z kobiet odsuwały się na jego widok, kryjąc się po kątach i jęcząc, inne nie zwracały na niego uwagi, jeszcze inne wręcz łasiły się do niego - od tych ostatnich delikatnie się uwalniał.

Minęło niemal pół wieku od jego ostatniej bytności i te raz nie rozpoznawał żadnej z obłąkanych. Część z nich wyglądała całkiem zwyczajnie, jak stare kobiety, których umysł osłabł, by potem spokojnie rozmyć się do końca, ale zdarzały się i chodzące potworności - ofiary nieszczęśliwych wypadków, zaklęć, które zadziały na opak, lub złej woli, kulące się i wyjące w udreće po kątach. Najsmutniejszy był widok tych prawie zdrowych, które przy niewielkiej pomocy mogłyby funkcjonować w normalnym świecie, ale ich krewni nie zadali sobie trudu, by się nimi zaopiekować.

Wzrost zaludnienia w Waterdeep spowodował, że zwiększyła się też liczba chorych na przeróżne schorzenia - w większości ludzi, choć tu i ówdzie udało się Janderowi rozpoznać przykucnięte sylwetki krasnoludów; bogom niech będą dzięki, że nie było żadnego elfa. \$ rogu wilgotnej, zimnej komnaty jedna z kobiet pokrytą łuskami dłonią metodycznie szarpała krwawiący kikut ramienia. Miała również gadzie nogi, zakończone pazurami, jak u jaszczuroludzi, za to jej nic nie wyrażająca twarz była całkowicie ludzka. Inna znów leżała niemal u stóp wampira, osłaniając głowę ramionami, a kiedy Jander przestąpił ją, zmieniła pozycję. Elf aż się cofnął o krok: twarz, którą ujrzał, była zupełnie pozbawiona rysów, jeśli nie liczyć czerwonego rozcięcia ust.

- Oni nadchodzą, wiesz? - rozległ się jej wrzask. - Te oczy na szypułkach, wymachujące w twoją stronę i usta, usta... - Wariatka zaczęła niezrozumiale bełkotać i ssać palce. Jander zamknął oczy. Nienawidził tego miejsca; chciał teraz tylko szybko pożywić się i odejść.

Żywiąc się krwią przetrzymywanych tu istot nie wyrządzał im zbytniej szkody. Potrafił zmaterializować się we wnętrzu celi, uszczknąć dość płynu, by starczyło mu do następnego razu kiedy będzie spragniony ludzkiej krwi, i zniknąć. Rzadko wysysał tyle, żeby ofiara czuła się rankiem choćby osłabiona, a strażnicy nie mieli powodu, by bacznie oglądać szyje pacjentów. Dzięki temu nikt nie zauważał drobnych, nieznaczących śladów.

Z tyłu kamiennego pomieszczenia, na brudnym sienniku leżała bezwładnie jeszcze jedna kobieta. Na pierwszy rzut oka niewiele różniła się od stałych mieszkańców przybytku - jej długie, ciemne włosy były skudłone, a blade ręce i nogi brudne. Miała na sobie brzydką, brązową koszulę - ot, zaledwie kawałek materiału, standardowe odzienie w tym piekielnym miejscu, które dawało niewielką osłonę przed wilgotnym chłodem, wcale zaś nie chroniło przed obmacywaniem przez obłąkanych współtowarzyszy. Nagle kobieta, być może czując na sobie wzrok Jandera, spojrzała na niego.

Była tak niesamowicie piękna, że z ust elfa wyrwał się jęk bólu i zachwytu. Włosy, teraz skołtunione i brudne, kiedyś musiały mieć wspaniały, kasztanowy odcień. Wielkie oczy lśniły od łez, które nawet teraz, gdy się jej przyglądał, spływały po policzkach, zlobiąc ślady w pokrywającym je brudzie. Lekko drżące usta przypominały idealną, różową różę w porcelanowej twarzy. Od dawna już wampir nie widział tak pięknej istoty; z

pewnością nie spodziewał się znaleźć jej tutaj. Urzeczony podszedł bliżej i klęknął przy kobiecie, która nie spuszczała z niego spojrzenia błyszczących, brązowych oczu.

- Bądź pozdrowiona - rzekł słodkim, melodyjnym głosem.

Dziewczyna nie odpowiedziała, przyglądając mu się tylko ogromnymi oczyma.

- Mam na imię Jander - dodał delikatnie. - a ty? Skąd jesteś?

Wtedy jej usta poruszyły się. Jander nasłuchiwał, w napięciu i z nadzieją, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Rozczarowany wstał z klęczek. Dziewczyna wciąż spoglądała nań ufnie. Bogowie, jakaż ona śliczna... Kto mógł ją tu zamknąć?

- Chciałbym cię stąd zabrać - powiedział smutno. - Ale nie mógłbym się tobą zająć w ciągu dnia. - Odwrócił się, a dziewczyna zaczerpnęła gwałtownie powietrza i wyciągnęła do niego rękę, znów z oczyma pełnymi łez.

- Panie! - zaszlochała, wznosząc ramiona. Jander nie wiedział, co robić. Minęło już całe pięć wieków, odkąd jakieś piękne stworzenie raczyło go dotknąć, a teraz ta promieniejąca, prześliczna dziewczyna wyciąga do niego rękę. Zawahał się, a potem usiadł przy niej i niepewnie przytulił.

- Cśśś... - uspokajał ją jak dziecko. Nie wypuszczał jej z objęć, aż płacząc zasnęła, a wówczas położył ją z powrotem na sienniku. Potem wstał, uważając, by jej nie obudzić. Głód zaspokoił w innej części komnaty.

Czuł na sercu lekkość, jakiej nie pamiętał od wielu długich, pustych lat. Udało mu się znaleźć coś pięknego w piekle i to coś się go nie obawiało. Musiał się nią zaopiekować. Wiedział już, że wróci następnej nocy.

Tak też zrobił, przynosząc prawdziwe jedzenie - mięso z ogniska jakiegoś podróznego oraz chleb i owoce skradzione nieostrożnemu sklepikarzowi. Jander przekonał się, że wampiry mogą być znakomitymi złodziejami, aczkolwiek niewiele z nich musiało uprawiać tego rodzaju zajęcie.

- Witaj ponownie - pozdrowił dziewczynę. Podniosła wzrok, a jej wargi wykrzywił ostrożny, przelotny uśmiech. Serce podskoczyło w elfie, w odpowiedzi uśmiechnęła się szeroko, usiadł przy niej i podał jej jadło.

- To jedzenie - wyjaśnił. - Zjedz to. - Uczynił gest, jakby wkładał chleb do ust. Dziewczyna nadal nie rozumiała. Jander byłby sam ugryzł kawałek, tylko po to, żeby jej pokazać jak to się robi, ale jego organizm nie trawił już niczego prócz krwi.

Szuranie nóg, które usłyszał za plecami, podsunęło mu inną myśl. Stara kobieta wygłodzonym wzrokiem spoglądała na chleb.

- Patrz - rzekł do dziewczyny i oderwał kęs. Staruszka łapczywie chwyciła kawałek i zaczęła żuć. Ciemnowłosa kobieta uśmiechnęła się i przytaknęła ze zrozumieniem. Wstała zdecydowanie i zaczęła rozdawać przyniesioną przez niego żywność innym więźniom, spoglądając na niego przez ramię z promiennym uśmiechem.

Jander musiał się roześmiać, chociaż był na nią zły - potrzebowała jedzenia, była wycieńczona, nie powinna rozdawać tego, co jej przyniósł...

Poderwał się na równe nogi. Śliczna obłąkana poruszała się z wdziękiem wśród pacjentów, jakby dobrze wiedziała, co robi, dzieląc się z nimi jedzeniem. Zupełnie, jakby już kiedyś pielęgnowała ludzi, pomyślał Jander. Szybko podszedł do niej i odwrócił ją tak, by spojrzała mu w twarz.

- Na bogów - wyszeptał. - Nie urodziłaś się taka, prawda?

Uśmiechnęła się doń pogodnie, nie przerywając swojego zajęcia. Był wstrząśnięty, czuł, jak nagle wypełnia go szalona nadzieja. Jeśli kiedyś była zdrowa, może znów ozdrowieje? Czy byłby w stanie zawrócić ją z krawędzi obłądu?

Jedno wiedział na pewno: musi spróbować.

Zanim napotkał ten „kwiatusek”, Jander zwyczajnie egzystował, od nocy do nocy, odżywiając się krwią zwierząt. Pielęgnował swój nocny ogród, czerpiąc pociechę z pracy w ziemi i przyglądając się, jak rośliny rosną. Odkąd stał się wampirem, żył z dala od wszystkiego, co za życia kochał najbardziej.

Ale dziewczynie z przytułku nie przeszkadzała jego wampirza natura. Widząc go, cieszyła się za każdym razem tak samo, chociaż wypowiadała zaledwie fragmenty słów, których nie rozpoznawał. Minęły tygodnie, ale wreszcie nauczył ją jeść to, co przynosił i nawet zaczęła przybierać na wadze.

Miało się już ku jesieni, kiedy którejs nocy, gdy siedzieli razem, kobieta nagle spięła się w sobie i wysunęła z objęć elfa. Grymas zmartwienia wykrzywił jej usta.

- Co się stało? - zagadnął Jander.

Zdawała się go nie słyszeć. Gwałtownie zerwała się na nogi, cały czas skupiona. Zaniepokojony pociągnął ją lekko za ubranie.

Dziewczyna wrzasnęła, co wywołało podobne, hałaśliwe odpowiedzi jej towarzyszy niedoli, łączące się w piekielne crescendo. Zaczęła ścisnąć i załamywać ręce, a każdy mięsień w wychudzonym ciele zdawał się być napięty pod wpływem najczystszej strachu. Popatrzyła obłąkanym wzrokiem dookoła, jakby szukając drogi ucieczki, wydała z siebie niski jęk, jak schwyte w pułapkę zwierzę, i rzuciła się na ścianę, drapiąc szorstki kamień paznokciami i desperacko waląc w nieustępliwą powierzchnię.

- Nie! - krzyknął Jander. Błyskawicznie znalazł się przy niej i odciągnął ją od ściany. Silnymi dłońmi ciasno oplótł nadgarstki dziewczyny, a ona jeszcze przez chwilę walczyła z nim, zawodząc żałośnie, po czym osunęła mu się w ramiona. Krwawe odciski dłoni znaczyły mur; czuł, jak ciepła wilgoć ścieka mu wzdłuż palców - porządnie poraniła sobie ręce i teraz dłonie i przedramiona miała lepkie od krwi.

Z oczami utkwionymi w odbite od czerwieni światło pochodni Jander oblizwał wargi, czując budzący się głód. Oderwał wzrok i spojrzał dziewczynie w oczy - to, co ujrzał w ich głębi, mocno go poruszyło.

Coś zamigotało tam niczym płomień świecy. Trwało to tak krótką chwilę, iż z trudem uwierzył, że coś dostrzegł, ale jednak tak było. Przeblysł normalności, jasny jak słońce na wodzie, pojawił się i zniknął.

- Och, maleńka moja - rzekł łamiącym się głosem. - Co ci się stało?

Wtedy był świadkiem tajemniczego wybuchu jej szału po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni. Najboleśniej odczuwał sprzeczność między jej żalonym stanem a pogodą ducha, jaką okazywała przez większość czasu. Potrafiła mieć się dobrze przez kilka dni, czasem nawet tygodni czy miesięcy, gdy nagle, bez ostrzeżenia, jej wewnętrzny spokój pryskał i ponownie chciała wydrapać sobie przejście w gołej skale, desperacko próbując uciec przed istniejącym wyłącznie w jej obłąkanym umyśle zagrożeniem.

Jander robił co mógł, aby chronić dziewczynę przed bólem, który sama sobie zadawała, przytrzymując jej ramiona z tyłu lub przyciskając je do boków, a czasem chwytając ją w uścisku tak ciasnym, że w ogóle nie mogła się poruszyć. Zawsze wreszcie uspokajała się i na powrót przemieniała w spokojny kwiat. Po jednym z takich wybuchów Jander trzymał ją w objęciach, czując odpływające z jej ciała napięcie. Pozwolił sobie oprzeć głowę na włosach kobiety, ciesząc się, że przestała walczyć, a ona odchyliła się nieco i spojrzała w górę, na jego twarz. Jej usta poruszyły się bezgłośnie. Jander napiął mięśnie, kiedy położyła dłoń na sercu i wyrzuciła z siebie dziwną kombinację dźwięków. Potrząsnął głową na znak, że nie zrozumiał, ona zaś powtórnie wybełkotała coś niezrozumiale, po czym nagle wyraźnie rzekła:

Anna. Elf osłupiał.

- To twoje imię? Anna? Przytaknęła, czujnie mu się przyglądając.

- Jestem Jander - odparł, i sam się zdziwił, jak bardzo chciał usłyszeć swoje imię wypowiedziane przez te słodkie, różowe usta. Ale myśli Anny znów skierowały się do wewnątrz, a cudowne oczy powlekła pozbawiona wyrazu szklistość. Tej nocy już się więcej nie odezwała.

Mieszkańcy przytułku ciężko przeżyli zimę. Jander ukradł kilka koców i starał się zapewnić Annie tyle ciepła, ile mógł. Najchętniej zostawiłby jej ciepłe okrycie, ale strażnicy, zauważywszy je, mogliby nabrać podejrzeń co do ich pochodzenia. Dopiero wiosną mógł świętować kolejne zwycięstwo.

Ledwie zmierzch poczerniał, wampir zmaterializował się w celi. w jego ogrodzie rozkwitały już kwiaty i uzbierał mały bukiet dla Anny. Może dzięki nim zdobędzie jeszcze jeden promienny uśmiech, jaki już kilkakrotnie dostrzegł. Ledwie mgła zgęstniała, przybierając jego smukły kształt, dziewczyna rozpoznała go i obdarowała na powitanie uśmiechem, który rozjaśnił jej twarz i sprawił, że znów wyglądała na zdrową. Wyciągnęła do niego ręce, niczym dziecko do ukochanego

rodzica, którego nazbyt długo nie widziało.

Złożył jej w ramionach pachnący upominek.

- To dla ciebie, najdroższa - rzekł jedwabistym, pełnym delikatności głosem.

Anna zanurzyła twarz w kwiatach, a potem podniosła na niego swe wielkie, łagodne oczy.

- Sir! - krzyknęła uszczęśliwiona i rozsypała kwiaty po podłodze rzucając mu się na szyję.

Z radością odwzajemnił uścisk. Kiedy tak czule tulił ją do siebie, zdał sobie sprawę, że jego uczucie do niej uległo zmianie. Aż do tej chwili myślał o niej jak o zranionym leśnym zwierzątku, które potrzebuje delikatności i opieki. Tak też się o nią troszczył, przecząc prawdzie, której ujawnienia teraz nic nie mogło powstrzymać. Czy tego chciał, czy nie - Jander był zakochany.

Anna, jakby wyczuwając w elfie zmianę, objęła go jeszcze ciaśniej, jedną dłonią bawiąc się jego złotymi włosami na karku. Uczucia, dotąd martwe tak jak ciało Jandera, nagle rozbłysły nowym płomieniem; namiętność mieszała się z pragnieniem wampira, woń jej krwi była obezwładniająca. Elf poddał się szalejącym w nim emocjom i z jękiem złożył pocałunek na szyi dziewczyny. Kły wysunęły się szybko i zdecydowanie, ale delikatnie przebiły białą skórę: to miał być uścisk kochanka, nie drapieżnika, i choć przy pierwszym ukłuciu bólu Annie zaparło dech w piersi, nie odsunęła się od niego.

Jander miał się właśnie zmaterializować w domu obłąkanych, kiedy do jego uszu dotarły głosy. Rozpłaszczony się przy drzwiach, przypominając szaroniebieski cień, i z wyczerpaną uwagą nasłuchiwał dochodzącej ze środka rozmowy.

- Taka śliczna - ten głos był ciepły i delikatny.

- Taaa, faktycznie - zgodził się z nim drugi, w którym Jander rozpoznał jednego ze strażników. - Wyglunda tak samo już od więcej niż setki lat. Mój dziadek też tu pracował. Wcale się od tego czasu nie zmieniła.

- Naprawdę? Biedne dziecko. Patrz! Chyba mnie zrozumiała!

- Eeee tam, robi z ciebie gupiego. Nic nie rozumi. Tak już sto lat.

- Tak, już mi to mówiłeś - głos brzmiał znacznie chłodniej niż poprzednio. Jander uśmiechnął się; każdy, kto bronił Anny, był jego przyjacielem. Przesunął się i przyłożył szpiczaste ucho do kamiennej ściany.

Poruszyło go to, co powiedział strażnik. Czyżby rzeczywiście przebywała tu uwięziona, niezmienna, od ponad wieku? Odliczył w myśli pory roku. Czas nic nie znaczył dla wampira, ale był zszokowany, gdy uprzytomnił sobie, że już od z górą dziesięciu lat odwiedza Annę.

Miły głos mówił dalej:

- Lathander jest bogiem nadziei, a ta przychodzi każdego dnia na nowo, wraz ze świtem. Nie zapominaj o tym, mój synu. Co przysporzyło cierpień tej kobiecie?

- My tam myślím, że czar jakiś, panie. Nikt tak długo nie może tak wyglądać bez jakowejś magii.

Jander spał się cały, odruchowo zaciskając dłonie w pięści. Magia! To by wiele wyjaśniało. Poczł narastający gniew na wspomnienie tajemnej sztuki, ale próbował go stłumić.

Elf-wampir nienawidził magii. Kiedyś była jego drugą naturą i do tej pory władał odrobiną elfiej sztuki - zupełnie błałym tego dowodem były umiejętności związane z hodowlą roślin. Jednak przez lata magia wielokroć go zawodziła w naprawę ważnych sprawach, toteż teraz nie ufał jej, nawet jeśli pochodziła z dobrego źródła. Pomysł, że Anna padła ofiarą jakiegoś złośliwego zaklęcia, rozwścieczył go. Zmusił się do opanowania i słuchał dalej.

- Czy ktoś próbował zdjąć zaklęcie?

- Ni. Ona jest bez rodziny, nikt by nie zapłacił. Jander przygryzł nerwowo dolną wargę. Jeśli kapłan Lathandera spróbuje uwolnić Annę spod mocy czaru, który tyle lat trzymał ją przy życiu, równie dobrze może ją to zabić. Najwyraźniej kleryk pomyślał tak samo:

- Spróbowałbym, ale boję się. To mogłoby być niebezpieczne.

Strażnik zaśmiał się krótko, nosowo, chrapliwie.

- A co to za życie ma dziewczucha? Może lepiej, coby umarła.

Oczy elfa zwięziły się w gniewie.

- Może - doszedł go głos kapłana, teraz już po prostu lodowaty - gdybyście lepiej doglądali tego miejsca, nie byłoby takim ściekiem jak teraz. Pomówię o tym z twoim przełożonym.

Wampir usłyszał dźwięk otwieranych drzwi celi i na powrót wtopił się w cień. Stamtąd przyglądał się, jak kleryk Lathandera wynurzył się z pomieszczenia, z ulgą wdychając świeże powietrze. Był młody, miał jakieś trzydzieści kilka lat i poruszał się ze spokojnym wdziękiem. Miał długie, brązowe włosy, a jego szata, choć w pięknych odcieniach złota i różu, była prosta. Dumna postawa i to, co mówił, stawiały go wysoko w oczach Jandera; poza tym elfowi, zanim nie spadła na niego wielka ciemność, na zawsze odbierając jego oczom widok świtu, zawsze podobały się nauki Lathandera, Pana Poranka, złotoskórego boga świtu i początków.

Kiedy tylko wartownik ponownie zajął swe stanowisko na zewnątrz żeńskiej celi, Jander zmienił się w mgłę i przeniknął do wewnątrz. Od razu podszedł do Anny, objął ją i mocno przytulił.

- Magia. Tb magia ci to uczyniła. Och, Anno! - Nagle ogarnęło go bezgraniczne współczucie dla jej losu. Ujął twarz dziewczyny w dłonie, pocałował głęboko - gdy nagle zaskoczyło go ukłucie bólu. Odsunął się gwałtownie, unosząc złotą dłoń do szczypiącej ranki po ugryzieniu.

Anna w kolejnym napadzie szału krzyczała i biła rękami w ściany. Jander jak zwykle zaczął ją uspokajać, a kiedy po chwili wszystko minęło i spojrzła na niego, jej oczy wyrażały skrucę. Elf objął ją niepewnie, z ulgą, z wolna zasypując dzielącą ich



szczelinę, którą mimowolnie otworzył.

Nie próbował jej więcej pocałować. Najwyraźniej ten dowód uczucia wyzwolił coś w jej oszalałym umyśle.

- Kto ci to zrobił, kochanie? - wyszeptał, tuląc ją delikatnie i nie oczekując odpowiedzi.

- Barovia - odparła, całkiem wyraźnie. Nie powiedziała nic więcej.

Barovia. Dziwnie brzmiało to słowo, kiedy wampir je powtarzał. Czy to czyjeś imię, czy nazwa miejsca, a może w jej dziwnym języku słowo to oznacza jakieś działanie lub ideę? Nie miał skąd się tego dowiedzieć. Rozumiał tylko, że ktoś lub coś związane ze słowem „Barovia” było odpowiedzialne za obecny stan Anny.

Zamierzał dowiedzieć się, o kogo chodzi.

## DWA



W Waterdeep dni i noce płynęły normalnym rytmem. Minął kolejny rok, później jeszcze jeden, ale czas nie miał znaczenia dla nieumarłej istoty i zaklętej, obłąkanej kobiety. Niewiele udało się Janderowi osiągnąć, ale z cierpliwością godną umarłego nie ustawał w wysiłkach i cieszył się każdym, choćby najmniejszym zwycięstwem.

W samym środku zimy, niemal trzydzieści lat po poznaniu Anny, czas nagle zaczął odgrywać rolę.

Gdy tylko noc spowiła ziemię, Jander pojawił się w celi przynosząc żywność i koce. Anna leżała bezwładnie w kącie, nie powitała go swoim normalnym, ciepłym uśmiechem.

- Anna? - Nie poruszyła się na dźwięk jego głosu. Przestraszony Jander podbiegł do dziewczyny i delikatnie pogłaskał ją po włosach. - Anno, kochanie, co się stało?

Ostrożnie obrócił ją i serce w nim zamarło.

- Na bogów - wyrwało mu się z piersi. Twarz kobiety, zwykle tak bladą z braku słońca, pokrywały rumieńce, a kiedy dotknął jej czoła, z przerażeniem stwierdził, że jest rozpalone i suche. Oddychała szybko, płytko, oczy zaś błyszczały nienaturalnie.

Elf poczuł, jak panika ścisła mu wnętrzności lodowatą dłonią. Od tak dawna nie musiał walczyć z żadną chorobą że prawie zapomniał, co robić. Gorączka. Jak się leczy gorączkę? Zaczął drzeć na całym ciele i ze złością zmusił się do opanowania. Zawinał ukochaną w koc i tulił przez całą noc do siebie, drżącą i pojękującą. Gorączka nie ustąpiła.

Zajmował się nią tak przez następne cztery dni, dając jej wodę do picia i przemawiając do niej cały czas, aż zasychało mu w gardle. Straciła na wadze tyle, ile przedtem zyskała pod jego opieką. Kiedy gorączka nadal nie chciała się zmniejszyć, Jander podjął decyzję.

Jego miłość nie wystarczy, żeby ją wyleczyć; musi znaleźć kogoś, kto się na tym zna. Ludzie opiekujący się tym miejscem z pewnością nie przejmowali się jedną chorą wariatką. Miał jednak nadzieję, że wie, kto się przejmie.

Kiedy szedł opustoszałymi uliczkami Waterdeep, nawet nie próbował kryć się w cieniu. Przeszedł przez nędzną dzielnicę portową i dotarł do bardziej zadbanej dzielnicy Zamkowej. Ludzi przybywało i miasto znacznie rozrosło się od czasu, kiedy Jander był tu ostatnio. Wśród nowych budynków poczuł się przez chwilę zagubiony, ale w końcu znalazł to, czego szukał.

Iglice Poranka wciąż przyciągały uwagę. Kiedy Jander oglądał je jakieś sto lat temu, budynek był całkiem nowy, teraz zaś nosił tylko niewielkie ślady działania pogody i czasu. Gmach był kamienny, tylko drzwi z pieczołowicie wyrzeźbioną postacią Lathandera, Pana Poranka, zrobiono z drewna. Bóg został przedstawiony jako młody człowiek, odziany w powłóczyście szaty, na tle wschodzącego słońca. Jander zawahał się, po czym zapukał natarczywie.

Nikt mu nie odpowiedział, więc zniecierpliwiony ponownie uderzył w drewniane odrzwia. Gdzieś u góry ktoś otworzył okiennice i spojrzał na niego. Jander nie widział mówiącego, ale w głosie pobrzmiwało senne rozbawienie.

- Nie musisz wyważać drzwi, stoją otworem dla każdego, kto chciałby wejść. Wejdz i ty!

Jander nie mógł w żadnym wypadku wejść do świętego miejsca, nawet jeśli został zaproszony.

- Nie mogę - odrzyknął więc. - Tb zbyt pilne. W przytułku dla obłąkanych jest ktoś chory. Czy przyjdiesz tam?

Kapłan się nie wahał.

- Oczywiście. Jedną chwi... - Jander zniknął już, biegnąc z powrotem. Kleryk przybył w pół godziny później, przynosząc rozmaite zioła i święte symbole. Elf rozpoznał w nim młodego kapłana, którego rozmowę ze strażnikiem podsłuchał przed trzydziestu laty - teraz miał sześćdziesiąt parę lat, ale wciąż dobrze wyglądał. Włosy, dziś już siwe, były równie długie i gęste, jak wówczas. Pobrużdżona twarz wyrażała dobroć i troskę.

Jander wpuścił go do celi.

- Tam, w rogu - powiedział ubranemu w różową szatę mężczyźnie. - Ma gorączkę.

Siwowłosy kapłan uklęknął przy dziewczynie i zaczął ją delikatnie badać. Zmarszczki wokół brązowych oczu pogłębiły się, kiedy spytał:

- Jak długo jest w takim stanie?

- Będzie już cztery dni.

- Czemu nie wezwano mnie wcześniej?

- Nie wiem.

Kleryk posłał mu srogie spojrzenie.

- Jesteś jednym ze strażników, powinienes być... - zaczął.

- Nie, jestem tylko... przyjacielem. Czy możesz jej pomóc?

Kapłan wyglądał, jakby miał zamiar coś dodać, ale powstrzymał się na widok malującego się na twarzy Jandera

zmartwienia.

- Spróbuję, synu.

Godziny wlokły się śmiertelnie powoli; kapłan modlił się, śpiewał psalmy, przyrządzał zioła, obmywał nieprzytomną dziewczynę wodą święconą - wszystko bez skutku. Wreszcie, zmęczony i wymizerowany, potrząsnął głową i zaczął pakować swoje rzeczy.

- Naprawdę, przykro mi. Zrobiłem, co mogłem, teraz jest w rękach bogów.

Jander pokręcił głową, nie mogąc pojąć.

- Nie. Jesteś kapłanem. Musisz umieć coś z tym zrobić.

- Nie jestem Panem Poranka - odparł kleryk ze smutnym uśmiechem. - Choć ty mógłbyś nim być. Zawsze, gdy widzę słonecznego elfa, zapiera mi dech w piersi. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby twój lud bliższy był bogom niż my, śmiertelni - tak jesteś do niego podobny.

- Mówiono mi to już - warknął wampir - ale czy sądzisz, że gdybym nim był, to pozwoliłbym jej umrzeć?

Kapłan nie poczuł się urażony, tylko przyjrzał mu się ze współczuciem.

- Uleczenie tej choroby nie leży w mej mocy. Myślę, że została wywołana magicznie. Może ma to coś wspólnego z tym, że się nie starzeje. Jeśli spróbowałbym czegoś więcej, mógłbym ją zabić.

- Nigdy dotąd Jander nie czuł się tak bezradny. Wpatrywał się w Annę rozszerzonymi z bólu oczyma.

- Magia - wyszeptał. - Niech będzie przeklęta wszelka magia.

- Chodź, synu - łagodnie rzekł kapłan, kładąc mu dłoń na ramieniu i próbując poprowadzić ku drzwiom. - Niewiele brakuje, żebyś i ty zachorował; już masz zimną skórę.

Złotoskóry wampir strząsnął jego rękę.

- Nie - odparł. - Ja zostaję.

- Ale...

Elf skierował spojrzenie srebrzystych oczu wprost na niego.

- Może i masz rację - ustąpił kapłan. - Pewien jestem, że trochę czułości dobrze jej zrobi.

Podszedł do drewnianych drzwi celi i otworzył je szarpnięciem.

- Panie...

Kapłan zatrzymał się. - Tak, synu?

- Dziękuję.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

- Będę się za nią modlił. Za ciebie też - dorzucił i zniknął.

Jander usiadł przy kobiecie, którą opiekował się przez ostatnie trzydzieści lat. Wciąż - miała gorączkę, a choć przytomna, najwyraźniej nie była w stanie go rozpoznać. Elf oparł policzek na głowie dziewczyny i zacisnął mocniej lodowatą dłoń na jej ramieniu.

Bez zastanowienia podjął śmiertelną decyzję. Nie miał

innego wyjścia: Anna była umierająca, a on nie mógł znieść myśli o rozstaniu.

- Anno, kochanie - odezwał się cicho. - Gdybyśmy mogli jakoś inaczej być razem...

Smukłą dłonią pogładził jej twarz, gorącą, suchą i zaczerwienioną od płynącej wewnątrz krwi. Nie mogąc się już dłużej powstrzymać, pocałował ją. Przesunął trupio zimne usta na szyję dziewczyny i przycisnął do pulsującej żyły. Gdyby wierzył, że którykolwiek z bogów przywiązuje do tego wagę, pomodliłby się o powodzenie nocnego przedsięwzięcia: to, czego chciał spróbować, niosło obietnicę, ale i groźbę. W tej samej chwili poczuł znajome, słodkawe - gorzkie bolesne ukłucie w ustach, kiedy wysunęły się kły, gotowe przebić gładką biel skóry, aby mógł pić. Błyskawicznie, zanim zdążyła go opuścić odwaga, Jander wgryzł się w szyję dziewczyny głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Przez krótką chwilę skóra była napięta, po czym pękła i popłynął strumień gorącego płynu.

Anna wciągnęła powietrze i czując ból próbowała walczyć, nie mogła jednak wyrwać się z jego uścisku, gdyż siła wampira znacznie przewyższała siłę zwykłego śmiertelnika. Stopniowo uspokajała się, by w końcu zwisnąć bezwładnie w ramionach elfa.

Jander łapczywie pił ciepłą ciecz o metalicznym posmaku, spływającą mu do gardła. Zawarta w niej siła życiowa powoli przywracała mu moc i wyostrzała zmysły. Dawno już nie pozwolił sobie na taką ucztę; zdążył niemal zapomnieć o uniesieniu i rozpaleniu, jakich dostarczał prawdziwy pokarm. Poczuł, że daje się ponieść rozkoszy i tylko niejasno zdał sobie sprawę, że płyn zmienił smak - smakował teraz popiołem i pustką.

Nagle przerwał. Niewiele brakowało, żeby posunął się za daleko i pod wpływem głodu wysał z Anny całą krew. Nie wypuszczając jej z potężnego uścisku jednego ramienia szybkim ruchem szponiastego paznokcia rozciął sobie gardło. Z głębokiego rozcięcia trysnęła świeża krew - jej krew. Jander przytulił ją bliżej, niczym lalkę i przysunął jej usta do swej szyi.

- Pij, ukochana - rzekł chrapliwie. - Pij i bądź jednym ze mną!

Nie poruszyła się. Pod wpływem nagłego strachu przycisnął jej twarz mocniej do rany.

- Anno, pij!

Słabo próbowała go odepchnąć. Rzucił oszalałe spojrzenie w dół, na jej twarz i zobaczył, że uśmiecha się pogodnie, promiennie, spod krwawej, karminowej maski. Teraz, gdy umęczoną dziewczynę dzieliło od śmierci ledwie kilka uderzeń serca, niczym błogosławieństwo wróciła jej jakaś część zmysłów. Oczywiście było, że w tej chwili panuje nad własnym umysłem - i dokonała wyboru. Odrzuciła stan wiecznego życia w śmierci, który próbował jej narzucić. Siły opuszczały ją, ale zachowała dość energii, by unieść drobną dłoń, dotykając jego złocistej twarzy, zadowolona, a nawet szczęśliwa z powodu podjętej decyzji.

Panie - wyszeptała, a po jej bladym policzku spłynęła

jedna iza. Ostatni raz zamknęła wspaniałe oczy, po czym głowa opadła bezwładnie na drżące ramię Jandera.

Anno? - Jander wiedział, rzecz jasna, że dziewczyna nie żyje, ale powtarzał nieprzytomnie: - Anna? Anna?

Oprzytomniał na krótko przed świtem.

Kiedy na powrót zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, oczy miał zamknięte. Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, była cisza. Ani jeden jęk czy skomlenie nie docierały do jego uszu. Żadnych oddechów, szelestów, nic. Później poczuł zapach - gorący, metaliczny, znajomy mu równie dobrze, jak własne imię.

Leżał na zimnej, kamiennej podłodze. Dopiero próbując się podnieść stwierdził, że przed paru godzinami przybrał wilczą postać. Wciąż nie otwierając srebrzystych oczu oblizwał szczęki, poznając smak płynu o zapachu miedzi. Co zrobił? Nie chciał wiedzieć, ale musiał stawić czoło temu, czego dokonał. Wilk o złotej sierści powoli otworzył oczy.

Żadnej z godnych pożalowania, nieszczęsnych kobiet nie pozostawił przy życiu. Widok rzezi sprawiał wrażenie obrazka z jakiegoś odrażającego karnawału. Pacjentki przytułku leżały porozrzucane na podłodze jak zapomniane dziecięce zabawki, niektóre na siennikach, inne znów ma posadzce. Wszystkie miały rozszarpane gardła, otwarte na podobieństwo drugich ust. Gdzieś walały się okaleczone ciała strażników, którzy nierozważnie próbowali powstrzymać jatkę. Zamiast zwykłej szarości kamienia w obrazie dominowała czerwień, jakby to samo dziecko, które niedbale rozrzuciło wokoło ciała, porozlewało wszędzie kubły szkarłatu.

Jęk wyrwał się z ust Jandera - nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak ich zaatakował! Zabijał już przedtem, wiele razy. Czasem sprawiało mu to przyjemność. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że jest zdolny do takiej totalnej rzezi. Ludzie, którzy teraz leżeli dookoła w upiornych kałużach posoki, nie byli jego wrogami; nie byli nawet pokarmem, mającym zaspokoić jego przekłęty, nadnaturalny głód. Dokonał bezsensownego morderstwa i elfia część jego natury, ta część, która wciąż kochała światło, muzykę i piękno, była wstrząśnięta.

Pełnia grozy tego, co uczynił, przysięgnęła go, jak kamień na grobie. Zabici przez wampira skazani byli na powstanie z martwych, również jako wampiry. Nie jestem pewien, czy ci nieszczęśni będą w stanie powstać, pomyślał ponuro - dosłownie rozdarł ich na strzępy, a nie wyssał krew. Nadal jednak była to myśl zdolna każdego przyprawić o dreszcze: setka szalonych wampirów, włóczących się nocą po Wybrzeżu Mieczy.

Jander skierował swoje obłąkane spojrzenie ku Annie. Przeszedł przemianę: smukłe, złociste wilcze członki rozplynęły się w mgłę i zmateriały ponownie w kształcie elfa. Podniósł delikatne ciało dziewczyny i przez moment tulił w ramionach. Później ostrożnie złożył zwłoki na sienniku i najlepiej, jak mógł, otarł jej twarz z krwi.

Próbował uczynić z niej swoją partnerkę, ale nie chciała pić jego krwi. Kiedy za kilka nocy wstanie jako nieumarła, będzie

zaledwie słabym, służalczym wampirem, jego niewolnicą. Nigdy nie stanie się niczym więcej, przez całą wieczność, bo niewolnicy nie mogą przeistoczyć się w niezależne stworzenia, dopóki istnieje ich władca.

- Anno, nigdy nie chciałem ci tego zrobić - rzekł łamiącym się głosem. - Już śmierć byłaby lepsza.

Ze znużeniem, powoli wstał z klęczek i rozejrzał się po leżących wszędzie ciałach, aż dostrzegł to, co pozostało ze strażnika. Przeszukał zakrwawione zwłoki, znalazł kółko z kluczami, po czym otworzył ciężkie, drewniane drzwi i podszedł do drugiego głównego pomieszczenia. Przez króciutką chwilę zastanawiał się, czy słusznie czyni, ale odsunął wątpliwości. Włożył w zamek duży wytrych, dwukrotnie przekręcił i pchnął odrzwia. Większość znajdujących się wewnątrz obłąkanych w ogóle nie zwróciła na niego uwagi, ale kilku podpełzło niepewnie do progu i wyjrzało na zewnątrz. Elf przebiegł po całej celi, krzycząc i wymachując rękoma, aby wypędzić uwięzionych na swobodę. Kiedy ostatni z nich zniknął, Jander, przewyciężając obrzydzenie, otworzył również wszystkie izolatki.

Przytułek opustoszał, jeśli nie liczyć martwych. Wampir wrócił co żeńskiej celi i jeszcze raz uklęknął przy Annie. Pozwolił sobie na ostatni pocałunek - dar, którego przerażona odmawiała mu za życia, następnie wyjął z uchwytu na ścianie pochodnię i rzucił na leżącą na podłodze słomę. Ogień rozgorzał szybko i Jander jeszcze przez kilka minut wahał się.

Poczuł pokusę zakończenia w tym miejscu swej nędznej egzystencji, spalania się na popiół wraz z Anną. W ciągu kilku ostatnich stuleci myśl ta parokrotnie przychodziła mu do głowy, ale za każdym razem odrzucał samobójstwo. Istniały rzeczy gorsze od wampirów i gdyby zginął, stałby się jedną z nich.

Dym poczerniał i zgęstniał, zanim Jander wybiegł na chłodne, świeże powietrze nocy. Nie chciał patrzeć, jak ciało Anny się pali, ale zdawał sobie sprawę, iż jest to jedyny sposób, aby jej umęczona dusza zaznała ostatecznego spoczynku.

Bezszelestnie ruszył na zachód, szczerzej otulając płaszczem smukłe ciało. Mroźne powietrze zimowej nocy nie przeszkadzało mu; wprawdzie dotyk wampira jest zimny, jeśli nie pożywi się wcześniej, ale sami nieumarli nie odczuwają chłodu. Dążąc pustymi ulicami ku obrzeżom miasta słyszał dobiegające zza pleców dźwięki, świadczące o tym, że ludzie się budzą. Miał nadzieję, że pomoc nadejdzie zbyt późno, by zapobiec zniszczeniu ciała dziewczyny.

Wampir opuścił Waterdeep i ruszył ku dającym schronienie lasom. Trawę pod jego stopami pokrywał szron, ale kiedy szedł po niej w szarych butach nie słychać było żadnego dźwięku. Masywne, ciche sylwetki nagich drzew nie wyglądały przyjaźnie. Elf oparł się o pień i podniósł wzrok na niebo. Księżyc, w pół drogi do pełni, bladł właśnie w lawendowych i różowych odcieniach nadchodzącego poranka, jednak Jander miał jeszcze dobre pół godziny, zanim będzie musiał schronić się w jaskini.

Piękno przedświt bardziej przerażało wstrząśniętego wampira, niż dodawało mu sił. Był nieumarłym; znikąd nie mógł oczekiwać akceptacji. Nawet Anna odrzuciła dar, który jej ofiarował - życie w śmierci. Od trzydziestu lat była jedynym światłem nadziei, które sprawiało, że jego istnienie stawało się znośne. A teraz nie było nic, nikogo. Któż ulitowałby się nad losem wampira?

- Nie wybrałem tego życia! - wykrzyknął wściekle w stronę pustego nieba. - Nie uczyniłem niczego, żeby na nie zasłużyć! Nie dość się wycierpiałem w tym stanie? Czy dla takich, jak ja, nie ma miłosierdzia?

W niezmaconej nocy nie znalazł żadnej odpowiedzi. Zaciśnął pięści.

- Anno! - jęknął, jego głos był przeszywający. Elf upadł na kolana. - Anno... - Zabił to, co najgoręcej ukochał. Nie miał takiego zamiaru, ale teraz było to bez znaczenia.

A może uwolniłeś ją?! Niczym szept nadleciała nieoczekiwana myśl. Wampir uczeplił się tej nadziei. Zmusił się, by przypomnieć sobie jej senny obłąd. Złość, którą kierował do siebie samego i swojej nieumarłej natury, zaczęła koncentrować się gdzie indziej. Anna była czymś pięknym, co przemknęło przez jego życie i nadało sens dalszemu istnieniu. Teraz też miał powód: zemsta. Już czuł pewność, że ktoś uczynił dziewczynie coś przerażającego, co sprawiło, że straciła zmysły.

To był większy grzech niż jego. Przepelniony tym nowym postanowieniem, wznosił ramiona ku błędnemu niebu.

- Usłyszcie mnie, bogowie! Usłyszcie mnie, moce ciemności i bólu! Jeśli jest ktoś, kto ją skrzywdził, znajdę go i zniszczę. Ukarzcie mnie, jeśli taka wasza wola, bo moje ręce nie są czyste. Ale nie odmawiajcie mi zemsty!

Nigdy dotąd, ani przez pięćset lat życia w śmierci, ani przedtem, w ciągu dwustu lat śmiertelnego żywota, Jander nie przemawiał z taką boleścią. Nienawiść zatruła jego słowa i dobra, czysta ziemia Torii aż wzdrygnęła się od jadu, jaki z nich płynął. Ale były i inne moce, o wiele bardziej zdeprawowane niż wszystko, co zamieszkiwało Torii, które spijały kłótnię Jandera niczym nektar.

W Waterdeep, jak na port przystało, mgły nie należały do rzadkości, ale jeszcze w wiele lat później mieszkańcy dzielnicy Portowej ścisali głos, wspominając paskudną mgłę, która niespodziewanie spowiła port akurat tego ranka. Nadciągnęła z morza, niczym statek widmo, jak zawsze zimna i wilgotna, ale tym razem było w niej coś niezwykłego. Ci spośród mieszkańców, którzy nie spali, schronili się w domach lub skulili w łodziach, dopóki nie ustąpiła. Mars pojawił się na czołach śpiących, gdyż ich sny zmieniły się w koszmary. Opar przetaczał się ulicami ku zachodowi, niby wiedziony w tym kierunku. Szybko rozwiał się nad dokami, pozostawiając mglisty ranek, a południowe słońce rozproszyło ostatnie jego ślady. Zachód słońca tego dnia był oszałamiający.

Jander nie ujrzał ani tego zachodu, ani czystej nocy, która

nadeszła po nim. Kiedy mgła pojawiła się mieście, otuliła go całkowicie. Rozpalone myśli o zemście wypełniały jego umysł tak, jak mgła wypełniała las, ale zachował dość przytomności, aby pamiętać, że ma niewiele czasu na powrót do jaskini.

Przeistoczył się w nietoperza i pomknął w stronę wilgotnej, podziemnej kryjówki, którą zwał teraz domem. Z powodu mgły nic nie było widać, ale nietoperze orientują się w przestrzeni wydając wysokie dźwięki, które odbijając się od obiektów wracają do wrażliwych uszu. Jander jednak ze zdumieniem stwierdził, że przeszywające piski, które dobywał z siebie, nie docierały doń z powrotem. Z determinacją leciał dalej, machając błoniastymi skrzydłami i ponuro tłumiąc myśl, że mógłby zgubić się w tej gęstej, szarej mgle.

Upłynęło zatrważająco wiele czasu, nim wreszcie usłyszał echo. Sfrunął na ziemię i ponownie przybrał elfią postać. Mgła podnosiła się i rozpraszała równie szybko, jak przedtem się pojawiła, odsłaniając krajobraz tak odmieniony, że Jander nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Przed wszystkim próbował przecieżyć umknąć przed nadejściem świtu; tymczasem, sądząc z położenia księżyca na niebie, było jeszcze przed północą. Elf zmarszczył brwi. Z samym księżycem też działo się coś nie tak - kiedy spoglądał nań poprzednio, dopiero zbliżał się do pełni, teraz zaś była pełnia. Nawet gwiazdy nie przypominały konstelacji, których układ poznał w ciągu stuleci obserwacji. Wszystko wyglądało obco.

Co się działo? Przez chwilę Jander myślał, że zbyt wiele nocy spędził wśród obłąkanych; może teraz i on oszalał? Nie umiał tego wyjaśnić, ale zgodnie z tym, co mówiły mu zmysły, nie znajdował się już w Waterdeep. Sądzą po nieznanym gwiazdach nie znajdował się nawet na Torii.

Przeszedł go dreszcz, choć powietrze było łagodne i pełne aromatów wiosny. Magia.

Księżyc chował się i wyłaniał zza kłębow chmur, na przemian odsłaniając i kryjąc przed Janderem okolice, w której się znalazł. Zamiast skrytej pod skorupą szronu trawy stał na drodze, nieźle utrzymanej, acz nieczęsto używanej. Poboczami, pochylając się nad elfem, ciągnęły się wysokie sylwetki drzew - w pełni rozkwitłych jabłoni; płatki kwiatów osypywały się na ziemię, gdy wietrzyk poruszał ich koronami. Nieco dalej droga wijąc się wspinała się na przełęcz, po czym stromo opadała w dół. Jander wspiął się na przełęcz i spojrzał w dolinę.

Zobaczył leżącą w dole wioskę, otoczoną olbrzymim pierścieniem gęstej mgły, a na północ od drogi posępne zamczysko, niczym sęp przycupnięte nad miasteczkiem.

Noc rozdarł ponury skowyt, wkrótce potem następne, łącząc się w pełnej grozy harmonii. Źródło dźwięku przybliżało się z każdą chwilą, ale Jander nie przejmował się wilczą sforą. Nie był likantropem, ale wiedział, co to znaczy biec na czterech łapach przez wzgórza, czując w nozdrzach palącą woń zwierzyny. Nie spotkał jeszcze stworzenia, które nie byłoby posłuszne jego rozkazom.

Wycie przybierało na sile. Elf odrzucił głowę do tyłu i wciągnął powietrze w nozdrza; wyczuł zapach dzikiego zwierzęcia, zapach piżma. Sfora wbiegła na szczyt niewielkiego wzniesienia i księżyc błysnął w ślepiach wilków. Były ogromne - wielkie, włochate kształty wśród cieni i ciemności. Jander spojrział wprost w oczy przewodnika stada. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wilk obejrzał się na swych towarzyszy, po czym znów spojrział na wampira, zadarł głowę i badawczo zastrzygł uszami.

Elf był nieco zaskoczony. Dotychczas istoty tego rodzaju zawsze natychmiast wykonywały wydawane im w myśli rozkazy. Zmrużył oczy i skoncentrował się jeszcze mocniej. Odejdźcie, rozkazał im bez słów. Czuł siłę ich woli, przebiegłości, ich groźbę, ale nie wykonały najmniejszego ruchu oznaczającego posłuszeństwo. Odejdźcie!

Wreszcie potężne bestie umknęły, a noc zamknęła się wokół nich.

- Żegnajcie, bracia - rzucił elf. Znów był sam.

Chmura skryła księżyc i w nocnym mroku zaszła natychmiast subtelna zmiana; kwiecie jabłoni przypominało żałobny całun, bita droga wiła się niczym wąż. Mimo tęsknoty za słońcem, Jander był stworzeniem ciemności i wiedział, że nie musi się jej obawiać, ale po plecach przebiegł mu dreszcz, jak pod dotknięciem lodowatych palców.

Dawno temu, kiedy jeszcze w jego elfich żyłach płynęła gorąca krew, znał to uczucie grozy, budzące się w mroku, ale i wówczas bał się nie samej ciemności, lecz tego, co kryła przed wzrokiem. Teraz sam był jedną z tych przerażających, czyhających w ukryciu rzeczy, jednak w tej dziwnej krainie obawiał się nocy. Nawet ziemia pod jego stopami zdawała się być nie taka, jak powinna. Nazwał wilki „braćmi”, ale tylko z przyzwyczajenia - nie czuł, żeby były mu bliskie. Nie istniała między nimi żadna więź. Wiedział, że gdyby nie starczyło mu siły woli, by zmusić je do odwrotu, skoczyłyby na niego i rozszarpały dla czystej przyjemności. Wilki z Faerun, poza nielicznymi wyjątkami, były zwyczajnymi dzikimi zwierzętami, przemierzającymi ziemię pod ciemnym niebem w poszukiwaniu pożywienia - niczym więcej. Natomiast te ogromne, kudłate bestie wypełniały zło, kiedy przyglądały mu się złowrogo.

Ponownie skierował swą uwagę ku jedynym oznakom cywilizacji, jakie dawało się dostrzec, ale wcale nie poczuł się pewniej. Leżące w dole miasteczko wyglądało jak uwięzione w pierścieniu niezwyklej mgły. Zawieszony ponad nim zamek spowijała złowroźna aura.

Jander westchnął; nie miał pojęcia, gdzie jest, ani jak się tu znalazł. Jedyne istoty, które mogły mu coś wyjaśnić, mieszkały w wiosce i w zamczysku. Wybrał wieś, licząc na to, że łatwiej przemknie się tam niezauważony. Nagle przypomniał sobie, że ubranie ma przesiąknięte krwią niewinnych ofiar z przytułku. Nie mógł się w nim pokazać wśród ludzi.

Spojrział na oponcę, żeby przekonać się, czy plamy są bardzo widoczne i doznał kolejnego wstrząsu w tę pełną

niespodzianek noc. Odzienie miał zupełnie czyste. Ktokolwiek (lub cokolwiek) go tu sprowadził, zadbał o to, żeby bez kłopotów mógł się w mieszać między mieszkańców.

Elf uśmiechnął się niewesoło. Miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. W takim razie pokażę temu, co mi się przygląda, że nie dam się zastraszyć, postanowił. Ściągnął kaptur i potrząsnął głową, pozwalając włosom rozsypać się. Poprzysiągł zemstę, a jeśli szukając jej dotarł tutaj, niech i tak będzie.

Kiedy wydłużonym, pewnym krokiem skierował się drogą do otoczonej mgłą wioski, jego umysł wypełniło wspomnienie Anny.

## TRZY



Wieczność, zda się, upłynęła, zanim w domu zapanowała cisza. Anastazja podciągnęła haftowane przykrycie pod samą brodę, udając, że śpi i próbowała uspokoić walące jak młotem serce.

Księżycowa poświata przedarła się przez szpary w okiennicach do przestronnej, bogato umeblowanej komnaty, kładąc się plamami mlecznego światła na twarzyczce drzemiącej siostry. Figlarna buzia Ludmiły była spokojna; jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce. Miała ledwie dziesięć lat i wspólne mieszkanie z nią znacznie utrudniało siedemnastoletniej Anastazji to, co robiła przez ostatnich kilka tygodni.

Anastazja odwróciła się, a szelest delikatnej pościeli zabrzmiał ogłuszająco w ciszy pokoju. Czekala dalej. Kiedy wreszcie przestała słyszeć szmery zarówno z komnaty rodziców, jak i pomieszczeń służby na dole, wyśliznęła się z łóżka, całkowicie odziana, w najzwyczajniejszym ubraniu: płóciennej bluzce i prostej spódnicy. Ze stojącego przy łóżku stolika wzięła wstążkę i związała nią włosy, po czym nałożyła buty.

Spoconymi dłońmi wyszukała pod materacem schowany uprzednio kawałek liny. Nagle Ludmiła jęknęła przez sen. Anastazja zamarła, ale dziecko nie obudziło się, więc tylko z ulgą przymknęła oczy. Przywiązawszy solidnie jeden koniec liny do nogi łoża, najciszej, jak tylko potrafiła, otworzyła okiennice i okno i wyrzuciła sznur na zewnątrz, popuszczając powoli. Wzięła głęboki oddech, szybko zmówiła modlitwę, po czym zebrała się na odwagę i zaczęła schodzić.

Miała nadzieję, że Pietia będzie na nią czekał, ale z rozczarowaniem stwierdziła, że jego zgrabna sylwetka nie wynurzyła się z cienia. Przeklinała półszepem, chodząc w tę i z powrotem z bladą, napiętą twarzą. Oczekiwanie tak blisko domu było niebezpieczne. Ojcu mogło przyjść do głowy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a gdyby ją tu przyłapał, żywcem by obdarł ze skóry. W wyobraźni widziała lśniące krople potu na bezwłosej czaszce i obwisłe policzki trzęsące się z gniewu:

- Pamiętaj, kim jesteś! Jesteś córką burmistrza, nie jakąś

zwykłą dziwką!

Nie, zostać tu znaczyłoby dopraszać się o nieszczęście. Postanowiła nie czekać dłużej i pomknęła ciemnymi uliczkami wioski. Otuliła się ciasniej czarnym płaszczem, by jej nie rozpoznano, gdyby kogoś napotkała, choć było to mało prawdopodobne. Teraz już prawie nikt nie wychodził po zmroku z domu. Córka burmistrza spieszyła się. Wiedziała, że światło księżycy może ją zdradzić, ale cieszyła się, że przynajmniej widzi, gdzie idzie. Potykając się zeszła z drogi na zarośniętą ścieżkę, prowadzącą do kamiennego kręgu na wzgórzu, gdzie poprzednio spotykała się z Pietią.

W nocy wszystko zdawało się większe. Każde z drzew przemieniało się w gniewnego olbrzyma, każdy większy kamień stawał się pozbawioną kształtu groźbą. Starsi mieszkańcy miasteczka wspominali czasy, kiedy Barovia nocą była niemal równie bezpiecznym miejscem, jak w środku dnia. Gospośia Elena powiadała:

- Najstraszniejszą rzeczą w nocy była kupa gnoju, której po ciemku można było nie zauważyć.

Mimo lęku Anastazja uśmiechnęła się, podchodząc do kręgu i siadając w cieniu jednego z głazów. Przypomniała sobie, jak jej matka gniewała się na Elenę i odganiała córkę, ale ta tylko śmiała się ze słów gosposi. Nostalgiczny uśmiech zaczął znikać z jej ust. Dobre czasy, o których opowiadała Elena, minęły jeszcze zanim kobieta się urodziła. W dzisiejszych czasach noc skrywała okropności, o których Anastazja nie chciała nawet myśleć. Znajdowano ludzi dosłownie rozszarpanych na strzępy przez wilcze sfory, mówiło się o zwłokach pozbawionych krwi. Ludzi szemrali nawet przeciwko hrabiemu Strahdowi.

Hrabia Strahd. Wiatr zdawał się unosić to imię tak, że odbijało się tu i ówdzie wśród gałęzi drzew. Deszcz płatków kwiatów jabłoni opadał na ziemię jak duszki. Anastazja wzdrygnęła się i mocniej opatulila płaszczem. Oparła się

Owielki głaz, w jakiś sposób czerpiąc pociechę z twardej podpory. Wedle plotek kiedyś było to święte miejsce, ale teraz pozostał tylko kamienny krąg.

Dziewczyna próbowała skierować myśli ku swemu cygańskiemu kochankowi. Ich zakazany romans był niebezpieczny i - ekscytujący. Vistanich otaczała tajemnicza aura

I to ona przyciągała Anastazję do młodego, zuchowatego Pietii. W jego oczach błyszczała magia, a dotyk był pewny i wprawny. Miał w sobie poczucie wolności, które Anastazja, zastraszona postawą ojca i wszystkich mieszkańców wsi, piła niczym wino. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zakochała się bardziej w stylu życia Pietii, aniżeli w nim samym.

Zawył wilk, rozpraszając jej przyjemne myśli. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Pietia, pospiesz się - wyszeptała.

Mówiono, że wilki są stworzeniami Strahda. Anastazja spotkała władcę Barovii kilka nocy temu i ten jeden raz na pewno jej wystarczy. Wziął udział w dorocznej ceremonii z okazji

nadejścia wiosny, urządzonej przez jej ojca. Strahd był wysoki i smukły, miał czarne, starannie uczesane włosy i głęboko osadzone ciemne oczy. Przywdział nieskazitelny czarny ubiór, rozjaśniony drobnymi, czerwonymi zdobieniami, przypominającymi krople krwi. Uśmiechnął się dziwnie, kiedy burmistrz przedstawił mu swoją najstarszą córkę i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, pod którym poczuła się bardzo nieswojo. Kiedy hrabia ucałował jej dłoń, musiała zebrać całą siłę woli, by się opanować i nie krzyknąć; dotknięcie jego warg przypominało lód.

Niektórzy mówili, że hrabia parał się magią. Inni znów, że kobiety, które mu się spodobały, miały zwyczaj zniknąć w nocnej ciszy rozległ się dźwięk, który sprawił, że Anastazji zamarł dech w piersi. Zaciskając drżącą dłoń na płaszczu, próbowała wtopić się w kamień.

Znów usłyszała powolne i zdecydowane kroki. Zmierzały wprost ku niej i strzegącemu ją kręgowi. Wbrew woli przypomniała sobie ostrzeżenia ojca o pozbawionych krwi trupach.

Jakaś dłoń zamknęła jej usta.

Serce dziewczyny podskoczyło z przerażenia, zaczęła walczyć z napastnikiem, kopać i drapać. Strach dodawał jej sił. Nagle księżyc wynurzył się zza chmury i zorientowała się, że to tylko Pietia, uśmiechnięty jeszcze szerzej niż zwykle. Śniada twarz zdawała się biała w poświacie, ścierającej kolory również z jego obszywanej kamizelki i obszernych, czerwonych spodni.

- Ty... - zaszlochała Anastazja, łapiąc oddech, kiedy Pietia parsknął śmiechem. Rzuciła się na niego, bijąc małymi piąstkami w pierś. Razem upadli na ziemię. Wciąż jeszcze walczyła, z rozpaloną ze wstydu twarzą, gdy Pietia przycisnął ją do podłoża własnym ciałem.

Popatrzyła na niego do góry, ale gniew szybko prysnął.

- Ty zwariowany cygański diable! - wysyczała, tym razem już kuszącym tonem. Pietia poruszył brwiami, kpiarsko naśladując złą postać z aktorskiej sztuki i pochylił się, całując ją.

Oddając mu pocałunek, Anastazja zdała sobie sprawę, że noc nie jest już taka zimna.

Godzinę później Pietia niechętnie pożegnał się z dziewczyną, patrząc, jak wspina się po linie do sypialni równie zwinnie, jak nadmiernie obciążony juczny koń. Westchnął i pokręcił głową.

Nie można powiedzieć, żeby kochał córkę burmistrza. Z pewnością pociągała go i będzie za nią tęsknił, gdy jego plemię opuści tę okolicę, ale nie lepiej pasowała do jego świata, niż on do jej. Burmistrz nawet nie chciałby słyszeć o małżeństwie córki z Cyganem, a przywiązany do tradycji klan Vistanich nie pozwoliłby Pietii sprowadzić giorgio do obozu.

Cóż, takie jest życie. Wciągnął wonne powietrze i otrząsnął się z melancholii, jak pies otrzepuje się z wody. Była wiosna i oprócz kobiet można się było cieszyć mnóstwem innych rzeczy. Pietia, silny jak na swój niepozorny wygląd, zarzucił sobie

na ramię ciężki jutowy worek i żwawym krokiem ruszył do „Wilczego Leża”. W karczmie powinno być pełno klientów czekających na jego sztuczki.

„Wilcze Leże” nawet w lepszych czasach nie było najweselszym lokalem. Okap pobielonego, dwupiętrowego budynku zdobiły roślinne wzory, ale pogodny wygląd zewnętrzny tylko uwypuklał kontrast z ponurym wnętrzem. Nigdy nie było tu dość lamp, toteż szynk tonął w mroku. Ogień, słabo płonący w kominku, w niewielkim stopniu przyczyniał się do oświetlenia pomieszczenia, a w jeszcze mniejszym do ogrzania. Karczma niewiele zarabiała na tych nielicznych, którzy nadal odważali się wychodzić po zmroku, co nadawało jej smutny wygląd zbyt rzadko odwiedzanego miejsca. Sam właściciel, z natury gburowaty, wyróżniał się wzrostem i smukłą posturą w tej wiosce niskich, krępych ludzi. Dla tych, których znał, był dość miły; na nowych klientów patrzył podejrzliwie, ale przyjmował od nich pieniądze, jeśli tylko rozpoznał oferowane monety.

Gdyby Pietia miał trochę więcej doświadczenia, wyczuł by delikatną zmianę, która nastąpiła wśród klientów gospody, kiedy niespiesznie, pogwizdując wszedł do środka. Gdyby był chociaż parę lat starszy, nie miał siedemnastu lat, posiedziałyby tyle, ile wypadało, i wrócił do bezpiecznego schronienia wśród swoich. Ale Pietia był młody i głęboko przekonany, że wszystko wie.

Vistani odcinał się wyraźnie od reszty towarzystwa, w ubraniu o krzykliwych barwach, z błyskiem w oku, był jak lis brykający wśród stada ciemnych, pogrążonych w myślach wilczurów. Klepnął jednego z mężczyzn w plecy, z innym wymienił słowa powitania i rzucił monetę na blat przed nachmurzonym karczmarzem.

- Pintę najlepszego, ku czci wiosny, dobrze? Gospodarz bez słowa postawił przed nim kufel.

Wasze zdrowie, panowie! - Podochocony przyjemnościami ostatniej godziny Pietia pociągnął długi łyk i spojrzał nagle ku drzwiom, gdzie właśnie jakaś postać zdawała się wahać, czy przekroczyć próg.

Wejdz, przyjacielu! - zaprosił mężczyznę, swą wylewnością obejmując nawet obcego w tę noc swoich podbojów. - Żaden człowiek nie powinien pozostawać bez towarzystwa przyjaciół, kiedy można się napić!

- Rzeczywiście, młody panie - odparł nieznajomy, wchodząc i siadając obok Pietii.

Panujący w karczmie przyciszony gwar zamarł zupełnie. Klienci z na wpół otwartymi ustami spoglądali na złotoskórego przybysza. Kilku z nich wykonało znak chroniący przed urokiem i pośpiesznie wyszło, inni przyglądali się, jeszcze inni okazywali intruzowi jawną wrogość.

Jander wzdygnął się wewnętrznie. Jego plan, polegający na dyskretnym zebraniu informacji, najwyraźniej może się nie powieść. Nie spotkał się z tak nieprzyjaznym przyjęciem od czasu, gdy opuścił Daggerdale. Na całe szczęście rozgadany cygański chłopak, siedzący obok, nie wykazywał oznak rezerwy, jak reszta

klienteli.

- Musisz przybywać z daleka - odezwał się Pietia. - Czy mogę postawić ci drinka? Tuikka, specjalność Barovii.

- Barovia. Jander z trudem ukrył podniecenie. Więc to jest ta dziwna kraina, z której pochodziła Anna.

- Nie, dziękuję - odrzekł grzecznie. - Ciekaw jestem, czy w gospodzie znalazłby się pokój na noc?

- W takim razie powinieneś porozmawiać ze mną, nie z tym przybłądą Vistanim - mruknął karczmarz, obrzucając Pietię wyraźnie złym spojrzeniem. - Idź, zapracuj na swoje napitki, Pietia, albo wracaj do obozu.

Pietia nachylił się i szepnął Janderowi do ucha:

- Jeśli zmienisz zdanie co do drinka, propozycja jest aktualna. Wiem jak to jest być obcym w tej mieścinie.

Z udawanym ukłonem w stronę karczmarza, Pietia zeskoczył ze stołka i żywo podszedł do rogu karczmy. Pogrzebał w swoim worku i wynurzył się z mroku rozpromieniony. W rękach trzymał mnóstwo rozmaitych kul, maczug i pochodni. Zapalił pochodnie od tych, które umieszczono w uchwytach wzdłuż ścian, i zaczął zręcznie żonglować przedmiotami.

- Chłopak ma talent - zauważył elf. - Mam na imię Jander.

Gospodarz spojrzał groźnie na przybysza.

- Przykro mi, nie mam dziś dla ciebie pokoju - rzekł.

- Wszystko zajęte?

- Och, jest mnóstwo wolnych miejsc, ale nie przyjmujemy gości po zmroku.

- Karczma, w której odmawia się gościny gotowym zapłacić podróżnym? - Jander uniósł brew, wykrzywając usta w pogardliwym uśmiechu.

- Przyjdź jutro rano, to porozmawiamy. Nie przyjmujemy gości po zmroku.

Jander zmierzył go wzrokiem. Szorstka mowa i nieprzyjazna powierzchowność człowieka skrywały strach, którego metaliczną woń wyczuwał. Nie mylił się co do tej krainy: ktoś terroryzował tę wioskę. Usiadł w skrytym w cieniu rogu pomieszczenia i naciągnął kaptur na błyszczące blond włosy. Natężając wszystkie zmysły dyskretnie wsłuchiwał się w ściszony gwar. Dolatywały go rozmaite strzępki rozmów:

- Diabeł... nie wychodzić... Strahd.

To imię pojawiało się w różnych dyskusjach i za każdym razem, kiedy Jander je słyszał, wyczuwał cień strachu. Najpierw przysłuchiwał się kilku rozmowom, w końcu skupił się na prowadzonej najbliżej.

Jeden z mężczyzn, dość młody, z czarną, gęstą brodą, pociągnął łyk ale. Jego towarzysz, o siwiejących włosach i ze szczeciną dwudniowego zarostu na twarzy, patrzył nieobecny wzrokiem na swój nietknięty kufel.

- Nie powinienem być wychodzić - powiedział spokojnym, pełnym bólu głosem.

Młodszy człowiek położył mu dłoń na ramieniu.

- Kiedy przychodzi gorączka, lepiej się mieć na baczności

- rzekł łagodnie. - Wiesz to równie dobrze, jak ja, tato. A poza tym to może być zaraźliwe.

Starszy przytaknął, patrząc wciąż nieobecny wzrokiem.

- Była taka młoda, taka śliczna - głos mu się załamał. W smutnych oczach pojawił się błysk. - Moja mała Ola, moje biedne dziecko.

Na twarzy syna malował się ból, współczucie i gniew, który Janderowi wydawał się zupełnie nie na miejscu.

- Czy ktoś już mu to powiedział? - zapytał. Pograżony w smutku ojciec potarł oczy serdelkowatymi palcami.

- Nie. Nikt się nie odważył zanieść takiej wieści na zamek.

- Idę o zakład, że niedługo się dowie. Hrabia ma swoje sposoby, żeby dowiedzieć się tego, czego chce.

Wyraz twarzy starszego z mężczyzn uległ nagłej zmianie, smutek zastąpiła nienawiść.

- Cieszę się, że nie żyje - rzucił. - Cieszę się, że nie żyje, bo on jej nie dostanie i nie będzie jej mógł dotykać tymi zimnymi łapskami...

- Tato! - syknął chłopak, próbując go uciszyć. Ojciec zaczął szlochać chrapliwie i dwóch mężczyzn podniosło się od sąsiedniego stolika, by pomóc synowi go wyprowadzić. Reszta przyglądała się temu w milczeniu.

Pietia przestał żonglować. Znikła gdzieś cała jego swawolność, spojrzenie stało się czujne i uważne. Nie jest takim kłownem, jakiego udaje, pomyślał Jander. Przyglądając się, jak ojciec z synem wychodzą, chłopak odsunął się od swojego worka. Wampir zauważył, iż jeden z klientów przeszedł obok i wrzucił do środka małą sakiewkę. Wąsaty mężczyzna o małych, świńskich oczkach i okrutnym wyrazie ust zamówił kolejne ale i wrócił z kuflem na miejsce.

Jander już miał zamiar się wtrącić, ale zawahał się. Lepiej nie zwracać już na siebie uwagi. Poczeka na rozwój sytuacji. Klienci znowu usiedli na swych miejscach i powrócił stłumiony pomruk rozmów.

Pietia ponownie zapalił pochodnie i zaczął żonglować. Chwilę później rozległ się krzyk:

- Złodziej!

Z szybkością, o jaką Jander nawet by ich nie podejrzewał, kilku mężczyzn złapało zaskoczonego chłopaka, wykręcając mu ręce na plecy i mocno bijąc w brzuch. Pochodnie poleciały na wszystkie strony i ludzie rzucili się, żeby je zgasić, zanim powstanie pożar.

Drzwi rozwarły się szeroko. Do środka wpadł potężny, muskularny mężczyzna o grubych policzkach i sumiastych wąsach. Jego ubiór znacznie przewyższał klasą zwykłe koszule i kamizelki pozostałych klientów karczmy. Dawało się wyczuć, że człowiek ten przywykł do tego, że go słuchano.

- Burmistrzu Kartov! - wykrzyknął mały człowieczek służalczo. - Złapaliśmy jednego z Vistanich, jak dobierał się do kieszeni Andreja.

Andrej, człowiek o okrutnej twarzy i świńskich oczkach,

przytaknął energicznie. Kartov zwrócił wściekle spojrzenie na wyraźnie przestraszonego chłopca. Pietia mimo to zacisnął szczęki i spojrzał mu w twarz.

- Ten człowiek kłamie - powiedział opanowanym głosem, w którym nie było ani śladu przerażenia, wypełniającego nozdrza Jandera. - Żonglowałem, żeby zarobić parę groszy i zostałem niesłusznie oskarżony. Poza tym, gdybym ukradł sakiewkę, zrobiłbym to tak, że on nic by nie zauważył - dodał drwiąco.

Kartov uderzył potężną dłoń. Pod wpływem siły ciosu głowa Pietii odskoczyła na bok; z kącika ust popłynęła strużka krwi.

Ostry krzyk rozdarł powietrze i od progu rzuciła się na burmistrza dziewczyna.

- Nie, papo! Przestań!

Jander zauważył obojętnie, że na jej twarzy też znać było ślady bicia. Ojciec odepchnął ją gwałtownie. Cała jego rozpalona do białości wściekłość skupiała się na Vistanim.

- Moi ludzie będą wam mieli za złe, jeśli mnie skrzywdzisz - spokojnym głosem ostrzegł Pietia. Widać było, że nie blefuje. Jander spostrzegł, że niektórzy ludzie poczuli się nieswojo. Najwyraźniej należało się liczyć z zemstą Vistanich.

Kartov jednak wyraźnie nie posługiwał się rozsądkiem.

- To my mamy za złe okradanie uczciwych ludzi - ryknął, w odpowiedzi.

- Powiesić bękarta! - dobiegł głos z tłumu. Elfowi nie udało się dostrzec, kto był pierwszy, ale tłum szybko podchwycił okrzyk.

Kartov pochylił się nad Pietią. To, co rozwścieczony rodzic wysyczał, usłyszał tylko Vistani i Jander.

- Zanim z tobą skończymy będziesz żałował, że nie jesteś w zamku Ravenloft. Wiem, co zrobiłeś mojej córce!

Śniada skóra Pietii pobladła.

A więc to tak, pomyślał Jander, nagle rozumiejąc.

- Papo, nie! - krzyczała dziewczyna. - To nie jego wina!

Kartov rzucił na nią wściekle spojrzenie.

- Nie masz dość? - warknął. Jander patrzył z odrazą; pogardzał ludźmi, którzy znęcają się nad słabszymi, a w tym miasteczku najwyraźniej rządził ich typowy przedstawiciel. Zastanawiał się, czy ten porywczy człowiek był owym tajemniczym „nim”, którego obawiał się załamany ojciec.

Anastazjo, tobą zajmę się później - mówił dalej Kartom - Na razie będziesz miała okazję oglądać śmierć swojego kochanka.

- Nie! Pietia! - rozszlochała się dziewczyna.

Jeden z towarzyszących Kartovowi mężczyzn chwycił ją i mocno przytrzymał.

Jander był pełen podziwu dla postawy chłopca.

- Kartov - zaczął Pietia śpiewnym głosem. - Będziesz żałował tego, co uczyniłeś dzisiaj nocy. Borysie Fiedorowiczu Kartov, przeklinam c... - zakrztusił się, bo ktoś wtoczył mu w usta brudną szmatę. Mimo, iż klątwa nie została dokończona, niektórzy ludzie zawahali się, czy pomóc burmistrzowi. Innych jednak



ucieszyła możliwość wyładowania własnego wiecznego strachu w działaniu.

Wykręcili chłopcu ręce do tyłu i związali jego własną, barwną przepaską, po czym szydząc zeń i przeklinając wyprowadzili za drzwi. Potknął się na progu i ciężko upadł na bruk, nie mogąc złagodzić upadku związanymi rękoma. Tłum wybuchnął ochryplym śmiechem, a Kartov szarpnął za jedwabistą, czarną czuprynę i poderwał Pietię na nogi. Chłopak skrzywił się z bólu.

Ostry, żółty blask z otwartych drzwi karczmy rozlało się po placu, kontrastując z łagodną księżycową poświatą. We wszystkich domach wokół placu rozbłysły światła, a okiennice

uchyliły się odrobinę, pozwalając ciekawskim, choć ostrożnym mieszkańcom wyjrzeć na zewnątrz.

Podniecony tłum wytoczył się w noc kipiącym strumieniem, na wpół popychając, na wpół niosąc bezradnego Vistaniego ku szubienicy na końcu placu. Człowiek o świńskich oczkach pobiegł przodem, by przygotować pętlę dla skazańca, a teraz czekał z podłym uśmiechem na twarzy na zbliżającą się tłuszcę. Pietię wciągnięto po kilku stopniach na szafot Nadal walczył, gdy mężczyzna zarzucił mu pętlę na szyję.

Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy nieznajomy elf odłączył się od cizby i niczym cień przepadł w nocy. Wszyscy jednak usłyszeli odgłosy nadbiegającej sfory wilków.



## CZTERY

Wilczy zaśpiew niósł się przed watahą jak brzmienie rogu poprzedzające myśliwych. Przenikliwa, radosna pieśń, mroząca krew w żyłach rozległa się w nocnej ciszy. Nigdy dotąd wilki nie przybywały wprost do wioski, ale przecież w Barovii działo się wiele rzeczy, nad którymi lepiej było zanadto się nie zastanawiać.

Mieszkańcy rozbiegli się przed nadciągającymi zwierzętami, równie jednomyślni w ucieczce, jak przedtem połączeni żądzą krwi. Tłum rozproszył się, wrzeszcząc z przerażenia, potykając się i zmierzając ku schronieniu, jakie mogły im zapewnić niewielkie domostwa. Dźwięk był jednak coraz bliżej.

Anastazja wykorzystała moment, kiedy uścisk trzymającego ją mężczyzny osłabł, wyrwała się i wbiegła na szafot Nie bacząc na własny strach zmusiła drżące palce do rozplatania więzów Pietii. Ten, który związał mu ręce, wykonał solidną robotę. Przepaska wżarła się w ciało i teraz trzeba było ją niemal wygrzebywać. Anastazji prawie udało się rozluźnić ją na tyle, by chłopak dał radę sam się uwolnić, gdy na jej ramię opadła dłoń ojca.

- Chodź, Anastazjo! Pośpiesz się!

W tej samej chwili olbrzymi kudłaty kształt wynurzył się z cienia i wskoczył na drewnianą platformę, rzucając się na Kartova. Nie otworzył szczęk, ale uderzenie ciężkiego cielska wystarczyło, by i burmistrz, i wilk spadli z podwyższenia na kamienie. Wilk równie szybko, jak przedtem skoczył, teraz pogonił za Kartovem, kłapiąc go w pięty i pędząc wzdłuż alei Burmistrzowskiej w kierunku domu. Kartova nie trzeba było poganiać - mógł kochać córkę, ale bardziej jeszcze kochał samego siebie.

Osiem wilków biegało po placu, ścigając umykających wieśniaków, wściekle drapiąc w zamknięte drzwi, z prawdziwie zwierzęcą żywiołowością skacząc do zatrzaśniętych okiennic. Ich wycie mieszało się z krzykami niedoszłych ofiar. Jedna z bestii złapała w gigantyczne szczęki drewniany parapet. Deska pękła w drzazgi z głośnym traskiem i zaskoczony wilk zaskowyczał z bólu.

Żadne z ogromnych zwierząt nie zaatakowało Pietii i Anastazji.

Dziewczyna dalej borykała się z rozwiązaniem opaski, aż wreszcie Pietia uwolnił się, złapał ją za rękę i hałaśliwie zbiegł po stopniach. Poruszenie przyciągnęło uwagę wielkiej szarej wilczycy, która warcząc zwróciła ku nim swój kosmaty łeb. Pietia podniósł sękatą gałąź, po czym zasłonił sobą Anastazję. Zaciśnął zęby i wznosił kij. Wilczyca zbliżała się powoli, najeżona, na sztywnych nogach. Oczy lśniły jej bursztynowym blaskiem.

- Nie trzeba, Pietia! - odezwał się ktoś z przyganą w głosie. Chłopcu zapało dech w piersi. Stał przed nim Jander, z nieznacznym uśmiechem na twarzy.

- Sfory jest mi posłuszna.

Odwrócił się do zwierzęcia. Spokojnie, siostrze, uspokój się... Najwyraźniej z tego niezadowolona samica usiadła, nie przestając jednak powarkivać, z uszami nadal przylegającym do głowy.

Jander rozejrzał się dookoła, nawiązując wzrokowy kontakt z resztą sfory i bez słów wydając zwierzętom polecenie, których niechętnie usłuchały. Dziękuję wam, bracia. Możecie już odejść. Jak na komendę wilki zerwały się na nogi i pomknęły w mrok, potrząsając głowami, żeby pozbyć się z delikatnych nozdrzy wstrętnej ludzkiej woni. W kilka sekund nie było po nich śladu.

Pietia i Anastazja wpatrywali się w elfa. Nagle dziewczyna zaczęła cicho płakać, dając ujście nagromadzonemu przez cały wieczór napięciu. Cygański chłopak objął ją opiekuńczo, ale nie spuszczał oczu z Jandera.

- Czym jesteś? - zapytał głosem, w którym nie słychać było strachu, jaki wyczuwał Jander.

Elf uniósł brwi, udając urażonego.

- Jestem tylko podróżnym z innego kraju. Uratowałem ci dzisiaj życie, Pietia. Cóż więcej musi uczynić obcy, by zaskarbić sobie twoje zaufanie? Mówiłeś, że wiesz jak to jest być tutaj obcym. Zapomniałeś?

Chłopiec zarumienił się.

- Nigdy dotąd nie widziałem kogoś takiego, jak ty. Wybacz, jeśli wciąż ci nie ufam. Ale - przyznał - jesteśmy twoimi dłużnikami. Jak możemy ci się odwdziaczyć?

Zabierając się stąd zanim reszta wieśniaków zacznie coś podejrzewać. Anastazjo - dodał łagodnie - lepiej będzie, jak pożegnasz się z Pietią. On już nie odwiedzi wioski, wiedząc jakiego przyjęcia może oczekiwać.

Anastazja, której udało się powstrzymać łzy, posłała ukochanemu pełne udręki spojrzenie.

- Nasz wybawca - rzekł Pietia, nadal podejrzliwie zerkając na Jandera - ma rację, kochanie. To pożegnanie. Sądzę, że moi ludzie wyruszą w drogę szybciej, niż planowaliśmy.

Uśmiechnął się niewesoło.

- Mój papa wleje mi jeszcze zanim nadejdzie ranek, za pieniądze, które w ten sposób przepadną.

Z nieudawanym uczuciem wziął dziewczynę w ramiona, po raz ostatni uściśnął i przytulił szlochającą do piersi. Pocałował ją delikatnie w czoło. Wreszcie Anastazja odsunęła się od niego i przesunęła dłonią po mokrej od łez twarzy. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Dobry panie, nie znając twojego imienia nie mogę ci stosownie podziękować - jej głos lekko drżał.

Jander rozejrzał się po placu, obawiając się, że mieszkańcy wioski zaczną wylazić ze swoich nor. Wszystko wskazywało na to, że jego drobna sztuczka podziałała niezwykle skutecznie; wszystkie okna i drzwi wciąż były solidnie zamknięte.

- Jestem Jander Sunstar.

- W takim razie - Janderze Sunstar, ślubuję ci przyjaźń. Nigdy nie zapomnę tego, co uczyniłeś dla nas dzisiejszej nocy.

Niewiele brakowało, by łzy okazały się silniejsze. Anastazja zagryzła dolną wargę i nie chcąc ponownie się rozkleić pobiegła w kierunku domu ojca. Pietia śledził ją spojrzeniem czarnych, niezwykle smutnych oczu.

- Prawdziwa miłość? - Jander nie chciał, by w jego głosie zabrzmiało tyle sarkazmu, ale słowa same tak zabrzmiały.

Pietia jednak, nieświadom kpiny, potrząsnął tylko głową.

- Nie, ale lubię tę dziewczynę i nie chciałbym, żeby cierpiała. Ma w sobie ducha a to rzadkość w tej wiosce. - Odwrócił się do Jandera, opierając dłonie na biodrach. Jak na tak niepozorną figurę, był bardzo pewny siebie. Twarz miał posiniaczoną i zakrwawioną, ale nie zwracał uwagi na ból.

- Zawdzięczam ci życie. Vistani traktują takie zobowiązania bardzo poważnie. Janderze Sunstar, czymkolwiek jesteś, dziś w nocy okazałeś mi przyjaźń - przerwał i oblizał wargi. - Zapraszam cię, byś poszedł ze mną do naszego obozowiska, gdzie będziemy mogli podjąć cię z szacunkiem, na jaki zasługujesz. - Skłonił się głęboko.

Jander uśmiechnął się w duchu. Jego plan zdobycia zaufania chłopca zadziałał.

- Pietia z rodu Vistanich, będzie dla mnie zaszczytem odwiedzić wasz obóz.

Chłopca ucieszyła dworna odpowiedź.

- Chodźmy więc - uśmiechnął się. - Tędy - dodał, kierując się drogą na zachód. Jander ruszył za nim.

Światła wioski bladły, aż Vistianego i wampira otuliła noc. Większość domostw znajdowała się w granicach miasteczka, ale idąc bitą drogą Jander dostrzegł kilka samotnych gospodarstw. Małe stadko owiec wyglądało jak widma, odcinając się od ciemnej zieleni trawy.

- Opowiedz mi o sobie, Janderze Sunstar. Wydaje mi się, że nie jesteś stąd.

Jander popatrzył na swego towarzysza.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wszyscy, którzy tu mieszkają, wyglądają tak samo, jak ci z wioski.

- Twoi ludzie też tu mieszkają a ty się różnisz od mieszkańców Barovii - zwrócił uwagę Jander.

- Jesteśmy podróżnikami.

- Cóż, ja też.

Pietia uśmiechnął się, błyskając białymi zębami w świetle księżyca.

- Może i tak. Jak nazywa się twoja rasa?

- Jestem elfem - odparł Jander. Odpowiedź wywołała nieoczekiwany zachwyt chłopca.

- Jakże się cieszę, że cię spotkałem! Nigdy nie widziałem elfa. Chociaż słyszałem różne opowieści - dodał z odrobiną zarozumiałości. Jander nie mógł powstrzymać uśmiechu. Dałby wiele, żeby się dokładnie dowiedzieć, jakie historie słyszał chłopak. - W takim razie mgły musiały cię sprowadzić.

Wampir był zaskoczony; doskonale pamiętał gęstą mgłę, która go otoczyła, ale nie sądził, że może być odpowiedzialna za jego przybycie do Barovii.

- Często się to zdarza?

- Nie, ale już tak bywało. My też podróżujemy przez mgły. Moje plemię jest tu dopiero od niedawna.

Zatrzymał się i wyciągnął rękę. Przed nimi przetaczały się kłęby tajemniczej mgły, przez którą Jander przeszedł przybywając do wioski. Tworzyła szarą, gęstą barierę, ruchomą i pulsującą, jakby obdarzoną własnym, wrogim życiem. Jander nie uważał przejścia przez nią parę godzin temu za szczególnie miłe, ale nie uczyniła mu żadnej krzywdy.

Pietia zagłębił śniadą dłoń w jednej z przepastnych kieszeni czerwonych spodni i wyjął stamtąd dwie fiołki purpurowej cieczy.

- Dobrze, że wsadziłem je tutaj, a nie do worka, co? - Rzucił Janderowi jedną z buteleczek, otworzył swoją z cichym „plop” i wysączył zawartość. Elf obejrzał fiołkę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Na pewno nie mógł tego wypić.

- Dalej, chodź! - popędzał Pietia. - Ta mikstura pozwoli ci bezpiecznie przejść przez mgłę.

- Czy ona jest niebezpieczna?

Pietia spojrział na niego i wzruszył ramionami.

- Mgły cię przyniosły, to nie wiesz. To zabójczy, trujący opar. A to - uniósł swoją pustą fiołkę - uodporni cię na jego działanie.

Jander zawahał się, po czym udał, że wypija płyn, wypluwając go, gdy tylko zanurzyli się we mgle i Pietia nie mógł tego zobaczyć. Opary nie zaszkodzą mu, skoro nie oddycha. Trucizna nie była groźna dla kogoś, kto był już martwy. Mgła przyjęła ich, objęła wilgotnymi ramionami, owijając pasemkami twarze i przesuwając się wzdłuż ich pleców. Gdyby nie infrawizja, Jander w kilka minut straciłby Pietię z oczu. Skoncentrował się na czerwonym odbłasku ciepła ciała chłopca przed nim i po kilku minutach mgła zaczęła rzednąć, by zaraz rozwiać się zupełnie.

- Tb... niesamowite - rzekł wampir.

- Wiele jest niesamowitych rzeczy w Barovii - odparł poważnie Vistani.

- Tak, opowiedz mi o Barovii. Ja... - Jander przerwał w pół zdania. Trująca mgła oddzieliła ich całkowicie od otoczenia, tłumiąc nawet wszelkie dochodzące z zewnątrz dźwięki. Teraz do uszu elfa dobiegał odgłos przepływającej gdzieś niedaleko wody. Spojrzął przed siebie i dostrzegł, że ścieżka prowadzi do niedużego mostka, przerzuconego nad bystrą rzeczką o ciemnych wodach szerokości jakichś pięćdziesięciu stóp. Dróżka po przeciwnej stronie zniknęła w lesie. Jander zachwiał się, ale jego umysł pracował gorączkowo. Jako wampir nie mógł przekroczyć bieżącej wody. Pietia nadal wierzył, że jest żywą istotą - elfem, czyli obcym, ale żywym. Muzyka płynącej wody brzmiała jak szyderczy śmiech.

- Coś nie tak? Podeszli bliżej.

- Muszę... muszę ci coś wyznać. Kiedy byłem młody, zdarzyło mi się prawie utonąć w rzece i od tej pory śmiertelnie się boję wody. Nie ma innej drogi do twojego obozu?

Pietia nie wyglądał na przekonanego.

- Most jest bezpieczny; patrz - wbiegł do połowy drewnianego mostka i zbiegł z powrotem, jak żrebak. - Przeprowadzę cię bezpiecznie na drugą stronę.

Na jego wargach pojawił się chytry uśmiezek.

- Chciałeś, żebym ci zaufał i wyruszyłem z nieznajomym w panującą w Barovii noc! Teraz czas, żebyś ty mi zaufał.

Elf spojrział w dół na wodne wiry, zwracając baczną uwagę, by Pietia nie zauważył, że nie widać jego odbicia. Pod mostem kłębiła się woda, nieświadoma dylematu, przed jakim go stawiała. Nawet, gdyby mógł przemienić się w wilka, rzeczka była zbyt szeroka, by ją przeskoczyć. Nie, nie da rady tędy przejść. Kiedyś, kilkaset lat temu, spróbował przejść przez rzekę, ale tylko zgiął się w pół z nieznośnego bólu. Teraz znów musiał podjąć próbę, chociażby po to, żeby przekonać Pietię, że jego fobia była kalectwem.

Wolno wyciągnął rękę, chwycił dłoń, którą podał mu chłopak, i pozwolił objąć się w pasie licząc na dodatkowe oparcie. Razem spróbowali wejść na mostek. Jander jęknął z bólu i natychmiast cofnął się na brzeg. Nie mógł tego zrobić. Zanim się zorientował, co się dzieje, Pietia wziął go na plecy.

- Pietia...

- Dług to dług, giorgio!

Drobny młodzieniec był zadziwiająco silny. Szybko, pewnym krokiem przeszedł przez most, z łatwością niosąc Jandera. Elf spojrział w dół i dostrzegł srebrzysty odbłask księżyca na wodzie.

Pietia dotarł na brzeg i Jander zsunął się na ziemię.

- To miło z twojej strony - rzekł do chłopca. Pietia wzruszył ramionami na ten komplement.

- Dobrze, że na mnie trafiłeś - powiedział, kiedy ruszyli dalej. Las zgęstniał wokół nich; Jander zauważył, że Pietia porusza się niemal równie cicho, jak on sam.

- Już dawno byś przeraził mieszkańców wioski. Jesteś czarownikiem, jak sądzę?

Jander skrzywił się w duchu, ale było to wygodne wytłumaczenie jego kontroli nad wilczą sforą.

- Można tak powiedzieć.

- Znam się na tych rzeczach. Ci wieśniacy są zbyt przerażeni. Takim rodzajem magii, jak ty, najczęściej posługują się akara.

Słowo było dla Jandera obce, toteż unióśł brwi w zaciekawieniu.

- Akara? - powtórzył.

- Nosferatu - wyjaśnił Pietia. - Wampiry. Nieumarłe istoty, odżywiające się krwią żywych. - Wykonał szybki gest ochronny w okolicy serca. Ruch, chociaż równie obcy jak słowo, którego użył chłopiec, sprawił, że Jander instynktownie skrzywił się. Na szczęście Pietia nic nie zauważył.

- Rozumiem - odparł elf. - Masz rację, rzeczywiście mam szczęście, że się spotkaliśmy. Opowiedz mi coś więcej o tym świecie. Czy Barovia to nazwa tego miasteczka?

- Tak, ale i całej krainy. - Przeszli pod zwisającymi gałęziami przygarbionych jabłoni, których śliczne kwiecie wyraźnie nie pasowało do powykrzywianych kształtów konarów. Pietia zatrzymał się na chwilę, podskoczył i chwycił obsypaną kwiatami gałąź. W nocnej ciszy rozległ się głośny trzask, Pietia szarpnął i gałąź została mu w ręce, obsypując go deszczem płatków. Głęboko zaciągnął się ich aromatem i uśmiechnął się.

- To dla mojej siostry - wyjaśnił. - Kwiaty łagodzą ich złość, nie? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, mrugając porozumiewawczo do Jandera.

- Masz swoją panią, Jander? Potrafią być wspaniałymi towarzyszkami, ale czasem za dużo mówią.

Jander niecierpliwił się. Chłopiec bawił go, to prawda, już od tak dawna nie czuł się rozbawiony. Ale uratował go od stryczka nie dla rozrywki, lecz dla informacji.

- W karczmie parokrotnie słyszałem imię „Strahd” i wzmianki o miejscu zwanym zamkiem Ravenloft.

Na żywej twarzy Cygana odmalowała się prawdziwa powaga, a Jander wyczuł też strach.

- Nie mówmy o takich rzeczach po ciemku - odrzekł szybko. - Możemy wrócić do tego jutro.

- Teraz, w nocy - nalegał Jander.

Coś w tonie głosu elfa kazało Pietii spojrzeć na niego uważnie.

- Dobrze więc - odparł powoli. - Chociaż o takich mrocznych sprawach lepiej w ogóle nie mówić. Hrabia Strahd von Zarovich jest władcą tej krainy. Mieszka w zamku Ravenloft. Kiedyś był potężnym wojownikiem, ale teraz podobno zajmuje się magią.

Magia. Czy już nigdy nie zdoła się od niej uwolnić? Jander walczył z pokusą pogardliwego splunięcia. To naprawdę pech, że pan tego ponurego miejsca jest magiem.

- Myślisz, że to prawda z tą magią?

- Na pewno. Rządzi tu znacznie dłużej, niż mógłby jakikolwiek śmiertelnik.

- To znaczy jak długo? Pietia wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie pochodzimy z Barovii i nie znamy tak dobrze jej historii.

Jander przez chwilę rozglądał się dookoła.

- Mgła jest mu posłuszna, prawda?

- Ta, która otacza wioskę - owszem; kontroluje ją. Ale mgły, które cię tu sprowadziły, nie słuchają nikogo.

- Kim jest Ola?

Petia spojrział na niego z podejrzliwym błyskiem w oku.

- To dziewczyna, która nie żyje, jak już najwyraźniej słyszałeś. Nie może cię to interesować.

Ostry świergot zwrócił uwagę Jandera. Spojrział w górę i ujrzał małego, białoszarego ptaszka, który wyrwany ze snu przez chwilę mierzył go spojrzeniem, zanim ponownie ułożył się na spoczynek.

- Zapamiętaj tego ptaka, Jander. To vista chiri. Kiedy takiego ujrzysz, wiesz, że Vistani są w pobliżu. Nasi mali przyjaciele... zawsze podążają za nami. Mówi się, że to duchy naszych przodków, które mają nas pilnować. Chodź, zejdziemy ze ścieżki. Znam drogę na skróty.

Petia skręcił w las, a elf podążył za nim. Zrobiło się dość ciemno, gdyż tworzące sklepienie gęste konary drzew odcinały większość księżycowego światła. Ogromne korzenie przecinały ziemię we wszystkich kierunkach, ale Pietia pewnie poruszał się po zdradzieckim podłożu.

- Wieśniacy chyba boją się nocy - ciągnął Jander - a ty idziesz sobie jak jakiś bohater, Pietia. W tym królestwie są wilki. Nie boisz się?

- Jander, ty umiesz rozmawiać z wilkami, a żaden szanujący się bandyta nie zaatakowałby jednego z Vistani - uśmiechnął się przez ramię. - Wszyscy Vistani umieją rzucać uroki, no nie? Jeśli chodzi o mniej poważne zagrożenia, to moce tej krainy nie mają na mnie wpływu. To dlatego Strahd... - przerwał i szeptem zaklął. - Robię się przy tobie gadatliwy, elfie, a to niekoniecznie musi oznaczać coś dobrego. Dość już powiedziałem, może nawet zbyt wiele. Teraz ty powiedz mi coś o swoim kraju.

- Urodziłem się w miejscu zwanym Evermeet, gdzie mieszkają tylko moi rodacy. Nie jestem w stanie opisać, jak piękny to kraj. Grałem na flecie, śpiewałem, latem tańczyliśmy w zagajnikach. Od tamtego czasu nigdy nie widziałem czegoś podobnego - głos Jandera zabrzmiał twardo. - A wierz mi, Pietia, widziałem wiele.

Petia obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Wierzę ci, elfie - odparł łagodnie, poważnie. - Może tej nocy znajdziesz coś, co ukoi twoją duszę.

Jander wraz ze swym niezwykłym sprzymierzeńcem przedzierali się przez pogrążone w ciemności lasy Barovii. Elf opowiadał o Evermeet, a Pietia słuchał w milczeniu i z szacunkiem, może pod wpływem głębokiej, smutnej nuty w muzycznym głosie towarzysza. Przez dłuższy czas mieli rękę po prawej ręce, choć czasami szum wody słabł, kiedy zagłębiali się w las. Wreszcie doszło do nich rzenie koni, poszczekiwanie psów i gwar ludzkich głosów.


Wynurzyli się z cienia drzew i Jander w oddali dostrzegł blask ognia. Doskonały elfi wzrok, dodatkowo wzmocniony dzięki wampirzej naturze, pozwolił mu rozróżnić kilkadziesiąt jaskrawo pomalowanych wozów, wesoło udekorowanych fantastycznymi rzeźbami. Konie, kozy i kury, stanowiące żywy inwentarz Vistanich kłębiły się na skraju obozowiska, wokół ognia zaś poruszały się niewyraźne sylwetki.

Tylko przez moment elf przyglądał się tej miłej scenie. Na północ od obozu strzelała do nieba skalna iglica. Niebo było czarne, poznaczone drobnymi, zimnymi punkcikami światła, ale widoczny na jego tle kształt zdawał się jeszcze czarniejszy. Ostrogę wieńczyło posępne zamczysko, w którym Jander rozpoznał budowlę widzianą z drogi, kiedy zmierzał do Barovii. Wtedy go zaciekała; teraz wiedział, co to jest.

Pietia podążył za jego wzrokiem.

- Tak - rzekł cicho. - To zamek Ravenloft. Tam mieszka hrabia Strahd.

## PIĘĆ

 Maruszka nie lubiła dzieci. Kiedy Lara poprosiła ją o zaopiekowanie się synkiem, żeby móc zatańczyć, młoda kobieta nie mogła grzecznie odmówić. Teraz Maruszka siedziała na prostym, drewnianym stołku, trzymając nieszczęśliwego dzieciaka, nasrożona niczym burza z piorunami, podczas gdy Lara z wdziękiem tańczyła z mężem. Migotliwe światło ogniska wystarczało, żeby dostrzegła, że chłopczyk właśnie wypluł cały barszcz, jaki zdołała wlać mu do gardła. Jednak kiedy niespokojny bachor spróbował włożyć sobie do buzi jej czarną wstążkę, stwierdziła, że przyjaźń nie sięga aż tak daleko.

Z błyskiem ciemnych oczu wstała i mijając tańczące pary podeszła do Lary. Wepchnęła jej dziecko w ramiona.

- Weź go - rzuciła krótko w języku Vistanich. - Nie będzie dziś na mnie więcej pluć.

Lara z mężem wybuchnęli śmiechem, przytulając dzieciaka.

- Ech, bogowie uczyniliby błąd obdarzając kogoś takie go dzieckiem - zachichotała Lara patrząc z pożałowaniem na odchodzącą Maruszkę.

- Taa - zgodził się mąż, podnosząc syna i całując go w policzek. - Lepiej niech idzie w ślady babki.

Dziecko pogaworzyło chwilę i prędko zasnęło w ojcowskich objęciach.

Złość poniosła Maruszkę aż do krawędzi obozowiska, gdzie ledwie sięgał blask ognia. Odgarnęła z twarzy grube pasmo połyskliwych, czarnych włosów. Spojrzała najpierw na ścieżkę przed sobą, potem podniosła wzrok ku gwiazdom. Minęły cztery godziny, odkąd jej młodszy brat Pietia, jak zwykle zuchwały i zadziorny, opuścił obóz. Cztery godziny to dla niego wystarczająco dużo czasu, by wplątać się w poważne kłopoty.

Maruszka przeczuwała, że stało się coś niedobrego. Miała zwyczaj wierzyć w to, co mówił jej wewnętrzny zmysł, jako że zwykle jej przeczucia się sprawdzały. Wielu Vistanich było obdarzonych częściowym widzeniem: Lara potrafiła czytać z kart, Keva czasem słyszała głosy, które dokładnie przepowiadały przyszłość. Maruszka była jedyną ze swojego pokolenia, której widzenie udzieliło się w pełni, je dyną żyjącą z tym błogosławieństwem lub przekleństwem.

Potrafiła wróżyć z każdej szklistej powierzchni - z dzbanka wody, kryształowej kuli, lusterka; karty zawsze ujawniały jej przyszłość pytającego, podobnie jak fusy z herbaty. Umiała również czytać z dłoni i twarzy, a czasami doświadczała nieoczekiwanych olśnień, odkrywających przed nią tajemnice. Ze względu na tę moc cieszyła się poważaniem szczepu, ale zdarzało się, że wysoka, zgrabna dwudziestolatka marzyła, by być zwyczajną Vistani. Na razie widzenie podpowiadało jej, że Pietia ma kłopoty.

- Niedługo wróci, dziecko, nie trap się - usłyszała dochodzący z boku oschły głos. Podskoczyła, ale zaraz uśmiechnęła się i skłoniła przed madame Eva. Starsza kobieta miała niepokojący zwyczaj pojawiać się niespodziewanie. Lepiej było nie rozmawiać za jej plecami, a byli i tacy, którzy mówili, że lepiej nawet nie myśleć za jej plecami. Maruszka zgadzała się z nimi.

Nikt dokładnie nie wiedział, ile lat ma madame Eva; ona sama nigdy o tym nie mówiła. Nadal trzymała się prosto, choć jej ciało wyglądało delikatnie i krucho, a twarz miała pobrużdżoną jak barovianskie śliwki zbyt długo trzymane na słońcu. Długie, siwe włosy nosiła rozpuszczone, spływały w dół jej pleców na podobieństwo smugi księżycowego światła. Oczy miała jasne i bystre, a widzenie nie opuściło jej do tej pory. Mimo iż straciła większość zębów i jej główne pożywienie stanowiła owsianka, pozostała najpotężniejszą osobą w szczepie. Nikt nie odważył się jej narazić. Maruszka doskonaliła swoje talenty wróżbiarskie pod jej surowym okiem nauczycielki i zdawała sobie sprawę, że zostanie Prorokinią, kiedy stara Cyganka straci dar widzenia.

Niepokój Maruszki zelżał nieco - wiedziała, że jeśli Eva mówi, że Pietia bezpiecznie wróci do domu, chłopcu nic złego się nie stanie.

Prawda to, że bogowie Pietii sprzyjają. W połowie z miast, które odwiedziliśmy, ludzie zasadziliby jego głowę na palu, gdyby tylko mogli - rzekła do Evy. Starowinka zaśmiała się chrapliwie. - Ale nie potrafię przestać się martwić - dodała dziewczyna. - On zwabia kłopoty równie skutecznie, jak dziewczyny. Tak głupio ryzykuje.

Niektórzy mogliby to samo powiedzieć o mnie, dziecino - przypomniała jej Eva. - Przypominam sobie dziewczynkę, która była przekonana, że nie opuścę żywa zamku Ravenloft.

Teraz Maruszka parsknęła śmiechem.

- Ależ babciu, Strahd jest wcielonym diabłem.

- Może tak, może nie, ale dla Ludu jest dobry. Lepiej, żebyś o tym pamiętała, gdyby zdarzyło się, że zawahasz się, komu być wierną. Tb, że w tej krainie możemy spokojnie spocząć w łóżu, zawdzięczamy wielkoduszności Strahda.

Maruszka poczuła ogarniającą ją nagłą falę miłości do starej, dumnej kobiety i przytuliła babkę do siebie.

- I mądrości mojej babci! Eva uśmiechnęła się bezzębnyimi ustami.

- To też - zgodziła się, ale nagle zmarszczyła brwi.

- Pietia idzie - rzekła. - I ktoś jeszcze.

- Przeprowadził następną dziewczynę - prychnęła Maruszka spoglądając na ścieżkę. Z pewnością do obozu zbliżały się dwie osoby, ale towarzyszem Pietii nie była jakaś młoda piękność. Cyganka nigdy dotąd nie widziała istoty przypominającej tego obcego.

Usłyszała, jak zaskoczona Eva gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jeden z Ludzi - szepnęła, ale Maruszka nie zrozumiała, dlaczego użyła tego słowa. Zanim jednak zdążyła zapytać, Pietia już pędził w ich stronę najszybciej, jak tylko mógł. Siostrze zapało dech w piersi, gdy ujrzęła jego posiniaczoną twarz. Chłopak zahamował gwałtownie, rozpoznając Evę.

- Witaj, babciu - przywitał się grzecznie, z głębokim ukłonem. Eva nawet nie spojrzała na niego, nie spuszczać przenikliwego spojrzenia ze stojącego trochę dalej przybysza.

- Dlaczego elf nie podszedł razem z tobą? - spytała ostro.

- Pietia, co ci się stało? - wykrzyknęła Maruszka. Chłopak zignorował je obie.

- Zaraz. Babciu, pamiętasz, jak kazałaś mi mieć oko na Olę Iwanownę? Dziś w nocy umarła w gorączce.

Błyszczące oczy Evy zwięzły się, gdy zwróciła wzrok ku wnukowi.

- Jesteś pewien?

- Jej ojciec i brat byli w gospodzie. Stary Iwan prawie zwariował z bólu.

Nagle twarz kobiety wydała się zmęczona. Pietia zauważył nagłą zmianę w jej wyglądzie.

- Tb dobrze, że ci powiedziałem? - spytał zmartwiony. Eva skinęła głową: - Tak, dziecko. Trudno nazwać to dobrą nowiną, ale warto o tym wiedzieć. Ale - wzięła się w garść - odpowiedz mi na moje pytanie o giorgio.

- Mówi, że u jego rodaków niegrzecznie jest podchodzić bez zaproszenia.

- Nigdy nie słyszałam o takim zwyczaju Tël'Quessirów - odparła Eva. - W każdym razie to giorgio i nie jest tu mile widziany.

- Babciu, proszę, on mi dziś uratował życie! - bronił go Pietia.

- Pietia, coś ty zrobił? - zapytała Maruszka, marszcząc brwi.

Szybko, z zakłopotaniem, Pietia zrelacjonował im wypadki tej nocy. Kiedy opisywał, jaką mocą włada Jander, Eva uniosła brwi, a w kąciiku ust zatańczył jej nikły uśmiezek.

- Dobrze więc - odezwała się niespodziewanie. - Może się zbliżyć.

Petia uśmiechnął się mimo opuchlizny na twarzy i wrócił po swego towarzysza.

- Chyba znasz rasę tego giorgio - rzekła Maruszka.

- To jeden ze złotych elfów, zwanych też słonecznymi; jego świat nazywa się Torii. Elfi ród należy traktować z szacunkiem i honorem. Zastanawiam się tylko, co on tu robi. W każdym razie Pietia ma rację. Uratował jednego z nas, więc przyjmujemy go - ale tylko dzisiejszej nocy.

Owinęła chude ramiona jaskrawym szalem.

- Późno już. Dobranoc, dziecino.

- Nie chcesz przywitać tego przybysza?

Eva potrząsnęła siwą głową.

- Nie. Muszę złożyć w łóżku stare kości. Powiedz mu o jaskini koło wodospadu - dodała.

Maruszka kiwnęła głową, chociaż była kompletnie zdezorientowana. Ponownie skierowała uwagę na dziwnego znajomego Pietii, który zbliżał się do niej, cicho i miękko niczym kot.

Był średniego wzrostu, bardzo szczupły, o wyrazistych, ale delikatnych rysach i niezwykłych, srebrzystych, natarczywie patrzących oczach. Barwy jego ciała zafascynowały dziewczynę, która zdała sobie sprawę, że wpatruje się w obcego. Nic nie mogła na to poradzić - giorgio był najpiękniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziała.

- Janderze Sunstar, to moja siostra Maruszka - rzekł Pietia. Jander uklonił się grzecznie.

- Pani, to dla mnie zaszczyt.

Maruszka zarumieniła się, co rzadko się jej zdarzało. Ta obca istota całkowicie skupiła swą uwagę na niej, sprawiając, że czuła się, jakby była środkiem wszechświata. Niewiele miała dotąd do czynienia z innymi giorgio, a przywykła do okazywanej przez Vistanich mieszaniny szorstkiego afektu i ledwo uchwytne szacunku. Maniery elfa były czymś nowym i przypadły jej do gustu.

Od strony ogniska dobiegł okrzyk, brutalnie przerywając zadumę. Zanim się obejrzała, za jej plecami zgromadził się spory tłum.

- Kim jest ten giorgio? - zapytał jej ojciec językiem Vistanich.

- Elfem, papo. Dziś w nocy wyratował Pietię od stryczka. Babcia powiedziała, że mamy go ugościć.

Rozległy się oburzone pomrukiwania, ale słów Ewy zawsze słuchano i tłum rozstał się niechętnie, przepuszczając Jandera.

Wampir zastanawiał się, jak zostanie przyjęty. Zauważył, że śniade oblicza Vistanich są pełne rezerwy, ale nie wrogie, jak u mieszkańców Barowi. Pietia mówił coś do nich gwałtownie po vistańsku, Jander zaś obserwował, jak na twarzach pojawia się najpierw zaskoczenie, potem zadowolenie. Wyciągnęły się do niego ręce, a podejrzliwe spojrzenia zamieniły w przyjazne uśmiechy. Elf ostrożnie uśmiechnął się w odpowiedzi i wśród ożywionego gwaru i wybuchów śmiechu ramiona Vistanich porwały go ku honorowemu miejscu przy ognisku.

Jander znalazł się w centrum uwagi. Wokół jego nóg zebrała się gromada dzieciaków, które, bez śladu zawstydzenia, chwyciły go za szary płaszcz, zanurzały małe, brudne ręce w powodzi złotych włosów i pociągały za szpiczaste uszy. Jander instynktownie cofnął się przed tą niespodziewaną napaścią, odpychając na bok chłopców i dziewczynki.

Maruszka upomniała dzieci, które rozbiegły się i tylko kilkoro najbardziej nieustraszonych podkradło się kawałek, by przyglądać się złocistemu giorgio.

- Nie chciałem ich wystraszyć - tłumaczył się elf. - Przez ostatnie lata niewiele przebywałem wśród ludzi, zwłaszcza dzieci.

Maruszka przysiadła obok niego na drewnianej ławce i wrzuciła ramionami. Bluzka zsunęła się jej z jednego ramienia.

- Dla mnie to też prawdziwa plaga - przyznała, śmiejąc się cicho. - Już wolę zwierzęta, przynajmniej dają się tresować.

Usłyszawszy chrząknięcie Jander podniósł głowę i napotkał wzrok starszego człowieka. Po mężczyźnie znać było, że czuje się nieswojo.

- Panie, dziękuję ci za uratowanie życia mojemu synowi - rzekł sztywno - choć tylko bogowie wiedzą, jak bardzo sam mam czasem ochotę go zatłuc.

Uklonił się i podszedł do miejsca, gdzie Pietia zabawiał grupę słuchaczy relacjonując swoją ucieczkę.

Janderowi zrobiło się przykro, gdy ojciec jedną ręką złapał chłopca za ucho, drugą odpinając szeroki, skórzany pas. Pietia wrzasnął, wyrwał się z uchwytu i popędził w kierunku lasu. Ojciec jednak był szybszy i po chwili rozgorzał zaciekły spór. Najwyraźniej Pietia miał rację, mówiąc o czekającej go karze.

- Czy ojciec naprawdę zamierza spuścić mu lanie?

- Patrz - odparła z konspiracyjnym uśmiechem. Ojciec i syn kłócili się nadal, gestykulując z rosnącym ożywieniem. W pewnym momencie mężczyzna chwycił chłopca i przytulił go mocno, a Pietia odpowiedział uściskiem. Kiedy odstąpili od siebie i ojciec zaczął oglądać siniaki chłopca, w oczach obydwu lśniły łzy.

- Bić nasze dzieci? - uśmiechnęła się znów Maruszka.

- Jander, dla naszych ludzi dzieci są najcenniejszą rzeczą na świecie. No, dla mnie może mniej - przyznała, wybuchając śmiechem. - Widzisz, nas jest tak mało. A Pietia i tak lada dzień będzie dorosły - westchnęła.

- Lepiej, żeby ten dzień nie nadszedł zbyt prędko - miękko rzekł Jander. Przez siedem stuleci widział aż nazbyt wiele kwiatów, które zdążyły rozkwitnąć i zwiędnąć. Posmutniał na myśl o postarzałym, zmęczonym urwisie.

Maruszka dostrzegła tę zmianę i przez chwilę bacznie mu się przyglądała, po czym odezwała się ponuro: - Chcesz, żebym ci powróżyła?

Jander jeszcze bardziej spoważniał.

- Sam sobie potrafię powróżyć - odrzekł ostro. - Dla mnie nie ma niespodzianek, a nie sprawiłoby mi przyjemności, gdybyś zmyśliła mi fałszywą przyszłość.

Gdyby nie oczywiste przygnębienie elfa, Maruszka poczułaby się ogromnie urażona lekceważeniem jej talentu.

- Jestem prawdziwą Prorokinią - oświadczyła z dumą - i być może mogłabym udzielić ci odpowiedzi, których szukasz.

Odwrócił się w jej stronę z badawczym spojrzeniem srebrnych oczu.

- Może potrafiłabym powiedzieć ci, co cię tu sprowadza, słoneczny elfie z Torii.

- Skąd wiesz? - oczy Jandera zwięzły się na podobieństwo kocich źrenic.

- Moja babka wie. Madame Eva, która jest Prorokinią i przewodzi naszemu szczepowi, odwiedziła kiedyś twój kraj. To dzięki niej zostałeś tu mile przyjęty; powiedziała mi również, że mam ci przekazać, iż niedaleko stąd znajduje się jaskinia. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego mógłbyś chcieć o tym wiedzieć.

Jander poczuł zakłopotanie. Czy to możliwe, żeby ta madame Eva wiedziała, że jest wampirem? W przeciwnym wypadku po co

potrzebna by mu była jaskinia? Może po prostu jako schronienie, jak i dla śmiertelnika. Ale i tak zaciekało go, że wiedziała o Torii.

- Mógłbym się z nią zobaczyć? Jeśli była w mojej ojczyźnie, moglibyśmy miło pogawędzić.

- Poszła spać. Jest bardzo stara i łatwo się męczy. Odeła kpiąco wargi. - Dlaczego miałbyś spędzać czas z jakąś starą kobietą, kiedy masz mnie do towarzystwa? Dalej, Janderze Sunstar, pozwól, żebym ci powróżyła. Zwykle sporo sobie liczę za taką usługę, ale to będzie prezent w podziękę za życie mojego brata. Chyba nie obrazisz mnie odmawiając? - spytała z udaną nieśmiałością, drażniąc się z nim.

Spojrzała na niego przez zasłone rzes. W Janderze obudziło to tęsknotę za subtelną sztuką flirtu - tego też brakowało mu już od wieków, nieszkodliwej kokieterii i miłego przekomarzania się osób dwojga płci. Wszystko to minęło, jak prawie cała przeszłość...

- Dobrze więc, zgadzam się.

- Chodź do naszego wozu; mam tam karty. Jander musiał się uśmiechnąć.

- Czy to bezpiecznie zapraszać obcego do domu, gdy jesteś sama?

Roześmiała się, odrzucając do tyłu falę czarnych włosów i błyskając białymi, równymi zębami.

- Ej, giorgio, my, Vistani, umiemy o sobie zadbać! - klepnęła dłonią szeroki, czarny pasek ze skóry, opasujący jej wąską talię i Jander dostrzegł zatknięty zań nieduży, ale praktyczny sztylcik. Nadal uśmiechając się machnęła zapraszająco ręką w kierunku wozów zajmowanych przez jej rodzinę.

Jak przystało na rodzinę Madame Evy, ich vardo wyróżniały się zdobieniami. To, do którego prowadziła go Maruszka, było śliczne, choć niewielkie. W słabym poblasku ognia kolory zacierały się, ale na ścianie dało się dostrzec leśny obrazek, przedstawiający jelenie i zające. Z tyłu wozu stał uwiązany łańcuchem kucyk, spokojnie przysypiając.

Kiedy Jander z Maruszką podeszli bliżej, zwierzę ocknęło się i nastawiło czujnie uszy. Nozdrza rozszerzyły się, chwytając woń nieumarłego i kuc zaczął rzeć opętańczo, szarpać rzemień i wierzgać. Dziewczyna podeszła do niego, próbując go uspokoić, ale zwierzę oszalało z przerażenia.

Jander skupił się, po czym posłał zdenerwowanemu konikowi milczące polecenie, nakazując mu, by się uspokoił. Cśśś... spokojnie, przyjacielu... Srokacz usłuchał go, choć wciąż przewracał szeroko otwartymi oczami, a jego ciałem wstrząsały dreszcze. Maruszka zmarszczyła brwi i obejrzała się na elfa, poklepując zwierzę po szyi. Wampir uśmiechnął się, mając nadzieję, że jego uśmiech był pełen otuchy.

- Pietia mówił ci o wilkach. Pewnie kuc wyczuł na mnie ich zapach.

- Tak, pewnie o to chodzi - zgodziła się, cedząc słowa. Po kilku drewnianych schodkach podeszli do drzwi vardo. Maruszka otworzyła je i weszła do środka, by zapalić lampy. Jander czekał na zewnątrz, nie mogąc wejść, dopóki go nie zaprosi. Po paru chwilach Prorokini wystawiła głowę:

- Na co czekasz? Chodź!

Tak też zrobił, pochylając się w niskim wejściu. Vardo nie było zbyt obszerne, a mnóstwo przedmiotów, które zgromadziła tu Maruszka, sprawiło, że wewnątrz wydawało się jeszcze mniejsze. Na podłodze leżało pięć dużych, kolorowo wyszywanych poduszek, ułożonych wokół kryształowej kuli, spoczywającej na wymyślnie rzeźbionym, metalowym postumencie. Na drewnianych półkach dostrzegł mnóstwo kamieni, koralików, kości i innych atrybutów cygańskiej wróżki. W drugim końcu vardo stało łóżko Maruszki, nieduży, solidny siennik, przykryty wilczymi skórą i wełnianym kocem. Z haków w zakrzywionym suficie zwieszały się trzy lampy, zapewniając wystarczające oświetlenie.

Usiądź i poczekaj, aż znajdę karty - zapraszająco rzekła Maruszka. Jander siadał właśnie na jednej z zadziwiająco wygodnych poduszek, gdy nagle rozległo się głośnie krakanie. Kiedy zaskoczony elf zadarł głowę, dostrzegł wciśniętą w róg wozu sporą klatkę, a w niej ogromne, czarne ptaszysko, wpatrujące się w niego czujnymi, czarnymi oczyma. Zanim ptak zdążył odezwać się ponownie, Jander rzucił w myślach jeden ze swych cichych rozkazów i zwierzę zapadło w drzemkę.

- To Pika, co po naszymu znaczy „psota”. Od czasu do czasu wypuszczam go, a on przynosi do domu najdziwniejsze rzeczy. No, są - wygrzebała się spod łóżka z talią dużych kart w dłoni. Jander spojrzał na nią ponownie.

Pietia zrobił je dla mnie parę miesięcy temu, na urodziny - rzekła. - Myślę, że ci się spodobają.

Wręczyła talię elfowi.

- Potasuj.

- Ile razy?

- Aż uznasz, że dobrze je czujesz.

Jander przewrócił w myśli oczami i zaczął tasować karty długimi, smukłymi dłońmi. Tracił czas, ale może uda mu się dziewczynę namówić, żeby powiedziała coś o Strahdzie. Instynktownie wyczuwał, że Maruszka wie znacznie więcej o tej krainie i jej władcy, aniżeli beztroski Pietia. Podejrzewał również, że wyciągnięcie od niej odpowiedzi będzie trudniejsze.

Dziewczyna usiadła na poduszce naprzeciw wampira, miękkiem ruchem odsuwając na bok szklaną kulę. Nie spuszczała czarnych oczu z jego twarzy.

Nagle zrozumiał, co miała na myśli. „Czuł” karty, trochę tak, jakby przesyłały mu wiadomość Już wystarczy, odłóż nas. Był zaskoczony. Zawsze uważał Cyganów za sztukmistrzów i nabieraczy, pozbawionych lub prawie pozbawionych jakiegokolwiek rzeczywistej znajomości magii.



Widocznie jednak Vistani byli inni. Położył karty na stole.

- Rozłóż je - poleciła Maruszka. Jej głos brzmiał teraz inaczej, głębiej, dojrzej; wydawała się starsza. Jander zrobił, co chciała. - Teraz wybierz sześć kart.

Wzięła te, które jej podał, i starannie odłożyła na bok pozostałe. Odwróciła pierwszą z trzymanyh w dłoni - przedstawiała piękną spadającą gwiazdę we wszystkich kolorach tęczy, trzymaną przez równię uroczą kobietę. Jander ra zdumiało, że sprawiający wrażenie lekkoducha Pietia miał tak subtelne poczucie piękna.

- Ta karta to twoja najdawniejsza przeszłość - uśmiechnęła się dziewczyna. - Najlepsza karta w talii, pełna łagodności, nadziei i obietnic. Jakąż piękną duszą byłeś wówczas, Janderze Sunstar.

Elf nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Maruszka odwróciła drugą kartę i twarz jej posmutniała. Karta wyglądała na dobrą - widać na niej było parę kochanków idących przez zielony las i trzymających się za ręce; mężczyzna podejrzanie przypominał Pietię.

- Nie jest tak źle - zaryzykował Jander. Maruszka pokręciła głową.

- Zazwyczaj nie, to Kochankowie. Ale spójrz, jest odwrócona do góry nogami. To znaczy, że nastąpiło rozstanie. W nieodległej przeszłości - kochałeś i straciłeś ją.

Jander zaczął poważnie rozważać możliwość, że ta kobieta rzeczywiście potrafi przepowiadać przyszłość.

Maruszka obróciła kolejną, trzecią kartę - przedstawiała ślepą kobietę, niosącą wagę.

- Szukasz sprawiedliwości - zmarszczyła się, lekko dotknęła wizerunku i spojrzała w dal. - Szukasz zemsty - poprawiła się łagodnym głosem.

Następna karta nieco ją zaskoczyła - szkielet z kosą wyszczerzał do niej zęby w uśmiechu. Spojrzała na Jandera i wstrząśnięta spostrzegła na jego wargach sarkastyczny uśmieszek.

- Tb ty - rzekła gwałtownie - Tb znaczy twoja teraźniejszość. Tak naprawdę ta karta oznacza zmianę, nie śmierć.

Uśmiech Jandera nie zniknął.

- Myślę, moja droga, że w tym przypadku znaczy dokładnie to, na co wygląda.

Coś z nim jest nie tak, pomyślała Maruszka.

- Więc jesteś wojownikiem?

- Byłem. Kiedyś, dawno temu. W pewien sposób nadal jestem. Ale mów dalej, proszę. To interesujące.

Dziewczynie nie podobał się jego, gorzki, ironiczny, a jednak niebezpieczny uśmiech. Jander lepiej się prezentował w aurze melancholii, kiedy tajemnicze, srebrzyste oczy wypełniał smutek. Uświadomiła sobie, że uładzona powłoka giorgio kryje groźbę. Był drobnej postury i z pewnością dałaby mu radę w walce, ale i tak jej prawa dłoń z wolna powędrowała ku zatkniętemu za pas nożowi. Lewą ręką odwróciła następną kartę zamykając na jej widok oczy.

Karta przedstawiająca Śmierć przeraża większość ludzi, ale tę, która się pojawiła, każda wróżka niechętnie ogląda. Przedstawiała Wieżę. Pietia pod wpływem kaprysu narysował budowlę przypominającą zamek Ravenloft, gwałtownie walącą się w gruzy, pod którymi ginęli ludzie.

- Zła karta - wymruczała dziewczyna. - Bardzo zła... - Jej dłoń mocniej ujęła rękojeść sztyletu.

- Tym bardziej powinienem uwierzyć w prawdziwość twojej wróżby - odparł spokojnie Jander. - Maruszka - ciągnął łagodnie - zdejmij dłoń ze sztyletu. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Zaskoczona podniosła wzrok i napotkała srebrne oczy, ponownie przepełnione smutkiem. Prorokini zawstydziała się. Już otworzyła usta, by przeprosić, ale on machnął ręką.

- Co też ta złowróźbna karta z Wieżą może mi powie dzieć?

- Wieża to chaos, zniszczenie. Taka będzie twoja przyszłość.

- Cudownie.

Maruszka szybkim ruchem odsłoniła ostatnią kartę i uśmiechnęła się z ulgą. To było Słońce, jej ulubiona karta w talii - małe dziecko, mające jakieś trzy lata, wyciągało tłusciutkie rączki w stronę lśniącej kuli, wiszącej tuż poza zasięgiem jego ramion.

Słońce oznacza powodzenie i zwycięstwo, ma też sporo wspólnego z dziećmi. Jeśli odnajdziesz swoją sprawiedliwość, stanie się to za sprawą słońca i dzieci. - Przeniosła wzrok na Jandera, przekonana, że tą ostatnią kartą sprawiła mu trochę przyjemności. Zamiast tego jednak ujrzała twarz smutniejszą niż dotąd, steraną, zrezygnowaną. - Słońce to bardzo dobra karta - powtórzyła.

Dla większości ludzi chyba tak. Ale nie dla mnie. Dziękuję, że poświęciłaś mi czas, Maruszko. Tb było... jak oświecenie. Teraz muszę już iść - wstał zwinnie. - Coś mówiłaś o jakiejś jaskini?

Maruszka nie mogła pozwolić mu tak po prostu odejść, pozbawionemu nadziei. W końcu to ona nalegała na wróżenie, nie on, a to właśnie mroczna przepowiednia tak go przygnębiła.

- Zostań jeszcze trochę z nami i zobacz tańce. Rzadko zdarza się, byśmy pozwalali giorgio je obejrzeć i pewnie nigdy więcej nie będziesz miał takiej okazji, choćbyś był obdarzony wyjątkową długowiecznością.

Jander nie mógł powstrzymać śmiechu, słysząc, jakiego słowa użyła. „Długowieczność”, faktycznie. Nic by jednak nie zyskał będąc

niegrzecznym; ci ludzie cieszyli się wolnością, jakiej doświadczało niewielu mieszkańców Barovii, a któż mógł wiedzieć, kiedy znów będzie potrzebował ich wiedzy i zdolności.

- Jak sobie życzysz, pani. Dawno już nie oglądałem tak pełnego wdzięku przestawienia, jakim jest taniec.

Dał się przeprowadzić obok wciąż przerażonego kucyka, z powrotem ku ognisku. W powietrzu rozlegał się ostry dźwięk skrzypiec, nakładając się na dźwięki tamburynów i przypominające bicie serca uderzenia bębna. Zwinne sylwetki poruszających się ludzi odcinały się na tle ognia. Wraz z kłębam dymu w atramentowo czarne niebo wznosiły się śmiechy, klaskanie, a od czasu do czasu czysty, słodki śpiew.

Jander łączywie i z zazdrością chłonał całą scenę; tak bardzo chciałby być częścią tego wszystkiego! Lubił Pietię, podobała mu się jego czcza gadanina i jego przenikliwość, jego lubieżne, pożądlive, pełne życia uwagi na temat kobiet, dobrego wina i stylu życia rodaków. Podobała mu się śliczna Prorokini i przenikające go, a zarazem wesołe brzmienie muzyki, dolatującej od ogniska.

Ze smutkiem uświadomił sobie, że karmi się żywą, ognistą naturą tych ludzi, zupełnie jakby był to jakiś rodzaj krwi. Drgnął zaskoczony i próbował się uśmiechnąć, kiedy poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie dłoni Maruszki. Spoglądała uwodzicielsko ciemnymi oczami, a uwolnione ze wstążki długie, czarne włosy spływały hebanową falą po śniadych ramionach. Z kusicielskim uśmiechem podeszła do reszty zgromadzonych przy ogniu. Rozstąpili się, robiąc jej miejsce, ona zaś z łatwością włączyła się w grupę tancerzy.

Kiedy Jander naprawdę zaczął obserwować widowisko, pierwotne piękno tańca Vistanich przyprawiło go o ukłucie bólu. Młode kobiety miały na sobie proste, cienkie bawełniane bluzy, białe lub kremowe, i długie kolorowe spódnice, które okręcały się wokół nich w tańcu, odsłaniając kształtne nogi. Długie włosy opadały im na plecy. Co chwila śmiały się naturalnie i niewymuszenie, a ich śmiech przypominał szmer strumyka.

Elf przymknął srebrne oczy, odczuwając ból przemieszany z radością. Od blisko siedmiuset lat nie widział niczego podobnego - od czasów, gdy przyglądał się płasom współbraci w zaczarowanych lasach Evermeet. Jego umysł wrócił do tamtych dni, przepelnionych niewinnością, kiedy w najmniejszej nawet części jego ograniczonego, łagodnego wszechświata nie było miejsca dla brzydoty, a wampiryzm był niczym więcej, jak rzadko wspomnianą legendą, którą straszono dzieci.;

Maruszka stanęła przed nim i lekko pociągnęła jego złotoskórą dłoń swoją ciemną ręką. Zapraszała, by wstał i podszedł do ognia jako partner. Przez chwilę Jander wahał się, ale przyłączył się do tańca, jakby zwabiony pomarańczowym płomieniem.

Jego ciało, nieumarłe już od pięciu wieków, nadal pamiętało jak reagować na muzykę. Wirowali więc w tańcu oboje, wampir i Cyganka, patrząc sobie w oczy, przytuleni. Jander poddał się urokowi chwili i nagle wydało mu się, że to nie Maruszka z nim tańczy, lecz Anna. Anna, zdrowa, uśmiechnięta, z miłością w oczach...

Nie wytrzymał dłużej. Piękna muzyka, oszołomienie wywołane ponownym przebywaniem wśród ludzi i wspomnienie nieżyjącej ukochanej okazało się nie do zniesienia. Ku swemu przerażeniu Jander poczuł wzbierające w oczach łzy. Wymruczał jakieś usprawiedliwienie i usunął się pod osłonę cienia rzucanego przez najbliższe vardo. Maruszka podążyła za nim.

- Jander, co się stało?

- Nic, ja tylko... Po prostu zostaw mnie na chwilę samego, proszę. Nic mi nie będzie - rzekł, odwrócony do niej plecami.

Dziewczyna niechętnie odeszła i Jander, znów sam, otarł krwawe łzy z oczu. Jedna z nich zdążyła spłynąć mu po twarzy, zostawiając na niej czerwony ślad. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył w rdzawym, migotliwym świetle ogniska.

U jego stóp na ziemię upadła zmoczona szmatka. Rozległ się szorstki głos:

- Otrzyj twarz, wampirze.



## SZEŚĆ

Jander gwałtownie podniósł wzrok. Wszyscy tańczyli i starsza kobieta była chyba jedyną osobą, która zwróciła uwagę na jego łzy. Nie spuszczać z niej wzroku uczynił tak, jak mu poleciła.

- Masz nade mną przewagę, pani. Co zamierzasz zrobić? Lekko wzruszyła ramionami. Jander wyczuwał w niej iście żelazną wolę.

- Na razie nic. Jesteś naszym gościem i nie zlekceważylibyśmy w taki sposób tradycji naszych przodków. A poza tym zdradziły cię łzy, co w tej krainie niezwykle rzadkie, zwłaszcza dla nieumarłego. Przez pamięć na to, kimś niegdyś byłeś, Janderze Sunstar, możesz odejść bezpiecznie. Dzień możesz przespać w pobliskiej jaskini, niedaleko jeziora Tser. Nie będziemy cię niepokoić, jednak - dodała, a głos jej zabrzmiał mocniej, donośniej - od tej pory jesteś naszym wrogiem. Nie ma dla ciebie miejsca pośród żywych - odejść już, szybko.

Jander uklonił się dwornie.

- Jak mniemam jesteś, pani, madame Eva. Chciałbym cię prosić o przysługę - proszę nie mówić Pietii i Maruszcze, kim jestem.

Eva zmarszczyła brwi i w jej spojrzeniu wampir dostrzegł ognik przypominający płomień w oczach Maruszki.

- Muszę ich ostrzec, to moje wnuki.

Jander obejrzał się przez ramię na bawiących się Vistanich, wśród których Maruszka znów wirowała wesoło w ognistym tańcu. Pietia z uśmiechem na ustach stał w środku grupki młodych kobiet i opowiadał coś, żywo gestykulując.

- Gdybym chciał, miałem już wystarczająco wiele okazji, by ich skrzywdzić. Nic im z mojej strony nie grozi.

Eva badawczo, z namysłem przyjrzała mu się małymi, czarnymi oczyma. Z jej twarzy ustąpiła częściowo surowość i łagodnie odrzekła:

- Powiem im tylko wówczas, jeśli uznam to za konie czne. Teraz jednak odejść już - zawahała się, po czym dorzuciła: - Słodkiej wody i jasnego śmiechu.

Jander skłonił się jej głęboko, odpowiadając na tradycyjne elfie pożegnanie i szybko przepadł w nocnym mroku. Eva patrzyła za nim, ale zaraz znów poświęciła uwagę swoim wnukom. Maruszka przerwała taniec, łapiąc oddech i teraz z wyraźnym rozczarowaniem patrzyła na odchodzącego elfa. W tym samym momencie Pietia podbiegł do babki.

- Babciu! Chyba nie kazałaś mu odejść?! - spytał pełnym wyrzutu głosem, patrząc na nią oskarżycielsko. Eva westchnęła.

- Idź po siostrę - rozkazała. Zwlekał przez chwilę, patrząc w ślad za Janderem, po czym zrobił, co mu kazała. Eva przysiadła na najbliższej ławce. Za stara jesteś, pomyślała, chichocząc niewesoło. Za stara na takie rzeczy.

- Chciałaś nas widzieć, babciu? - Staruszka podniosła wzrok na wnuki; dwójka ładnych, młodych ludzi, z której ona sama i całe plemię mogą być dumni. Poklepała ławkę i oboje posłusznie usiedli obok.

Jeszcze chwilę milczała.

- To nie jest szczęśliwa kraina - zaczęła. - Mieszkamy tu dzięki paktowi, jaki zawarłam z władcą Barovii, paktowi, który jest dla nas korzystny.

Przerwała, szukając właściwych słów. Pietia wiercił się, spieszno mu było wrócić do grona wielbicielek; Maruszka siedziała cierpliwie.

- Ale nie znaczy to, że nie istnieją dla nas niebezpieczeństwa - ciągnęła Eva. - Czasem trudno je rozpoznać. Czasem pojawiają się ukryte pod pozorami piękna.

Pierwsza zrozumiała Maruszka, choć wolałaby nie rozumieć.

- Jander jest niebezpieczny?

- Tak, dziecko. Bardzo - Eva przykryła dłoń Maruszki swoją, pomarszczoną.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

- Nie - odrzekła raptownie. - Nie mogę w to uwierzyć. Wróżyłam mu, on nie jest zły.

- Nie mówiłam, że on tego chciał, ale zdarza się, że nie człowiekowi nie jest dane wybierać między dobrem a złem.

- Babciu, on przecież uratował mi życie! - Pietia też już się na nią rozżłościł. Eva wolałaby im nie mówić, ale chłopak podziwiał elfa, Maruszka zaś była nim wprost oczarowana.

- Tak, uratował, ale już nigdy, nigdy go nie ujrzysz. Ty również - zwróciła się do wnuczki, która obdarzyła ją piorunującym spojrzeniem ciemnych, posępnych oczu. Eva rozwinęła wilgotną chusteczkę.

Otarł nią twarz.

Pietia wyrwał jej szmatkę z rąk i spojrzał oskarżycielsko.

- Był ranny, a ty pozwoliłaś mu odejść?

- Nie, wnuczku - odparła łagodnie. - Tb łzy, którymi zapłakał.

Maruszka gwałtownie nabrała tchu w piersi.

- Nie... - sapnęła. - On nie jest... niemożliwe...

- Akara - dokończył Pietia i zerwał się na nogi. - Przepraszam, babciu, ale muszę wrócić do wioski.

Eva przybrała srogi wyraz twarzy.

- Nie chcę nawet słyszeć o takim głupstwie, nie po tym, co zdarzyło się dzisiejszej nocy.

Po Pietii widać było, jak walczy z emocjami: - Ale babciu...

- Nie. I to jest moje ostatnie słowo - wstała niezadowolona. Mimo, iż bardzo kochała oboje, podzielała zdanie Maruszki na temat dzieci i kłótnie z nimi szybko wyczerpywały jej cierpliwość. - Przekazałam wam to, co uznałam za stosowne. Chcę, żebyście byli mi posłuszni - i odeszła w stronę swojego vardo.

- Maruszka, potrzebuję twojej pomocy - rzekł Pietia, kiedy kobieta oddaliła się wystarczająco.

- O, nie, nie zamierzam się mieszać...

- Moja... przyjaciółka w wiosce... Ona też ufa Janderowi, oboje przysięgaliśmy mu przyjaźń. Musi się dowiedzieć, czym on jest!

Twarz Pietii odzwierciedlała jego silne wzburzenie. Siostra nigdy nie widziała go tak poważnego, toteż była nieco zaskoczona.

- Dobra, ale gdyby cię złapali, wszystkiego się wyprę - ostrzegła go.

Chłopak rozpromienił się.

- Mogę wziąć twojego konia?

\* \* \* \* \*

Anastazja leżała na brzuchu, nie zważając na wsiąkające w poduszkę łzy. Czerwone pręgi na plecach płonęły, ból nie ustawał ani na chwilę. Prawe ramię zdrewniało jej kompletnie, ale nie odważyła się nim poruszyć, by nie zwiększać męczarni.

Ludmiła przespała wszystkie nocne zdarzenia, czego Anastazja szczerze jej zazdrościła. Na bogów, gdybyż tylko ojciec pozwolił matce posmarować jej plecy jakąś kojącą maścią.

Garść kamyków zagrzechotała, odbijając się od szyby w oknie. Anastazja poderwała się, na jej twarzy pojawił się grymas cierpienia, ale zacisnęła zęby i z trudem, powoli, wstała z łóżka i pokuśtykała do okna. Prawie zemdląła z wysiłku podnosząc rękę i otwierając okiennice. Zamrugała parę razy oczami, próbując nie stracić przytomności i ciężko dysząc, z wolna uchyliła okno.

Na dole stał Pietia, widoczny zaledwie jako ożywiony cień w księżycowym świetle. Nie odezwał się, tylko pomachał na nią, żeby zeszła na dół. Anastazja chciała tak zrobić, jednak zdawało jej się, że umęczone ciało temu nie poddało.

W tej samej chwili rozległ się ryk wściekłości, druzgocząc ciszę nocnej pory i przerażona Anastazja ujrzała wylewającą się z domu czeredę służących jej ojca. Dwóch z nich chwyciło Pietię pod ramiona, reszta zaś dobyła mieczy.

- Anastazja, co... - usłyszała dochodzący zza pleców senny głos Ludmiły. Anastazja nie miała teraz czasu dla siostry; pobiegła do drzwi i dalej po schodach tak szybko, jak tylko pozwalało jej zmaltretowane ciało. Potykając się zeszła na dół i otworzyła ciężkie wrota, wychodzące na brukowany dziedziniec. Ciężko łąpała oddech z wyczerpania. Czuli, że zerwał się wiatr i zrobiło się chłodniej; uderzyła w nią fala wilgotnego, zimnego powietrza.

Pietia nie trzymał się już na nogach. Byłby się rozciągnął bezwładnie na kamieniach, gdyby nie podtrzymujący go mocno za ramiona słudzy Kartova. Sam burmistrz trzymał w dłoni szpicrutę, którą wcześniej obił córkę. Pochrząkiwał przy każdym ciosie. Mimo chłodu w powietrzu po twarzy spływał mu pot. Zdażył już kilkakrotnie uderzyć bezradnego Vistaniego i plecy chłopaka powoli zaczynały przypominać czerwoną miazgę. Rytmiczny trzask szpicruty ostro wyróżniał się na tle odgłosów nadciągającej burzy.

Anastazji całkowicie zaschło w gardle i przez moment wszystko zafalowało jej przed oczami. Zebrała całą energię, jaka jeszcze jej pozostała, i głosem, który wydawał się zbyt głośny, by mogła go z siebie wydać, wrzasnęła:

- Nie!

Kartov przerwał i rzucił jej mordercze spojrzenie, ale nie udało mu się zastraszyć córki. W miarę, jak w jej piersi wzbierał powoli gniew, przestawała odczuwać ból.

- Powiedziałam: nie! - powtórzyła, tym razem miękko, tonem mającym w sobie coś z niskiego pomruku wilka.

- Iwan - zwróciła się do jednego ze służących ojca. - Puść go.

Iwan zawahał się, przenosząc wzrok z ojca na córkę. Siwowłosy lokaj nigdy dotąd nie sprzeciwił się swemu panu, ale coś w postawie Anastazji go niepokoiło. Stała wyprostowana, z bladą twarzą, o którą uderzały czarne kosmyki włosów.

- Panie? - zapytał. Burmistrz nawet na niego nie spojrzał.

Anastazja odważnie podeszła do ojca, pewnym, wolnym krokiem zmniejszając dzielący ich dystans. Kartov wznosił szpicrutę, gotów uderzyć w jej zadartą do góry, posiniaczoną twarz.

- Aaaaauuuuuu! - zawyła dziewczyna, naśladując wilka. Twarz Kartova pobladła. Ponownie rozległ się grzmot, tym razem głośniejszy.

- Czemu nie powiesz Iwanowi, jak dziś wieczór uciekałeś przed wilkami? - ciągnęła Anastazja. Przepelniona zimną nienawiścią, pewna siebie wyciągnęła dłoń i spokojnie wyjęła zakrwawioną szpicrutę w ojcowskiego uchwytu. Kartov nie próbował jej powstrzymać.

- Ja nie uciekałem - dodała cicho i odwróciła się w kierunku Vistani. - On też nie. Iwan - powtórzyła, obrzucając sługę chłodnym spojrzeniem. - Możesz go już puścić.

Oszołomiony i zmieszany Iwan zrobił, co mu kazano. Drugi służący uczynił podobnie, wycofał się z trudem powstrzymując się od ucieczki biegiem, po nim poszli następni. Pietia padł bez przytomności na kamienie, ale Anastazja nie od razu podeszła do niego. Lodowatym wzrokiem mierzyła ojca, który nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Jej nocy pokazał, że jest tchórzem i córka nigdy nie pozwoli mu tego zapomnieć. Zmełł w zębach przekleństwo i trzasnąwszy drzwiami zniknął we wnętrzu domu.

Teraz uwaga Anastazji skupiła się na pobitym ukochanym i dziewczyna, przezwyciężając ból w plecach, ukłękła obok niego i przytuliła do siebie. Czule pogładziła jego jedwabiste, teraz splątane i wilgotne od potu włosy. Pietia zamrugał i uchylił powieki.

- Anastazja - wycharczał chłopiec. - Jander...

- Ćśśś, nie próbuj mówić. Wezmę cię do środka, będę się mogła tobą zająć. Myślisz, że dasz radę chodzić?

- Posłuchaj mnie! - desperacko zażądał Pietia. - Elf... dziś w nocy... ślubowaliśmy przyjaźń. Pamiętasz? - Anastazja przytaknęła zmieszana. - To wampir... nie możemy... - wysiłek okazał się zbyt duży i Vistani opadł bezwładnie w jej ramionach, mdlejąc ponownie.

Anastazja poczuła na ciele gęsią skórę, bynajmniej nie z powodu chłodu niosącego deszcz powietrza. To złotoskóre stworzenie, które ich ocaliło, miałoby być martwą, żywiącą się krwią istotą? To niemożliwe. Ale, z drugiej strony, Pietia nie wróciłby do wsi, gdyby nie uznał, że to ważne. Znów spojrzała na jego plecy, i nienawiść do ojca odżyła w jej sercu. Jander Sunstar może sobie być wampirem, ale patrząc na to, co uczynił jej ojciec, poczuła, że prędzej zwiąże swój los ze złocistym nieumarłym, niż z ludźmi, z którymi łączy ją więzy krwi.

Gigantyczna błyskawica rozświetliła podwórze; błysk był tak jasny, że Anastazja skrzywiła się, mrużąc oczy. Niemal natychmiast rozległ się ogłuszający grzmot, od którego zadrżała ziemia. Z zachmurzonego nieba zaczął padać deszcz, twarde, małe krople uderzały ją w plecy. Ulewa ocuciła Pietię, który kaszlał i pojękiwał teraz z bólu, aż wreszcie z pomocą dziewczyny udało mu się wstać na nogi i potykając się dopaść drzwi. Na tle jasnej poświaty z wewnątrz Anastazja rozpoznała szczupłą sylwetkę matki i uśmiechnęła się w duchu.

Dało się słyszeć kolejny głęboki grzmot, poprzedzony błyskawicą. Plotka głosiła, że Strahd potrafił magicznie sprawować kontrolę nad pogodą.

- Krąg mgły, otaczający wioskę, jest mu posłuszny - dawno temu powiedziała jej stara Elena. - Trzyma go tam, żeby nas oślepić. Wiatr i deszcz to jego gniew, a piorun - jego miecz zemsty.

Anastazja prawie nic nie widziała przez zasłonę lodowatej ulewy, wstrząsały nią gwałtowne dreszcze. Jeśli burza miała oznaczać złość Strahda, pomyślała, ponuro uśmiechając się do siebie, musiał dostać jakieś bardzo złe wieści.

\* \* \* \* \*

W tej krainie nawet Jander mógł śnić.

Zaczęło się to inaczej niż u zwykłych ludzi. Elfy potrzebują bardzo niewiele snu, a gdy czują potrzebę odpoczynku, są w stanie kontrolować, do jakiego stopnia się odprężą. A jednak pierwszego dnia w Barovii Jander śnił, oczekując nadejścia nocy.

Z łatwością odnalazł jaskinię, o której mówiła mu Eva - głęboką, ciemną, idealne miejsce na odpoczynek dla istoty, której światło słońca niesło śmierć. Elf wierzył zapewnieniu madame Evy, ale postanowił tylko odpocząć, nie pozwalając sobie na sen. Gdyby miało to okazać się pułapką, Vistani zdziwiliby się widząc oczekującego ich, przebudzonego wampira. Byłby dla nich więcej niż godnym przeciwnikiem.

Siedział teraz głęboko pod ziemią, z dala od wejścia do groty. Podciągnął nogi do piersi, złożył ręce na kolanach i oparł głowę o kamienną ścianę, przymykając oczy.

Podjął swoją ulubioną zabawę: wspomnianie słońca. Wyobrażał sobie, jak złocisty blask rozlewa się w jego kierunku od strony wejścia, widział tworzące się w zagłębieniach skalnych kałuże światła, a strużki poświaty spływały po kamieniach. Czuł ból w piersi. Ileż to tysięcy dni upłynęło mu na takiej grze! Marzył o świetle słońca i zastanawiał się, czy już naszedł ten dzień, kiedy będzie miał dość odwagi, by wyjść i stawić mu czoło. Ib nie strach przed śmiercią go powstrzymywał - bał się tego, co słońce może z nim uczynić.

Ma Torii spotykało się istotę zwaną szkarłatnym morem, ohydne monstrum w formie gazowej chmury, żywiące się krwią. Według niektórych legend szkarłatny mór był skazaną na wieczną wędrówkę duszą uśmierconego wampira. Myśl, że mógłby przeistoczyć się w coś podobnego, nakazywała Janderowi pozostawać w cieniu, z dala od umiłowanego słońca.

Jego rodowe nazwisko pochodziło od światła i złoty słoneczny blask, pod którego dotykiem wszystko zmieniało barwy, był jednym z najpiękniejszych, zapierających dech w piersi zjawisk, jakie znał Jander. Za życia elf pławił się w świetle dnia, uwielbiając jego ciepłą pieśczętę i promienną jasność.

Kiedy dorastał w Evenneet, zwykł był witać świt grając na flecie. Przyjaciele drażnili się z nim, pytając żartem:

- Myślisz, że słońce nie wstanie, jeśli nie zaprosisz go swoją muzyką?

Teraz zaś był na wieki skazany na wspomnianie tego światła i tego dotyku.

We śnie spojrzął w kierunku wejścia do jaskini, które przesłaniał jakiś cień. Jander cofnął się, szykując się do ataku, kiedy postać stanęła tak, że mógł ją rozpoznać.

To była Anna.

Nie miała na sobie tej wstrętnej, brunatnej koszuli z przytułku, lecz stanik i spódnicę, podkreślające jej urodę, dojrzałą, choć zarazem dziewczęcą figurę. Zdawała się całkowicie, zupełnie rzeczywista, ale Jander od razu zdał sobie sprawę, że ożyła jedynie w jego umyśle. Zaglądała do środka; źrenice jej oczu rozszerzyły się w półmroku, kiedy uśmiechnęła się do niego.

- Może byś wyszedł i przyłączył się do mnie?

Ponieważ wszystko było snem, a od siedmiuset lat niczego nie pragnął bardziej, niż połączyć się z nią, Jander ze snu wstał i wyszedł na zewnątrz, w jasny baroviański poranek.

- Teraz lepiej, prawda?

Drobne palce Anny splotły się z jego własnymi, długimi, kiedy znów obdarzyła go uśmiechem. Bogowie, ależ była piękna! Jej rozświetlona słońcem twarz żywo odbijała wszystkie uczucia, usta miała pełne i skore do śmiechu, ciepłe, jasnobrązowe oczy przypominały oczy sarny. Migdy jej takiej nie widział za życia; chora dziewczyna o bladej skórze i nieruchomym obliczu była ledwie cieniem tego prześlicznego stworzenia.

Bez reszty w nią zapatrzony Jander dopiero po kilku minutach uświadomił sobie, że oto jest świadkiem cudu. Mie mógł wyczuć zapachu jej krwi, ale w tym cudownym, sennym upojeniu nie był już wampirem, stając się na powrót Janderem Sunstarem, złotym elfem. Poczuł na włosach światło słońca, a kiedy odwrócił się ku Annie, ta zmrużyła oczy i odwróciła wzrok.

Słońce, odbite od twoich włosów, oślepią mnie! - roześmiała się, mrugając oczami. Zawtórował jej beztroskim, dźwięcznym śmiechem, takim, jaki mógł dobrać się tylko z gardła żywej istoty. Pocałował jej czerwone usta, szukając tylko ich słodczy, całym swoim jestestwem czując, że nie pragnie jej krwi. Odpowiedziała na pocałunek tak, jak o tym marzył, z radością, która aż go zaskoczyła.

- Anno - wyszeptał, gładząc długimi palcami gęste włosy dziewczyny. - Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, najdroższa, przepraszam...

Potrząsnęła głową, uśmiechając się pogodnie i posyłając mu spojrzenie ciepłych, wesołych oczu.

- Nie, Janderze Sunstar. Myślałaś, że nie wiedziałam? Byłaś światłem, rozjaśniającym otulające mnie mroki szaleństwa.

- Anno - objął ją mocno. - Powiedz mi, kto ci to zrobił.

- Musisz sam się dowiedzieć, kto zniszczył mój umysł. Na tym polega twój test - uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Test? Nie rozumiem...

Nagle zniknęła i Jander znów został sam w jaskini. Poderwał się wyrwany ze snu, słysząc na zewnątrz rzenie konia. W grocie panowała ciemność, z trudem było widać minimalnie jaśniejszy owal otworu wejściowego. Elf zauważył, że drży na całym ciele. Doświadczył już w życiu snów i koszmarów, ale to widzenie miało w sobie elementy jednego i drugiego. Czuł ból widząc ponownie Annę, mimo iż było to wyłącznie jego własne, tęskne wyobrażenie. Miał jednak nadzieję, że jeszcze ją spotka.

Koń zarżał ponownie i uderzył kopytem w ziemię, po chwili doleciało inne rzenie. Jander czuł zapach zwierząt, zmieszany z wonią natartej tłuszczem skóry, metalu i słodkim aromatem siana. Nostalgia ustąpiła ciekawości. Skąd się tu wzięły konie?

Lepiej się upewnić, pomyślał, jeszcze raz głęboko wciągając powietrze. Nigdzie w pobliżu nie wyczuwał woni ludzi, więc powoli wyszedł z jaskini.

W parze koni nie było nic niezwykłego, oprócz ich absolutnej czerni. Atramentowej sierści nie znaczyła nawet najmniejsza gwiazdka, najmniejsza skarpetka. Tylko nozdrza, rozdęte, kiedy wyczuły zapach Jandera, miały różową barwę. Musiały być spętane więzami potężnej magii, gdyż nawet nie drgnęły, kiedy wampir zbliżył się do nich i położył dłonie na jedwabistych szyjach. Kiedyś kochał konie, a one jego. Tęsknił za zwierzętami.

Klepnąwszy je jeszcze na pożegnanie, Jander przeniósł uwagę z koni na powóz, do którego były zaprzężone. Kareta była duża, starannie wykonana, o lekkiej konstrukcji i obszernym wnętrzu, obitym czerwoną skórą. W oknach wstawiono prawdziwe szkło. Tylko ktoś naprawdę bogaty wydałby tyle pieniędzy na powóz, zauważył w myśli elf. Powoli obszedł pojazd dookoła, podziwiając doskonale drewno i idealny kształt kół.

Miejsce na koźle, gdzie powinien siedzieć woźnica, było puste, porządnie związane lejce leżały przerzucone przez ławkę. Na niej właśnie, odcinając się od intensywnej czerni i czerwieni pojazdu, spoczywała biała koperta. Jander wziął ją do ręki, zwracając uwagę na znakomity papier. Kopertę opatrzone odcisniętą w czerwonym wosku pieczęcią z podobizną jakiegoś ptaka, zbyt małą, by mógł go rozpoznać. Złamał pieczęć i zaczął czytać

*Gościowi w moim kraju, Janderowi Sunstarowi,*

*Hrabia Strahd von Zarouich, władca Barovii, przesyła pozdrowienia.*

*Szlachetny Panie, przyjmij, proszę, moją skromną Gościńcę i zechciej zjeść ze mną Kolację dziś wieczorem, w Zamku Rauenloft. Mam do ciebie, Panie, wiele Pytań, a pewien jestem, że i ty zechcesz mi jakieś zadać. Dołożę wszelkich starań, by zaspokoić twoją naturalną Ciekawość, jeśli chodzi o tę krainę.*

*Powóz dowiezie cię bezpiecznie do Zamku. Usilnie naklaniam cię, Panie, byś przyjął moje Zaproszenie i z niecierpliwością oczekuję twojego przybycia.*

*Hrabia Strahd von Zarouich.*

Jander, zamyślony, starannie złożył list. Powinien był przewidzieć, że Vistani przekażą władcy tego kraju tak fascynującą nowinę, jak wieść o przybyciu elfa do Barovii. Nie mógł ich za to winić. Większy problem sprawiała mu własna niechęć do przyjęcia zaproszenia. Czyż nie o to mu chodziło? Któż lepiej odpowie na jego pytania, niż pan tego paskudnego miejsca?

Rozwinął list i przeczytał go jeszcze raz, doszukując się jakichś ukrytych znaczeń. Przyjęcie zaproszenia oznaczałoby, że wejdzie wprost do wilczego legowiska, odsłaniając się, ale dla wilka to też może być niespodzianka. Nie miał wyboru; Strahd z pewnością w końcu go znajdzie.

- Dobrze więc - rzekł do koni, którego zastrzygły uszami w jego kierunku. - Wracajcie do stajni, a mnie zabierzcie do waszego pana.

Kiedy podszedł bliżej, drzwi karety same się przed nim otworzyły. Zawahał się przez moment, po czym wsiadł. Zamknął drzwiczki i w tej samej chwili konie ruszyły zdecydowanym krokiem. Jander opadł na wygodne siedzenie i postanowił cieszyć się przejażdżką, nie zastanawiając się nad tym, co czeka go na końcu.

Konie początkowo szły klusa, później, wyjechawszy na drogę, przyspieszyły. Droga prowadziła przez rzekę, gdzie Jander miał okazję podziwiać zapierający dech w piersi widok wodospadu - przejechali tak blisko, że szyby opryskała delikatna mgiełka.

Wjechali w znajomy już Janderowi krąg mgły i chcąc nie chcąc Jander przypomniał sobie tę, która sprowadziła go z Waterdeep do Barovii. Przycisnął twarz do okna, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że mgła znów się pojawiła po to, by odesłać go do domu. Opar spowijał

ich przez jakieś trzysta stóp drogi, by zniknąć równie nagle, jak się pojawił. Elf spojrział przez okienko z tyłu na kłębiącą się masę i pokręcił głową.

Konie rozpedziły się i nie zwalniały już kroku, podążając na północ. Zbliżali się do gór, toteż po niedługim czasie musiały zwolnić, ale utrzymywały całkiem niezłe tempo. Droga skręciła ku wschodowi i po chwili dotarli do rozwidlenia.

Jander spojrział na lewą odnogę traktu, gdzie w oddali widniała ogromna, masywna, najprawdopodobniej żelazna brama. Obu jej boków strzegły gigantyczne kamienne figury, wyglądające na pozbawione głów. Wrota były otwarte, gdyby jednak je zamknąć, skutecznie odcinały jedyną drogę prowadzącą do wioski od zachodu.

Rytmiczny klekot końskich kopyt rozbrzmiewał nadal, aż wreszcie Jander ujrzał majaczący w przodzie zamek Ravenloft. Na kręgosłupie poczuł dotknięcie lodowatej dłoni strachu - uczucie to obce było wampirowi, który od kilkuset lat nie musiał się bać żadnej istoty, żywej czy martwej.

Tli jednak mógł znajdować się klucz do sekretu tożsamości Anny, pięknej, delikatnej, doprowadzonej do obłędu przez czyjeś okrucieństwo, kogoś, kto nazywa to miejsce swoim domem. Jander zacisnął dłonie w pięści. Może pan na zamku Ravenloft będzie znał odpowiedź.

Konie dowiozły go pod mury i powóz się zatrzymał. Elf wysiadł, spojrział na budowlę i zrozumiał, dlaczego konie stanęły w tym miejscu. Pomiędzy dwoma kamiennymi, rozpadającymi się wartowniami leżało wejście do zamku - kruchy, drewniany most zwodzony, zawieszony na łańcuchach, sprawiających wrażenie starych i przerdzewiałych. Poniżej znajdowała się tysięczstopowej głębokości otchłań. Na krawędzi murów siedziały przycupnięte dwa gargulce, zdające się wpatrywać w gościa. Wyglądały paskudnie, a uśmiechy na ich kamiennych gębach wcale nie łagodziły ich powierzchowności.

Ostatni raz klepnął konie - dla własnej przyjemności, gdyż przerażone zwierzęta raczej nie mogły odczuć tego jako pieszczoty. Uciekły pędem, ciągnąc miotającą się szaleńczo za nimi karecię.

Jander przyjrzał się mostowi. Z pewnością nie wyglądał bezpiecznie. Czasem bycie wampirem może mieć niezaprzeczone zalety, pomyślał, zmieniając się w nietoperza i przelatując na przepaści. Ponownie przybrał elfią postać i poszedł dalej.

Przeszedł przez kryty wjazd, przygotowany na każdy atak. Było tu wilgotno i paskudnie, w powietrzu unosił się odór rozkładu, ale nic się nie wydarzyło. Kratę w wejściu podniesiono i to, sądząc po jej wyglądzie, już dość dawno temu. Drewno zaczynało gnić. Z przejścia wychodziło się na obszerny, mroczny podwórzec, skąd Jander ujrzał cały zamek Ravenloft.

Rzeczywiście, robił wrażenie. Olbrzymie główne wrota, teraz zamknięte, zdobiły sceny bitewne, przedstawione tak realistycznie, że postacie zdawały się poruszać. Płaskorzeźby były zarazem delikatne i wyraziste, pełne życia, wręcz nie na miejscu w mrocznej, zapomnianej warowni. Po obu stronach drzwi umieszczono pochodnie, teraz migoczące na wietrze; matowe, brunatnozłotej barwy mosiężne kołatki błyszcząłyby wspaniale, gdyby ktoś je wypolerował. Miały kształt kruczyczych głów z oczami z lśniących klejnotów. Jander zastanawiał się przez moment, po czym ujął jedną z nich i trzykrotnie uderzył w drzwi.

Niski, dudniący dźwięk zawibrował w powietrzu. Przez kilka pełnych napięcia minut nie było żadnej odpowiedzi i Jander słyszał tylko świst wiatru. Walczył, by zachować spokój, ale jego niepokój narastał z każdą chwilą.

Wreszcie masywne odrzwia rozwarły się powoli z głębokim, basowym skrzypieniem, jakby opierając się uchyleniu ich choćby o cal więcej. Ciepła poświata zalała podwórzec.

Jander ociągał się z wejściem do środka. Światło księżyca srebrzyło jego włosy.

- Hrabio? - zawołał elf. Jego głos zabrzmiał słabo, strachliwie. Zbeształ się w duchu. - Wasza Ekscelencjo, przybył Jander Sunstar - krzyknął ponownie, próbując być bardziej przekonującym. - Przybyłem na zaproszenie Waszej Ekscelencji, ale nie wejść, dopóki teraz nie otrzymam zaproszenia.

Odpowiedziała mu cisza, ale jakimś dziwnym sposobem wiedział, że został usłyszany. Z głębi rozjaśnionego światłem pochodni pomieszczenia dobiegł go głęboki, słodki głos, najpiękniejszy, a zarazem najbardziej przerażający, jaki zdarzyło mu się słyszeć. Rozpoznawał w nim groźbę, ale jego brzmienie i tak było pieszczotą dla uszu.

- Wejdz, Janderze Sunstar. Jestem Hrabia Strahd von Zarovich i witam cię w moim zamku.



**SIEDEM**

Głos Strahda na moment zmroził Jandera, ale zły na siebie elf otrząsnął się z wrażenia paraliżu, w myśli odetchnął głęboko, szykując się na wszystko, co mogłoby go spotkać w środku i przestąpił próg zamku Ravenloft.

Gładka, szara, kamienna podłoga pomieszczenia zdawała się być wycięta z serca góry, a środkiem wytarta stopami całych pokoleń poprzednich mieszkańców. Pochodnie ciągnące się wzdłuż ścian słabo paliły się w wilgotnym powietrzu i rzucały niepewne światło na stojące

pod nimi na podobieństwo wartowników zardzewiały zbroje. Jander nie widział na razie gospodarza i tylko błędził wokół oczami.

- Hrabio von Zarovich? - zawołał.

- Wejdz, przyjacielu - odpowiedział mu piękny i groźny głos.

Elf wszedł ledwie parę kroków w głąb pomieszczenia, kiedy otworzyły się przed nim kolejne drzwi. Stał na chwilę, ale zaraz ruszył dalej. Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i odskoczył, sycząc i obnażając wysuwające się kły. W następnej chwili uświadomił sobie zmieszany, że wszystko było tylko grą światła. Cztery figury przedstawiające smoki wpatrywały się w niego złowrogo. Ich oczy, podobnie jak w kołatkach, wykonano z klejnotów, które odbiły światło pochodni.

Jander uspokoił się nieco i ruszył naprzód. Jeszcze jedne drzwi otwarły się pod jego dotykiem i wszedł do dużej komnaty, która okazała się właściwym westybulem. Z lewej prowadziły w górę szerokie schody. Dookoła, pod sufitem, znajdowało się więcej gargulców, przypominających te, które widział wcześniej. Spojrzał na sklepienie, którego zdawały się strzec, i na widok pięknych fresków zapomniał chwilowo o swym niepokoju.

Cały strop pokrywały wspaniałe malowidła i oczy Jandera przeskakiwały od scen polowań do bitew, od turniejów do uroczystości pasowania na rycerzy. Niestety, freskom niewiele brakowało do kompletnego zniszczenia - najwidoczniej władca zamku Ravenloft nie dbał zbyt o utrzymanie w dobrym stanie zamczyska i piękna, które w sobie kryło. Elf ponownie skupił się na poszukiwaniu gospodarza.

Na wprost znajdowało się dwoje wykonanych z brązu drzwi i Jander już ku nim postąpił, kiedy dobiegł go miękki głos:

- Cieszy mnie, że przybyłeś. Witaj w moim domu.

Elf odwrócił się i ujrzał Strahda schodzącego po wyłożonych kobiercem schodach z kandelabrem w dłoni.

Hrabia miał ponad sześć stóp wzrostu, a w jego postawie widać było gibkość i drzemiącą w nim siłę. Odziany był w eleganckie czarne spodnie i płaszcz narzucony na białą koszulę i kamizelkę. Szkarłatna kokarda pod szyją, pasująca do czerwonego klejnotu na gorsie, wyróżniała się na tym tle niczym plama krwi. Skóra hrabiego była niezwykle blada, praktycznie koloru kości, za to ciemne oczy rzucały przeszywające spojrzenie. Nic nie umknęło ich uwagi, gdy badawczo, z ciekawością spoglądały na Jandera, by wreszcie napotkać jego wzrok. Gęste, starannie ułożone włosy nie do końca skrywały zastrzone koniuszki uszu. Twarz Strahda miała miły wyraz, ale powitalny uśmiech wydawał się dwuznaczny.

Jander uklonił się widząc nadchodzącego mężczyznę.

- Dziękuję za zaproszenie, hrabio. To zaszczyt zostać przyjętym przez władcę Barovii.

Strahd uśmiechnął się szerzej, tym razem z wyraźnym odcieniem złej woli.

- Miło mi, że tak to odczuwasz, Janderze Sunstar. Niewielu uważa mój zamek za tak gościnne miejsce.

- Może to dlatego, że nie doświadczyli tak łaskawego zaproszenia.

Na dźwięk tej odważnej uwagi głęboko w mrocznych oczach hrabiego coś błysnęło czerwono.

- Prawda to. Widzę, że nie jesteś skory kryć się za fałszywymi grzecznościami. To dobrze. Rzeczywiście mam swoje powody, by cię tu zaprosić - pewien jestem, że i ty miałeś swoje, przyjmując zaproszenie. Tym niemniej zapewniam cię, panie, że powitanie jest szczere.

Przyglądali się sobie wzajemnie, zupełnie jak dwa dziwne, krążące wokół siebie wilki. Żaden jeszcze nie był gotów wycofać się i przyznać do porażki.

- Możesz nazywać mnie Strahdem - odezwał się w końcu hrabia. - Nie znam twego stanu, ale z pewnością bliższy mi jesteś niżeli ci odrażający chłopcy i moje bezrozumne sługi. Pójdź za mną, proszę. Znajdziemy wygodniejsze miejsce, a poza tym - tu na twarzy hrabiego wykwitł chłodny uśmiech - tak rzadko miewam gości, że chętnie chwalebę się wspaniałością mojego domostwa.

Odwrócił się i ruszył w górę schodów.

- Przypuszczam, że ciekaw jesteś, skąd wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Niespecjalnie. Najwidoczniej Vistani są po twojej stronie.

- Tak... Moi mali cygańscy poddani. Znacznie lepsza kasta ludzi niż wieśniacy.

Doszli na półpiętro i Jander rozejrzał się wolno dokoła. Widział tu kolejny, starannie wykonany fresk, podobny do podziwianych wcześniej, przedstawiający atak na górę, na której szczycie stał zamek. Jak poprzednie, tak i to malowidło było bardzo zniszczone. Elfowi udało się odczytać resztki inskrypcji:

R L O B L N C I E A P D P Ę G W T G O M B L K R Z O R.

Ruszył za Strahdem po kolejnym odcinku schodów.

- Czy zbliżając się tutaj zwróciłeś uwagę na mgłę? - zapytał hrabia.

- Tak, ten pierścień wokół wioski wygląda dość ciekawie.

- Dobrze, że nie musisz oddychać. Ta trująca mgła znajduje się tam z mojej woli. Cyganom w zamian za ich usługi dana została wiedza, jak przyrządzać miksturę, dzięki której stają się na nią odporni. Zbijają przyzwoitą fortunę sprzedając możliwość przejścia przez mgłę, a ja mogę zadbać o zaopatrzenie mojej spiżarni. Rozsądny interes, czyż nie?

Schody prowadziły do ogromnej sali. Kamienną podłogę zalewała księżycowa poświata, sącząca się z okna po prawej stronie. Przez to, iż



była pusta, komnata zdawała się większa niż w rzeczywistości. W przeciwnym jej końcu stał duży tron, stanowiący całe jej wyposażenie.

- W dawnych czasach była to sala audiencyjna. Teraz rzadko jest używana, co cię chyba nie dziwi.

Minęli salę i przez małe, wymyślnie rzeźbione drzwiczki weszli do korytarza. W dwóch niemal całkowicie zaciemnionych niszach stały niczym strażnicy dwa kompletne pancerze. Strahd wszedł do jednej z nisz, wykonał szczupłymi palcami gest, który nieco umknął uwagi Jandera. Na ścianie pojawił się zarys drzwi, które otworzyły się, lekko popchnięte przez hrabiego.

Jander spał się cały; plotki o Strahdzie okazywały się prawdziwe. Władca tej krainy władał magią.

Zapominając chwilowo o swej odrazie elf podążył posłusznie za gospodarzem do góry po kolejnych schodach. Zdążył się już trochę pogubić, to miejsce stanowiło istny labirynt.

- Mieszkasz tu sam, Strahdzie? - spytał.

- Och, nie. Mam służących, w pewnym sensie, a wieśniacy zaopatrują mnie we wszystko, czego mógłbym potrzebować lub pragnąć. Mieszkańcy tej miejsciny są dość posłuszni, a poza tym, jak już wspominałem, zawarłem ugodę z Cyganami. Dobrze uczyniłeś nie robiąc im krzywdy; muszę ci powinszować powściągliwości.

- Dlaczego miałbym chcieć ich skrzywdzić? Strahd zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, stając twarzą w twarz z Janderem. Na jego twarz zaczął wypływać konspiracyjny uśmiech, odsłaniając białe zęby. Wstrząśnięty elf dostrzegł, jak kły hrabiego wydłużają się.

- Pragnienie potrafi rozkazywać, prawda, Janderze Sunstar?

Elf mógł tylko patrzeć. Nic dziwnego, że Strahd chciał go widzieć! Nie dziwota, że ludzie w oblężonym miasteczku tak się bali. Gospodarz jeszcze przez chwilę nie spuszczał z niego wzroku, zadowolony z zaskoczenia malującego się na twarzy gościa. Wyraźnie usatysfakcjonowany tym, że pokazał aroganckiemu elfowi, gdzie jego miejsce, odwrócił się ponownie, zamiatając schody połą szaty i ruszył do góry.

Kiedy doszli do końca schodów, Jander stwierdził, że znajdują się w kolejnej ogromnej sali, rozjaśnionej wpadającym przez otwór w suficie światłem księżyca, wydobywającym z cienia długi rząd posągów.

- Moi szlachetni przodkowie - rzuciła Strahd oschle. - Robiłem, co w mojej mocy, by każdego z nich złościć, zignorować lub pokrzyżować mu szyki. Widzisz, niektórzy z nich niezupełnie... odeszli.

- Rzeczywiście - na twarzach części figur Jander dostrzegał wyraz cierpienia. Inne, rzecz jasna, były po prostu kamiennymi rzeźbami. Jednej z nich brakowało głowy i elf ciekawie zerknął na postument, próbując odcyfrować zapisane tam imię.

- Jander! - ton Strahda brzmiał rozkazująco i elf pośpiesznie dogonił gospodarza. Przeszli przez kolejny krótki korytarz, po czym hrabia otworzył drzwi do komnaty niewiele mającej wspólnego z ogólną dewastacją, jaka zdawała się cechować znaczną część Ravenloft.

- Mój gabinet - rzekł głosem, w którym było więcej ciepła, niż Janderowi dotąd zdarzyło się u niego słyszeć. Na kominku płonął ogień, którego rdzawy blask napełniał pokój ciepłem i światłem. Wzdłuż ścian ciągnęły się setki książek i do nozdrzy Jandera doleciała woń natłuszczonej skóry. Widać było, że Strahd ceni sobie swoje zbiory. Jander wszedł za hrabią do środka. Podłogę okrywał ozdobny kobierzec, nie było mowy o surowej, kamiennej posadzce.

Strahd zajął miejsce w jednym z dużych, obitych szkarłatnym aksamitem foteli i wskazał elfowi drugi.

- Siadaj, proszę. To moja ulubiona komnata. Wiele czasu spędzam tu na rozmyślaniach i kontemplacji.

Jander usiadł posłusznie i na chwilę zapadła cisza, gdy obaj napawali się komfortem wnętrza.

- Jak rozumiem - zaczął wreszcie Strahd - ostatniej nocy uratowałeś życie jednemu z Vistanich.

Jander przytaknął.

- Jesteś dosyć dobroduszny, prawda? - w głębokim głosie pobrzmiwała pogarda.

Jander zeszywniał.

- Czy w twoich żyłach płynie elfia krew, Strahdzie? - spytał nagle. - Masz szpiczasto zakończone uszy.

Hrabia uniósł rękę, jakby zamierzał dotknąć ucha, by po czym niespiesznie splótł dłonie.

- Tak naprawdę to nie - przyznał - aczkolwiek zdarza się, że sam rozpuszczam takie plotki. - Zmrużył oczy i kiedy ponownie się odezwał, przemówił z niedbałym, ale niemożliwym do przeoczenia namysłem:

- Tylko moi niewolnicy i kilku spośród Vistanich wie, kim w rzeczywistości jestem. Chciałbym, żeby tak zostało i byłbym w najwyższym stopniu niezadowolony, gdyby okazało się, że ktoś ujawnił moją tajemnicę. Postanowiłem odkryć przed tobą ten sekret, gdyż czuję, że wiele możemy się nawzajem od siebie nauczyć.

- Oto więc przechodzimy do właściwego celu zaproszenia, pomyślał Jander. Cała ta nad wyraz ugrzeczniona konwersacja i wycieczka przez labirynt była ledwie słabo maskowaną przygrywką, teraz zaś miała nastąpić prawdziwa próba. Jander przesunął się i skrzyżował nogi, sadowiąc się wygodniej. Spojrzał Strahdowi w oczy.

Tajemnice to niebezpieczna rzecz. - odparł. - W niewłaściwych rękach przeistaczają się w niezłe argumenty przetargowe.

- Mam nadzieję - rzekł Strahd, tym razem z nieskrywaną groźbą w głosie - że twoje nie są niewłaściwe.

Jander pozwolił sobie na uśmiech:

- A gdyby były? Przypuśćmy, że zechciałbym rozgłosić, że jesteś nieumarłym. My, akara, nie jesteśmy szczególnie towarzyscy. Co byś mi zrobił?

Strahd całkowicie porzucił pozory grzeczności, a czerwony ogień w jego oczach rozgorzał silniejszym płomieniem.

- Zniszczyłbym cię.

- W jaki sposób chciałbyś tego dokonać? Robiąc ze mnie swojego niewolnika? - Jander wyprostował się i oparł łokcie na kolanach. - Nie jestem tu po to, żeby z tobą walczyć. Wręcz przeciwnie - zgadzam się, że możemy dzielić się wiedzą i mam nadzieję, że zostaniemy sprzymierzeńcami. Nie jestem jakimś głupawym chłopkiem ani którymś z twoich uległych sług. Możesz być panem tej krainy...

- Ja jestem tą krainą!

Głęboki głos przeszedł w grzmot, a błysk w oczach Strahda wściekle zamigotał. Jander zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie przeholował, gdyby miało się okazać, że hrabia jednak dysponuje tajemną mocą, zdolną go zniszczyć.

- Jestem Barovią! - wściekle rzucił Strahd. - Ona obdarza mnie mocą, a ja daję jej to, czego chce. - Wykrzywił usta w grymasie naśladowującym uśmiech. - Jestem Pierwszym Wampirem; w przeciwieństwie do ciebie i innych nieumarłych, ja nie potrzebuję zaproszenia, by wejść do domostwa, każdy dom tutaj jest moim domem. Wszystkie stworzenia należą do mnie i mogę uczynić z nimi, co zechcę.

Opadł z powrotem w fotelu i zmrużył oczy. Do uszu Jandera doleciał chrobot pazurów drapiących o kamienną podłogę i do komnaty weszły trzy duże wilki. Zadowolone zwinęły się w kłębek u stóp Strahda.

- Tb moje dzieci - rzekł hrabia z dumą. - Posłuszne każdemu mojemu skinieniu.

Jeden z wilków podniósł się, czujny i spięty. Podeszedł sztywno do kamiennego kominka i położył się tam, odsłaniając gardło. Zaskomlał, a Jander poczuł woń strachu. Drugie zwierzę, poruszając się równie sztywno, zbliżyło się do leżącego towarzysza i nieoczekiwanie wgryzło się głęboko w jego gardło. Z przeciętej tętnicy trysnęła krew, znacząc czerwienią oba wilki i kamienie wokół paleniska. Pierwszy z nich szarpał się i dziko miotał, ale drugi tylko pogłębiał chwyt, aż tamten drgnął ostatni raz i skonał. Jego zabójca puścił ciało, oblizał szczęki i ze spuszczoną głową niemal podczołgał się do swego pana. Strahd nieobecny ruchem pogładził go po łbie. Trzeci z wilków, nadal ciasno zwinęty, drżał na całym ciele.

Jander na wpół uniósł się z fotela, chcąc zaprotestować, ale coś w spojrzeniu Strahda powstrzymało go. Samozwańczy „Pierwszy Wampir” wyzywał go, by okazał swą słabość, sprzeciwiając się bezsensownemu zabiciu zwierzęcia. Elf powoli usiadł z powrotem, nie spuszczać wzroku z oczu Strahda. Kochał zwierzęta i bezmyślne okrucieństwo innego wampira rzeczywiście go rozwścieczyło, ale był lepszy sposób na okazanie mu tego.

Przeniósł wzrok na dwa pozostałe wilki, po czym delikatnie sięgnął do umysłu tego, który przed chwilą zabił. Leż. Zwierzę posłusznie zwinęło się, zamknęło oczy i po chwili zasnęło, a wówczas elf skupił swoje myśli, kojące i łagodne, na drugim wilku.

Chodź, przyjacielu. Chodź do mnie. Wilczyca warknęła cicho, strzygąc uszami w kierunku Jandera, po czym ruszyła w jego stronę; z jej gardła dobył się dziwny dźwięk, mieszanina warkotu i skomlenia. Śmiesznie wyglądała próbując wdrapać mu się na kolana i elf uśmiechnął się, delikatnie spychając ją w dół. Położyła się więc u jego stóp, patrząc z uwielbieniem na jego twarz, każdym mięśniem wyrażając gotowość spełnienia wszelkich kaprysów swego nowego pana. Jander poklepał ją po głowie i z lekkim uśmiechem podniósł wzrok na hrabiego.

Nie miał wątpliwości, że rozzłościł Strahda, ale na jego twarzy znać było także podziw.

- Imponujące - mruknął hrabia głosem dobywającym się gdzieś z trzewi. - Naprawdę imponujące. Wilki zawsze były posłuszne tylko mnie i nikomu innemu. Jak widać władca kraju może się czegoś nauczyć od gościa. - Skinął głową.

- Tak też sądziłem - rzucił Jander, traktując tę uwagę jako swoisty test. Strahd zmarszczył brwi, jego nozdrza rozszerzyły się, ale nie podjął zaczepki.

- Eva mówiła mi, że twój świat nazywa się Torii - ciągnął hrabia. - Bardzo interesują mnie inne kraje i z przyjemnością wysłuchałbym twej opowieści.

Kryzys minął, przynajmniej na razie. Jander pozwolił sobie trochę się odprężyć.

- Zanim odpowiem na twoje pytania, sam chciałbym kilka zadać - Strahd machnął rękę, dając mu znać, by kontynuował. - Czy żyła w tej krainie kobieta imieniem Anna?

Gospodarz uśmiechnął się lekko:

- To pospolite imię. Musisz mówić bardziej konkretnie. Teraz, kiedy już zaczął, Jander stwierdził, że nie ma najmniejszej ochoty ciągnąć dalej. Zdawało mu się wulgarnie opowiadać o Annie obcemu, ale odsunął to uczucie. Tylko w ten sposób mógł znaleźć odpowiedzi, których tak desperacko poszukiwał.

- Była obłąkana - rzekł cicho. - Wysoka, opalona, miała długie, rudobrazowe włosy. Była niesłychanie piękna. Wydaje mi się, że padła ofiarą zaklęcia... Widzisz, znałem ją wiele lat i wcale się nie starzała.

Strahd pokręcił głową.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że nie przychodzi mi do głowy nikt, odpowiadający temu opisowi. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie było takiej osoby w miasteczku, czy nawet w Vallaki, rybackiej wiosce nieopodal stąd. Obłąd nie jest w tych okolicach czymś niezwykłym. Jeśli

idzie o magię - jestem jedynym, o którym wiem, że zajmuje się sztuką tajemną w Barovii. Ja zaś, Janderze, nigdy; rzuciłem czar na kobietę imieniem Anna. Masz na to moje słowo - głos hrabiego brzmiał niezwykle szczerze i ku własnemu zaskoczeniu Jander stwierdził, że mu wierzy. - Wiem co to znaczy stracić kogoś, kogo się kocha. Więcej niż raz zdarzyło mi się pić z tego kielicha szczególnej goryczy - dodał Strahd, nagle wyglądający na zmęczonego.

Nadzieja opuściła Jandera. Może zbyt pochopnie założył, że hrabia będzie wiedział coś o Annie, powie mu, kto złamał ducha pięknej dziewczyny.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - ton głosu Strahda sugerował, że ma nadzieję usłyszeć odpowiedź przeczącą, ale Jander nie rezygnował.

- Jak mógłbym się czegoś więcej o niej dowiedzieć?

- Zapraszam do przestudiowania ksiąg w mojej bibliotece - zaproponował Strahd, czyniąc szeroki gest ręką. - Wszystkie pozostałe zapiski znajdują się jednak w kościele w wiosce, a wątpię, byś tam się wybierał - to wrócił ten dobrze znajomy, władczy Strahd i z przebiegłym uśmiechem wpatrywał się w elfa.

Jander musiał się sam w duchu uśmiechnąć, ale jego twarz pozostała smutna.

- Masz rację. Mówiłeś coś o miejscu zwanym Vallaki - gdzie to jest? Jacy ludzie tam mieszkają? Jakie zapiski oni mogą...

Strahd ściągnął kucze brwi i przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki:

- Wszystko to oczywiście mogę ci powiedzieć, ale musisz rozwiązać swoją zagadkę dzisiejszej nocy?

Hrabia mówił rozsądnie, a Jander zauważył, że z wolna przestaje się interesować jego osobą.

- Masz rację. Mogę być ciekaw tego miejsca, ale ty pewnie jesteś równie ciekaw mojej osoby. Moje przybycie do Barovii jest dla mnie tajemnicą; jeden z Vistanich powiedział, że sprowadziły mnie mgły.

Ach, mgły, mgły - zamyślnym tonem odrzekł Strahd, wpatrując się w ogień. - Wygląda na to, że przybywają po wielu. Także i mnie zabrały, wraz z całym moim królestwem, jakiś czas temu. To wtedy stałem się tym, czym teraz jestem - uśmiechnął się, ponownie odsłaniając białe kły, których nawet nie wciągnął z powrotem. - To dar od potęg rządzących w tym miejscu - wieczne życie.

Elf przypuszczał, że jego gospodarz w pewnym sensie ma rację. On sam nigdy nie tęsknił za „wiecznym życiem” tak jak ludzie. Elfy przeżywały kilka stuleci i to pewnie dlatego jak sądził, nigdy nie słyszał o innych nieumarłych członkach swojej rasy. Ten rodzaj egzystencji nie współgrał zbyt dobrze z ich naturą, brakowało im desperackiego pędu by zdobyć to, czego poskapił im los. Sam Jander, kiedy stał się wampirem, wolałby zginąć z własnej ręki, ale legendy o szkarłatnym morze nie pozwalały mu wybrać tej drogi ucieczki.

Jander zmienił temat, nie chcąc dalej zagłębiać się w mrocznych rozmyśleniach:

- Mówisz o Barovii, jakby była żywą istotą. Tak samo Vistani mówili mi o mocy tej krainy. Czym naprawdę jest Barovia? Czemu mgły ściągają tu ludzi?

Strahd nie odpowiedział od razu, tylko wstał, podszedł do kominka i oparł się o ozdobną półeczkę nad nim.

- Później odpowiem na twoje pytania. Przecież - tu uśmiechnął się niewesoło - cały czas świata należy do nas, prawda? - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Chciałbym się posilić. Przyłączysz się do mnie? W Barovii coraz trudniej znaleźć wędrowców po zmroku, więc zawsze trzymam pod ręką zapasy.

Jander skrzywił się, wyobrażając sobie więzienie, pełne ledwo żywych istot, trzymany jak bydło, by stać się pożywieniem tego eleganckiego lorda. Ale czy mógł potępiać takie zachowanie, on, który przez lata żywił się krwią obłąkanych?

- Nie, dziękuję - odparł. - Wolę poprzestać na krwi zwierząt, dopóki nie poznam lepiej tego miejsca.

Słyszac to Strahd wybuchnął śmiechem, od którego ciarki przechodziły po plecach, ale Jander cierpliwie przeczekał ten moment.

- Ach, Janderze, jeśli mogę tak się do ciebie zwracać, ty nie wyżywisz się krwią zwierząt.

- Może Wasza Ekscelencja nie może, ale ja tak. Przykro mi, jeśli cię to uraża, panie.

- Nie, skądże, jestem tylko rozbawiony. Las należy do ciebie, ale nie sądzę, by udało ci się ugasić pragnienie krwią zwierząt z lasu Svalich. Jakoś nie wydaje mi się, byś uznał je za... odpowiednie. Może zobaczymy się, kiedy wrócisz. Janderze, ja tu rządę - rzekł wprost Strahd. - Będiesz moim gościem tak długo, jak sobie tego zażyczysz.

- A gdybym powiedział: „Dziękuję, Wasza Ekscelencjo, ale chcę odejść jeszcze tej nocy”?

- Powiedziałbym: „Możesz odejść, ale twoje pytania pozostaną bez odpowiedzi”.

Jander zaśmiał się głośno, na co nawet Strahd uśmiechnął się mniej lodowato niż zwykle.

- Moja ciekawość, hrabio, jest najlepszym łańcuchem w świecie. Dziękuję i przyjmuję twoją ofertę gościny.

- Jakie masz życzenia co do spoczynku? Tu, pod nami, znajdują się krypty, i gdybyś tylko zechciał...

- Dziękuję, ale nie. Niewiele potrzeba mi snu i obchodzę się bez trumny. Za twoim pozwoleniem - chciałbym za dnia obejrzeć zamek. Dopóki będę osłonięty przed światłem słonecznym, nic mi się nie stanie.

Jander dostrzegł z odrobiną zadowolenia, że Strahd zupełnie się tego nie spodziewał; przez chwilę znać było po jego oczach, że jest wstrząśnięty. Szybko odzyskał pewność siebie, ale elf wiedział, że oto zdobył kolejny punkt w rozgrywce z czarującym władcą Ravenloft.

- Mój dom należy do ciebie, z jednym wszakże wyjątkiem. Tam... - wyciągnął przed siebie długi, szczupły palec, wskazując drewniane

drzwi po drugiej stronie komnaty. - nie wolno wchodzić. To, co się tam znajduje, to wyłącznie moja sprawa. Jeśli spróbujesz mi się sprzeciwić, drzwi są zamknięte przy pomocy magii. Proszę, byś respektował moje życzenie.

Ciekawość ciekawością, ale Jander z pewnością nie mógł wtykać nosa w nie swoje sprawy. Jeśli życzeniem hrabiego było mieć sekretny pokój, miał prawo do prywatności.

- Oczywiście.

- W takim razie życzę dobrej nocy i dobrych łowów.

## OSIEM



Jander szedł powoli przez las, cicho niczym wilk podążający świeżym tropem jelenia. Infrawizja w połączeniu z prześwietlającym liście blaskiem księżyca przekształcały w jego oczach las w gobelin, złożony z ruchomych cieni i pasemek unoszącej się z ziemi mgły. Zewsząd dolatywały delikatne dźwięki, świadczące o toczącym się wokół życiu; czuł też zapach ciepłej krwi. Nad nim po gałęzi drzewa przebiegła wiewiórka, odważnie i z wdziękiem przeskakując na sąsiednie. Trochę dalej na ścieżce w plamie księżycowego światła zamarła bez ruchu srebrzysta lisica, o futrze pocętkowanym plamkami cienia. Rozszerzone ślepia spoczęły na groźnej postaci elfiego wampira i przez chwilę dwoje myśliwych patrzyło sobie w oczy, po czym lis zniknął w lesie, odstępując zdobycz Janderowi.

- Tu jesteś, pomyślał Jander, kiedy dostrzegł w podczerwieni plamę ciepła dużego, brązowego zająca, przycupniętego pomiędzy korzeniami i nisko zwieszonymi gałęziami ogromnego cisu. Powoli, wkładając w to równie dużo siły woli, co poprzednio w uspokojenie wilków, Jander wysyłał kojące sygnały do umysłu zwierzątka. Lis sobie poszedł, już jest bezpiecznie.

W lesie zapanowała cisza, maćona jedynie słabym powiewem wiatru przy powierzchni gruntu, szeleszczącego w ściółce, suchych liściach i sosnowym igliwiu. Zając tylko drgnął lekko, gdy smukłe, silne dłonie chwyciły go za uszy i futro na zadzie. Kły ostrzejsze od lisich rozpruły mu gardło.

Jander przełykał łapczywie, z głodu nie bacząc na niezwykły smak krwi. Odrzucił osuszone truchło tam, gdzie ostatni raz widział lisa, i otarł usta. Zmarszczył brwi - krew zająca miała dziwny, słodki posmak dymu.

Nagle poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, zakręciło mu się w głowie, kolana załamały się pod nim i upadł na ziemię. Na czworakach wymiotował świeżo wypitą krwią, aż nie zostało z niej nic. Usiadł, drżąc na całym ciele; zając musiał być chory, ot co, i teraz będzie musiał znów się pożywić.

Tym razem przywołał sarnę, zdrową łanię, która wpatrywała się w niego brunatnymi ślepiami, gdy wysysał z niej życiodajny płyn. Krew znów miała nieprzyjemny smak i nie zatrzymał jej długo w żołądku. Jander nie mógł tego zrozumieć. Czasem potrzebował ludzkiej krwi, ale przecież w Waterdeep całymi latami potrafił się bez niej obejść, posilając się krwią zwierzęcą. Od chwili, kiedy tu przybył, przeczuwał, że z tym miejscem coś jest nie w porządku. Może to mgły tak go zmieniły, że nie mógł pić posoki zwierząt. Tylko takie wytłumaczenie, aczkolwiek niezbyt logiczne, przychodziło mu do głowy.

Strahd wiedział o tym i próbował go ostrzec, choć bez przekonania. Władca Ravenloftu musiał uznać zwycięstwo elfa nad wilkami, ale pewnie śmiał się w duchu, myśląc o przybyszu bezradnie wymiotującym paskudną ciecżą. W starciu ze Strahdem był remis. Nienawidził tej myśli, ale chcąc przeżyć, w Barowi, będzie musiał znaleźć ludzką krew.

Następne cztery godziny złotoskóry wampir spędził na bezowocnych poszukiwaniach nieostrożnej ludzkiej istoty. Przybrał wilczy kształt i przebył pod tą postacią wiele mil, wyężdżając wszystkie zmysły, by znaleźć zwierzynę. Kilkakrotnie natknął się na niewolnice Strahda - blade wampirzyce o ostrych rysach twarzy, które tylko syczały i krzywiły się na jego widok, zanim zmieniły się w nietoperze. Przez moment bawił się myślą o napaści na obozowisko Vistanich, ale szybko porzucił ten pomysł. Cyganie byli znacznie sprytniejsi od wieśniaków i - choć Jander zwykł się posilać delikatnie - ich bystre oczy dostrzegłyby drobne ranki. Poza tym na razie był „gościem” Strahda i pogwałcenie zawartego układu z pewnością rozżłościłoby gospodarza. Nie potrafił wyczuć obecności innych ludzi w lesie, a szybkie poszukiwania w wiosce dowiodły, że Baroviańscy są bezpiecznie ukryci w domach. Wygłodniały, zmęczony i zawiedziony Jander przemienił się w nietoperza i poleciał w stronę zamku.

Nie była to przyjemna perspektywa, ale musiał przyjąć zaproszenie Strahda na kolację.

Wylądował na dróźce biegnącej wokół zamku i zmieniając się najpierw w mgłę, następnie zaś znowu w elfa skierował się do gabinetu Strahda. Podobało mu się to miejsce, choć zawsze przedkładał rozległe przestrzenie lasów nad zamknięte pomieszczenia. Gabinet robił wrażenie mniej opuszczonego niż pozostałe części zamczyska, a w takiej chwili jak teraz, Jander wolał zapomnieć o własnym osamotnieniu. Kiedy wszedł do komnaty, w jego nozdrza uderzył słodki, drażniący zapach.

Zapach ludzkiej krwi.

Podążając za tą wonią, ze zmysłami wyostrzonymi głodem, Jander przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi do sąsiedniego pokoju - dużej i

bogato wyposażonej sypialni. Grube, czerwone, aksamitne zasłony zwieszały się nad otwartym oknem, a wpadający przez nie srebrny blask księżycy słabo pobłyskiwał na pięknych, choć zaśniedziałych kandelabrach. Światło wydobywało z mroku zdobione stoły i inne wspaniałe meble; samo łóżko niegdyś było zapewne szczytem luksusu, jednak znakomite materie zdążyły przegnić, a baldachim padł łupem moli.

Jander nie zwrócił szczególnej uwagi na wystrój pomieszczenia - smutnym wzrokiem przyglądał się postaci dziewczyny, którą księżycowa poświata upodabiała do młodego, wysmukłego ducha.

Stała przy oknie, zapatrzona w pogrążony w ciemności krajobraz. Po jej twarzy spływała łza, lśniąca niczym perła na powierzchni alabastru. Dziewczyna sprawiała wrażenie przerażonej, ale zrezygnowanej. Jander zbliżył się na tyle cicho, że nie od razu wyczuła jego obecność. Patrzył, jak odwraca się od okna i siada na łóżku; zdawała się ponętym połączeniem dziewczyny i dojrzałej kobiety. Krągłe biodra i piersi zaznaczały się wyraźnie, ale blada, okrągła twarz z rozszerzonymi przerażeniem oczyma i czarnymi jak sadza rzęsami wciąż była twarzą dziecka.

Widok rumieńca na policzkach i wiśniowej barwy ust pobudził gwałtownie pragnienie Jandera.

- Pani - odezwał się.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i cofnęła się o krok. Instynktownie próbowała się zasłonić, lecz po chwili zmusiła się, by wypuścić z dłoni pościel. Jedyne jej odzienie stanowiła cienka, długa koszula. Zaczerpnęła tchu i przywołując całą swą odwagę rzekła:

Jego Ekscelencja hrabia Strahd von Zarovich przysłała mnie, by sprawić ci przyjemność - zabrzmiał jej słodki, młody głos. - Mam ci powiedzieć, że jestem nietknięta, ani tutaj - dotknęła palcem szyi - ani tutaj - i złożyła dłonie na wzgórku pomiędzy udami. Krew napłynęła jej do twarzy i dziewczyna spuściła wzrok, a długie, czarne włosy opadły jej na twarz.

To dar mojego pana dla jego nowego przyjaciela - w tym miejscu głos jej zadrżał.

Gorycz przytłumiła nieco głód Jandera, nie mogła go jednak całkowicie zgasić. Zdawał sobie sprawę, że wiele wampirów wykorzystywało bezwolne ofiary do zaspokajania różnego rodzaju apetytów i najwyraźniej Strahd lubił zabawiać się ze swą zwierzyną ale elfa myśl ta napawała obrzydzeniem. Czyż nie dość było pozbawiać niewinne istoty życiodajnej krwi, nie krzywdząc ich bardziej na ciele i duszy? Desperacko pragnął móc odesłać tę dziewczynę bezpiecznie do domu, do rodziny, ale już czuł pulsowanie w górnej szczęce w miarę, jak jego kły wysuwały się w odpowiedzi na słodki aromat. Ponownie targnął nim głód i jego sumienie, jak zwykle, ugięło się przed niemożliwą do pokonania żądzą pożywienia się tą dającą życie czerwoną cieczą.

Wolno osunął się na łóżko i klepnął ręką miejsce obok siebie.

- Jak ci na imię, malutka? - spytał, utrzymując łagodne brzmienie swego głosu.

- Natasza - odpowiedziała dziewczyna, wciąż nie spoglądając mu w oczy.

- Chodź, Nataszo - rzekł zapraszająco. Przysunęła się do niego i poczuł przebijającą przez zapach krwi metaliczną woń strachu. Delikatnym gestem odgarnął jej włosy z czoła. Zamknęła oczy, drżąc na całym ciele.

- Jak Strahd zmusił cię, żebyś tu przyszła? Natasza oblizła wargi.

- Posłał do wioski swój powóz - odparła. - Znał mnie i poprosił mego ojca, by mnie oddał. We wszystkim musimy być posłuszni naszemu panu.

- Czy wiesz, czemu chciał, żebyś tu była?

- Nie - wyszeptwała, potrząsając głową - jej oczy napędlone łzami. Nagle całe jej opanowanie zniknęło.

- Tak! Na bogów, proszę, proszę, nie rób mi krzywdy! Pozwól mi odejść! Zrobię, co zechcesz, tylko nie rób ze mnie tego, kim jesteś, proszę, błagam...

- Biedactwo - mruknął elf. - Natasza, popatrz na mnie - spokojnie wypowiedziane polecenie przedarło się przez histerię dziewczyny i podniosła oczy na spotkanie jego hipnotyzującego wzroku.

- Już się mnie nie boisz, prawda?

- Nnnie - odpowiedziała, z wolna zatracając się w jego spojrzeniu.

Tb dobrze. Zaufasz mi? Czy zaufasz mi, że nie skrzywdzę cię bardziej, niż muszę?

Natasza skinęła powoli głową, nie spuszczać z niego oczu. Jander łagodnym ruchem położył złociste dłonie na jej białej twarzy i odwrócił głowę dziewczyny na bok, odsłaniając żyłę na szyi, pulsującą rytmicznie w zalewającym komnatę srebrnym świetle. Błyskawicznie obnażył kły i zanurzył je w jej gardle.

Kiedy jego ciało poczuło smak krwi, stracił nad sobą kontrolę. Pił zapamiętane, zapominając, jak niewinną istotę ma przed sobą. Czuł wyłącznie rozlewające się po ciele ciepło i przyływ sił, wywołany krwią dziewczyny. Wiele wysiłku kosztowało go powstrzymanie się od wysssania z niej wszystkiej krwi, ale udało mu się. Obliznął z warg lepka ciecz i położył Nataszę na poduszkach. Oddychała płytko, twarz miała przeraźliwie bladą, ale nie straciła życia.

Jander wstał i podszedł do okna. Księżyc dopiero zaczynał maleć po niedawnej pełni i na jego tle dostrzegł rój nietoperzy. Spojrzał jeszcze na krajobraz w mieniący się odcieniami ciemnej zieleni i purpury, po czym zamknął okiennice, upewniając się, że będą solidnie trzymać.

Zamyślony wrócił na łóżko. W Waterdeep zając wystarczał mu na wieczorny posiłek, a teraz prawie uśmiercił z głodu młodą kobietę.

Całe wieki spędził niejako z dala od prawdziwej natury swego przekleństwa - konieczności picia ludzkiej krwi. W pewien sposób zaprzeczał jej, udając, że jeśli poprzestanie na krwi zwierząt, biorąc od ludzi tylko tyle, ile niezbędnie potrzebuje, stanie się w jakimś sensie lepszy od innych wampirów. Czuł pogardę dla samego siebie, że nie potrafi już dłużej uciekać przed swym przeznaczeniem, jednak nawet to okropne uczucie nie było w stanie stłumić uczucia głodu.

Czuł, jak ta świadomość ciąży mu na sercu. Z ciężkim, prawdziwie ludzkim westchnieniem skrył twarz w dłoniach.

- Anno - jęknął. - Anno, tak bardzo za tobą tęsknię.

- Naprawdę?

Słońce stało wysoko na niebie, a Jander leżał na wznak na łożu. Podniósł wzrok, ciekaw, kto to przemówił, i ujrzał Annę, przyglądającą mu się czule. Opalone dłonie oparła na biodrach, a kasztanowe włosy, nabierające w słonecznym świetle rudego odcienia, spływały jej po plecach. Jej oczy śmiały się do niego.

- Naprawdę za mną tęsknisz? - spytała ponownie. Jander był świadom, że znajduje się w dziwnym stanie półsypienia, mógł jednak tylko odpowiedzieć:

- Bardziej, niż za życiem samym, najdroższa.

Anna podeszła do niego, wzięła w objęcia i poczuł na jej skórze woń słońca i mydła. Wstała, by podejść do okna i z rozmachem otworzyć okiennice; do wnętrza wlał się cudowny blask słońca, omywając Jandera niczym jakaś rzeka światła.

Jakież to rzeczywiście, pomyślał, jakie słodko prawdziwe.

Zauważył, że zaniedbane komnaty zrobiły się jasne i pogodne, meble lśniące, wszystkie ozdoby sprawiały wrażenie dobrze utrzymanych. Trzymając się za ręce dwoje ukochanych zeszło po schodach, zatrzymując się i zerkając w głąb komnat, doskonale zadbanych i utrzymanych.

Na zewnątrz oczekiwały ich dwa mlecznobiałe rumaki. Kiedy Jander zbliżył się do jednego z nich, zwierzę wcisnęło mu pysk w dłoń i elf ze zdumieniem stwierdził, że trzyma w niej jabłko; dał je więc koniowi, a ten z wdzięcznością schrupał przysmak. Wraz z Anną dosiedli wierzchowców i ruszyli przed siebie w to piękne, późnowiosenne popołudnie. Obejrawszy się przez ramię elf dostrzegł zamek Ravenloft, piękne domostwo wspaniałej, szlacheckiej rodziny.

Po kilku błogich godzinach napoili spragnione zwierzęta w jeziorze Tser, a kiedy piły, Jander z Anną legli pod rozłożystym drzewem, wdychając zapach świeżej ziemi i ciesząc się przesączającym się przez listowie światłem słońca. Liście poruszały się w podmuchach lekkiej bryzy. Elf przez chwilę wsłuchiwał się w muzykę płynącej wody i świergot ptaków.

- Czemu nawiedzasz mnie w ten sposób? - zapytał. Anna opierała głowę na jego piersi i teraz uniosła ją pytająco. Z namysłem spojrzała mu w oczy.

- Chcesz, żebym przestała?

- Nie! Ale to wszystko nieprawda.

- Któż może powiedzieć, co jest rzeczywistością, a co iluzją? Jesteśmy razem; czy to nie wystarczy? Poza tym - w jej głosie pojawiła się psotna nuta - nie chcę, żebyś o mnie zapomniał.

Podniósł do ust jej dłoń i ucałował kolejno koniuszek każdego palca.

- Nigdy.

- Ale już to zrobiłeś. Wiesz, gdzie rozpocząć poszukiwania, lecz nie uczyniłeś tego. Jander, kochanie, pomścij mnie.

Jej twarz zmieniła się, oczy zaszyły łzami.

- Na wszystko, co straciliśmy przez mój obłęd... Pomścij mnie!

Jander, kompletnie zdezorientowany, nagle przebudził się. Czuł nieprzyjemne gorąco i nudności. Zasnął w sypialni po tym, jak posilił się krwią Nataszy, a teraz przez szczelnie zamknięte okiennice odrobina śmiertelniego słonecznego światła sączyła się do komnaty - niewiele, ale wystarczyło, żeby poczuł się gorzej. Ponownie wyostrzyły mu się wszystkie zmysły i musiał zamknąć oczy, boleśnie przywrócony do mrocznej rzeczywistości.

Sprawdził, czy Natasza śpi spokojnie, i wrócił do gabinetu z zamiarem przejrzania bogatej biblioteki Strahda. Przez moment poczuł lekkie zniechęcenie na sam widok ilości zgromadzonych w niej ksiąg. Lata całe żył jak pustelnik w jaskini, za jedynych towarzyszy mając obłąkanych, których krwią czasem się żywił, i czuł się nieco niezręcznie w miejscu emanującym aurą historii i literatury. Księgi były przepiękne, toteż dłuższą chwilę przyglądał się wykonaniu skórzanych okładek. Na niektórych z nich widniał, jak sądził, herb hrabiego - duży czarny kruk, były też inne znaki. Szczególną urodą odznaczał się symbol słońca z rozchodzącym się od niego promieniami.

- Hmm, równie dobrze mogę zacząć od początku - wymamrotał sam do siebie Jander i, wybrawszy sobie jedną z półek, jął odczytywać tytuły: *Herby linii von Zarouich*, *Skóra i stal historia Baal Verzi*, *Legendsy Kregu*, *Opowieści nocy*, *Sztuka Kalimar Kandru*, *Barouia: od roku 15 do teraz*.

Zachwycony różnorodnością tomów zdjął z regału kilka z nich, złożył na stertę przy jednym z foteli i wybrał jeden na chybił-trafił - *Skóra i stal historia Baal Verzi*. Na okładce widniała okrwawiona czaszka. Elf zmarszczył brwi; wątpliwe, żeby tu znalazł jakieś wskazówki dotyczące losów Anny... A może właśnie coś się trafi. Otworzył starą księgę, zaciągając się jej lekko stęchlą wonią i zaczął czytać.

*W naszych cywilizowanych czasach - pisał we wstępie dawno nieżyjący autor - trudno sobie wyobrazić społeczeństwo, w którym zabójcy funkcjonują otwarcie, jako zwyczajni członkowie społeczności. W naszym kraju, w burzliwym ósmym stuleciu być zabójcą, czyli Baal Verzi, znaczyło mniej więcej tyle, co być politykiem bądź popularnym artystą. Człowiek taki określał, na ile się ceni, po czym częstokroć pobierał od różnych ludzi znaczne sumy pieniędzy w zamian za ochronę.*

*Baal Verzi nosił kolorowe, ozdobne stroje z wyraźnie widocznym symbolem organizacji - zakrwawioną czaszką. Ich bronią były ostrza o pięknym wyglądzie i przerażającej wymowie - oprawę rękojeści wykonywał ze skóry swojej pierwszej ofiary sam właściciel. Pierwszym zabitym musiał być ktoś, kogo Baal Verzi znał - tego wymagała tradycja. W ten sposób tylko najtwardsi poznawali sekrety Baal Verzi i mogli sobie zasłużyć na ich opiekę...*

Jander wzdygnął się i prawie rzucił książkę na wyłożoną dywanem podłogę. Sięgnął po inną, „Słowa Mądrości” i czym prędzej zatopił się w niej, aby pozbyć się z umysłu obrazu noża Baal Verzi. Udało mu się, gdyż trafił na zbiór poezji religijnej poświęconej jakiemuś dawno zapomnianemu bogu.

*Bo słońce i księżyc mnie przynależą, Jako i wszystkie rzeczy piękne i jasne; Mój jest poranek i południe I wszystko, co z dnia i nocy się wywodzi.*

*Słyszcie mnie, o synowie i córki; Odnajdźcie mądrość wody Słyszcie nurtu rzeki śmiech, A radość i pokój spłyną na was.*

Wśród tych dość prostych strof Jander nie natrafił na żadną wskazówkę, dotyczącą losów ukochanej, odnalazł w nich jednak spokój i uświadomił sobie, że jest jeszcze jakieś piękno w tej mrocznej krainie, do której przywiodły go mgły.

W gabinecie nie było okien, toteż nie miał pojęcia, ile upłynęło czasu, ale kiedy poszedł sprawdzić, jak miewa się dziewczyna, z zaskoczeniem stwierdził, że jest już dawno po zachodzie słońca. Natasza spała, jakby już była jedną z nieumarłych. Na jej szyi znać było ślady ukąszenia, ale kolory zaczęły wracać na jej policzki. Kiedy pochylił się nad nią, jęknęła przez sen i odwróciła się na drugi bok.

We śnie wyglądają tak zachęcająco - do jego ucha doleciał łagodny głos. - Ufam, iż spełniła twoje oczekiwania? - stojący u jego boku Strahd uśmiechał się blade.

Trochę dla mnie za młoda, ale przecież trudno znaleźć kogoś w stosownym wieku, jeśli ma się ponad siedemset lat - zażartował Jander, starając się ukryć zaskoczenie. Tak długo przebywał sam, że zdążył zapomnieć, jak ciche potrafią być wampiry.

Strahd zmarszczył lekko brwi.

- Siedemset lat? - widać było, że traktuje słowa Jandera jak dowcip. - Aaa, rozumiem. Liczysz lata, które przeżyłeś jako żywa istota.

- W pewnym sensie - przyznał Jander - ale to byłyby tylko dwa stulecia. Od pięciu wieków jestem wampirem.

Strahd milczał dłuższą chwilę, wreszcie odezwał się:

- Nie jestem w stanie pojąć czegoś takiego. Sam mam za sobą ledwie pierwsze sto lat i przy tobie znów czuję się dzieckiem. Ileż mogę się od ciebie nauczyć!

- Dostrzegłszy głód wiedzy w oczach hrabiego Jander zaczął się zastanawiać, czy to najlepsze miejsce do odgrywania roli starego mędrca. Na szczęście Strahd zmienił temat.

- Jesteś głodny, przyjacielu? W elfie odezwało się pragnienie.

- Tak - odparł.

Tego wieczora polowali wspólnie; później spędzili w ten sposób jeszcze wiele, wiele nocy. Jeden z Cyganów zauważył kilkoro nieustraszonych - a może głupich - podróżnych, którzy spóźnili się i nie dostali już miejsca w gospodzie. Jander doskonale pamiętał zgorzkniałą minę karczmarza i odmowę przyjmowania gości po zmroku. Rzecz jasna także żaden z przerażonych wieśniaków nie zgodził się udzielić im gościny, więc mała grupka - trzech mężczyzn, dwie kobiety i dziecko - rozbiła prowizoryczny obóz nieopodal mostu przez rzekę Mis.

Jander i Strahd dla wygody przybrali wilczą postać. Kiedy tak pędzili przez las Svalich, gnani pałającą w ich umysłach żądzą, przyłączyły się do nich trzy prawdziwe wilki i dwie niewolnice hrabiego w wilczej skórze. Noc była jasna i chłodna, w powietrzu unosiło się akurat dość wilgoci, by zapachy niosły się daleko. Dotarli na odległość kilkudziesięciu metrów od obozowiska i sylwetka wielkiego zwierzęcia, którym był Strahd, zamigotała, rozwiła się w mgiełkę i ponownie uformowała, tym razem w ludzką postać. Jander poszedł w ślady swego gospodarza, przybierając normalny kształt Cicho, niczym sama noc, podkradli się do nie spodziewającej się niczego zwierzyny; wilki wraz z niewolnicami otoczyły leśną polankę, odcinając drogę ucieczki.

Jander ze Strahdem nie zaatakowali od razu. Oczekali cierpliwie, aż raz, potem drugi rozległo się pohukiwanie sowy, a księżyc przemierzył kilka stopni na nieboskłonie - dopiero wtedy uderzyli, w przesiąkniętej wilgocią, nocnej ciszy.

Obcy okazali się łatwą zdobyczą, łatwiejszą, niż obydwaj wampiry mogłyby podejrzewać. Jeden potężny, zarośnięty mężczyzna, prawdopodobnie pozostawiony na straży, chrapał oparty o drzewo; nagi miecz wypadł mu z bezwładnej dłoni. Stał się pierwszą ofiarą: Strahd zmaterializował się przed nim, chwycił za ubranie i błyskawicznie zatopił kły w jego gardle. Oczy mężczyzny otworzyły się, a usta rozwarły w bezgłośnym krzyku, ale hrabia szybko pił jego krew i wkrótce powieki opadły z powrotem.

Kiedy Strahd posilał się, Jander zdecydował się zabrać się za drugiego z ludzi. Ten wprawdzie nie mógł nic usłyszeć - obydwaj poruszali się ciszej od samej ciszy - ale, być może pod wpływem jakiegoś instynktu, zerwał się i krzyknął ostrzegawczo. Jander wydał milczący rozkaz

jednemu z wilków, które im towarzyszyły i zwierzę skoczyło, z łatwością przygniatając człowieka, choć wcale nie ułomka, swoim ciężarem. W tym momencie włączył się Jander, szybko i w milczeniu podchodząc i wgrzyzając się białymi zębami w gardło ofiary. Kruczowłosa niewolnica kręciła się nieopodal, sycząc i oczekując chwili, gdy dostaną jej się resztki po elfie.

Ten zaś nie bawił się w przegryzanie żyły na szyi, wybierając główną tętnicę. Nie było czasu na niespieszny posiłek - nieumarłe ciało domagało się pokarmu. W chwili, gdy jego kły przebiły naczynie, z rany trysnęła płynąca wprost z serca krew. Jander gorączkowo przełykał gwałtownie spływający mu do gardła ciepły, słonawy płyn. Z czarnym humorem zastanawiał się tylko, czy wampir mógłby utopić się we krwi własnej ofiary.

Trzeci z mężczyzn, wysoki, chudy i blady, wrzasnął, gmerając ręką w poszukiwaniu broni, gdy dłoń Strahda zacisnęła się na jego nadgarstku, miażdżąc go z łatwością. Dwa z wilków podskoczyły za uciekającymi kobietami, nie dając im umknąć. Strahd posilił się szkarłatną krwią, po czym odrzucił nieprzytomnego człowieka niczym zabawkę i zwrócił swą uwagę ku kobietom. Jego dwie niewolnice znalazły się przy nich wcześniej, oszalałe z głodu, ale posłuszne swemu panu. Schwytały kobiety i teraz przytrzymały je dla hrabiego.

Obie kobiety-ludzie miały po trzydzieści kilka lat, były szczupłe i odziane w proste, męskie stroje. Jedna z nich, o długich, płomiennie rudych włosach, przyglądała się wyzywająco Strahdowi, wijąc się w uścisku wampirzycy; druga, blondynka, miała krótko przycięte włosy. W pasie obejmował ją mocno mały chłopczyk, syn, piszcząc z przerażenia i nie zważając na niewolnicę Strahda. Wysoki dźwięk ranił wyczulone uszy wampira. Strahd groźnie postąpił krok w kierunku malca.

- W imię Torma Prawego, miej litość, to tylko dziecko...

Jander skończył właśnie okrutny posiłek i wierzchem złotoskórej dłoni ocierał usta, gdy do jego uszu dobiegł błagalny głos kobiety. Zaskoczony spojrzał na nią; Torm Prawy - zwany też Głupim lub Dzielnym - był bogiem pochodzącym z jego ojczyzny. Krew zaplamiła całe ubranie i twarz elfa, a próbując się wytrzeć tylko rozsmarował ją jeszcze bardziej. Kiedy wstał, przypominał bohatera z baśni, w złocie i czerwieni, któremu nagle, nie wiedzieć czemu, powierzono negatywną rolę.

Chłopczyk nie przestawał wrzeszczeć. Czarne brwi Strahda połączyły się na zmarszczonym czole. Wampir obnażył kły i wyciągnął po dziecko szczupłą dłoń.

- Martin, uciekaj! - krzyknęła kobieta i w ostatnim desperackim przypływie sił, jaki dany jest matce stojącej w obronie dziecka, wyrwała się z uścisku wampirzycy i rzuciła na Strahda.

Wilk skoczył zwinnie w jej stronę, rozszarpując jej gardło, nim zdążyła uczynić dwa kroki. Tunika nasiąkła krwią. Ciało jasnowłosej kobiety opadło bezwładnie u stóp jej dziecka.

- Nie! - zawyła rudowłosa, obrzucając Strahda wzrokiem pełnym strachu i nienawiści. Spojrzał jej w oczy, wykorzystując siłę swej woli.

- Przecież zasłużyła na to, prawda?

- Nie, ona tylko... - zamrugła oczami.

- Nie - ciągnął Strahd spokojnym, miękkim głosem - próbowała stanąć mi na drodze. To poważny błąd. Czyżbyś nie zgadzała się ze mną? Kobieta oblizła wargi.

- To duży błąd - powtórzyła tępo, już pod wpływem uroku wampira.

- Tak lepiej - z tymi słowami Strahd zwrócił swą uwagę z powrotem na chłopca, skulonego i drżącego przy ciele matki. Dziecko było w szoku. - Jest za mały, żebyśmy go zabrali, a poza tym mi już wystarczy. Zależy ci na nim, Janderze? - spytał, wskazując na chłopca.

Elf zaspokoił swój głód i teraz, spoglądając na dziecko, poczuł jak nagle ogarnia go litość. Nie chciał tego dziecka, chciał stąd odejść, chciał wrócić do domu, chciał być z Anną.

- Nie - odparł łagodnie - ale im też nie pozwól go skrzywdzić - dodał, patrząc na wściekłe, wygłodniałe wampirzycę.

- Ten człowiek z brodą koło drzewa, wciąż żyje. Mogą się tam pożywić.

- Jak sobie życzysz - rzekł hrabia i niewolnice pośpieszyły wyssać krew z nieprzytomnego mężczyzny. Strahd zwrócił się do rudowłosej kobiety, która wciąż wpatrywała się w zwłoki przyjaciółki: - Chodź, moja droga - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił, wyciągając do niej rękę.

- Udasz się do zamku Ravenloft

- A co z chłopcem? - upomniał się Jander. Strahd ledwie rzucił na dziecko okiem.

- Zrobisz co zechcesz. Nie jestem głodny - odparł i z kobietą u boku ruszył w długą drogę powrotną do zamku. Jander obejrzał się na trójkę mężczyzn, wciąż żywych, choć niewiele brakowało im do śmierci. Sam nie zabił swojej ofiary, gdyż nie zamierzał odbierać życia, Strahd zaś oszczędził dwóch pozostałych ludzi, bo wołał pić krew kobiet, z których mógł uczynić bardziej uległe wampirzycę.

Chłopczyk, mrugając oczyma, rozglądał się wokół zagubionym wzrokiem, aż zauważył przyglądającego mu się Jandera. Nie mogąc znieść niewinnego spojrzenia elf odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając malca samego, z nietkniętą szyją.

Po kilku chwilach chłopiec zapytał szeptem sam siebie:

- Pan Poranka?



## DZIEWIĘĆ



Następnego popołudnia, po kilku godzinach niespokojnej drzemki, Jander uznał, że czas zapoznać się bliżej z sekretami zamku.

Wiedział, że powinien wrócić do gabinetu i przewertować znajdujące się tam książki, ale nie potrafił już dłużej poskromić ciekawości.

Jedną z przyczyn, dla których porzucił piękno i spokój ojczystej krainy, było jego nie dające się opanować wścibstwo. Ravenloft stanowił istną kopalnię wspaniałych wytworów sztuki, ciekawostek architektonicznych i historycznych i dostrzegając na każdym kroku niszczące z upływem czasu piękno, Jander nie mógł się doczekać, kiedy zbada dokładnie to miejsce.

Pierwsze spotkanie z jednym ze „służących” Strahda nastąpiło w sali audiencyjnej, kiedy Jander ostrożnie zasiadł na ozdobnym tronie. Z mieszaniną podziwu i obrzydzenia zwrócił uwagę na to, jak pięknie wyrzeźbiono drewno - i jak później zaniedbano je na długie dziesięciolecia. Nagle zamarł w bezruchu, słysząc dochodzący zza jego pleców klekot.

Zeskoczył z tronu gotów do walki i ujrzał wpatrujące się w niego pustymi oczodołami pięć szkieletów. Z ich kości nadal zwisały strzępy mięśni. Wszystkie miały na sobie przegniłe resztki mundurów, co w połączeniu z trzymanymi w dłoniach mieczami pozwoliło elfowi domyślać się, iż oto ma przed sobą dawnych strażników zamku Ravenloft. Szkielety nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi, obeszczyły komnatę w parodii patrolu, po czym zajęły pozycje strażników na posterunku u wejścia do hallu.

Jander przypatrywał się im ze smutkiem; zawsze współczuł takim istotom: szkielety same z siebie nie były złe i elfia część jego natury litowała się nad biednymi duszami, którym odmówiono spoczynku. Przypuszczał, że pierwszego dnia jego wizyty w zamku hrabia nie pozwalała tym i podobnym „strażnikom” zbliżyć się do niego, gdyż musiał najpierw wydać odpowiednie instrukcje, by nie zrobili krzywdy jednemu gościowi przebywającemu w Ravenloft z własnej woli. Zastanawiał się tylko z dużym niepokojem, ileż to jeszcze innych stworzeń zamieszkiwało w tych mrocznych, wilgotnych murach.

Postanowił to sprawdzić.

Wstał z tronu i przeszedł wzdłuż pomieszczenia, dochodząc do długiego balkonu. Stały tam dwa inne, jeszcze piękniejsze fotele tronowe obrócone tyłem. Przez głowę przemknęła mu myśl, że szkielet lub coś bardziej przerażającego może czaić się na jednym z krzeseł, czekając na niego.

Zły na siebie za własne zdenerwowanie otrząsnął się z tego pomysłu i podszedł bliżej, wyciągając drżącą, złoto-skórą dłoń. Z wolna położył ją na oparciu jednego z tronów i czując ulgę przemieszana z zażenowaniem przymknął oczy; nikt na nim nie siedział i to, sądząc po zalegającej warstwie kurzu, już od wielu lat. Cóż zresztą mogłoby mu zrobić którekolwiek ze Strahdowych stworzeń?

Postąpił krok naprzód, oparł ręce na tronach i wychylając się spojrzał z balkonu. I, co zobaczył, zrobiło przygnębiające wrażenie na jego miłującej piękno duszy.

Przykry był widok leżącej w dole komnaty, niegdyś zamkowej kaplicy, podobnie jak wszystko wokół pięknie i bogato urządzonej. Witrazowe okna zabito deskami, tylko tu i ówdzie ledwie przesączały się smugi kolorowego światła. Powywracane, czasem połamane ławki poznaczone były rysami wyglądającymi, jakby pozostawiły je długie, ostre pazury. Kurz niczym opończa okrywał wszystko wraz ze zniszczonym ołtarzem.

Nawet z tej odległości Jander mógł stwierdzić, że w tym miejscu nie pozostała już żadna świętość, co zresztą było rzeczą właściwą w zamku, którym władał wampir. Elf potrząsnął tylko smutno głową i ruszył na dalsze oględziny.

Szerokimi schodami zszedł z powrotem na główny poziom, do ogromnej komnaty zaraz przy wejściu. U dołu schodów skręcił w lewo, wchodząc do długiego, zakurzonego korytarza. Wzdłuż całej jego długości stały posągi i kiedy Jander przechodząc odczytał inskrypcje na niektórych postumentach, znalazł kilka imion znajomych mu z lektury *Legend Kregu*. W przeciwieństwie do znajdującej się na piętrze komnaty z figurami ludzi, te rzeźby przedstawiały raczej istoty z literatury i mitów, a nie konkretne osobistości historyczne. Nie podobało mu się, że oczy posągów wydawały się go śledzić, gdy przemierzał korytarz.

Skierował się do kaplicy. Za życia zawsze chętnie odwiedzał świątynie, o ile tylko zarządzali nimi uczciwi kapłani dobrego i sprawiedliwego bóstwa. Jego zdaniem znajdowały się prawie równie blisko bogów, co otwarte przestrzenie. Prawie, choć nie do końca. Odkąd stał się nieumarłym, nie odwiedził świętego miejsca i teraz miał nadzieję, że uda mu się wejść do zbezczeszczonej kaplicy.

Już wyciągnął rękę, by otworzyć prowadzące do niej dwuskrzydłowe odrzwia, gdy nagły grzechot za plecami kazał mu powstrzymać się. Odwrócił się i ujrzał kolejny szkielet, tym razem nie w zbroi czy w zwisającym w strzępach mundurze, ale odziany w resztki niegdyś wspaniałego stroju i biżuterii. Najwyraźniej miał do czynienia ze strażnikiem kaplicy, zapewne niegdyś służącym w niej kapłanem. Jander zatrzymał się na moment, ale szkielet nie uczynił już żadnego gestu, żeby go powstrzymać.

Elf widział już przelotnie zrujnowane wnętrza z wysokiego balkonu, ale teraz, gdy wkroczył do dawnego sanktuarium, z bliska oglądał resztki świetności, przechadzając się wśród stert gruzu. Myśląc z żalem o utraconym pięknie przesuwając palcami po pokrywającej wszystko wiekowej warstwie kurzu. Doszedł do ołtarza, na którym bluźniercze dłonie wyrysowały w kurzu obsceniczne obrazy i runy nienawiści. Czując

nagłą wściekłość Jander przesunął po ołtarzu dłonią i zamazał błuźnierstwami.

Był wampirem i przekonał się, że prawdziwie święte miejsca są dla niego zakazane. Pozbawiono go wszystkiego, co ukochał - natury, słońca, uświęconych miejsc. Potrafił to zaakceptować, tak jak zaakceptował zło jako część swojego nowego świata, ale nawet upływ pięciu stuleci nie nauczył go godzić się z niszczeniem rzeczy pięknych. Teraz też zaczął się zastanawiać, czy jest coś, co mógłby zrobić, by przywrócić zamkowi dawną świetność.

Przysiadł na chwilę zamyślony w jednej z zachowanych ław i tak pograżył się w zadumie, że nie zwrócił uwagi na blednący blask dnia.

- Czyżby zatopiony w modlitwie? - doleciał go chłodny głos hrabiego.

Podniósł wzrok.

- Może. Jak się dziś miewasz?

- Nieźle, dziękuję, jestem tylko głodny. Czy nie miałbyś ochoty spróbować mojego nowego nabytku z ubiegłej nocy?

Jander wzdrygnął się na tę myśl, ale uważał, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Oto, czym była dla Strahda ta kobieta: nabytkiem, nie istotą ludzką...

- Nie, pozwól, że odmówię. Chciałbym koniecznie przejść się dziś samotnie po lesie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, hrabio.

- Ależ skąd. A tak poza tym - w głównej sali znajdziesz pożywienie dla swojej młodej panny. Kazałem sobie co parę, dostarczać świeżą żywność. Uspokaja to plotki w wiosce, a mieszkańcy mają coś do roboty oprócz picia. Zresztą jeśli mamy mieć z nich jakiś pożytek, trzeba zadbać, żeby byli w pełni sił, prawda?

Hrabia odwrócił się, zawijając szeroko płaszczem i nienaturalnie cicho oddalił się. Jander pospieszył za nim, chcąc jak najszybciej dostarczyć Nataszy jakiegoś pożywczego pokarmu. Wątlą pociechę czerpał z faktu, że czynił to tyle samo dla jej dobra, co dla własnego.

Przygotował dla dziewczyny talerze miękkiej wołowiny, warzyw i owoców. Kiedy wszedł z nim do jej komnaty, odkrył, że na jej policzki poczynają wracać rumieńce. Przyglądała mu się pustym wzrokiem, kiedy podawał jej jedzenie.

- Dobry wieczór, Nataszo. Nie odpowiedziała.

- Przyniosłem ci coś do jedzenia. Musisz być głodna.

- Nie - odparła cicho.

Przestał kroić mięso i spojrzał jej w oczy.

- Wydaje mi się, że jesteś naprawdę głodna i właśnie chcesz coś zjeść.

Nie chciał jej zmuszać do jedzenia, ale musiała się odżywiać. Zaraz pojawiła się gorzka myśl: nie, Jander, to ty musisz się odżywiać.

Zignorował głos w umyśle i wrócił do przygotowywania posiłku. Sugestia poskutkowała i Natasza spróbowała usiąść, wciągając z przyjemnością zapach potrawy. Pomógł jej, podkładając pod plecy poduszkę. Była zbyt słaba, by utrzymać sztucę, więc elf musiał ją karmić, co sprawiło, że nagle powróciło bolesne wspomnienie Anny. „Pomścij mnie”. Jutro wróci do gabinetu.

Po skończeniu posiłku Natasza spojrzała na Jandera z zaciekawieniem.

- Jak masz na imię? - spytała.

Jander - odpowiedział. Jej pytanie sprawiło mu przyjemność.

- Jesteś inny, niż hrabia.

Jander uśmiechnął się lekko zbierając naczynia.

- Tak, przypuszczam, że tak.

- Nie zrobisz ze mnie... - przestraszona zawiesiła głos.

- Wampira? Nie. Ale nie mogę pozwolić ci stąd odejść. Za dużo wiesz i mogłabyś mi niechcący zaszkodzić. Rozumiesz?

Dziewczyna przytaknęła, nagle markotna. Podniosła palce do szyi i dotknęła drobnych ranek. Znowu podniosła wzrok na elfa, który wyraźnie posmutniał.

- Muszę się posilać, tak samo, jak i ty - rzekł łagodnie, wskazując talerze. - Tb też rozumiesz?

Wolno skinęła głową.

Czuł do siebie większą odrazę, niż zwykle, kiedy odłożywszy naczynia wziął Nataszę w ramiona i pożywił się jej krwią, zadowolając się niezbędnym minimum czerwonego płynu. Skończył, położył ją na łożu, przykrył i pogładził ją po włosach, kiedy zamykała oczy.

Otworzył okiennice i poczuł na twarzy chłód nocnej bryzy. Musiał wyrwać się z zamku, znaleźć z dala od Nataszy, daleko w lesie. Szybko przeistoczył się w obłok szarej mgły, potem, już jako nietoperz, przysiadł na moment na okiennej ramie i poderwał się w przestworza.

Leciał miła za miłą, oglądając przesuwający się pod nim krajobraz. Lubił swoje postacie; wprawdzie najlepiej czuł się w elfiej skórze, ale wiele przemawiało za wolnością, jakiej doświadczał jako wilk o złotej sierści, przemierzający zielone lasy, czy za dzikim wdziękiem małego, brunatnego nietoperza. W dole wśród lasów i pól błyszczącą serpentyną wiła się Ivlis. Doskonale widoczny pierścień mgły wokół wioski kłębił się i pulsował. Mała pomarańczowa iskierka znaczyła miejsce, gdzie Vistani rozbili obozowisko, ku zachodowi zaś, jak wiedział, leżała rybacka wieś Vallaki. Niedługo, jednej z najbliższych nocy, będzie musiał się tam udać; może jej mieszkańcy okażą się mniej zastraszeni od tutejszych ludzi.

Nietoperz zanurkował i wylądował na niewielkim wzgórzu wznoszącym się między lasem i rzeką. Jander wrócił do postaci elfa i położył się w miękkiej, zielonej trawie. Rosa nie przeszkadzała mu cieszyć się solidnym oparciem ziemi, na której spoczywał, mimo iż była to Barovia, a nie jego ojczysty kraj. Zmarszczył brwi w zamyśleniu. Był jeszcze jeden problem: przybył tu nie przynosząc ani odrobiny ziemi z ojczyzny, a nie odczuwał żadnych zgubnych skutków. Marsową minę zastąpił gorzki uśmiech - wyglądało na to, że Barovia stała się jego domem.

Zamknął oczy i próbując uładzić pędzące szaleńczo myśli poddał się spokojowi panującemu na polanie. Dotknął dłonią wilgotnej trawy, delikatnie, z szacunkiem trącając pojedyncze źdźbła. Do śpiewającego w koronach drzew wiatru dołączały się miriady głosów leśnych stworzeń, tworząc piękną, nocną serenadę. Kiedyś Jander też cieszył się muzyką swego fletu, wygrywając na nim smutki i radości, śmiech i miłość, a jego serce unosiło się wraz z przesywającymi tonami instrumentu. Chciałby móc znowu ukoić melancholijny nastrój słodkimi dźwiękami.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spojrzał na najbliższe drzewo, chwiejące się i wzdychające w podmuchach wiatru, z prawie całkowicie opadłym kwieciami: jabłoni - dobry wybór. Jander zawahał się, ale zaraz dobył sztyletu i odciął gałązkę. Resztę nocy spędził siedząc na brzegu rzeki i pracując na kawałkiem drewna tak, jak czynił to już setki razy. Mimo, iż dosłownie wieki minęły od czasu, gdy ostatni raz robił flet, jego dłonie wciąż pamiętały niezbędne ruchy. Zanim zorientował się, że oto nadchodzi świt, większą część pracy miał za sobą. Zmarszczył brwi: kiedy zmieniał się w nietoperza czy wilka, jego ubranie przechodziło przemianę wraz z nim. Czy z fletem będzie tak samo, jeśli wetknie go za pas?

Natychmiast, świadom nadciągającego poranka, skoncentrował się i przybrał kształt nietoperza - flet nie stanowił problemu. Pofrunął szybko w stronę zamku.

Większość dnia spędził w kaplicy, bezpieczny od słonecznych promieni, pochłonięty rzeźbieniem ozdób instrumentu. Gdzieś koło południa, kiedy powieki opadały mu ze zmęczenia, położył się w jednej z ław. To tylko drzemka zapewniał sam siebie, opierając głowę na zgiętym ramieniu i tuląc do siebie niemal gotowy flet. Parę chwil, żeby oczy odpoczęły...

- Czemu nigdy nie grałeś dla mnie w przytułku? - doleciał go głos słodki jak słoneczny blask. Otworzył oczy i ujrzał Annę, siedzącą obok niego w wypolerowanej drewnianej ławce. Przyglądała się z ciekawością rzeźbionemu instrumentowi.

Jander zamrugał, oślepiony wpadającym przez witraże światłem słońca. Tęcza barw przemieniła kaplicę w paletę kolorów godną artysty. Na przygotowanym do nabożeństwa ołtarzu srebrne święte symbole lśniły odbitym fioletowym i bladobłękitnym blaskiem, wpadającym przez okna. Całą komnatę przepelniał spokój i cicha, spokojna radość. Jander przypomniał sobie wers jednego z poematów *Miłość twa niejednej jest barwy i niczym tęcza lśni; nieskończone są rozkosze tych, co idą w twoje ślady*

- Jest śliczny, Jander - rzekła ciepło Anna z zachwyconym uśmiechem na twarzy. Podała mu flet - Zagraj coś dla mnie, dobrze?

Od wieków nie grał i nie mógł się zmusić, aby spróbować. Jednak tu, w tej świętej, rozświetlonej słońcem kaplicy, kiedy Anna wpatrywała się w niego wyczekująco, odnalazł w sobie dość odwagi i uniósł flet do ust. Zaczerpnął tchu, zacisnął wargi i zadął.

Z instrumentu dobył się pozbawiony harmonii pisk, przywodzący na myśl okrutny, przeraźliwy ból. Flet zwinął się w dłoniach elfa i zmienił w ohydny, czarny robak, który wił się i syczał. Przerażony Jander wypuścił go z rąk i stwór umknął. Całą komnatę skryła złowroga ciemność, gorsza od zwyczajnego mroku nocy; w cieniach kryły się jakieś skulone istoty - Jander, mimo infrawizji, dostrzegał tylko ich jarzące się czerwono oczy. Wyciągnął rękę, chcąc złapać Annę i jego dłoń zamknęła się na twardym ciele potwornego, zdeformowanego stworzenia. Stwór miał na sobie to samo odzienie, co dziewczyna. Odór dobywający się z jego szeroko rozwartej, ociekającej paszczy przyprawiał go o mdłości.

Teraz widzisz świat takim, jakim ja oglądałam go przez ponad wiek! Jakie to uczucie być obłąkanym, Janderze Sunstar?

Wampir poderwał się z krzykiem. Był sam w zniszczonej kaplicy. Dzień powoli chylił się ku zachodowi. Nic się nie zmieniło. Nadal drżąc Jander spojrzął na flet. Mimo koszmaru zamierzał go ukończyć.

- Anno - wyszeptał. - Nie wiedziałem, jaka to udręka dla ciebie... Przebac mi.

Godzinę później flet był całkowicie skończony. W niczym nie przypominał ozdobnego instrumentu z koszmaru, z czego Jander cieszył się w duchu. Wciąż bał się na nim zagrać. Zły na siebie za tchórzostwo wetknął go za pas i zszedł po schodach. Wrócił do sali przy drzwiach i udał się do pomieszczenia, które okazało się być główną jadalnią: stał tu ogromny, zakurzony stół i tuzin krzeseł. Po obu bokach ustawiono solidnie wykonane, ozdobne kredensy. Uwagę elfa przyciągnął znajdujący się w drugim końcu sali przedmiot, okryty płachtą.

Nigdy przedtem nie widział czegoś podobnego, toteż podszedł i ciekawie zdjął przykrycie. Tajemniczy przedmiot składał się z setek drobnych elementów. Od jego szczytu odchodziły różnorodne piszczałki, poniżej zaś, ułożone obok siebie na podobieństwo zębów, leżały żółtawe kawałki kości słoniowej. Z przodu ustawiono drewnianą ławkę, pod którą Jander dostrzegł jeszcze dodatkowy szereg przedmiotów.

- Widzę, że znalazłeś moją zabawkę. - usłyszał głos Strahda.

- Co to jest? - spytał Jander, zafascynowany.

- Instrument muzyczny - wyjaśnił Strahd. Elf wyczuł wahanie w głosie hrabiego i ciekawie uniósł brwi. - Organy. Muzyka, która się z nich dobywa, jest bardzo piękna, bardzo głośna i bardzo... potężna. Kiedyś byłem prawdziwym wirtuozem organów, ale to dawne czasy.

Uczynił gest, jakby zamierzał przykryć instrument, ale Jander położył mu dłoń na ramieniu.

- Mógłbyś coś dla mnie zagrać? - poprosił. - Kiedyś też kochałem muzykę. Te komnaty są takie ciche; chciałbym, żebyś coś dla mnie

zagrał.

Strahd walczył ze sobą. Jander widział, że jakaś część jego istoty chciałaby znów pieścić dotykiem instrument, sprawić, by po latach ponownie rozbrzmiała jego pieśń. Ale musiał się z tym wiązać również ból. Strahd wahał się tak długo, iż elf nabrał pewności, że odmówi. Jednak ku jego zaskoczeniu hrabia rzekł:

- Dobrze. Prosiłbym tylko, byś wybaczył mi przykre nuty, które mogą mi się trafić. To już tyle czasu.

Strahd zasiadł przed masywnym instrumentem, zupełnie jakby czynił to od lat i automatycznym gestem odrzucił w tył poły czarnego stroju. Długie palce podobne do pajęczych odnóży zatańczyły na klawiszach. Jander poczuł, jak jego własne ciało sztywnieje w odpowiedzi na emanujące z hrabiego napięcie.

Organy obudziły się do życia w majestatycznym grzmocie muzyki, godnym boskich rogów. Ich brzmienie przetaczało się przez komnatę jadalną falami dźwięku, przenikając Jandera do głębi istoty. Natrętna, wymagająca, piękna - taka była muzyka płynąca spod palców Strahda; Jander odczuwał ją jako wspinałe, poruszające przeżycie.

Przesycony smutkiem i dostojeństwem utwór wykonywany przez hrabiego przerażał swym ogromem. Jander przysłuchiwał się z zamkniętymi oczami, żeby lepiej się skupić i pozwolił ciału reagować swobodnie na potężny zew muzyki. Pieśń skończyła się, ale Strahd wyraźnie nie chciał porzucić instrumentu; jego palce błędziły leniwie po kościanych klawiszach.

Dłonie Jandera sięgnęły do pasa i zatknętego tam drewnianego fletu. Pamiętał niedawny koszmar, a teraz kusilo go, by zagrać. Czując wypełniający go cudowny strach, Jander uniósł flet do ust.

Nie musiał oddychać, żeby istnieć jako nieumarły. Mówienie wymagało nabrania oddechu, ale od dziesięcioleci nie napełniał płuc powietrzem tak, jak teraz. Wziął wdech i przytknął wargi do fletu.

Rozległ się czysty, słodki, melodyjny dźwięk, brzmiący niczym ptasi świergot przy przypominających grzmot wodospadu organach Strahda. Hrabia uniósł wzrok i na jego bladej twarzy pojawiło się coś na kształt zachwytu zmieszanego z zaskoczeniem. Oba wampiry razem, spontanicznie tworzyły piękną muzykę; czyste tony fletu tańczyły i przemykały na kształt błysków światła wśród głębokich organowych akordów. Muzyka stawała się delikatna, spokojna, perlista, by po chwili rosnąć i wybuchać jak fale rozbijające się o brzeg - prawdziwe dzieło wampirów, oddające targające jego twórcami męczarnie, harmonia potępionych.

Skończyli swe pieśni równocześnie i cisza wypełniła ich uszy. Kiedy wymienili spojrzenia, Jander odnalazł w oczach hrabiego własny ból.

Potrąbili tworzyć muzykę, ale jakże różną od kompozycji śmiertelników, którzy nigdy nie zdołaliby przepoić dzieł swoich niewinnych instrumentów tak wściekłym bólem i dzikim triumfem, jakie słychać było w duecie elfa ze Strahdem. Przez moment zapomnieli o bólu, próbując go wyrazić; muzyka wyzwoliła ich ze stanu życia w śmierci i mogli napawać się tym uczuciem.

W panującej niespokojnej ciszy Strahd zdjął palce z klawiatury i złożył ręce na kolanach. Przyglądał się im, obserwując długie, ostre paznokcie z niedbałością przeczącą kipiącym w głębi emocjom. Oto coś poruszyło hrabiego i to nie mord, moc, wściekłość czy smutek, lecz piękno. Przez chwilę byli pokrewnymi duszami.

Jeszcze raz podniósł oczy spotykając wzrok Jandera. Pozostał w nich tylko spokojny spryt, który elf zaczynał aż za dobrze rozpoznawać. Chwila minęła, ale nie zapomną jej. Strahd zdawał się wyczuwać, że oto odkrył wrażliwą cząstkę swej natury, toteż celowo zmienił temat.

Wystarczy tego - rzekł szorstko, narzucając przykrycie na organy z niepotrzebnym ożywieniem. - Nie porozmawialiśmy dotąd tak, jak to sobie obiecywaliśmy. Chodźmy do gabinetu, gdzie, jak widziałem, spędzasz wiele czasu. Opowiesz mi, czy mój dom odpowiada twoim gustom.

- Pozostało mi jeszcze dużo ksiąg do przeczytania, Wasza Ekscelencjo, ale te, które dotąd widziałem, są... interesujące. Zwróciłem uwagę na kilka, które zapisano stosując dziwny rodzaj szyfru - odparł Jander, kiedy ruszyli powoli w górę schodów.

- Ach, tak. To moje osobiste zapiski. Sam wymyśliłem ten kod.

- Bardzo trudno go rozszyfrować. Czy mógłbyś mnie tego nauczyć?

Strahd spojrzął na elfa i chłodnym głosem zapytał ostro:

- Po co?

- Wciąż szukam czegoś na temat mojej pani - odrzekł Jander. - Miałem nadzieję, że znajdę coś użytecznego, ale, jak dotąd, na nic nie natrafiłem.

- Och, jakże mi przykro. Oczywiście, że cię nauczę - zaproponował Strahd. - Pod warunkiem - zawiesił głos, po czym kontynuował, już ostrzejszym tonem - że ty zaczniesz i uczyć mnie. Sam sporo dowiedziałem się o wampiryzmie, nie mając żadnego nauczyciela, ale ty możesz powiedzieć mi więcej.

Dotarli do pracowni i Strahd zasiadł w jednym z foteli, wskazując elfowi drugi.

- A teraz - rozkazał hrabia - wezwij wilki.

Jander aż zeszywniał z gniewu, słysząc ton gospodarza, ale zmusił się do opanowania złości. Przymknął oczy i wysłał swój umysł na poszukiwania wilczych istot. Delikatnie musnął wilka przy wejściu. Chodź do mnie, przyjacielu, polecił mu w milczeniu. Odkrył kolejne

zwierzę, pilnujące Nataszy w jej pokoju, i jemu również kazał przybyć.

W kilka chwil później dwa wilki, szary i czarny, weszły do gabinetu i położyły się u stóp elfa. wąskie wargi hrabiego rozciągnęły się w uśmiechu.

- Teraz ja je przywołam.

Złożył dłonie tak, że stykały się koniuszkami palców i zmrużył czarne oczy. Wilki odwróciły łby w jego stronę. Jeden z nich zaskomlił, po czym oba podniosły się i podeszły do Strahda. Czarny wyciągnął do niego łapę.

Jander skupił się ponownie. Tym razem znacznie trudniej było mu przebić się do umysłów zwierząt; wyczuwał w nich obecność hrabiego. Zamknął oczy i skoncentrował myśli. Podenerwowane wilki położyły uszy po sobie i spoglądały to Jandera, to na hrabiego, aż w końcu, wyraźnie wylęknione i cierpiące z drżeniem podczołgały się do nóg elfa.

Strahd gwałtownie otworzył oczy. W ich głębi czaił się gniew.

- Jak tego dokonałeś? - spytał ostro. Jander pozostał opanowany.

- Kontrolowanie zwierząt i ludzi opiera się na woli wampira. Wszystko, co zrobiłem, to...

- Śmiesz sugerować, że ja mam słabą wolę?

- Nie, Wasza Ekscelencjo - odparł nieco zaskoczony Jander. - po prostu jesteś młodszy ode mnie i nie masz takiej wprawy. Przez wiele lat byłem niewolnikiem. Nauczyłem się, jak robić to, co widziałeś, bo tylko w ten sposób mogłem uciec mojemu panu. Wola przeżycia i wolność są znakomitą podniętą, znacznie lepszą niż chęć popisywania się sztuczkami ze zwierzętami.

Strahd przez chwilę wytrzymał spojrzenie elfa, po czym wolno skinął głową.

- Przyznaję ci rację. - Usadowił się głębiej w fotelu i położył stopy na stojącym przed nim podnóżku. Jander, nieco zmieszany, postąpił podobnie. Wilki drzemały zadowolone w ciepłe buzującego na kominku ognia. Elfa uderzyła pozorna normalność tej sceny, którą mącił jedynie fakt, iż dwaj „przyjaciele przy kielichu” raczyli się krwią zamiast czerwonego wina.

Po długim czasie Jander przerwał milczenie:

- Czemu w tym miejscu nie mogę się żywić krwią zwierząt? - spytał. - Przez pięćset lat nie działo się nic złego, a tutaj od niej choruję.

Strahd nie od razu odpowiedział, ale wreszcie rzekł:

- W Barovii jest inaczej.

- Taaak, to dość oczywiste, ale dlaczego? Twierdzisz, że „jesteś tą krainą”. Co się tu dzieje, Strahdzie?

Hrabia zacisnęła mocniej szczęki. Jander trafił w czuły punkt, ale nie miał innego sposobu, by uzyskać odpowiedzi, musiał jakoś dotknąć drugiego wampira.

- Tu, w Barovii, jesteśmy swoim własnym światem - odrzekł hrabia, cedząc słowa. - A zarazem nie jesteśmy żadnym światem. Osobiście uważam, iż znajdujemy się na jedynej w swoim rodzaju płaszczyźnie istnienia. Nie sądzę, żeby udało ci się znaleźć Barovię na jakiegokolwiek mapie. Przynajmniej już nie teraz. - Otworzył oczy i spojrzał na elfa ze zgorzkniałym wyrazem twarzy. - Uwierzyłbyś, Janderze, że byłem kiedyś szlachetnym, sprawiedliwym wojownikiem?

Elf nie spodziewał się tak gwałtownej zmiany tematu i Strahd uśmiechnął się lekko, dostrzegając jego zmieszanie.

- Widzę, że masz pewne trudności z oswojeniem się z tą myślą. Nie przejmuj się, nie obrazisz mnie. Samemu z trudem przychodzi mi w to wierzyć. Wszystko się zmienia, nieprawdaż? Jeśli możesz powstrzymać swoje wątpliwości, wyobraź mnie sobie w takiej roli. Byłem wojownikiem walczącym o słuszne sprawy, zjednoczyłem wiele krajów, pokonałem wielu ludzi. Walczyłem uczciwie i dobrze, a moja armia nie miała sobie równych. Dorastałem z mieczem w dłoni i tak często znajdowałem się o włos od śmierci, że nie umiałbym nawet zliczyć tych wszystkich przypadków. Potem walka się skończyła i nagle nie było dla mnie miejsca. Stałem się zbędny. Przywykłem do przewodzenia wojownikom, a nie rządzenia pospółstwem i mimo iż pochodzę z długiej linii władców, nie chciałem rządzić krajem. Moi rodzice umarli, a ja byłem ich najstarszym potomkiem. Nie miałem wyboru - w taki oto sposób zostałem władcą Barovii.

Strahd wstał z fotela i zaczął spacerować po komnacie. Po jego twarzy nie znać było wewnętrznego wrzenia.

- Wtedy Barovia była częścią... - piękny głos hrabiego umilkł i w jego oczach błysnęło coś na kształt zmieszania. Zaśmiał się cicho.

- Wiesz, nie pamiętam nazwy mojej ojczyzny... Przerwał, zapatrzony w dal, próbując sobie przypomnieć.

Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi, nie jest najważniejsza. Najwidoczniej kraj woli, żebym zapomniał.

Mimo gorąca płomieni Jandera zmroziło. Kraj chciał, żeby Strahd zapomniał, jak nazywa się jego ojczyzna? Na bogów, czy to miejsce naprawdę żyło? Myśl, że mógłby zapomnieć o Waterdeep i Evermeet napawała go przerażeniem. Wspomnienia mogły być bolesne, ale trzymały go przy życiu. Nagle ugodziła go inna idea: a gdyby ten kraj chciał, żeby zapomniał Annę? Uczynił milczącą przysięgę, że świadomie nie zapomni ani jej, ani planu zemsty w jej imieniu.

- Dość rzec, że ja byłem prawem, a moje prawa nie były łagodne - miękki niczym jedwab głos Strahda wyrwał elfa z zamyślenia. Jander ponownie skupił myśli. - Pewnego ranka obudziłem się i stwierdziłem, że gdzieś ulotniła się moja młodość - ciągnął hrabia. - Przepadła i nic mi po niej nie zostało.

- Z pewnością znalazłeś pocieszenie w zwycięstwach, jakie odnosiłeś - podsunął Jander.

Strahd pogardliwie wykrzywił wargi.

- Pocieszenie? Ludzie nienawidzili mnie, a ja zupełnie o nich nie dbałem. Nie było pociechy, czekała mnie tylko śmierć. I wtedy... znów miałem szansę być młodym.

Stała się rzecz dziwna; głos Strahda złagodniał, zadźwięczała w nim czułość, jakiej Jander nigdy by się po nim nie spodziewał. Oczy straciły wyrachowany wyraz i stały się niemal ludzkie, kanciasta twarz z ostrymi kośćmi policzkowymi złagodniała, kiedy hrabia zatonął w marzeniu.

- Spotkałem ją. Miała na imię Tatiana, pochodziła z wioski. Ktoś trzeci wszedł między nas, niszcząc jakąkolwiek nadzieję, że moglibyśmy być razem szczęśliwi. Wpadłem w rozpacz. Jak mógłbym konkurować z tym młodym, pogodnym wojownikiem, który skradł mi jedyną istotę, jaką kiedykolwiek ukochałem?

Jander widział, że ze Strahda właśnie spadła maska i ma okazję oglądać śmiertelnego człowieka, który żył dawno temu.

- Modliłem się o wsparcie, o zemstę i moje modlitwy zostały wysłuchane. Sama Śmierć stanęła przede mną i zawarłem z Nią układ, pakt, przypieczętowany krwią mojego rywala, którego zabiłem w dniu jego ślubu z Tatianą. On jednak tak opętał Tatianę, że postanowiła połączyć się z nim w śmierci. Strażnicy próbowali mnie zabić, ale strzały nie imaly się tego ciała. Śmierć nie upomniała się o mnie, ale życie o mnie zapomniało.

Tak oto dokonał się mój pakt ze Śmiercią i otrzymałem obiecaną nagrodę. Mój kraj przestał być Barovią i przeistoczył się w to dziwne, inne królestwo, do którego miałeś nieszczęście trafić. Jak widzisz, Janderze Sunstar, rozumiem twoją stratę. Sam tkwię tu jak w pułapce. Nie udało mi się przekroczyć skrytych we mgle granic, za każdym razem wracam tutaj, do zamku i jego wspomnień.

Jander wyczuwał jakieś niedomówienie w opowieści Strahda; hrabia musiał gdzieś skłamać. Historia mogła być plugawa, ale prawda była o wiele bardziej przerażająca.

Przed laty, jeszcze za życia, Jander widział zwłoki dawno zmarłej osoby. Skóra na ciele zdawała się napięta i mocna, ale kiedy ostrożnie spróbował dotknąć jej mieczem, rozwarła się nagle i ujrzął kłębiące się we wnętrzu trupa robactwo. Taki właśnie obraz dojrzał przelotnie w swoim umyśle, kiedy Strahd skończył opowieść. Jak tamten trup, historia wydawała się nieprzyjemna, ale kompletna, z pozoru ludzka. Wiedział jednak, że gdyby pogrzebał głębiej, mroczna prawda wydostałaby się na światło dzienne jak robaki z truchła.

## DZIESIĘĆ



- Przykro mi, Anno, ale nic nie znalazłem.

We śnie Jander opierał się o ozdobną półkę nad kominkiem w gabinecie. Ręce skrzyżował na piersi, wpatrywał się w dywan. Wolał nie patrzeć na Annę, bo czuł, że sprawił jej zawód, choć przez ostatnie dwa tygodnie każdego popołudnia przeglądał wszystkie książki, które tylko umiał przeczytać.

- Nie szkodzi, kochanie - głos Anny był jednak smutny. Kiedy Jander podniósł wzrok, ujrzął ją siedzącą cicho w jednym z aksamitnych foteli. - To nie twoja wina.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się radośnie. W jej oczach błyszczały powstrzymywane łzy.

Czuł się tak, jakby miało mu pęknąć serce. Podszedł do dziewczyny i klękawszy oparł głowę na jej kolanach. Zmierzwiała palcami jego jasne włosy.

- Przeczytałem tu wszystko, co potrafię. Strahd nauczył mnie nawet, jak czytać jego własne notatki. Nie ma żadnych zapisków, dokumentów - nic, co mogłoby zaprowadzić mnie do ciebie.

- Poznajesz jednak historię mojej krainy.

Jander skrzywił się i wtulił twarz w chłodną w dotyku, bawełnianą, niebieską spódnicę Anny. Tb była prawda, chociaż przeszłość Barovii nie należała do najprzyjemniejszych.

- Może odpowiedź są tu, w zamku - ciągnęła słodkim głosem. - I to blisko, na wyciągnięcie ręki.

Jander podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Byłaś w zamku Ravenloft?

Uśmiechnęła się tajemniczo, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Anno, byłaś tu?

Obudził się w gabinecie, cały zeszywniały po drzemce na fotelu. Przeciągnął się, krzywiąc twarz w grymasie i oparł głowę na rękach. Jego wysiłki wciąż pozostawały bezowocne, a sen pełen marzeń nie przynosił zbytniego odpoczynku.

Kiedy wyczerpany wstał, kątem oka dostrzegł drzwi prowadzące do prywatnej komnaty Strahda. Przez chwilę zastanawiał się, co też

hrabia może tak zazdrośnie skrywać w zamkniętym i magicznie chronionym pokoju, ale niestety obiecał, że nie będzie tam myszkował. Przetarł oczy, odłożył na półkę książkę, nad którą zasnął, i wyszedł z pracowni. Jeśli Anna chciała, żeby dalej przeszukiwał zamek, musiał tak uczynić.

Po zmroku udał się do komnaty z mnóstwem posągów. Był nów i blade światło gwiazd, wpadające przez rzędy wysokich, łukowatych okien ledwie oświetlało nieruchome sylwetki. Pochodnię, z którą tu przyszedł, podniósł wyżej, żeby jej blask nie oślepił go i wolno ruszył od rzeźby do rzeźby.

Członkowie rodu von Zarovich odznaczali się niezwykłą urodą, nawet biorąc poprawkę na normalną u artysty chęć przypodobania się. Strahd uprzedzał go, że nie wszyscy jego przodkowie spoczywali w pokoju, ale elf i tak czuł się nieswojo, kiedy uwięzione w niektórych kamieniach duchy zdawały się poruszać w odpowiedzi na jego inspekcję. Złość, zawiedzione nadzieje, wściekłość, szaleństwo - miał wrażenie, że zniewolone dusze atakują jego zmysły wyblakłymi pozostałościami ludzkich uczuć.

Wszechogarniający smutek, zdrada, żal: oto kolejny, który nie znalazł spoczynku w jakimś wspaniałym życiu wiecznym. Była to ta sama statua, która zwróciła uwagę Jandera pierwszej nocy w zamku, z utraconą głową leżącą u jej stóp. Jander uklęknął na zakurzonej podłodze i podniósł kamienną głowę, odwracając jej twarz ku swojej.

Czemu ten jeden posąg tak oszpecono? Wszystkie pozostałe były tylko zaniedbane, rozpięte na nich pajęczne sieci skrywały ich rysy - a ten jeden z rozmysłem zniszczono. Jander zastanawiał się, kto też wyładował swój gniew na tej figurze, jakie przewiny straciły jej głowę z karku, kiedy próbowała się opierać temu ostatniemu zamachowi na jej tożsamość. Otarł kurz i pajęczyny z głowy posągu i zbliżył pochodnię, by lepiej przyjrzeć się twarzy. Męska, przystojna twarz, miała w rysach jakąś delikatność, która przypominała Janderowi Annę taką, jaką była w tych kilku zaledwie, druzgocąco krótkich chwilach wolnych od oblędu.

- Jakim zaklęciem cię spętano? - spytał Jander wstając. Nie wypuszczając z rąk znalezionej głowy spróbował osadzić ją na kikucie szyi, z którego wciąż zwieszał się kamienny amulet. Zachwiała się tylko w jego dłoni; zbyt wiele czasu minęło, by mogła z powrotem zająć właściwe miejsce.

- Uwolniłbym cię, gdybym tylko potrafił - Łagodnie rzekł Jander, przyklękając na kolano i odkładając ją z powrotem. - I niech Dziewięć Piekieł upomni się o Strahda.

Ponownie przysunął pochodnię, przyglądając się uważnie inskrypcji na postumencie. Wytarty, niekompletny napis mówił mu nie więcej, niż pierwszego wieczoru. Wyprostował się, czując lekki dreszcz i otrzepał kolana. Zamkowe lochy wydawały się drugim odpowiednim miejscem do zwiedzenia dzisiejszej nocy.

Za ciężkimi, dębowymi drzwiami, obitymi szerokimi pasami matowego mosiądzu, znalazł kamienne schody. Schodów w zamku Ravenloft nie brakowało, ale te były tak wytarte, że nawet pewny krok Jandera nie chronił go przed poślizgnięciem się na wgłębieniach szarego kamienia.

Opadały w ciemność i Jander cieszył się ze swojej pochodni, mijając puste uchwyty, wolną ręką wodząc wzdłuż wilgotnego muru. Schodził długo, zanim dotarł do miejsca będącego albo niewielką komnatą albo dużym półpięciem. Czuł się tu jak w pułapce, mając za sobą stromiznę schodów, a po bokach i z przodu - milczącą grozę trojga drzwi.

Podniósł nieco pochodnię i światło zaśniło na łypiących złośliwie ze ścian pyskach gargulców, wykrzywionych w uśmiechu. Zaskoczony i zły za to na siebie Jander odsłonił wysunięte kły i wyszczerzył się w odpowiedzi.

Otworzył drzwi na wprost i wszedł w krótki korytarz, zakończony szkarłatną, aksamitną zasłoną, za którą odkrył balkon, urządzonego z równym smakiem, co reszta zamku. Co takiego się tu znajdowało, na co chciałby popatrzeć władca? Elf podszedł bliżej.

Znajdująca się poniżej sala przypominała nieduży amfiteatr. W mdłej poświacie, stworzenia, które niegdyś były ludźmi, poruszały się w niemym *danse macabre* pośród narzędzi tortur, które zakończyły ich życie. Szkielet z lśniącymi rdzawo w świetle pochodni żebrami i czaszką przesuwając między palcami końcówki dziewięciorzemieńnego bicia z zadziarami, zupełnie jakby muzyka skóry i metalu ocierających się o kości sprawiała mu przyjemność. Tuż obok zombi wił się w żelaznych kajdanach, przykuwających go do ściany, udając, że desperacko próbuje się uwolnić. Strzępy gnijącego mięsa odpadały od kości. W całej wielkiej sali umarli odgrywali sceny, jakie dyktowało im mroczne poczucie humoru Strahda, przedrzeźniając własną śmierć i tępo opiekując się instrumentami, które przyniosły im mękę i zniszczenie.

Walcząc z obrzydzeniem Jander zeskoczył z krawędzi balkonu. Opadł lekko, z wdziękiem wśród okaleczonych zwłok i zmarszczył nos, czując ich odór. Wraz z wonią doleciały go dźwięki - słabe jęki i stłumione krzyki, niczym słyszane w koszmarnym śnie wycie uwięzionych dusz, niczym wrzaski opętanych kobiet, które prześladowały go za dnia i podczas spędzanych z Anną nocy.

Z grymasem na twarzy odwrócił się w kierunku źródła dźwięków. Po lewej ręce miał drzwi, prostokątną plamę głębszego cienia w ścianie pomieszczenia. Podszedł do nich, a w miarę, jak się zbliżał, coraz lepiej słyszał dochodzące zza nich odgłosy.

Zapamiętany z przytułku dla obłąkanych zgiełk dopadł go, gdy otworzył na oścież drzwi i stanął w przejściu. Jęki, szlochanie, żalostne modlitwy dobiegały z ciągnących się wzdłuż korytarza cel. Niektóre postaci zareagowały na jego nagłe pojawienie się kuląc się w kątach, inne znów rzuciły się naprzód, wyciągając ramiona przez kraty w błaganiach o pomoc lub litość - albo zapomnienie. To była spizarnia Strahda. Jander stał przez chwilę nasłuchując, przepełniony bólem. Nie miał prawa uwolnić tych ludzi; w Ravenloft był zaledwie gościem Strahda.

Nie potrafił opanować radości, jaką czuł na myśl, że Nataszę powierzono jego opiece, zamiast zamykać w tych mrocznych,

przerazających lochach. Pragnąc uciec przed odgłosami cierpienia wszedł szybko po krętych schodach, patrząc wprost przed siebie, żeby nie musieć spoglądać w twarze nieszczęśliwych.

Wzdłuż schodów pochodnie umieszczono co parę kroków. Na końcu Jander natknął się na drzwi, ale pokój, do którego prowadziły, okazał się zbyt ciemny nawet dla jego oczu. Zdjął więc ze ściany pochodnię i zajrzał do środka. Opuścił komnaty umierających, by trafić do pokojów umarłych. Miał przed sobą katakumby rodu von Zarovich.

Szybkim krokiem przekroczył próg pomieszczenia, gdzie kilkunastu sławnych przodków Strahda spało snem wiecznym. Miał przynajmniej nadzieję, że w większości zdążyli już obrócić się w proch, ale podejrzewał, że niektóre z przysadzistych grobowców zamieszkiwały istoty, których spoczynek trudno by nazwać spokojnym.

Dźwięk, zbyt wysoki dla ludzkich uszu, uprzedził go obecności tysięcy nietoperzy. Zwisaly ze ścian i sufitu, przesuając się niemrawo, próbując skryć nie nawykłe oczy przed blaskiem pochodni Jandera. Kilka szczególnie wystraszonych sfrunęło w dół i zaczęło zataczać opętańcze kręgi wokół elfa, wydając wysokie piski. Wreszcie uspokoiły się przysiadły na przeciwległej ścianie, wciskając się między towarzyszy. Podłogę i wieka sarkofagów pokrywała warstwa nietoperzowych odchodów.

Śmiertelnik wiedziałby, co to strach, gdyby trafił tutaj, pomyślał Jander; sam czuł tylko smutek i duszącą w gardle gorycz. Wrócił tą samą drogą.

\* \* \* \* \*

*Euermeet! Euermeet! Ojczyzno Ludzi, Królestwo słodkiej magii, kraino światła; Długo już bawię z dala od twych lasów, Długie są cienie przechodzące w noc.*

*Euermeet! Euermeet! Wiejąca ku wschodowi bryza Niesie woń brzegów Euermeet, Niebawem już Królestwa zostaną naprawdę Zapomniane i zagubione, kapryśne dziecię twe powróci do domu.*

Głos Nataszy nie dorównywał głosowi elfiej kobiety, która uczyła Jandera tej pieśni, ale nie miał nic przeciwko niemu. Przyjemnie było słyszeć w tym mrocznym kraju pieśń o ojczyźnie. Najpierw tylko grał Nataszy tę melodię na flecie. Dopiero kiedy zapytała, co to za utwór, chętnie nauczył ją tej i wielu innych elfich pieśni. Wiele godzin spędzali wspólnie - elf grając na flecie, dziewczyna wtórując mu swym, słodkim, choć smutnym i zmęczonym głosem.

Natasza pozostawała wprawdzie więźniem w ponurych murach Ravenloft, ale zasłużyła na specjalne traktowanie. Jander robił, co mógł, by zachowała siły i kiedy tylko zdrowie pozwalało jej na to, towarzyszyła mu w wędrówkach po zamku, snując się za nim niczym cichy, drobny duszek o białej twarzy, ściągniętej, ale nadal czasem rozjaśnianej uśmiechem.

Umilkła, zapatrzona we własne dłonie. Jander zwrócił uwagę, że linijkę „I zagubione, kapryśne dziecię twe powróci do domu” zaśpiewała stłumionym, słabym głosem. Przysiadł obok niej na łóżku i nakrył jej blade dłonie swoją.

- Jesteś chora, malutka? - spytał łagodnie. - Czy biorę od ciebie zbyt dużo?

Pokręciła głową; przez ostatnie dwa miesiące nauczyła się mu ufać, miał nadzieję, że może nawet polubiła trochę.

- Nie, Janderze, to... - przygryzła dolną wargę. - Jander, pozwól mi odejść do domu, proszę.

Elf otworzył usta, by odpowiedzieć, ale uprzedził go chłodny głos, dobiegający od drzwi:

- Jesteś naszym gościem w zamku Ravenloft - mruknął Strahd, niskim, groźnym tonem. - Niegrzecznie byłoby, gdybyśmy nie okazali ci gościnności w całej pełni. Zgodzisz się ze mną, Janderze?

Jander poczuł nagły przypływ gniewu, jednak, jak zawsze w obecności hrabiego, nie dał się ponieść emocjom.

Wasza Ekscelencja jest tu gospodarzem, nie ja. Od ciebie więc, panie, zależy komu oferujesz swą gościnę.

Hmmmm, całkiem słusznie. Janderze, pozwól ze mną do gabinetu. Nie rozmawialiśmy już od jakiegoś czasu.

Odwrócił się powiewając peleryną i odszedł pewien, że Jander pójdzie w jego ślady. Elf obdarzył przestraszoną Nataszę uspokajającym, miał nadzieję, uśmiechem i pospieszył za hrabią.

W momencie, gdy przekroczył próg pracowni, cztery wygrzewające się przy kominku wilki wstały sztywno na nogi, z wolna kładąc uszy i odsłaniając ostre, żółte zęby. Trochę zaskoczony elf posłał ku ich umysłom polecenie: To tylko ja, przyjaciele. Spokojnie!

Ku jego zdumieniu żadne ze zwierząt nie ułożyło się z powrotem na spoczynek. Ponownie sięgnął do ich mózgów i tym razem wyczuł jakąś blokadę. Zerknął na Strahda, który siedział w fotelu ze skrzyżowanymi nogami, złączywszy dłonie czubkami palców. Na posępnej twarzy gościł wyjątkowo drapieżny uśmiech; widać było, że hrabia jest z siebie zadowolony. Można by powiedzieć, że hrabia rozkoszuje się swym triumfem, gdyby nie zdawało się to wręcz niesmaczne w przypadku eleganckiego wampira.

- Bardzo dobrze, Strahdzie - rzekł z lekkim niepokojem Jander. - Kontrolujesz je całkowicie. Czy mógłbyś je już odwołać, żebym mógł się do ciebie przyłączyć?

Przez długą chwilę nie poruszył się ani hrabia, ani żaden z jego wilków, po czym zwierzęta nagle, niczym jedna istota wróciły na miejsce przy kominku, ignorując Jandera, który podszedł do fotela i usiadł.

- Ćwicz siłę woli - sucho oznajmił Strahd.

- Jesteś znakomitym uczniem.



- To dlatego, że jesteś świetnym nauczycielem. Pozwól jednak - dorzucił niemal smutnym głosem - że coś ci doradzę. Powinieneś wyssać krew swojej przyjaciółki. W ten sposób zyskałbyś niewolnicę posłuszną każdemu twojemu skinieniu zamiast pacjentki, na którą trzeba czekać. Jander zmrużył srebrzyste oczy.

- Zamierzałem z tobą o tym porozmawiać, Strahdzie. Tworzysz zbyt wielu niewolników.

Ku zdziwieniu elfa hrabia tylko się roześmiał.

- Czy może być za dużo niewolników?

- Zdecydowanie tak. My, wampiry, z upływem lat stajemy się coraz potężniejsi. Uczymy się. Jeśli uważasz, że istnieje taki niewolnik, nieważnie - wampir czy nie - który nie tęskni za wyzwoleniem, jesteś w błędzie. Co więcej, jesteś również w niebezpieczeństwie.

- Dziękuję ci, przyjacielu, za troskę, ale zapewniam cię, że moi niewolnicy nie stanowią dla mnie zagrożenia. Nie doceniasz moich umiejętności, nazwijmy to... utrzymania porządku - zakończył hrabia z uśmiechem przywodzącym na myśl kota bawiącego się myszą.

Jander wzruszył ramionami, nie chcąc wdawać się w proponowaną przez Strahda rozgrywkę.

- Twoja wola. Ja tylko dzielę się z tobą swoim doświadczeniem - możesz z niego skorzystać lub je odrzucić. Mam jednak pytanie. W tym pokoju utrzymujesz idealny porządek, czemu więc pozwalasz, by reszta twego domostwa znalazła się w tak oplakany stan?

- Troszczę się o rzeczy, które cenię - odparł hrabia. - Cenię sobie książki, reszta zaś niewiele dla mnie znaczy. Za życia byłem wojownikiem, Janderze i za największy skarb uważałem znakomitą broń, ale z biegiem lat zrozumiałem, że to, o co warto zabiegać, to książki, a zwłaszcza książki z zaklęciami. Poza tym jakąż dla mnie korzyść z luksusów?

- Piękno samo w sobie jest najwyższą nagrodą - odrzekł elf. Strahd pogardliwie odął wargi, ale nie skomentował tych słów. - Jeśli pozwolisz - ciągnął Jander - chciałbym odnowić trochę zamek Ravenloft.

- Nie wolno ci tu nikogo przyprowadzać - powiedział Strahd, a w jego łagodnym dotąd głosie zadźwięczał lód. W głębi oczu zajaśniały mu czerwone ogniki. Leżące wilki wyczuły zmianę atmosfery i uniosły pytająco łby.

- Oczywiście, że nie - odparował elf, rozzłoszczony, że hrabiemu przyszło to na myśl. - Mógłbym sam nad tym popracować; sprawiłoby mi to sporą przyjemność.

- Nie widzę w tym sensu.

Jander pogładził się po brodzie, szukając właściwych słów.

- Nie jestem stworzony dla ciemności. Piękno, muzyka, natura - są dla mnie źródłem pociechy, pomagają mi zapomnieć, o ile w ogóle mogę zapomnieć, czym się stałem. Śmierć nie gasi tęsknoty za tym wszystkim - spojrzał hrabiemu w oczy. - Słyszałem, jak grasz. Widziałem, jak cię poruszyło. Jesteśmy wampirami; nasze istnienie nie jest... nie jest właściwe, ale to nie znaczy, że nie możemy czasem zatracić się w czymś, co jest piękne. Potrafimy docenić, że rzecz jest piękna, naturalna, że ma swoje miejsce i harmonizuje z tym, co ją otacza - nie straciliśmy tego daru. - Głos elfa nabrał mocy. - Nie zamierzam obdrzeć mojego świata z tych drobnych radości, i tak jest wystarczająco mroczny i samotny.

Strahd długą chwilę przyglądał mu się przenikliwie. Jander nie odwrócił wzroku i w końcu Strahd wybuchnął śmiechem.

- Cóż za zagadkę dla mnie stanowisz, Janderze Sunstar! Żywisz się krwią, ale żałujesz życia, które odbierasz. Jesteś samym cieniem i nocą, a tęsknisz za pięknem. Jesteś martwy, jednak nie znosisz rozkładu. Czym naprawdę jesteś? Niemożliwe, byś był wampirem!

- Może i tak - odrzekł Jander smutno, ale nie próbując się nad sobą litować - ale tym dokładnie jestem.

Znów zapadła na moment cisza, którą przerwał Strahd:

- Dobrze więc. Baw się zamkiem ile zechcesz. Zechciej mi teraz wybaczyć - dorzucił, wstając nagle.

Jander został w gabinecie i parę następnych godzin poświęcił dokończeniu lektury historii starożytnej armii Barovii. Najwyraźniej przechwałki Strahda o wojowniczej przeszłości opierały się na faktach. Jakies sto lat temu, dzięki swojej świetnie wyszkolonej armii, umiejętnościom taktycznym i szczerym modlitwom tutejszego kapłana, stał się sławnym bohaterem.

Atak trwał już dziewięć nocy, kiedy zza gór Balinok przybył nasz zbawca. Imię jego brzmiało Strahd von Zarovich, a jego armia liczyła tysiące dzielnych ludzi. Jego żołnierze walczyli całą tę długą noc. Mówiono, że sam hrabia był wszędzie na polu bitwy i sam zabił setki nieprzyjaciół w przeciągu pierwszej godziny.

Najwyższy z Wysokich Kapłanów Barovii, młody człowiek imieniem Kir, przewodził modłom. Dokładnie o północy wycofał się do zamkowej kaplicy, by medytować i modlić się o wsparcie. Został obdarzony mocą użycia tajemniczego Świętego Symbolu Kruczego Rodu przeciw królowi goblinów. I kiedy hrabia walczył, prowadząc swych ludzi do zwycięstwa, w sekrecie użyto również Świętego Symbolu. Po walce Najwyższy z Wysokich Kapłanów Kir ukrył Symbol.

Nikt nie wie, jak Święty Symbol wygląda, ani gdzie został ukryty. Po dziś dzień żaden kapłan nie zdołał go odnaleźć i użyć. Jednak bez wątplenia jego potężna magia pomogła szlachetnemu hrabiemu Strahdowi w odniesieniu zasłużonego zwycięstwa.

Jander uniósł wysoko brwi w powątpiewaniu; wszystko to wyglądało na baroviańską propagandę. Ludzie z wioski z pewnością nie myśleli o Strahdzie jako szlachetnym panu i wybawcy. Elf starannie odłożył książkę na półkę i wrócił do swojej komnaty.

Widok, jaki go powitał, wstrząsnął nim do głębi. Na łóżku leżała Natasza, z bledszą niż zwykle twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia.

Była martwa.

- Jeśli pochowasz ją dzisiejszej nocy - dobiegł go zimny, spokojny głos - powstanie z martwych za dzień lub dwa. Będzie śliczną małą wampirzycą, prawda?

Jander z wściekłością odwrócił się do hrabiego.

- Bądź przeklęty za co, co uczyniłeś!

Strahd uniósł brwi tak, że niemal dotknęły linii włosów.

- Dałem ci tę dziewczynę. Starzała się, traciła urodę, a teraz pozostanie taka, jaką ją widzisz, jak długo zechcesz. Z pewnością tego właśnie chciałeś?

Jander zdawał sobie sprawę, o co hrabiemu naprawdę chodzi: to było wyzwanie, tak jakby rysował linię i czekał, czy elf odważy się ją przekroczyć. Przypomniawszy sobie z całą ostrością lekceważące słowa Strahda: „Czym naprawdę jesteś? Niemożliwe, byś był wampirem!”. W pewnym sensie miał rację. Jander obejrzał się na Nataszę, przypomniał sobie jej słodki głos, błaganie „nie rób ze mnie tego, kim jesteś, proszę”. To właśnie robiły wampiry - karmiły się krwią żywych i tworzyły inne, sobie podobne istoty. Ogarnęła go fala obrzydzenia dla samego siebie.

Znów spojrzawszy na hrabiego, z uśmiechem, o którym wiedział, że drażni Strahda.

- Oczywiście, że tego chciałem - odezwał się. - Teraz, kiedy uczyniłeś ją wampirem, stała się twoją niewolnicą, nie moją. Odebrałeś mi ją. Czyż nie mam prawa być za to zły na ciebie?

Strahd zmarszczył brwi; nie mógł zaprzeczyć logice słów elfa.

- Masz rację. Przepraszam - po czym dodał, odsłaniając kły: - Znajdę inną, żeby wynagrodzić ci stratę.

Sklonił się i wyszedł. Jander opadł na łożo, czując mdłości. Miał jeszcze czas, żeby okaleczyć ciało Nataszy tak, by nie powstała jako nieumarła i pogrzebać ją. Do diabła, pomyślał, ostatnie słowo zawsze należy do Strahda.

Na tyłach kaplicy rozciągał się ogród, zaniedbany i zachwaszczony. Nieliczne małe, smutne kwiatki toczyły zażartą walkę z duszącymi je korzeniami innych roślin. Tu i ówdzie Jander rozpoznał poprzerastane krzewy róż. Ułożona z kamiennych płyt dróżka prowadziła przez cały ogród ku balkonowi nad zapierającą dech w piersi tysięczną głębokość przepaści.

Tu właśnie, w umierającym ogrodzie, Jander pogrzebał Nataszę, kawałkiem deski wygrzebawszy dół w twardej ziemi. Kiedy usiadł przy świeżym grobie, jego uwagę przyciągnął śliczny, drobniutki kwiatuś tuż obok jego lewej stopy. Purpurowo-żółty kwiat był nie większy od paznokcia. Bez wątpienia chwast, ale uroczy. Sięgnął ręką i zerwał roślinkę, zaciągając się jej delikatnym, słodkawym zapachem.

Uśmiechnął się. Mógł zacząć tutaj, od ogrodu i wnieść odrobinę piękna do własnego świata. To miejsce wymagało tylko trochę troski i wysiłku. Nie wypuszczając kwiatu z dłoni wstał i obrzucił rośliny krytycznym spojrzeniem. Krzewy różane, choć rzadkie i zaniedbane, wyglądały na żywe. Nie trzeba by wiele pracy, by przywrócić ogród do życia - ot noc, może dwie...

Jander podszedł do niskiego murku otaczającego podwórko i spojrzawszy w dół. Kilkaset stóp niżej kłębiła się mgła, skrywając przed jego wzrokiem dno otchłani. Na południowy wschód od zamku widział za to wioskę, otoczoną pierścieniem mgły.

Jutro pójdzie do wioski i spróbuje wydostać jakieś informacje od trzymających mocno język za zębami mieszkańców. A może uda się trochę dalej, do Vallaki. W końcu nie miał pewności, czy Anna pochodziła z tej wsi.

Słońce rozjaśniało niebo na wschodzie, nocna czerń zmieniała się w ciemną szarość. Przygnębienie ogarnęło Jandera niczym coś materialnego i krótkotrwała radość, jaką przyniosły mu myśli o ogrodzie, ulotniła się. Nadchodził czas, by szukać schronienia przed ukochanym słońcem.

Kilka mil od zamku córka burmistrza również oglądała nadejście świtu, stojąc w oknie i zerkając na złowrogi cień Ravenloft Anastazja westchnęła i wzrok jej spoczął na brukowanym podwórku. Trzy miesiące minęły, odkąd Pietia z narażeniem życia ostrzegł ją przed wampirem; odkąd stawiała czoło ojcu i zawstydziła go, wypominając mu tchórzostwo. Od tamtej nocy wszystkim kobietom w rodzinie Kartovów żyło się lepiej.

Mimo wszystko, myślała ponuro Anastazja wpatrzona niewidzącymi oczyma w błądzący baroviański świt, nikt w domu nie ucieszy się na wieść, że nosi w łonie cygańskie dziecko.

\*\*\*\*\*

Wysiłki Jandera, zmierzające do zdobycia zaufania mieszkańców Barovii, przyniosły żalosne efekty. Od kilku miesięcy przez parę dni w tygodniu zjawiał się w „Wilczym Leżu” z sakiewką pełną złota, ale zawsze spotykał się z podejrzliwością. Siadywał sam, w najciemniejszym kącie, licząc na to, że taka taktyka pozwoli mu zdobyć więcej informacji niż próba nawiązania bezpośredniej rozmowy z nieufnymi wieśniakami.

Faktem jest, że sporo udało mu się podsłuchać, ale nie to, co chciałby usłyszeć. Córka Vlada takiego-a-takiego zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Michał taki-i-taki usłyszał wycie wilka, a kiedy się obudził, na własnym progu znalazł trupa półczłowieka, półwilka. Mieszkająca na drugim końcu miasteczka Irina urodziła coś, nikt nie wiedział dokładnie co, ale kiedy drobne ciało spalono, pozostała po nim klejąca się, cuchnąca masa. Irina oszalała, powiedzieli i wzniesli toast za jej nieszczęsnego męża, Igora.

- Mówili, że przychodzisz tu od czasu do czasu - dobiegi go kobiecy głos. - Ciekawa byłam, czy uda mi się cię spotkać.

Jander odwrócił się i na widok stojącej przy drzwiach młodej kobiety uniósł w zdumieniu zlociste brwi. Czarny płaszcz nie maskował pokaźnego brzucha, a padające z wnętrza światło dobrze oświetlało uniesioną twarz. Pod nogami zakręciły jej się suche liście, szeleszcząc sucho. Dwoje służących czekało w stosownej odległości. Szybkim ruchem przymknął drzwi, żeby klienci nie zobaczyli ich rozmawiających.

- Anastazja, nie myślę się chyba?

- Tak, to ja. - Zauważyła, że spojrzał na służących. - Nie zwracaj na nich uwagi. To tylko moja pokojówka i lokaj ojca. Chciałam ci powiedzieć o... no... - córka burmistrza opuściła wzrok na zaokrąglony brzuch i uśmiechnęła się niezręcznie. - To Pietii. Urodzę je. Jeszcze nie... On nic nie wie.

Jander nie odzywał się, czekając, aż dziewczyna znów zacznie mówić.

- Papa już nie jest taki straszny, jak był. Twoje wilki to sprawiły - roześmiała się. Elf też się uśmiechnął. - Myślałam o tym, żeby dać dziecko Cyganom, ale nie zechcą go. Poza tym mam coś, co będzie mi zawsze przypominało Pietię. Czy to ma sens? Gadam głupoty, wiem, ale... - Przerwała i popatrzyła na niego poważnymi oczyma.

Wiele zrobiłeś dla mnie i Pietii, więcej, niż mógłbyś sądzić. To dziecko - poklepała brzuch opiekuńczym, pełnym miłości gestem - jest dla mnie symbolem tego. Opowiem mu wszystko o tobie i będzie twoim przyjacielem, tak jak ja i Pietia.

Patrzyła mu w oczy w oczekiwaniu reakcji.

Jander był wzruszony.

- Moja droga - odezwał się; w jego miękkim głosie pobrzmiwało zdumienie - czynisz mi zaszczyt, mówiąc o tym. Mam szczerą nadzieję, że wszystko będzie dobrze z tobą i twoim dzieckiem.

Anastazja uśmiechnęła się do niego z ulgą.

- Strasznie teraz kopie - rzekła nagle. - Chciałbyś dotknąć?

Już miał odmówić, ale myśl, że mógłby dotknąć nowej, małej żywej istoty głęboko go poruszył. Ostrożnie wyciągnął rękę, a dziewczyna wzięła ją i poprowadziła po swoim brzuchu.

- Tutaj! - wykrzyknęła triumfalnie, patrząc, jak zareaguje. Jander poczuł ruchy małego stworzenia, oczy mu się rozszerzyły i szybko cofnął dłoń, zwijając ją w pięść i przyciskając do serca.

- Muszę teraz odejść - rzucił pospiesznie nie patrząc Anastazji w oczy. - Wybacz mi. Okrył się ciasniej peleryną, przeszedł przez plac i ruszył ścieżką prowadzącą do zamku Ravenloft.

Anastazja patrzyła za nim. Mleczne światło zalało rynek, kiedy księżyc wychylił się zza chmur. Westchnęła lekko i pokręciła głową, zdumiona własną zuchwałością. Pietia mówił prawdę o elfie - Jander nie rzucał cienia. Instynktownie złożyła dłonie na brzuchu, osłaniając nie narodzone dziecko.

- Wiesz, malutki - rzekła łagodnie - jesteś chyba jedynym dzieckiem w Barovii, które ma wampira za przyjaciela.

Kiedy zniknął dziewczynie z oczu, Jander przeistoczył się w mgłę, a zaraz potem przybrał postać złotowłosego wilka o srebrnych oczach. Dobrze czuł się pędząc przez chłodny las Svalich, skupiony na ruchu i grze mięśni napiętych pod skłębioną sierścią. Próbował znaleźć w wysiłku fizycznym zapomnienie, nie pamiętać, jak bardzo pragnął znów być żywą istotą.

## JEDENAŚCIE



Wytracony z równowagi spotkaniem z Anastazją Jander coraz chętniej uciekał w spokój ogrodu. Którejś nocy, bez mała dziesięć lat po tym wydarzeniu, przygotowywał właśnie różane krzewy do nadchodzącej zimy, przycinając ich gałązki. Inne rośliny już zapadały w zimowe odrętwienie, choć pod skrywającą je powierzchnią ziemi elf mógł wyczuć pulsujące w nich życie. Wstał i otrząsał brudne dłonie; zbliżał się świt.

Przedtem elf czytał w gabinecie książkę poświęconą odnawianiu mebli i kiedy wrócił po nią, prawie zderzył się ze Strahdem, opuszczającym właśnie tajemną komnatę.

Jander! Myślałem, że dzisiejszej nocy jesteś w wiosce - rzekł hrabia, nie tracąc zimnej krwi. W lewej dłoni niósł dużą księgę, w prawej natomiast trzymał pochodnię i teraz szybkim ruchem przełożył księgę pod prawe ramię i lewą ręką zatrzasnął drzwi, zasłaniając komnatę przed wzrokiem elfa.

- Byłem. Już prawie świta. Straciłeś poczucie czasu.

- Na to wygląda. No cóż, muszę zdążyć do trumny przed wschodem słońca - odwrócił się, umocował pochodnię w uchwycie i zaczął mruzczyć pod nosem zaklęcie, pozwalające magicznie zamknąć drzwi.

- Czy w tym pokoju są jakieś księgi? - spytał Jander. - Chciałbym sprawdzić, czy nie ma tam jakichś zapisków, które mogłyby...

Strahd zeszytniał i powoli odwrócił się twarzą do niego.

- Nigdy, nigdy więcej mnie o to nie pytaj - odparł cicho. - Rozumiesz? To mój zamek i moją sprawą jest, co zechcę zachować w ukryciu. Mam swoje powody i nigdy nie wolno ci podawać ich w wątpliwość! - Przycisnęła księgę do piersi. - A teraz odejdz!

Nigdy dotąd w niezliczonych, pełnych docinków rozmowach Jander nie stał się ofiarą wściekłego gniewu Strahda i teraz poczuł się upokorzony. Skłonił się dwornie, po czym skierował się ku swoim komnatom. Hrabia wypowiedział jedno gardłowe, chrapliwe słowo i drzwi gabinetu zatrzasnęły się za elfem.

Jander udał się do swojej komnaty, tej samej, w której umarła Natasza. Od tego czasu zabił okno deskami i uszczelnił szpary smołą, żeby móc tu spokojnie spać w ciągu dnia. Czuł się zmęczony i marzył o tym, żeby wyciągnąć się na nowym, puchowym materacu, dostarczonym na jego prośbę z wioski, ale głód dawał mu się we znaki. Niechętnie opuścił komnatę i zszedł do więzienia, służącego Strahdowi za spiżarnię.

\*\*\*\*\*

Czy już wiesz, kim jestem, Janderze Sunstar? - dobiegł go przekorny głos Anny. We śnie Jander udawał, że nadal śpi i gdy Anna pochyliła się nad nim, chwycił ją i pociągnął za sobą na łóżko. Roześmiała się, odpychając go bez przekonania i objęła mocno. Obsypał jej twarz pocałunkami.

- Nie, ty mała złośnico, nie wiem - odpowiedział. - Mogłoby się wydawać, że nigdy tu nie istniałaś. Ani tutaj, ani w Vallaki nie ma zakładu dla obłąkanych. Barowiarzycy trzymają swoich szaleńców w odosobnieniu albo puszczają ich wolno, żeby błąkali się po okolicy. Albo pozwalają im umrzeć - dorzucił, przyglądając się jej smutno - co w tej krainie jest dla nich najlepsze.

- A może - powiedziała Anna, głaszcząc Jandera drobną dłonią - nie trzymano mnie w przytułku.

Spojrzał na nią, otwierając w zdumieniu usta i czując się strasznie głupio. Oczywiście.

- Mieszkałaś we wsi? Miałaś męża? Kim byli twoi krewni, Anno? Co...

Jander, coś cię trapi - rozległ się lodowaty, ugrzecznony głos, który z pewnością nie należał do Anny. Jander otworzył oczy i stwierdził, że kurczowo przyciska do piersi puchową poduszkę. Przyglądając mu się Strahd dodał

- Może nie odpowiada ci ta komnata, skoro dręczą cię tu takie koszmary.

Elf nie zadał sobie nawet trudu, by odpowiedzieć. Usiadł na łożu i przecierając oczy dłonią odrzekł

- Dobry wieczór, Strahdzie.

Hrabia przysunął sobie krzesło i usadowił się na nim.

- Mam prezent dla mojego przyjaciela.

Do komnaty wszedł ponury niewolnik, niosąc w dłoniach mahoniowe pudełko, na stopę długie i półtorej stopy szerokie, grubości dziesięciu centymetrów. Strahd wziął od niego pudełko i otworzył je. Jander otworzył szeroko oczy.

W środku wyłożonej ałtarem skrzyneczki znajdowały się przybory rzemieślnika - buteleczki kolorowego proszku czekały na zmieszanie, trzy różne ryłce ze srebrnymi końcówkami były gotowe do rzeźbienia i rytowania; zestaw uzupełniał komplet niewielkich młotków i dłut.

- To tylko dla zaostrenia apetytu. Daj mi proszę znać, gdybyś potrzebował do pracy jeszcze czegoś, a dostarczę ci tę rzecz.

- To narzędzia mistrza, Strahdzie - szczerze odparł Jander. - Dziękuję. Jeszcze tej nocy zacznę ich używać.

- Na dzisiejszą noc... zaplanowałem dla ciebie coś innego. Jeśli tylko, rzecz jasna, zechcesz mi towarzyszyć.

\*\*\*\*\*

- Patrzcie, oto nadchodzi Pan Poranka!

Martin Pelkar, lepiej znany Barowiańczykom jako brat Martin Szalony, stał na wzniesionym przez siebie drewnianym podwyższeniu, zwracając się do wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu głosu. Wysoki, chudy mężczyzna o jasnych, kręconych włosach i bladoniebieskich, obłąkanych oczach był samozwańczym kapłanem boga, którego nazywał Lathanderem, Panem Poranka. Wzniósł ramiona do nieba i stał tak, zwrócony twarzą ku wschodowi, gdzie słońce powoli podnosiło się ponad horyzont.

- I tak każdego ranka - wymamrotał piekarz, Vlad Rastolnikov, zajęty przygotowaniem ostatniej porannej partii chleba. Zaczął mocniej ugniatać ciasto na długim stole, dając upust swej irytacji. - Nie mógłby się tak zamknąć, co? Nie, musi tu przychodzić i każdemu zwracać głowę - resztę słów stłumiła czarna, rozczochrana broda mężczyzny.

Ogromny piec zajmował większość miejsca w niedużym wnętrzu piekarni. Padająca z niego poświata wystarczająco oświetlała pomieszczenie, by dało się w nim pracować, więc tylko bliżej wejścia płonęło kilka świec. Oprócz pieca znajdował się tu podłużny stół, na którym wyrabiano ciasto oraz spora szafka na miski i garnki. Kola, czeladnik Rastolnikova, zresztą uwielbiający jego wyroby, sprzedawał gotowe bochny na rynku.

Teraz właśnie pulchny chłopak stanął obok niego.

- Czy te już są przygotowane do pieca, proszę pana? - zapytał.

Rastolnikov, cały w mące, przerwał na chwilę.

- A jak sądzisz, co ja teraz robię? - odpowiedział pytaniem. Kola cofnął się, złęczony. - A niech tam, idź się parę minut przewietrzyć.

Gorąco uderza ci do głowy.

- Dziękuję, mistrzu - odparł Kola i wybiegł na zewnątrz. Zadygotał w zimnym powietrzu poranka i pożałował, że nie wziął płaszcza. W piekarni było aż nazbyt ciepło i teraz dotkliwie odczuwał wilgotny chłód.

- A wróć no na czas, żeby zdążyć z tymi ostatnimi! - doleciał go jeszcze tubalny głos piekarza. Chłopak pobiegł ulicą Rynkową w stronę starego kościoła, zostawiając za sobą Martina, kontynuującego modlitwę na cześć świtu. Złoto-różowe szaty kapłana ostro odbijały się od szarego nieba, kiedy przemawiał:

- Dzięki ci, o Panie Poranka, za ten piękny świt i chwałę twojego nowego dnia...

- Jesteś wreszcie.

Kola wystraszył się, a potem przymknął z ulgą oczy widząc, że to tylko Sasza Pietrewicz, wnuk burmistrza, stoi oparty o ścianę opustoszałego budynku i uśmiecha się złośliwie. Miał na sobie zwykłą bawełnianą koszulę, brązowe spodnie i narzuconą na ramiona pelerynę. Pod jego nogami leżał spory, pusty worek.

- Ciekaw byłem, czy w ogóle wyrwiesz się staremu Szczurkowi.

- Sasza, wiesz, że nie lubię, kiedy mówisz tak o moim mistrzu - bez przekonania zaprotestował Kola. - Masz - i podał chłopcu połówkę świeżutkiego chleba.

Sasza wyciągnął ciemnoskórą dłoń i ochoczo wziął ofiarowany mu bochenek. Wciągnął w nozdrza woń drożdży i ugryzł kawałek.

- Szczurek robi naprawdę dobry chleb - przyznał z pełnymi ustami.

- Musimy się pospieszyć - szturchnął go Kola. - Martin już jest na placu.

- Wiem, ale on gada tak samo rozwlekle, jak mój dziadek. Zwłaszcza jeśli akurat nie pada. Mamy mnóstwo czasu - doszli do końca Rynkowej i wpatrywali się w kościół.

Po starej budowli znać było upływ czasu. Popadała stopniowo w ruinę, dopóki „Szalony Martin” nie objął jej w posiadanie w imieniu swego boga, Lathandera Praca młodego kapłana przyniosła subtelne zmiany: drzwi trzymały się prosto na zawiasach, z okien odgarnięto pajęczyny, wstawiono brakujące szyby, zamieciono dróżki. Nowe dachówki znaczyły stromy dach ostro wyróżniającymi się plamami czerwieni, na podobieństwo muchomorów wyrastających z brunatnej ściółki leśnej. Oznaki, że ktoś tu mieszka, zmieszały nieco nawet zuchwałego Saszę; oto stary kościół na powrót stał się miejscem świętym.

- Nie mogę uwierzyć, że namówiłeś mnie na kradzież z kościoła - jęknął Kola.

- Nic nie kradniemy, po prostu... pożyczamy - z tymi słowy Sasza, otrząsnąwszy się już z chwilowej niepewności, pociągnął dwuskrzydłowe drzwi, które niechętnie ustąpiły i skrzypiąc otworzyły się na zewnątrz. Obaj chłopcy zamrugali parę razy, przystosowując wzrok do panującego w środku półmroku. Po obu stronach środkowej nawy ciągnęły się szeregi ław. W powietrzu unosił się kurz, jednak znajdujący się w drugim końcu pomieszczenia ołtarz utrzymywano w idealnym porządku. Pośrodku ołtarza Sasza i Kola dostrzegli kupkę różowych, drewnianych dysków, tuż obok kilka prostych, ale wypolerowanych świeczników z na wpół wypalonymi świecami. Obok ołtarza, na podwyższeniu, stała kamienna misa. Promień słońca zakradł się do świątyni i zamigotał na powierzchni wypełniającej ją wody.

- No to jesteśmy - Sasza wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu i pobiegł nawą, czyniąc zaskakująco niewiele hałasu swymi butami.

- Chodź, Kola!

Kiedy drugi chłopiec niechętnie podążył za nim, Sasza wręczył mu kilka niedużych buteleczek.

- Napelnij je wodą święconą a ja wezmę dyski.

- Sasza, będziemy mieli przez to kłopoty, ja to wiem - wymruczał Kola, zanurzając pierwszy flakonik i patrząc, jak na pobłyskującą powierzchnię wody wypływają bańki powietrza.

- Kola, to ty się boisz ciemności.

- Nie boję się.

- Ależ tak. To ty mówiłeś: „Sasza, boję się tam iść, jak nie mamy nic, co by nas chroniło”. No to masz, oto twoja ochrona przed nocnymi stworzeniami. Więc przymknij się wreszcie, dobra? Jejku, co za tchórz! Tchórzliwy Kola - tak cię będę teraz nazywał.

Z niesmakiem wrzucił do worka wszystkie różowe dyski, po czym na wszelki wypadek dołożył świeczniki.

- Przyniosę jakieś lampy i koce, a ty zajmij się lustrami i czosnkiem, dobrze? - Kola nie odpowiedział. - Dobrze?

Chłopiec w ogóle nie słuchał go, tylko przestraszony wyglądał przez jeden z otworów w witrażowym oknie.

- Sasza, on tu idzie!

Z szybkością zająca ciemnowłosey chłopak chwycił torbę w jedną rękę, drugą łapiąc swojego przyjaciela za kołnierz. Kola potknął się, po chwili stanął na nogi i obaj popędzili przez nawę. Sasza w biegu wpadł na ciężkie, drewniane drzwi, które z rozmachem rozwarły się, uderzając brata Martina w pierś i odrzucając go do tyłu. Mali złodzieje również przewrócili się, ale zerwali się najszybciej, jak mogli i uciekli.

Młody kapłan leżał chwilę na schodach czekając, aż odzyska dech w piersi, po czym krzywiąc się wstał. Podszedł do drzwi i ujrzał ogołoceny ołtarz. Z początku był przerażony, ale za moment na jego ustach wykwitł uśmiech.

Odrobinę obłąkany kapłan nigdy do końca nie rozumiał poczynań swojego bóstwa, jednak jednej rzeczy był pewien: jeśli chłopcy tak

bardzo potrzebowali tych świętych przedmiotów, że postanowili wykraść je z kościoła, niech w pełni korzystają z całej ochrony, jaką symbole mogły im zapewnić. Martin z własnego doświadczenia wiedział, co można spotkać nocą w Barovii.

Chłopcy opadli bez tchu na ziemię u stóp potężnego dębu, w bezpiecznej odległości od kościoła Sasza wybuchnął histerycznym śmiechem, głośnym i wesołym, aż wreszcie i wystraszony Kola lekko się uśmiechnął, a potem przyłączył do przyjaciela.

- No dobra - odezwał się Sasza, ocierając łzy z twarzy i opierając dłoń na obolałym ze śmiechu brzuchu. - Musisz już wracać do Szczurka. Spotkamy się o zachodzie słońca koło domu szwaczki. Ale będzie zabawa!

Kola nie był tego taki pewien, ale skinął potakująco głową.

Dzień upływał w zwykłym rytmie. Kola spóźnił się do piekarni i oberwał krótkie lanie od mistrza. Sasza Pietrowicz opuścił lekcje i kiedy próbował wśliznąć się z powrotem do dworku, natknął się na swoją matkę. Siedziała na schodach, czekając na niego, ze zmęczoną i smutną twarzą. Przyglądała mu się dłuższą chwilę, zanim rzekła:

- Czemu to robisz, Aleksieju Pietrowiczu?

- Nie wiem - Sasza wzruszył ramionami.

- Nie lubisz się uczyć? Być mądrym?

- Nie latem - podniósł na nią smolście czarne oczy. Anastazja musiała się roześmiać.

- Chodź, usiądź tu koło mnie - poprosiła. Sasza posłusznie wszedł po schodach i przysiadł obok matki, ona zaś objęła go ramieniem, żeby mógł się o nią oprzeć.

Sasza, mówiłam ci o twoim ojcu i tłumaczyłam, czemu to dla mnie takie ważne, żebyś się dobrze sprawował. Dla nas nie ma znaczenia, że jesteś pół-Cyganem, ale są tu w miasteczku tacy ograniczeni ludzie, którzy zwracają na to uwagę. Twoja nauka zapewni ci miejsce wśród nich, kiedy mnie zabraknie.

Sasza czuł niepokój; nie cierpiał, kiedy matka stawała się poważna. Zawsze, gdy mówiła o opuszczeniu go, coś ścisnęło go za gardło.

- Ale czy pozwolisz mi dziś wieczorem iść do Koli? Anastazja przeczesła palcami jedwabiste włosy syna i wyjrzała przez okno.

- Nie jestem pewna. Już się ściemnia; spakuj się szybko, to zobaczymy.

Z szybkością, jaka matce zdawała się niemożliwa, Sasza pomknął po schodach i przygotował wszystko, czego potrzebował na tę „jednonocną wycieczkę”. Miał już swój pokój, ciasny, ale własny, z łóżkiem, drewnianą skrzynią na rzeczy i niedużym oknem. Właśnie przekopywał się przez zawartość skrzyni w poszukiwaniu torby, gdy do pokoju zajrzała jego ciotka, Ludmiła, smukła, ładna kobieta tuż po dwudziestce. Niewiele brakowało, by zastała go ze wszystkimi różowymi dyskami w garści.

- Lepiej pomykaj szybcu, króliczku - rzuciła z uśmiechem, drażniąc się z nim.

- Nie mów tak do mnie!

- Robi się późno, króliczku - ciągnęła nie zwracając na niego uwagi. - A jak się robi późno, wychodzą wilki. Wrrrr!

Pokazał jej język i Ludmiła, śmiejąc się, poszła dalej korytarzem do pokoju, który zajmowała wspólnie z Anastazją.

Kiedy zbiegła na dół, jego matka stała w otwartych drzwiach, z niepokojem przyglądając się niebu i wspaniałemu letniemu zachodowi słońca. Na bezchmurnym niebie purpura walczyła o prymat z oranżem, a tuż nad horyzontem widać było upiorną kulę księżyca. Ptaki świergotały, szykując się na spoczynek.

W każdym innym miejscu kochankowie, siedząc na porośniętym trawą wzniesieniu, oglądaliby cały ten spektakl w zachwycie i wyczekująco, ale udręczeni mieszkańcy Barowi nie mieli czasu na podziwianie pięknego zachodu słońca. Dla nich oznaczał ostatnie parę bezpiecznych minut przed nadejściem przerażającej nocy i wszystkiego, co się w niej kryło.

- Może lepiej, żebyś tej nocy nie szedł do Koli - mruknęła Anastazja.

- Mamo, obiecałaś!

- Wiem, ale Kalinovowie mieszkają po drugiej stronie miasteczka, a już jest prawie zupełnie ciemno.

- Pobiegnę szybko! - zapewnił matkę Sasza. - Jeśli pójdę teraz, to mam jeszcze mnóstwo czasu!

Anastazja wahała się jeszcze, świadoma, że czas nieubłaganie ucieka.

- No dobrze. Weź to ze sobą - zdjęła z szyi wisiorok i założyła mu na szyję. Chłopiec przewrócił oczami na widok tej, jak uważał, matczynej nadopiekuńczości.

Przez całe życie nie widział niczego, co mogłoby przypominać wilkołaka czy wampira, chociażby tego, który uratował jego rodziców. Miał wręcz nadzieję, że tej nocy spotkają z Kolą tego tajemniczego, złotoskórego elfa - wampira. Nawet nie spojrzął na naszyjnik od matki, wiedząc doskonale, co to jest: zwykły srebrny dysk z wyrytymi znakami ochronnymi.

- Leć już - powiedziała matka, całując go w czoło i dając na pożegnanie lekkiego klapsa w pupę. Sasza ruszył biegiem, upojony wolnością.

Anastazja patrzyła za nim ze smutnym uśmiechem na zmęczonej twarzy.

- Pietia, on jest taki sam jak ty - szepnęła do siebie, zmówiła szybką modlitwę za swego upartego syna i zamknęła ciężkie drewniane odrzwia na zasuwę.

Zgodnie z obietnicą Kola czekał na Saszę. Jego puciołowata twarz wyglądała żałośnie.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - rzucił na powitanie Sasza. Kola posłał mu tylko nienawistne spojrzenie i zrównał z nim krok. Weszli na zarośniętą ścieżkę, wijącą się przez las, prowadzącą ku kamiennemu kręgowi na wzgórzu. Kola parę razy potknął się o korzenie, aż za którymś razem Sasza przystanął i zapalił latarnię, żeby mogli lepiej widzieć.

Był to ten sam krąg, przy którym rodzicom Saszy udawało się wykraść parę chwil dla siebie, przez co chłopiec uważał go za szczególne miejsce. Poza tym, jeśli wierzyć plotkom, kiedyś, przed wiekami, uprawiano tu potężną magię.

Sasza położył po jednym dysku u podnóża każdego z głazów, inne rzeczy składając na dużym, płaskim kamieniu w środku kręgu, Kola zaś zapalił świece i lampy, po czym obaj zawinęli się w przyniesione koce.

Kola podciągnął koc pod samą brodę i spojrzał na cienie tańczące tuż poza obszarem oświetlanym migoczącymi i kopącymi lampami. Silna woń wianuszka czosnku na szyi zaczynała przyprawiać go o mdłości.

- Sasza, ja chcę wrócić do domu - jęknął. Sasza posłał mu miażdżące spojrzenie.

- Słuchaj, jesteśmy całkiem bezpieczni. Tb miejsce jest zaczarowane, a poza tym mamy ze sobą wszystkie możliwe rzeczy, które mogą nas chronić.

Nagle rozległ się ostry, przenikliwy dźwięk. Kola z krzykiem rzucił się w kierunku sterty amuletów, wygrzebał z niej zwierciadło i skierował je w stronę, z której doleciał dziwny odgłos.

- Ty idioto - rzekł zdegustowany Sasza. - Właśnie udaremniłeś atak nieumarłego królika. Moje gratulacje.

I Kola rzeczywiście dostrzegł znikający w mroku biały, króliczy ogon. Chłopiec zarumienił się.

Sasza, nie zwracając uwagi na zdenerwowanie przyjaciela, zaczął kartkować książkę, którą przyniósł ze sobą.

- Aaaa, jest - powiedział w końcu triumfującym głosem, położył się na prawym boku, położywszy przed sobą księgę i starannie ustawił lampę. Gdzieś niedaleko złowieszczo zahukała sowa; chłopak nastawił uszu i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zaczął czytać, nadając swemu głosowi tak głęboki i straszny ton, na jaki tylko stać dziesięciolatka.

Wiele księżyców temu, w miasteczku Vallaki, żył chłopiec imieniem Paweł Iwanowicz. Nie był takim sobie zwykłym chłopcem, ale dziedzicem Słońca i jego zadaniem było powstrzymać nadejście Ciemności. Jego ojciec podarował mu część słońca, ale została ona skradziona z kołyski chłopca. Ciemność ukryła ją daleko, daleko stąd, ale kiedy Paweł dorósł i stał się mężczyzną, zrozumiał, że musi ją odzyskać. Wkroczył więc do krainy Ciemności.

Szedł tak, samotnie, aż dotarł do czarnych pastwisk, gdzie pasą się Piekielne Konie i płynie Rzeka Zapomnienia. Tam spotkał pierwszego Strażnika Ciemności. Był to wysoki, bladolicy mężczyzna o ostrych kłach i pazurach.

„Stój”, powiedział Nosferatu, bo Paweł wiedział, że jego właśnie ma przed sobą. „Stój, bym mógł wypić twoją krew i pożywić się twoją śmiercią.”

Ale Paweł tylko odpowiedział: „Nie możesz mnie zatrzymać, albowiem ja jestem dziedzicem Słońca i pokażę ci zło, jakim jesteś”. I wznosił lustro. Kiedy Nosferatu dostrzegł w nim własne zło, ryknął z bólu i rozpląnął się w powietrzu, niczym mgły pod wpływem porannego słońca.

Kola objął ramionami kolana i starał się nie słuchać opowieści o duchach. Był przekonany, że nawet oka nie zmruży; może mu się tylko tak zdawało, ale nie mógł się pozbyć uczucia, że ktoś ich obserwuje.

Na zewnątrz kamiennego kręgu hrabia Strahd von Zarovich zaśmiał się i ukrył z powrotem głębiej w cieniu.

- Prawie chciałbym ich zaatakować, po prostu żeby zobaczyć, jakie będą mieli miny - rzekł do Jandera. - Ale są tacy mali, że ledwie starczyliby nam za przekąskę.

Jander odniósł wrażenie, że w słowach hrabiego kryła się odrobina brawury. Z pewnością wyczuwał potężną magię tego miejsca; ogromne, ciemnoszare głązy chroniły dwójkę głupich dzieciaków równie pewnie, jak fizyczna bariera. Ale przecież całe to królestwo należało do Strahda. Elf obejrzał się niespokojnie na trójkę niewolnic. Trzy wampirzyce, za życia niewątpliwie atrakcyjne kobiety, stały teraz u boku swego pana, demonstrując chłodne posłuszeństwo.

Miał przed sobą trzy typowe kobiety z tych, jakie pociągały Strahda: wzrostu trochę powyżej średniego, o ciemnych, rudo-brązowych włosach i ciemnych oczach, szczupłe, w przeciwieństwie do większości mieszkanki Barovii, zwykle przysadzistej budowy. Elfowi wystarczająco przypominały Annę, by kazać mu o niej myśleć za każdym razem, kiedy widział którąś z nich. Cierpiał z tego powodu okrutnie.

Strahd popatrzył na Jandera.

- Jesteś zadowolony? Elf wzruszył ramionami.

- Masz rację, że ich krew nie wystarczyłaby dla nas wszystkich. A poza tym - dodał - pewien jestem, że wyczuwasz, jakimi środkami ochronnymi dysponują. Nie wydaje mi się więc, żeby te szczeniaki warte były zachodu.

Strahd przyglądał mu się badawczo, skinął głową i odrzekł:

- Chodź więc, znam miejsce, w którym czeka nas prawdziwa ucztę. - Wyciągnął opatrzoną ostrymi szponami dłoń i niedbałym gestem pogłaskał najbliższą stojącą niewolnicę po policzku. - Jesteś głodna, kochanie?

Wampirzyca obnażyła długie kły i z błyskiem w oku skinęła głową. Jander też niemal umierał z głodu, klątwa pragnienia płonęła w nim na podobieństwo gorączki, domagając się zaspokojenia. Wystarczyła woń dwójki chłopców, by zaczął się ślinić. Ciekaw był, dokąd też Strahd zamierza ich zaprowadzić. Czyżby gdzieś w pobliżu włóczyła się grupka awanturników, a może obozowała jakaś armia?

- Posilmy się więc. Zmieńcie się w wilki, moje śliczne. Udajemy się do wioski.

Wampirzyce posłusznie przybrały formę brunatnych, smukłych wilków. Ich pan przemienił się w tę samą wielką, czarną bestię, co zwykle. Jander uczynił podobnie. Cała sfora podążyła w ślad za Strahdem, z podniesionymi ogonami i położonymi płasko uszami kierując się do nie podejrzewającej niczego Barowi.

Kiedy przemykali się niezauważeni obok „Wilczego Leża”, uwagę Jandera zwrócił wieniec z czosnku na drzwiach karczmy. Nie miał specjalnie szczęścia, próbując upolować jakąś ofiarę w wiosce, ale gospoda stwarzała najlepszą okazję. Zaklął w myśli: teraz częściej będzie musiał odwiedzać Vallaki, tam ludzie byli mniej ostrożni niż w Barovii.

Biegł za Strahdem i wilczycami. Przebiegli przez rynek niczym ciche cienie w ciemnościach. Popędzili aleją Burmistrzowską ku zamieszkaną przez lepsze rody części wioski. Jander miał złe przeczucia; sposób, w jaki poruszał się Strahd, zdradzał starannie skrywany entuzjazm, który elfowi wyraźnie się nie podobał.

Był wstrząśnięty, kiedy zakończyli swą wędrówkę przy dworku burmistrza. Poczul przebiegający go dreszcz. Dawno temu obiecał Anastazji, że z jego przyczyny nie stanie się jej nic złego. Czarny wilk zatrzymał się, jego postać zamigotała i stał się na powrót hrabią Strahdem. Na migi pokazał pozostałym, by uczynili to samo. Natychmiast po przybraniu elfiego kształtu, Jander spytał szeptem:

- Jaką grę tu odgrywasz, Strahdzie?

Z rozmysłem ignorując lekceważący ton Jandera hrabia odparł łagodnie:

- Kartov mnie oszukuje. W moim imieniu nałożył na chłopów wysokie podatki, a ja nie dostałem z tego nawet miedziaka.

Serce w Janderze zamarło na dźwięk lodowatego głosu Strahda. Próbując powstrzymać to, co jak przeczuwał musi się stać, zapytał:

- Czymże są dla ciebie pieniądze, Wasza Ekscelencjo?

- Nie o same pieniądze chodzi, ale o to, że temu aroganckiemu śmiertelnikowi wydaje się, iż może mnie okpić. - W otaczającej ich zewsząd ciemności Jander bez trudu dostrzegał czerwony płomień w oczach Strahda. - Zamierzam dać mu nauczkę.

Ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się jeszcze.

- Zdawało mi się - dodał uprzejmie - że jesteś głodny. Myśli Jandera goniły szaleńczo w poszukiwaniu jakiegoś wytłumaczenia.

- Nie wpuszczą cię do domu o tej porze. Strahd uśmiechnął się.

- Nie potrzebuję ich pozwolenia. Nie pamiętasz?

Elf przypomniał sobie chwilę, gdy pierwszy raz oglądał pełnię gniewu Strahda, pamiętał krzyk hrabiego: „Ja jestem tą krainą... każdy dom jest moim domem”. Przecież hrabia nie będzie chciał zabić całej rodziny burmistrza w ich własnym domu, myślał rozpaczliwie. Wampir nie może tak dla zabawy siać zniszczenia w miasteczku; ciągłość istnienia Strahda i jego sług zależy od utrzymania tajemnicy. Hrabia zdaje sobie z tego sprawę. Musi, przekonywał sam siebie Jander.

Strahd zaczął nucić melodyjnym, ledwie słyszalnym głosem. Jander skrzywił się czując, że jego niechęć do magii wcale nie znika w obliczu pragnienia krwi. Drzwi załśniły słabą poświatą.

Są chronione - rzekł Jander. Strahd spojrział na niego, nie kryjąc pogardy.

Czymże jest prosta bariera dla władcy krainy? - odparł głębokim głosem, w którym pobrzmiwała nuta rozbawienia. Podjął przerwany zaśpiew i błękitna poświata znikła. Postać hrabiego rozpląnęła się w mgłę, która następnie przesączyła się pod drzwiami. Elf usłyszał, jak odskakuje rygiel i drzwi stanęły otworem.

Wejście - zaprosił ich Strahd, uśmiechając się ironicznie. Trzy niewolnice wpadły do wnętrza. Jander powoli wszedł za nimi.

A teraz - odezwał hrabia do wampirzyce - pamiętacie moje instrukcje?

Kobiety przytaknęły. Na ich twarzach nie malowało się żadne uczucie, tylko w oczach płonął głód.

- Znakomicie. Możecie się pożywić, gdzie tylko chcecie. Przyglądając się pięknym nieumarłym Jander doszedł do wniosku, że przypominają mu psy podążające tropem zwierzyny. Ale i jego samego drażnił zapach tyłu istot ludzkich w domu. Dwie z niewolnic pospieszyły do pokoi służby na parterze, trzecia zaś bezgłośnie wbiegła po szerokich schodach. Strahd i Jander udali się za nią. Kiedy elf zajrzał do pierwszej sypialni na piętrze, poczuł, że Strahd mija go w korytarzu. Pomieszczenie było małe i puste, jeśli nie liczyć niewielkiego łóżeczka i kilku mebli.

W następnej sypialni, ogromnej i bogato wyposażonej, pięknie rzeźbiony stół rozdzielał dwa łóżka. Na jednym z nich spała smacznie młoda kobieta, licząca sobie jakieś dwadzieścia wiosen.

Przez chwilę Janderowi zdawało się, że może to być Anastazja. Podeszedł bliżej i przyjrzał się jej. Oddychała regularnie. Długie czarne rzęsy opadały na zaróżowione we śnie policzki. Nie, to nie była Anastazja, choć bardzo ją przypominała. Elf domyślał się, że miał oto przed sobą jej siostrę. Usiadł na łóżku obok niej i czule, gestem godnym kochanka, położył na jej ciemnych włosach swoją złotoskórą dłoń. Delikatnie, na podobieństwo pocałunku, rozciął kłami skórę na gardle dziewczyny. Kiedy na ranie zebrała się kropla krwi, spił ją chciwie, delektując się



ożywym płynem. Przytknął wargi do skaleczenia, wziął dziewczynę w ramiona i zaczął się posilać. Mimo szarpiącego trzewiami głodu nie spieszył się, wiedząc, że ofiara nie obudzi się i ma mnóstwo czasu. Kiedy po wielu długich minutach skończył, ułożył dziewczynę z powrotem na poduszce.

Dopiero na korytarzu, zamykając za sobą drzwi komnaty, poczuł w nozdrzach gorący odór rozlanej krwi.

## DWANAŚCIE



Krzyk bólu i strachu rozdarł powietrze. Szybciej niż myśl Jander podążył śladem zapachu do sypialni pana domu na drugim końcu korytarza, rozbijając w biegu drzwi.

- Strahd!

Jedna z wampirzyc pochylała się nad bezwładnym ciałem starszego mężczyzny. Burmistrz Kartov, on to bowiem był, miał rozcięte gardło. Wyglądało to, jakby kobieta rozszarpała ciało zębami niczym sztyletem. Otwarta rana przypominała upiorny, przesunięty uśmiech. Wszystkie krew, która nie stała się pokarmem śmiercionośnej piękności, poplamiła jej twarz lub wsiąkała z wolna we wspinały, niebiesko-złoty dywan. Żona burmistrza również nie żyła; jej ciało leżało rozciągnięte na łożu, z powykrzywianymi pod groteskowym kątem kończynami, zupełnie, jakby połamano jej wszystkie stawy.

Strahd trzymał w stalowym uścisku młodą kobietę. Widać było, że zaspokojenie pragnienia sprawia mu przyjemność, bo nie spieszył się zbytnio pijąc jej krew. Dziewczyna nadal żyła, choć była trupio biała i niezwykle osłabiona. Kiedy rozległ się trzask wyłamywanych drzwi, jej głowa opadła na ramię, a twarz zwróciła się w kierunku Jandera. Oczy elfa rozszerzyły się na ten widok.

- Anastazja! - krzyknął.

- Przyrzekałeś - odezwała się drżącym szeptem. Jander skoczył w stronę Strahda, zaskakując go swą zajadłością. Wyrwał umierającą Anastazję z jego uścisku, przewracając większego od siebie, silniejszego wampira na podłogę. Natychmiast rzuciły się na elfa trzy niewolnice hrabiego, reagując na nagły wybuch zdumienia i wściekłości swego pana. Jander jednak był starszy, miał więcej siły woli, a szal i przerażenie płonęły w jego żyłach. Strząsnął z siebie wampirzycę, niczym wilk pozbywający się atakujących go lisów i uniósł Anastazję w ramionach. Wbił w Strahda wściekły, pełen nienawiści wzrok.

Hrabia powoli, z godnością wstał, przyglądając białą dłonią zburzone włosy. Oczy lśniły mu czerwienią.

- Jak śmiesz odbierać mi zwierzynę?

- Polowanie to zupełnie co innego. To jest rzeź!

- Rzeź ludzi. Co mnie to obchodzi? Jesteś miękki, Janderze, i to cię zgubi. - Gniew ustąpił miejsca złośliwemu rozbawieniu. - Chyba że, rzecz jasna, chciałeś ją dla siebie.

- Uśmiechnął się poplamionymi czerwienią ustami, odsłaniając długie, ostre kły.

Jander nie spuszczał z niego wzroku. Anastazję przebiegł dreszcz i zwiotczała nagle w jego ramionach z przerażająco ostatecznym drgnieniem. Zmuszając się do zapanowania nad smutkiem i strachem Jander zwrócił się do hrabiego; na jego twarzy odbijała się ta sama wyrachowana arogancja.

- To ty igrasz ze śmiercią, Strahdzie - rzekł chłodno.

- Udało ci się zastraszyć tych ludzi, to prawda, ale lepiej byłoby, żebyś ich nie rozżościł. Mamy słabe punkty - ty nawet w większym stopniu, niż ja. Ja potrafię kontrolować, jak głęboko śpię. Ty nie. - Elf zaśmiał się, a jego zwykle muzykalny głos zabrzmiał ohydnie i dziko pod wpływem emocji. Położył blade zwłoki Anastazji u stóp Strahda.

- Wystarczy jeden chłop z ogrodniczym kołkiem i staniesz się ledwie czymś takim - mniej nawet, bo nie podniesiesz się jako niewolnik! Pamiętaj o tym dziś o świecie, kiedy będziesz zasypiał.

Płonące oczy Strahda zwięzły się w gniewie, ale pohamował się. Jander zdawał sobie jednak sprawę, że hrabia słucha.

- Widziałeś kiedyś tłuszcę, która zamierza kogoś zlinczować? - ciągnął gorzko. - Ja widziałem i to z obu stron. Straszny widok. Jednostki da się sterroryzować, ale jeśli będziesz miał do czynienia z grupą ludzi, którzy są wystarczająco zdesperowani, znajdą cię. Nic ich nie powstrzyma przed unicestwieniem cię.

Wampirzyca stojąca najbliżej Strahda zawarczała i podniosła zbrojną w pazury łapę. Hrabia powstrzymał ją skinieniem palca.

- Zostawcie go.

Jander wciąż wpatrywał się w oczy Strahda.

- Widziałem kiedyś, jak się to stało. W mojej ojczyźnie grupa wampirów opanowała miasteczko. Poniosła je duma i rozpoczęły rzeź, a wtedy mieszkańcy zebrali się i zniszczyli je. Nigdy więcej żaden wampir nie mógł wejść do tej miejsciny. Ludzie na zawsze już uprzedzili się do obcych -" mniej więcej tak, jak w Barovii. Dla własnego dobra, hrabio, spróbuj trochę się powstrzymywać. Nie wszyscy w tej zapadłej dziurze są

głupcami.

Ku zdumieniu elfa czerwony blask w oczach Strahda przygasł, a na jego zaczerwienionej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Janderze Sunstar - zaczął powołać. - Masz rację... po części. To mój kraj. Robię tu, co chcę, a dzisiejszej nocy życzeniem moim było obudzić czarną bestię przerażenia w duszach Kartovów. - Uśmiechnął się lodowato. - Tak też uczyniłem. Teraz zaś wysłucham, co masz do powiedzenia na temat, nazwijmy to „zacierania śladów”, dobrze?

Elf nie wiedział, co odpowiedzieć. Strahd po mistrzowsku odparł jego argument, ustąpił mu nie oddając pola. Teraz zaś uśmiechał się, zupełnie, jakby czytał w jego myślach.

Po pierwsze: trzeba zniszczyć ciała - Jander spojrzął na najbliższą stojącą wampirzycę. - I tak masz już zbyt wielu niewolników. - Sądził, że hrabia sprzeciwi mu się, ale Strahd skinął z namysłem głową.

Zabierzcie ich na dół - polecił wampirzycom. Każda z nich bez słowa podniosła jedno z ciał i oddaliła się korytarzem. - Co chciałbyś, żebym teraz zrobił?

- Powinniśmy spalić dom, upozorować wypadek. Jeśli uda nam się zniszczyć wszystkie dowody, nie będzie powodu, żeby ktoś nas o cokolwiek podejrzewał. - Elf zamierzał odczekać do ostatniej chwili i wynieść z budynku dziewczynę, której krwią się posiłał.

Ciała zebrano w głównej komnacie na dole. Wampiry z łatwością połamały meble w drzazgi i zbudowały stos na środku pomieszczenia, po czym rzuciły na wierzch zwłoki. Jander nie mógł na to patrzeć; widok budził wspomnienia sprzed wieków. Strahd ostrożnie zapalił pochodnię od ognia wciąż płonącego w kominku i rzucił ją na stos, który nie chciał z początku zapłonąć. Dopiero po chwili drewno zajęło się i z narastających płomieni wznosił się słup czarnego, oleistego dymu. Jander ruszył niezauważony w stronę schodów, gdy nagle rozległ się przeciągły krzyk, a po nim następne:

- Pali się! Pożar u burmistrza!

Strahd zaklął i zmienił się w mgłę, która ulotniła się przez jedno z otwartych okien.

Jander zawahał się, spojrzął zaniepokojony ku schodom i zauważył z niesmakiem, że wszedł w kałużę krwi. Zostawiał teraz za sobą szkarłatne ślady. Uderzenia w drzwi pomogły mu podjąć decyzję; ratownicy znajdą dziewczynę na piętrze. Niestety, znajdą również ciała.

Łomot stawał się coraz głośniejszy, lada chwila ludzie mogli wyłamać drzwi. W Podejmując ostatni wysiłek, by ukryć ślady tragedii, Jander chwycił ze stosu kawałek drewna i zapalił ozdobne draperie, które w mgnieniu oka buchnęły płomieniem. Odrzucił szczapę, zamigotał, przybierając formę nietoperza i wyleciał na zewnątrz, unikając palących się zasłon. W tej samej chwili puścił rygiel w drzwiach.

Elf zostawił za sobą skąpaną w krwi scenę i zanurzył się w miłej wilgoci nocy, myśląc ze smutkiem o swych ostatnich przeżyciach. Strahd nie znosił słabości i Jander zdawał sobie sprawę, że całe to przedstawienie odegrano specjalnie dla niego.

Poczuł, jak w oczach wzbierają mu krwawe łzy i z całych sił próbował powstrzymać się od wspomnienia Wesołej Doliny i straszliwych wydarzeń, które rozegrały się tam przed wiekami. Ale wspomnienia oczywiście wróciły.

Czerwony smok z Dolin był martwy, a stało się to za sprawą grupy awanturników, którzy sami siebie nazywali Srebrną Szóstką. Wesoła Dolina odpowiednio potraktowała bohaterów, goszcząc ich za darmo w gospodzie „Łabędzia Pieśń”. Przyjęcie to mile zaskoczyło zarówno Jandera, jak i jego towarzyszy - Gideon z Waterdeep, Trumpera Hillhollow, Lyrię Śliczną, Kelliana Szarą Chmurę i Alinorę Malina, toteż kiedy zaproponował, żeby przed wyruszeniem na poszukiwanie dalszych przygód odpoczęli w gościnnej dolince, nikt nie protestował.

Od tego momentu minęły trzy dni. Trumper, dzięki swym złodziejskim nawykom, zdążył popaść w konflikt z prawem, ale niziolkowi udało się z tego wykaraskać. Złotowłosa Lyria otrzymała dwie oferty małżeństwa i liczne niedwuznaczne propozycje, co tak ją rozdrażniło, że ostatniemu z zalotników zagroziła, iż zmieni go w ropuchę.

- Wystarczająco z ust ci śmierdzi - rzekła upokorzonemu młodzieńcowi.

Nieśmiała, ciemnowłosa Alinora i jeszcze bardziej zamknięty w sobie łowca Kellian zawierali bliższą znajomość, a Jander z klerikiem Gideonem po prostu włóczyli się razem po mieście.

Tej nocy Srebrna Szóstka zebrała się w „Łabędziej Pieśni” na długą kolację. W dużym kominku płonął trzaskając wesoło ogień, obok trzech muzyków przygrywało do posiłku. Salę wypełniał wesoły gwar odczuwających ulgę mieszkańców miasteczka. Usługująca im dziewczyna była grzeczna, szybka i niebrzydka. Cała sytuacja miała zadatki sielskiego wieczoru w gronie przyjaciół.

Trumper obzerał się wesoło, pochłaniając porcję odpowiednią dla dwóch normalnych osób, pozostali też chwalili znakomitą kuchnię. Tylko Kellian, z ciemnymi obwódkami wokół błękitnych oczu i niezwykle bladą twarzą, nie jadł z nimi.

Ciągle boli cię gardło? - spytała Alinora; w jej orzechowych oczach znać było zatroskanie. Nieśmiało położyła swoją szorstką dłoń wojowniczką na jego ręce. Kellian przytaknął obojętnie, mieszając łyżką w misce rosółu, który Jander dla niego zamówił. Już od kilku dni łowca skarżył się na ból gardła i z każdą godziną wyglądał na coraz bardziej wycieńczonego.

- Pewnie złapał coś od tych robaków, co go pogryzły - zauważył z pełnymi ustami Trumper, pokazując udkiem kurczęcia dwa drobne ślady na szyi Kelliana.

- Przykro mi, Jander, ale nie mogę tego zjeść - odezwał się głucho łowca, odsuwając miskę. Lyria zmarszczyła brwi i zmrużyła

szmaragdowe oczy, ale nie odezwała się.

- Spróbuj - nalegał Jander. - Jak twoje ciało ma walczyć z chorobą, jeśli nie dostarczysz mu pożywienia?

Kellian spojrział na elfa udreżonym wzrokiem.

- Po prostu nie jestem głodny, to wszystko - mruknął. - Idę do łóżka. Rano będę zdrowy. Dobrze przespana noc to wszystko, czego mi trzeba.

Jander próbował jeszcze raz postawić przed nim miskę i z trudem ukrył wstrząs, gdy dotknął ręki przyjaciela. Mimo iż elf zamówił stolik najbliżej buzującego wściekle ognia, ciało Kelliana przypominało w dotyku lód.

Rankiem łowca był martwy i Janderowi przypadło zadanie poinformowania o tym pozostałych towarzyszy. Alinora wyglądała, jakby jej serce pękło; Lyria też tonęła we łzach. Nawet niziołek, Trumper, był przygnębiony. Tego samego popołudnia odbył się pogrzeb, na którym Jander zagrał zasypiającemu na wieki przyjacielowi ostatnią pieśń na flecie. Dobrzy mieszkańcy Wesołej Doliny, współczując obcym, mie wzięli złamanego miedziaka za złożenie nieszczęsnego Kelliana na wieczny spoczynek.

Następnego ranka Alinora zbudziła się z obolałym gardłem. Była równie blada, a na szyi miała ślady podobne do tych, które przedtem widzieli u Kelliana. Jander był poważnie zaniepokojony, toteż postanowił rozejrzeć się i popytać po mieście, dzięki czemu stwierdził, że czwarta część mieszkańców cierpiała na tę tajemniczą przypadłość.

- Nie podoba mi się to - rzekł Gideon, gdy zatrzymali się w „Łabędziej Pieśni” na obiad. - To nie jest naturalna choroba.

Jander pociągnął wina. Tego dnia w karczmie nie było tłoczno, a to z tej przyczyny, że wielu potencjalnych klientów zmogła szalejąca w mieście zaraza. Gideon, mężczyzna iście niedźwiedziej postury, który był wojownikiem, dopóki jeden z bogów nie powołał go do swej służby, wpatrywał się w stojący przed nim kufel bursztynowego ale.

- Nie było żadnego efektu, kiedy próbowałem uleczyć Alinorę - ciągnął stłumionym głosem. Podniósł na elfa zasmucone, brązowe oczy.

Jander starał się nie okazać zdumienia. Gideon, mimo swej pozornej gburowatości, był znakomitym kapłanem, o wielkiej wiedzy i delikatnych dłoniach. Nie zdarzyło mu się widzieć, by ktoś nie poczuł się lepiej, kiedy Gideon pomodlił się do Ilmatera w jego imienia

- Może nie jest aż tak chora - podsunął elf, zdając sobie sprawę, jak nieprzekonująco brzmiało takie tłumaczenie. Nie potrafił spojrzeć Gideonowi w oczy. Ilmater był bogiem męczenników, patronem wszystkich cierpiących. Zdawało się nie do pomyślenia, by nie chciał ulżyć Alinorze w jej bólu.

Kiedy Alinora spokojnie umarła tej nocy, Gideon był zdruzgotany. Tym razem mieszkańcy doliny przyjęli zapłatę za pochówek; zbyt wiele nagromadziło się ciał, żeby mogli odrzucić pieniądze. Śliczną, zgrabną, trzpiotowatą Alinorę pogrzebano w nędznej, skleconej pośpiesznie trumnie. Grając na flecie żałobną pieśń ku czci drugiego z odchodzących przyjaciół Jander widział, jak oczy Gideona lśnią od łez.

Po powrocie do „Łabędziej Pieśni” elf zwrócił uwagę, że wielu spośród bywalców, którzy dotychczas stawiali im kolejkę ale za kolejką, teraz rzucali ukradkowe, wrogie spojrzenia.

- Wydaje mi się, że zbyt długo cieszymy się gościnną - odezwał się cicho do Lyrii.

Czarodziejka odgarnęła blond włosy ze swej doskonale pięknej twarzy.

- Zgadzam się z Janderem. Kto jest za tym, żebyśmy jutro stąd odeszli?

- Ja - odparł Trumper. - Jak tylko przestaną płacić za moje piwo, znikam.

Jander spojrział na Gideona. Zamyślony kleryk wpatrywał się w ogień. Jego potargana broda skrywała grymas ust, z którego zdawał sobie sprawę Jander.

- Gideon? - zagadnął.

- Słyszałem - odwarknął kapłan, nie umiejąc ukryć bólesci w szorstkim głosie. - Tak. Zabierajmy się stąd.

Jander napotkał spojrzenie zielonych oczu Lyrii. Oboje wiedzieli, że Gideon najciężej przeżył całą tragedię.

Następnego ranka całą miejscinę poddano kwarantannie i okazało się, że nie można będzie opuścić Wesołej Doliny co najmniej przez kolejny tydzień. Mieszkańcy wymierali w oszałamiającym tempie i nie sposób już było zapewnić wszystkim stosowny pochówek. Niektórzy sugerowali, żeby palić ciała, co zapobiegłoby szerzeniu się infekcji, a bardziej przesądni uważali, że powinno się odkopać ostatnio pogrzebanych i spalić ich zwłoki na tych samych stosach. Tej nocy rozpalono wielkie ognisko, na które zrzucono ciała - te świeże i te sprzed kilku dni. Przybywali rozmaici klerycy, by wypowiedzieć kilka słów. Mieszkańcy miasteczka nerwowo popatrywali na czworo przybyszów, a wyczulony słuch Jandera wychwytywał wrogie pomrukiwania.

Nagle rozległo się pełne bólu i wściekłości wycie, wdzierając się w żałobną ciszę. Jander nigdy przedtem nie słyszał czegoś podobnego i modlił się, żeby nigdy więcej nie mieć takiej okazji. Zabrakło mu tchu w piersi, a zaskoczenie i strach rozszerzyły jego srebrne oczy.

Trupy na stosie poruszały się.

Napędzane niepojętą siłą ciała pośpiesznie próbowały umknąć przed ogniem. Niektóre z nich, potworne zlepki nadgniętego i nadpalonego ciała, krzyczały z bólu, inne, jeszcze nienaruszone, atakowały żałobników. Jander kątem oka zauważył, jak Lyria zaczyna rzucać jakiś czar i pędem wrócił do karczmy po miecz. Kiedy z łoskotem zbiegł po schodach i wypadł ponownie na ulicę, stanął jak wryty.

Alinora czekała na niego. Jej niewinność ustąpiła miejsca lubieżności, ale w urodziwym ciele nie było niczego pociągającego. Ciemne

włosy miała pozlepiane krwią i brudem. Otworzyła czerwone usta i Jander zdążył tylko dostrzec długie, ostre zęby, zanim rzuciła się na niego.

Uderzył mieczem, zadając jej głębokie cięcie w tułów. Wrzasnęła z bólu, jednak rana tylko bardziej ją rozwścieczyła. Wyciągnęła długie, silne ramiona wojowniczkę nawykłej do władania mieczem i zamknęła elfa w potężnym uścisku. Czerwone oczy dziewczyny płonęły nienawistnym światłem, ale elfia krew Jandera chroniła go przed jej hipnotyzującym wzrokiem, więc dalej próbował się uwolnić, ciesząc się, że zginie w walce.

Wampirzyca była zdumiewająco silna i Jander wiedział, że nie zdoła się wyrwać. Alinora obnażyła kły, zamierzając zatopić je w jego szyi, gdy nagle elf usłyszał dolatujący zza jego pleców przeszywający krzyk.

- Odejdź, demonie!

Alinora wrzasnęła i cofnęła się. Uwolniony z żelaznego uchwytu elf upadł na ziemię, wampirzyca zaś zasyczała wściekle i, pokonana, rozwiała się w mgłę. Zniknęła, przynajmniej na jakiś czas.

Jander zerknął w górę na swojego wybawcę i w migoczącym świetle pochodni rozmieszczonych wzdłuż ulicy rozpoznał mocne rysy Gideona, trzymającego medalion z wyrytym wizerunkiem skrzyżowanych dłoni Ilmatara.

- Dziękuję ci, stary druhu - westchnął, pozwalając, by kapłan pomógł mu wstać.

Gideon przyjrzał się bacznie jego szyi i nadgarstkom.

- Zdążyła? - Jander pokręcił głową. - To dobrze. Jander, rozumiesz, co się tu dzieje i co musimy zrobić?

Jander przytaknął z poważnym wyrazem twarzy.

- Wampiry napadły na Wesołą Dolinę. Musimy odesłać ich dusze na spoczynek.

Sądząc z tych słów planowali bardzo odważne i szlachetne przedsięwzięcie. Może i naprawdę tak było, ale Jander stwierdził nagle, że zupełnie nie jest przygotowany na czyste, niszczące wszystko przerażenie, jakie budziły w nim wampiry. Łatwiej było radzić sobie ze złem, gdy zjawiało się pod postacią wstrętnych, nieludzkich istot, niż kiedy przybierało kształt przyjaciela.

Wojownik i kapłan trzymali się razem, kierując się ku najbliższej świątyni. Mimo iż świątynia Tymory, Pani Szczęścia, znajdowała się tuż za rogiem, dotarcie tam zajęło im bardzo dużo czasu. Przeraził dźwięki przeszywały powietrze; słychać było krzyki, jęki i - najgorszy ze wszystkich - paskudny, niemal ludzki śmiech. Niektóre z nieumarłych istot próbowały zbliżyć się do dwójki przyjaciół, ale tylko syczały ze złością, cofając się na widok Gideona, władającego mocą udzieloną mu przez jego boga, boga cierpiących.

Mieszkańcy doliny, którzy wcześniej znaleźli się w świątyni Tymory, zamknęli się od wewnątrz w obronie przed nocnymi stworami. Gideon i Jander z coraz większym strachem i zniechęceniem walili w drzwi, gdy nagle z wnętrza doleciał ich znajomy głos:

Odsuńcie się i osłaniajcie mnie - rozkazała Lyria. Zmrużyła oczy, zacisnęła usta i mamrotała przez chwilę coś do siebie, po czym klasnęła trzy razy. Wrota otworzyły się i oczom Jandera i Gideona ukazał się tłum kryjących się w świętym miejscu mieszkańców.

Właście, na co czekacie? - zapytała Lyria, odrzucając do tyłu blond loki. - Tylko wampiry potrzebują zaproszenia!

Wpadli do środka, zatraskując za sobą drzwi. Lyria wraz z jeszcze jednym magiem od razu zamknęli je przy pomocy magii, a Gideon udał się na poszukiwanie wystraszonej kapłanki Tymory.

- Ciekaw byłem, kiedy tu traficie - przywitał Jandera Trumper lekkim głosem, ale powitalny uścisk dłoni był naprawdę serdeczny.

Tak upłynęła bezsenna, straszna noc. Ledwie słońce wychyliło się ponad horyzont, Jander z towarzyszymi rozpoczęli polowanie na wampiry. Mieszkańcy doliny, obwiniający Srebrną Szóstkę o sprowadzenie tego nieszczęścia, raczej przeszkadzali niż pomagali, ale i tak miejscowi klerycy i żołnierze zniszczyli wielu nieumarłych.

Zwinny i bystrooki Trumper wyszukiwał trumny, w których się pochowali. Niektóre kryjówki były oczywiste - na cmentarzach i w kryptach odkryli sporo świeżo wyglądających zwłok z zakrwawionymi ustami, ale niziołek znajdował wampiry i w bardziej niezwykłych miejscach, na przykład w piwnicy z winami w „Łabędziej Pieśni”.

- Ta nazwa tu pasuje - odezwał się zamyślony, gdy Jander wbił kołek w serce dziecka-wampira. Elf zdusił w sobie obrzydzenie, pocieszając się wyrazem ulgi, jaki pojawił się na twarzy dziewczynki, kiedy uwolnił jej duszę.

Westchnął i otarł ramieniem spocone czoło. Usiadł na zimnej, kamiennej podłodze, opierając się plecami o beczkę z winem. Był wyczerpany; we czwórce zglądali dziś piętnaście tych upiornych istot.

- Czuję się, jakbym robił to już od roku - jęknął. - A w ogóle która to godzina?

Wino koloru krwi oblało Jandera, gdy przez dno beczki, o którą się oparł, przebiły się dwie potężne ręce. Ledwie zdążył się zorientować, co się dzieje, a już poczuł zaciskające mu się na gardle lodowate dłonie. Rzucił się naprzód, wkładając w to całą swoją siłę. Zdołał wytrącić wampira z równowagi i pociągnąć go za sobą na ziemię, między potrzaskane klepki. Ostre drzazgi wbiły się w brzuch stwora, który zawył i zwinął się z bólu, osłabiając na chwilę chwyt.

Chwila wystarczyła Gideonowi. Kapłan Ilmatara jedną ręką odciągnął przyjaciela, drugą zaś nadział monstrum na złamaną klepkę. Wampir opadł, z ust pociekła mu krew, ciałem wstrząsnęły konwulsje i znieruchomiał. Krew zmieszała się z winem.

Jander mocno objął Gideona. Obaj próbowali złapać oddech, gdy doleciał ich głos Lyrii, wyższy i zdradzający większe napięcie niż zazwyczaj.

- Panowie...

- Co się stało, Lyria? - spytał Gideon. Piękna czarodziejka z pobladłą twarzą wskazała na zniszczonego przed chwilą wampira. Jander zamknął oczy, gdy w poplamionych winem zwłokach rozpoznał Kelliana.

Tej nocy nie zdążyli do świątyni. Gideon wykreślił na ziemi wokół nich krąg, w którym mogli bezpiecznie przetrwać do rana, drzemiąc na zmianę. Następnego dnia wyglądał podobnie, tyle że postanowili się rozdzielić: Lyria z Gideonem mieli pracować w jednej części miasteczka, Jander i Trumper w drugiej.

Elfowi bardzo nie podobał się ten pomysł.

- Lepiej mieć liczącą przewagę, Lyria - protestował, ale pozostali zgodzili się na ten plan.

Tym razem Trumperowi i Janderowi udało się dotrzeć do świątyni przed zmierzchem, ale dopiero krótko przed północą dołączyła do nich Lyria, z dzikim błyskiem w oku, w poszarpanej lawendowej szacie.

Prawie nas dostały - wysapała do Jandera, która pomagał jej ułożyć się na macie. Niziołek z wprawą zabrał się do opatrywania skaleczeń dziewczyny, a elf uważnie obejrzał jej szyję i nadgarstki; wyglądało na to, że nie została ukąszona. Zamknęła oczy i osunęła się w ramiona Jandera. Widać było, że jest bliska kompletnego załamania.

- Gdzie Gideon? - zapytał elf. Lyria otworzyła zielone oczy i Jander dostrzegł w szmaragdowej głębi strach.

- Nie ma go z wami?

Trumper milczał, przynajmniej ten jeden raz, koncentrując się całkowicie na jej obrażeniach. Jander zaczął się trząść.

- Nie, nie ma go tu...

- Są jeszcze inne kościoły otwarte dla szukających schronienia - podsunęła Lyria, sięgając silną dłonią do złotej ręki elfa. - Pewna jestem, że Gideon jest...

- A jeśli nie? - niemal krzyknął Jander. Wielu obecnych zwróciło głowy w ich kierunku. Elfowi było to obojętne. Od ponad dziesięciu lat przyjaźnił się z Gideonem. Wrócił myślami do czasów, gdy obaj byli Piekelnymi Jeźdźcami Elturel i walczyli z Tiamat w jej kryjówe. Wtedy właśnie Ilmater nawiedził Gideona i dzielny wojownik odłożył miecz. Od tej pory byli nierozłączni i razem jeździli wszędzie tam, gdzie ktoś ich potrzebował.

Jander zaczął bezwiednie, cicho szlochać. Nie zauważył, że po ostro rzeźbionej twarzy spływały mu łzy, nie zwrócił też uwagi, gdy Lyria objęła go, oparła jego głowę o swą pierś i ukołysała go do snu. Drzemiąc niespokojnie śnił o krwawych zachodach słońca i trupach, które nie zamierzały pozostać martwe.

Nie mieli okazji stwierdzić, co się stało z Gideonem, gdyż z samego rana wygnano ich z miasteczka. Niecały tydzień wcześniej przybywali jako bohaterowie do miejsciny, której nazwa była symbolem gościnności, gdzie nie było zamków w drzwiach, a żaden przybysz nie chodził głodny. Teraz mieszkańcy Wesołej Doliny bez litości wygnali wszystkich obcych na spotkanie z grozą nocy. Troje przyjaciół, żalosne resztki Srebrnej Szóstki, udało się do sąsiedniej wioski, gdzie rozstali się na zawsze.

Wesoła Dolina została spustoszona przez stado złych, sprytnych wampirów, z rozmysłem wykorzystujących reputację tego miejsca. Mieszkańcy doliny nigdy do końca nie przyszedli do siebie po wstrząsie. Wokół miasta zbudowano wysoki mur, a wszystkie karczmy symbolicznie spalono, o czym Jander dowiedział się znacznie później. Ludzie zaczęli chodzić uzbrojeni w sztylety, który to zwyczaj stał się przysłowiowy i zapewnił Wesołej Dolinie, niegdyś najgościnniejszej osadzie Faerun, miano najbardziej wrogiej i nieprzyjaznej. Z czasem nazwano ją nawet Doliną Sztyletów.

## TRZYNAŚCIE



Mimo przebiegających go dreszczy przerażenia Kola zasnął i głośno pochrapywał. Sasza też czuł, że powieki ciężą mu coraz bardziej, ale postanowił pełnić straż przez całą noc. Po wschodzie słońca będzie miał mnóstwo czasu, żeby się wyspać. Nie zobaczył tej cholernej nocy niczego choćby trochę ekscytującego i niech go... zmarszczył brwi. Kamienny krąg znajdował się na wzgórzu, wznoszącym się wystarczająco wysoko, by chłopiec dostrzegł w wiosce światło, którego nie powinno tam być.

Ciekawość odpędziła demony snu i Sasza wstał, żeby lepiej się mu przyjrzeć. Nadal jednak nie widział dokładnie, więc

wdrapał się na najbliższy z ogromnych głazów. Stał na szczycie, rozłożył ramiona, próbując utrzymać równowagę i spojrzał w dal, ku wiosce. Tak, na pewno widział światło - i mnóstwo ludzi nie spało.

- Kola, wstawaj!

- Co? - zamruczał Kola w odpowiedzi.

Sasza nawet na niego nie spojrzał, obserwując panujący w miasteczku tumult.

- Coś się tam dzieje. Chodźmy zobaczyć.

- Och, nie - Kola, w pełni świadomy, gdzie się znajdują, nigdzie się nie wybierał. - Nie ruszam się stąd do rana.

Drugi chłopiec spiorunował go wzrokiem.

- Dobra. Ja tam idę i możesz tu zostać sobie sam przez resztę nocy. Tchórzliwy Kola.

Sasza zeskoczył z głazu i zaczął zbierać swoje rzeczy do

worka. Mrużąc pod nosem Kola uczynił to samo i obaj udali się do wioski. Nawet noc zdawała się mniej nieprzyjazna niż uprzednio, gdyż ciekawość tego, co zastaną w wiosce, wyparła z umysłu Saszy inne myśli.

Kiedy dotarli na Rynkową, w oknach płonęły światła, a wokół kłębili się ludzie w nocnych strojach. Niektórzy z nich nieśli wiadra. Uwagę Saszy zwróciła krawcowa, Kristina, która otworzyła na oścież okiennice i wykrzykiwała coś do człowieka po drugiej stronie ulicy. Jej brązowe włosy, zwykle wymyślnie upięte, teraz spływały jej w nieładzie na ramiona. Na jej napiętej twarzy malowało się zatroskanie. Coś się tu stanowczo nie zgadzało. Chłopcy podążyli w ślad za tłoczącymi się wieśniakami.

- To przy Burmistrzowskiej! - krzyknął Sasza i puścił się pędem ulicą prowadzącą do jego domu. Kola z trudem próbował dotrzymać mu kroku.

Czterysta metrów, dzielące rynek od płonącego domu rodzinnego, było dla półkwi Cygana najdłuższą drogą, jaką w życiu pokonał. Z przodu majaczył mu obraz jakby wyjęty z sennego koszmaru: pomarańczowo-czerwone języki płomieni lizały ściany dworku niczym pies śliniący się nad kością. Nogi miał jak z gumy, gardło bolało go od krzyku:

- Mamo! Mamo! - biegł, modląc się, by móc jeszcze przyspieszyć, choć wiedział, że nie ma mowy, żeby zdążyć.

Rastolnikov złapał go za ramię.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie - ryknął tonem, który zapewne miał być łagodny. Sasza rozplakał się, po części ze strachu, a po części z powodu gryzącego, czarnego dymu, wdzierającego się do oczu i do płuc. Zaczął kaszleć mając uczucie, że przy następnym kaszlnięciu wypłuje płuca. Rastolnikov przytknął mu szmatę do ust.

- W ten sposób nie nawdychasz się tyle popiołu - doradził chłopcu.

Sasza przetarł wściekle oczy, próbując zobaczyć, co się stało. Ogień został ugaszony, ale część domu uległa zniszczeniu.

- Gdzie moja rodzina? - zapytał, próbując nadać swym słowom władcze brzmienie; jego głos był jednak głosem bardzo młodego i wystraszonego chłopca. Rastolnikov nie odpowiedział mu od razu.

- My... zajmiemy się nimi rano, synku. Są tam ślady złej magii, zbyt potężnej, żebyśmy próbowali się z nią mierzyć teraz, w nocy - rzekł tajemniczo piekarz.

- Czy to ten chłopak? - doleciał skądś ostry, pełen złości głos. Jakieś szorstkie dłonie złapały Saszę i odciągnęły go od Rastolnikova.

- To on!

Sasza stwierdził, że ma przed sobą rzeźnika, Andrieja, który wlepił w niego nienawistne spojrzenie.

- To wszystko twoja wina!

Oszołomiony chłopiec nie potrafił odpowiedzieć.

- Zemsta Vistanich! - rozległ się kolejny okrzyk, tym razem kobiecy, przenikliwy. - Ten Cygan, co to Anastazja z nim żyła.

Kartov obił go, a teraz patrzcie! Pamiętajcie jak przeklął Kartova? Widzieliście, co się z nimi stało! Na bogów, ich gardła... - i kobieta zaczęła szlochać. Ludzie odsunęli się od Saszy, mrużąc modlitwy i wykonując gesty chroniące przed urokiem.

Sasza wrócił spojrzeniem do zwęglonego budynku. Wyprostował się trochę.

- Ja wchodzę - powiedział do wszystkich, którzy mogli go słuchać. Odwrócił się do Koli, który wreszcie go dogonił. - Idziesz ze mną?

Kola popatrzył na Rastolnikova. Mężczyzna pokręcił głową i Kola spojrział z powrotem na swego przyjaciela, po czym spuścił wzrok.

- Nie, Sasza. Chyba jestem tchórzem. Sasza patrzył na niego.

- Chyba tak - odparł, cedząc słowa, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał. Zawiązał chusteczkę na twarzy, żeby wdychać mniej dymu i mieć wolne ręce.

Sam wszedł do tego, co kiedyś było jego domem. Tłum złych, wystraszonych ludzi rozstąpił się przed nim, pomrukując. Chłopiec przeszedł przez otwartą bramę z kutego żelaza, brukowany podwórzec skąpany teraz w wodzie i zbliżył się do poczerniałych od ognia grubych, drewnianych drzwi. Brygada z wiadrami wyłamała je, by dostać się do środka. Zwinnie przeszedł przez poszarpany otwór, schylając się i unikając ostrych zadziorów. Drewno było mokre, ale Sasza nadal czuł bijące od niego ciepło. Spojrzął pod nogi i dostrzegł czerwone odciski stóp.

Ślady znikwały co chwilę w leniwie wirujących w komnacie kłębach gęstego, czarnego dymu, ale widać było, że prowadzą w dół schodów, do drzwi wejściowych. Plamy krwi zniszczyły bezcenny dywan babki.

Sasza poczuł, jak serce zaczyna mu szaleńczo łomotać w piersi, tak że z trudem mógł oddychać. Stało się tu coś strasznego. Kiedy tak stał, patrząc na krwawe ślady, bardziej niż kiedykolwiek chciał znaleźć się przy matce, chciał ją objąć, poczuć jej dłonie we włosach. Nabrał powietrza w płuca, wyprostował się i rozejrzał po wnętrzu.

Poczuł wzbierający w gardle płacz; jego matka była tu, podobnie jak i dziadkowie - ale w postaci na wpół zwęglonych, dymiących ciał, z których unosił się ohydny smród przypalonego mięsa. Nogi ugięły się pod chłopcem i ledwie zdążył zerwać chustkę z twarzy, zanim zwymiotował. Szlochał przez chwilę, aż wreszcie udało mu się odzyskać pozory samokontroli.

Zaczerpnął kilka haustów czystego powietrza unoszącego się bliżej ziemi, otarł usta rękawem i z powrotem obwiązał twarz chusteczką. Niczym modlitwę przypomniał sobie słowa matki: „Pochodzisz z linii ludzi dumnych: z jednej strony jesteś wnukiem przywódcy wioski, z drugiej zaś potomkiem silnego, wolnego, władającego magią ludu. Jeśli dzieci będą ciebie drwić z powodu nieprawości twojego pochodzenia, uśmiechnij się w duchu i wspomnij moje słowa”. Sasza wstał.

Nie chciał tego robić, ale zbliżył się kilka kroków do

dymiących zwłok. Jego rodzinę zamordowano, nie miał wątpliwości, ale jak się to stało? i kto to zrobił? Rozpoznał tylko trzy ciała - matki i obojga dziadków. Poczul ucisk w gardle widząc ich pogryzione szyje, ale udało mu się przełknąć ślinę.

Sposób, w jaki zginęli, budził dalsze pytania. Skoro zabiły ich wilki, co zdawało się oczywiste, kto próbował spalić ciała? z pewnością nie wieśniacy. Poza tym gdzie podziała się reszta mieszkańców domu?

Wciąż jeszcze osłabiony dręczącymi go nudnościami i wdychanym dymem Sasza otworzył boczne drzwi do pomieszczeń dla służby. Jęknął i oparł się o futrynę, w migotliwym świetle pochodni, wystarczająco jasnym, choć trochę zniekształcającym, widać było ślady rzezi. Iwan, lokaj burmistrza, leżał na kamiennej podsadze. Jakimś sposobem, mimo rozszarpanego gardła, zachował wygląd pełen godności. Niewiele było tu krwi.

Sasza podniósł wzrok i zauważył, że gardła pokojówek, kucharzy i pomocników również nosiły ślady kłów. Jakaś część jego umysłu krzyczała, że powinien uciec w panice, poddać się żalobie - przecież dobrze znał wszystkich tych ludzi. Ale była w nim też inna cząstka, chłodna, wyrachowana, dokonał więc koszmarnych oględzin.

Wyszedł z komnat służby wstrząśnięty, ale z mocnym postanowieniem kontynuowania śledztwa. Jeszcze tylko o jednej osobie nic nie wiedział - o Ludmile, swojej ciotce. Minął stertę ciał, starając się nie patrzeć w tę stronę i zatrzymał się u podnóża schodów, tuż obok na ścianie mocnym światłem płonęła pochodnia, która wyjął z uchwytu i ściskając ją mocno w dłoni zaczął powoli wchodzić na piętro.

Płomień wywoływał dziwne cienie, które pojawiały się i znikaly, kiedy szedł po schodach. Serce Saszy zabiło szybciej, chłopak otarł nagle spocone ręce o spodnie. Zimna, opanowana część jego istoty zaczynała się rozplýwać i czuł, jak w głębi duszy gromadzi się strach, aby w jakiejś chwili wybuchnąć z pełną mocą.

Zatrzymał się u szczytu schodów i spojrzał w ciemny korytarz. Dym był tu gęstszy, niż na dole i napływał powoli, szarobiałymi fałami, zasłaniając widok i wywołując łzawienie. Sasza zaczął wyobrażać sobie, co może kryć się za tą zasłoną z dymu... Zły na siebie uspokoił własne myśli i niemal wyzywająco wszedł do swojej sypialni, trzymając pochodnię w wyciągniętej dłoni.

Pokój był nietknięty. Łóżko pozostało porządnie zaścielone, zabawki i ubrania spoczywały w skrzyni, jednak dla mieszkańca niewielkiego pokoju ostatnie kilka godzin zmieniło wszystko. Wyszedł z powrotem na korytarz i zamknął drzwi.

W następnej komnacie spały jego matka i ciocia Ludmiła. Wiedział już, co stało się z Anastazją i przez chwilę poczul, jak opanowuje go panika. Ponownie siłą woli zdławił strach. Długą chwilę stał przed drzwiami, drżąc i zastanawiając się, co też zastanie za nimi. Położył drobną dłoń na klamce, przekręcił ją najciszej jak mógł i lekko pchnął drzwi.

Przez otwarte okno wlewała się do komnaty księżycowa poświata, srebrząc wszystko wokół, w łóżku ciotki Ludmiły Sasza

dostrzegł jakiś kształt, który drgnął nieznacznie, kiedy chłopiec mu się przyglądał.

Prawie stracił nad sobą kontrolę. Co to jest?

Jęknął cicho i w napięciu zagryzł wargi. Tb coś w łóżku nie poruszyło się więcej. Drżąc na całym ciele podszedł bliżej; pochodnia podskakiwała opętańczo w jego trzęsących się dłoniach. Stał przy łożu i, zanim zdążył wymyślić coś innego, rzucił się i ściągnął prześcieradło, okrywające leżącą istotę. Natychmiast odskoczył na bezpieczną odległość.

Ciotka Ludmiła spała spokojnie. Sasza widział, jak oddycha rytmicznie. Wypuścił z płuc dawno wstrzymywany oddech.

- Ciociu! - krzyknął, wyciągając rękę, żeby potrząsnąć ją za ramię. W tym właśnie momencie zauważył bladłość jej twarzy - zdawała się bielsza od pościeli, w której leżała. Kiedy szarpnął, próbując ją za wszelką cenę obudzić, głowa Ludmiły odchyliła się na bok i włosy odsłoniły szyję.

Na gardle widać było dwa wyraźne, niewielkie ślady.

Był to wysoki, bladolicy mężczyzna o ostrych kłach i pazurach.

- „Stój” powiedział Nosferatu, bo Paweł wiedział, że jego właśnie ma przed sobą. „Stój, bym mógł wypić twoją krew i pożywić się twoją śmiercią”.

Nosferatu, pomyślał Sasza czując, jak opanowuje go przerażenie. Pierwszy Strażnik Ciemności. Wampir.

Tym razem panika zwyciężyła. Krzyk uwiązał mu w gardle. Cudem tylko nie wypuścił z rąk pochodni, kiedy potykając się wypadł na zewnątrz i zamknął drzwi. Przez jedną, bezmyślną chwilę walił w nie bezsensownie, dopóki nie przypomniał sobie, że mają przecież klamkę. Przekręcił ją i pobiegł korytarzem, niezwykle szczęściu zawdzięczając, że nie spadł po zakrwawionych schodach.

- Pomocy! - wykrzyknął, kiedy wreszcie udało mu się dobyć głosu. Dopadł rozbitych drzwi wejściowych i wydostał się na świeże powietrze.

Rastolnikov czekał na niego i teraz pomógł mu wyjść. Sasza wtulił się w niego, bełkocząc coś bezładnie.

- Spokojnie, chłopcze. Uspokój się i mów normalnie - zabuczał głos piekarza.

- Nosferatu! - wyrzucił z siebie Sasza. - Nosferatu zabiły ich wszystkich! Musimy, musimy... - nie pamiętał, jak to było w tych legendach, coś o kółkach w sercu i obcinaniu głów.

Chłopiec upadł i Rastolnikov, z zaskakującą u człowieka tej postury delikatnością, podniósł go z ziemi.

- To nie nosferatu - dobiegł wrogi głos z tłumu. - To zemsta Vistanich! Zostaw chłopaka, niech sam walczy z tym, co jego ludzie tu sprowadzili.

- Vladimir - odezwała się piekarzowa. - Nie może zostać u nas.

- Ale on nie ma rodziny! - odparł Vlad.

- To niech się włóczy po okolicy, jak Zagubieni, albo niech

Vistani zabiorą go do siebie - odrzekł jego żona, opierając dłonie na potężnych biodrach. - Nikt w wiosce nie kupi naszego chleba, jeśli przygarniesz tego chłopaka! On przynosi nieszczęście!

Piekarz oblizał wargi. Miała rację. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z zaopiekowania się półcygańskim kundlem. Jego żona zawsze była zdania, że Kartov powinien być wydziedziczyć Anastazję, a przynajmniej zmusić ją, żeby oddała szczeniaka Vistanim. Zdawał sobie sprawę, że Sasza robił w wiosce więcej zamieszania niż trzech innych chłopaków. Jednak spoczywające w jego ramionach nieprzytomne dziecko było godne pożałowania. Pozbawiony zwykle ożywiającego go ognia dziesięciolecie sprawiał wrażenie tak delikatnego, jak ptasie piskłe; pod ciemną skórą Vlad z łatwością wyczuwał kruche kości.

Z westchnieniem położył Saszę z powrotem na ziemi. Chłopiec zamrugał i otworzył oczy, spoglądając Rastolnikovowi w twarz.

- Nie pomożesz mi, prawda? Żona piekarza chrząknęła znacząco.

- Nie, chłopcze, nie mogę - odparł mężczyzna z nieskrywaną przykrością w głosie.

Sasza poczuł, jak drży mu dolna warga i łzy popłynęły mu po twarzy. Mógłby przysiąc, że wyczerpał już zapas łez, ale krople spływały dalej.

- P-p-proszę - powiedział błagalnym, drżącym tonem. - Jeśli mi nie pomożesz, mnie też dopadną!

- Tak, i tak powinno być, ty cygański bękarcie! - rozległ się czyjś okrzyk. Ktoś inny splunął mu w twarz. Z godnością właściwą komuś znacznie starszemu otarł ślinę i nie pewnie podniósł się na nogi.

- Wracaj do swoich!

Poleciały dalsze przekleństwa, ale Sasza nie zwracał na nie uwagi. Podszedł sztywno do miejsca, w którym porzucił swój worek i zaczął w nim grzebać. Nie spieszył się i część przyglądających mu się nienawistnym wzrokiem ludzi przestała się nim interesować i wróciła do bezpiecznych domostw. Kiedy zaczął padać letni, przykry deszcz, zniknęli kolejni, aż wreszcie został sam, przygotowując się do dzieła.

W pół godziny później Sasza stanął przed wyłamanymi drzwiami swego domu, przypominając dziecięcą karykaturę łowcy wampirów. Przemókł do suchej nitki, włosy przykleiły mu się do czoła. Na szyi zawiesił sobie wianuszki czosnku, swój i Koli, wraz ze wszystkimi drewnianymi dyskami. W kieszeni, gdzie łatwo mógł sięgnąć ręką, trzymał zakorkowane buteleczki z wodą święconą. W jednej dłoni dzierżył niezgrabnie zaostrozony kołek, w drugiej młotek, niemal zbyt ciężki, by mógł go unieść.

- Czy na pewno wiesz, co robić?

Sasza obejrzał się zaskoczony i zobaczył wysoką, chudą sylwetkę brata Martina. Różowo-złote szaty powiewały wokół szczupłej postaci kapłana, jego oczy płonęły gorączkowym zapalem, uśmiech jednak miał łagodny. Martin również obwieszony był świętymi symbolami, a na ramieniu niósł torbę, w

której grzechotały kawałki drewna.

- Może ja wezmę ten młotek? - zaproponował. Sasza przyglądał mu się, nie mogąc uwierzyć, że znalazł się ktoś, kto w tym koszmarze stoi po jego stronie. Jego rodzina nie należała do szczególnie religijnych, jak zresztą żadna w Barovii. Mając na uwadze wszystkie okropieństwa, które działy się w tej strasznej krainie, niewielu wierzyło jeszcze w dawnych bogów. Kiedy kilka lat temu brat Martin przybył z lasu Svalich, bełkocząc coś o Panu Poranka, nikt mu nie uwierzył, ale pozwolono mu zamieszkać w opuszczonym kościele, jeśli tylko będzie przestrzegał obowiązujących w miasteczku praw. Sasza zawsze uważał, że Martin jest trochę szalony, ale teraz zdawało się to nie mieć znaczenia. Chłopiec wybuchnął płaczem, tym razem pełnym nadziei, i przytulił się do kłeryka. Martin zawahał się, by po chwili czule pogłodzić go po włosach.

- Lathander jest z nami - mruknął do chłopca. - Pomoże nam zniszczyć wrogów.

Szykując się do wejścia do kostnicy, która niegdyś była jego domem, Sasza Pietrowicz modlił się gorąco.

Weszli do środka. Nic się nie zmieniło; wstrętne szkarłatne odciski stóp nadal znaczyły drogę w dół schodów, ciężka, pełna wyczekiwania cisza wciąż wisiała w powietrzu. Martin obejrzał z bliska ciała, nieczuły na okropny widok.

- Wyssano z nich krew - oznajmił chłodno. - Jeśli zostaną pogrzebani, powstaną jako nieumarli. Daj mi kołek i trochę czosnku.

Ściągnął z poczeriałego stosu drewna pierwsze ciało. Sasza odwrócił się, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła - to była Anastazja. Jej prawe ramię zwęgliło się zupełnie, podobnie jak cała odzież. Ogień oparzył również prawą część jej twarzy i włosy. Szybkim, sprawnym ruchem Martin położył zwłoki na okrytej kobiercem podłodze. Spojrzył na Saszę, który siedział na ziemi, przyciskając kolana do piersi.

- Ty to zrobisz.

- Nie! - oczy chłopca rozszerzyły się z obrzydzenia.

- Tak - nalegał Martin, podchodząc do chłopca. Klęknął przy nim. - To twoja matka. Dłoń tego, który ją najbardziej kochał, powinna zadać cios, który ją uwolni.

- Ale ona... Nie, Martin, nie mogę!

- Musisz. Wieczny spoczynek będzie dla niej najmiłszy, jeśli ty to zrobisz. Zaufaj mi, Sasza - włożył kołek w zdrętwiałą dłoń chłopca i oplótł go jego drobnymi, ciemnymi palcami. - Zaufaj mi.

Niczym we śnie Sasza wstał i zbliżył się do ciała matki. Próbował przypomnieć ją sobie taką, jaką była za życia - dzielną, kochającą, łagodną, chociaż zawsze trochę smutną. Ukłęknął przy niej, mrugając oczami, by odpędzić łzy i wycelował kołek pomiędzy jej piersi, nad sercem. Podniósł młotek, ale po chwili opuścił ramię.

- Martin, nie mogę tego zrobić.

- W takim razie zawiedziesz swoją matkę - odparł kapłan z



twarzą pozbawioną wyrazu. Sasza rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale Martin dodał: - Odmawiasz jej spoczynku i skazujesz na przerażającą egzystencję.

- Ty to zrób.

- Nie - Martin usiadł i wpatrywał się w Saszę niesamowitymi, bladobłękitnymi oczyma. - To jest twoje zadanie.

Chłopiec zrozumiał, że zwariowany kleryk mówi poważnie. Jeśli on nie przebijie serca Anastazji kołkiem, kapłan zostawi ją własnemu losowi. Rozzłościło go to, ale przelał tę złość w moc ramienia, kiedy zaciskając zęby uderzył młotem, wkładając w cios całą swą dziesięcioletnią siłę.

To wystarczyło; kołek wbił się głęboko w klatkę piersiową. Sasza na poły spodziewał się, że Martin się mylił i zwłoki ożyją, ale tylko zadrżały pod wpływem uderzenia. Uderzył ponownie i z ust Anastazji pociekła resztką krwi, jaka jeszcze pozostała w jej ciele. Po trzecim ciosie poczuł, że kołek zatrzymał się na kamiennej podłodze.

Jego matka nie była wampirem, ale jej dusza i tak została uwięziona. Teraz, kiedy Sasza ponownie spojrzał na jej twarz, dostrzegł w niej subtelną zmianę i uczył w głębi duszy zdumienie. Duch Anastazji odzyskał pokój; to, co zrobił chłopiec, było czynem iście koszmarnym, ale przyniosło wiele dobrego. Drżącą dłonią otarł zalewający mu oczy pot i zacisnął mocniej usta.

Wstał, zostawiając kołek wbity w serce matki.

- Dobra robota, chłopcze - pochwalił go Martin, delikatnie opierając blade dłonie na jego ramionach. - Zrobiłeś coś bardzo dobrego.

Sasza oparł się trochę bezwładnie o kapłana.

- Rozumiem, Martin. Dziękuję ci. Było mi naprawdę ciężko, ale... dziękuję.

- Doprowadzę rytuał do końca - zaproponował Martin. Sasza skrzywił się na myśl o tym, co kapłan zrobi z ciałem Anastazji, zanim dopełni makabrycznego obrządku: obetnie jej głowę i napelni usta czosnkiem. Dopiero wtedy będzie można ją bezpiecznie pogrzebać. - Czy możesz zrobić to samo z resztą tych biednych ludzi?

Sasza popatrzył na zwłoki dziadków i skinął powoli głową.

- Tak, Martin.

Przez cały dzień pracowali wspólnie. Kiedy Sasza poczuł zmęczenie w ramionach, Martin pokazał mu, jak wkładać czosnek w usta tych zwłok, którymi jeszcze się nie zdążył zająć, zaś sam wykonywał najbardziej krwawą część zadania. Kiedy nad Barović zaczął nadciągać zmierzch, stwierdzili, że bolą ich ręce, ubrania mają przesiąknięte krzepnącą krwią i obaj drżą z wyczerpania.

Ale Martina przepelniało uczucie triumfu. Z pewnością znalazł się tutaj, by wykonać to, co nakazał Lathander, Pan Poranka. Zadanie, które właśnie ukończył, w najmniejszym nawet stopniu nie odebrało mu odwagi. Za to Sasza był wykończony. Przsiedli na schodach i Martin objął go ramieniem.

- Opowiem ci pewną historię, synu, która może pomóc ci w zrozumieniu tego wszystkiego - pokazał na pozbawione głów

zwłoki. - Było sobie kiedyś dziecko, mniej więcej w twoim wieku, które żyło sobie szczęśliwie ze swoją rodziną. Podróżowali pewnego razu do innego miasta, gdy wtem otoczyła ich mgła. Postanowili zatrzymać się na noc.

Kiedy mgły rozwiały się, stwierdzili, że znajdują się w zupełnie obcym lesie. Mieszkańcy pobliskiej miejsciny okazali się nieprzyjaźni i niemili i nie udzielili im schronienia, więc nie mając gdzie się podziać, musieli spędzić noc w lesie - Martin zamilkł na chwilę, zapatrzony w dal.

- Bracie Martinie? - odezwał się Sasza. Martin poruszył się i ciągnął dalej.

- Kiedy chłopiec obudził się, czekał go przerażający widok. Setka wilków, dwakroć większych od zwykłego wilka, otoczyła niewielkie obozowisko. Piękne kobiety całowały wujków chłopca, ale gdy podniosły głowy, chłopiec dostrzegł, że piły ich krew. Zaczął krzyczeć. Wtedy wysoki człowiek, biały jak śmierć i czarny jak noc, spojrzał na niego płonącymi oczami. Wolno podszedł do dziecka i chłopiec wiedział, że zaraz zginie.

Matka próbowała go bronić przed złym człowiekiem, ale on kazał swoim wilkom pożreć ją. Już miał zabić chłopca, gdy nagle zjawił się Lathander, Pan Poranka.

Martin całkowicie zapomniał o Saszy, poddając się transowi. Twarz lśniła mu wewnętrznym blaskiem.

- Chłopiec widział obrazy przedstawiające boga - ciągnął - więc rozpoznał jego piękną twarz i złocistą skórę i włosy. Lathander również miał krew na ustach, ale powstrzymał ciemnego mężczyznę.

„Nie tkniesz tego chłopca” rzekł Pan Poranka, a głos jego brzmiał niczym muzyka. „Nie pozwolisz też, by twoje kobiety piły jego krew Odejdzie, bowiem jest pod Moją opieką”. I zły, mroczny człowiek ugiął się przed mocą Pana Poranka, a chłopiec doczekał świtu.

- Czy to tobie się to przydarzyło? - spytał Sasza. Martin spojrzał na niego i przytaknął.

- Jako żyję i oddycham - przysięgam, że opowieść jest prawdziwa.

- Jeśli Pan Poranka jest taki dobry, czemu jego usta też były zakrwawione?

- Sam często zadaję sobie to pytanie. Sądzę, że to miejsce jest tak mroczne, że nie może tu żyć żadna naprawdę dobra istota i sam Lathander ulega przemianie, kiedy przybywa do Barović. Pojawia się w nim odrobina zła, bo ta ziemia jest zła, ale pozostaje bogiem dobra, nadziei i odnowienia. Ocalił mnie. Sasza - dodał, patrząc na chłopca z namysłem. - Wydaje mi się, że choć dzisiejsze przeżycia były dla ciebie naprawdę straszne, miało to swój cel. Uważam, że zostałeś wezwany. Nie masz już rodziny; czy zechciałbyś zamieszkać w domu Pana Poranka? Będę się tobą opiekował i wskażę ci ścieżkę prawdy.

Sasza spojrzał badawczo w błękitne oczy kapłana. Czyżby to była prawda? Czyżby wreszcie znalazł dla siebie miejsce w tej nieprzyjaznej wiosce?

- Sasza - doleciał zza ich pleców piskliwy głos. Martin i Sasza odwrócili się jak jeden mąż.

U szczytu schodów stała blada, przypominająca ducha Ludmiła. Nocna koszula wyglądała jak całun. Brązowe oczy odcinały się od bieli twarzy.

Martin był oszołomiony. Jak to możliwe, żeby wampir normalnie chodził w świetle dnia? Wymacał fiolkę z wodą święconą i z krzykiem: - Giń, demonie! - rzucił się po schodach w górę. Jedną ręką złapał Ludmiłę za nadgarstek, drugą natomiast opróżnił buteleczkę wprost na jej ciało.

Ludmiła spojrzała na mokrą plamę na koszuli i zasłoniła się.

- Bracie Martinie, co ty wyrabiasz?

Sasza wybuchnął śmiechem. Ludmiła żyła! Podbiegł, żeby ją uściskać.

## CZTERNAŚCIE



Lata po napaści na dom burmistrza mijały, tak jak upływały niezliczone minuty pobytu Jandera w Ravenloft. Czas przytłumił żądzę zemsty; piętnaście lat nie znaczyło zbyt wiele dla kogoś, kto jako śmiertelnik miał prawo oczekiwać kilku stuleci życia. Jeszcze mniej odczuwała ich upływ istota, którą czekało smutne, wieczne istnienie.

Inaczej było z mieszkańcami Barovii.

Czerwień i rdzawy brąz liści tworzyły miły kontrast z bezchmurnym, niebieskim, jesiennym niebem. Tej nocy spadł deszcz i poranek przesiąknięty był zapachem wilgotnej ziemi. Leisl wciągnęła go głęboko w płuca, odgarnęła niesforny kosmyk brunatnych włosów z twarzy i wgrzyzała się w skradzione przed chwilą z wozu z owocami jabłko.

Dzień targowy na jesieni to istny raj dla złodzieja; tyle się działo dookoła i tyle różnych rzeczy można było ukraść, że Mały Lis nie wiedziała, od czego zacząć. Doszła do wniosku, że jabłko stanowi niezły początek i ugryzła kolejny kęs, rozglądając się na prawo i lewo orzechowymi oczami.

Oprócz zwykle wystawianych towarów - ciasteczek Koli, świeżego mięsa od Andrieja, tkanin Cristiny - mnóstwo rzeczy przywieźli zjeżdżający jesienią do miasteczka okoliczni rolnicy. Pełno było świeżo zerwanych, lśniących jabłek; niektóre furmanki po brzegi wypełniono ziemniakami, kapustą i rzepą, inne znów dyniami i kabaczkami; na targ wjeżdżał właśnie rybak z wozem obwieszonym sznurami solonych łososi. Leisl ślinka pociekła na ten widok - uwielbiała łososie, usmażone na patelni z czosnkiem, cebulą, pieprzem...

Odwróciła się, słysząc dobiegający zza pleców stukot kopyt i ujrzała, jak pomalowany w żywe kolory wóz Cyganów wtacza się na rynek. Z tyłu, przywiązane do pojazdu z trudem nadążało stadko dwudziestu paru beczących owiec. Powożący Vistani pogwizdywał

wesoło, ale jego towarzysz z kozła toczył wokół wrogim spojrzeniem. Mały Lis uśmiechnęła się w duchu; pasterz kłął pewnie teraz Vistanich za dziesięć sztuk złota, które musiał im zapłacić, żeby przewieźli go przez śmiertcioną mgłę.

Jeszcze parę kęsów i skończyła jabłko, a ogryzek wrzuciła do skleconej naprędcy zagrody dla świń, w której jeden z chłopów wystawiał na sprzedaż różowy, kwiczący towar. Ogromna maciora z zainteresowaniem obwąchała resztkę jabłka.

Coraz więcej koni pędzono z położonych poza miasteczkiem obszarów wiejskich. Leisl zdawało się, że dostrzegła młodego źrebaka ciemnozłotej maści, z jasną grzywą. Czyżby prawdziwy gniadosz? Prawie nikt w Barovii nie hodował gniadych koni. Zauważyła, że cygański woźnica obrzucił zbliżające się wierzchowce taksującym spojrzeniem. Chcąc lepiej widzieć trzymiesięcznego źrebaka, wdrapała się na ogrodzenie świńskiej zagródki.

- Hej! Chłopcze! Złaż stamtąd, zanim wpadniesz do środka!

Leisl z przepaszającym uśmiechem na twarzy odwróciła się do wykrzykującego te słowa właściciela świni.

- Przepraszam, proszę pana, przyglądałem się tylko... aaa! - machnęła w powietrzu rękoma, próbując złapać równowagę. Z przerażeniem spojrzała na brudny chlewik. Chłop, mrużąc coś pod nosem, wyciągnął krzepkie ramię i pomógł jej zejść na dół.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Nie chciałbym tam wpaść.

- Dobra, dobra, nie leż tam, gdzie nie twoje, to nic się nie stanie - rzucił mężczyzna, przyglądając się jej i kręcąc głową. Leisl grzecznie dotknęła rąbka kapelusza i odeszła, wtapiając się w rojący się na rynku tłum ludzi i zwierząt.

Włożyła rękę do kieszeni i wymacała trzy monety, które właśnie świsnęła właścicielowi świnki; sądząc z rozmiaru i kształtu trafiły jej się dwa miedziaki i sztuka srebra. Nieźle, ale mogłoby być lepiej; i z pewnością będzie, nim słońce zajdzie.

Smukłą i mocno zbudowaną Leisl często brano za chłopca, co zresztą bardzo jej odpowiadało i sama przyczyniała się do tego, nosząc męskie stroje. Tego dnia, niezwykle ciepłego, jak na tę porę roku, miała na sobie luźną bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, brązowe spodnie i brązowe, skórzane buty do kolan. Na głowę założyła niewielki, czarny kapelusik, kryjąc pod nim krótki koński ogon. Wszystko w jej wyglądzie było przeciętne - dziewczyna średniego wzrostu, zgrabna, o szarobrązowych włosach i matowych, orzechowych oczach - oto cała Leisl, wcielenie nijakości. Niczym nie zwracała na siebie uwagi, co w połączeniu z niemal nadprzyrodzoną umiejętnością znalezienia się we właściwym miejscu o właściwej porze i zwinnością palców czyniło z niej doskonałego złodzieja.

Zajęła się tą „profesją”, jak określało się to w ich gronie zawodowym, z konieczności, a teraz, po dwunastu. latach praktyki, osiągnęła mistrzostwo. Nauczyła się rozróżniać, kogo łatwo będzie oszukać, a kto jest za sprytny, żeby dać się podejść, kto ma ze sobą dużo pieniędzy, a kto nie... Zmrużyła oczy.

Potrafiła też rozpoznać obcego w miasteczku.

Przystojny młody Vistani z uśmiechem na twarzy wjechał na plac galopem na lśniącej, czarnej klaczy. Za nim siedziała trzymając się go mocno ładna młoda kobieta, rozglądająca się wokół przestraszonymi oczami sarny. Gdy tylko ognisty rumak zatrzymał się, chłopak zeskoczył i wyciągnął ręce, by pomóc zsiąść dziewczynie. Leisl parsknęła widząc, jak przy każdej okazji próbuje się do niej przycisnąć.

A ta niemądra robiła wrażenie zbyt niewinnej, by zwrócić na to uwagę. Leisl oparła się o ścianę „Wilczego Leża” i z rozbawieniem przyglądała się całej scenie. To było lepsze niż przedstawienie z okazji letniego przesilenia! Dziewczyna najwyraźniej dziękowała Cyganowi i sięgnęła do sakiewki, żeby mu zapłacić, on zaś wyglądał na głęboko dotkniętego i żywo gestykulował, nie chcąc przyjąć ofiarowanej monety. Na nadzwyczaj długą chwilę pochylił się nad jej dłonią, po czym niechętnie odszedł.

Kiedy dosiadał swego czarnego, przystrojonego dzwoneczkami rumaka, rozległ się okrzyk, który Leisl nie do końca zrozumiała. Cygan jednak usłyszał go i odgryzł się, popierając słowną zniewagę gestem, który rozpoznała jako co najmniej nie na miejscu w mieszanym towarzystwie. Urażony Vistani odjechał drogą do obozowiska.

Dziewczyna rozejrzała się bezradnie i skierowała swe kroki do „Wilczego Leża”. Miała ze sobą duży pakunek. Mały Lis oddaliła się dyskretnie, niezbyt daleko, udając wielkie zainteresowanie sprzedawaną obok kapustą. Dziewczyna położyła paczkę na ziemi, poprawiła długie, kręcone, czarne włosy i zapukała do drzwi.

- Wynocha! - dobiegł z wnętrza głos karczmarza. - Otwieramy dopiero w południe!

- Proszę pana - odezwała się dziewczyna miłym, drżącym głosem. - Może potrzebuje pan jakiejś pomocy. Chciałabym pracować w gospodzie.

Zapadła cisza, w której dało się słyszeć ciężkie kroki właściciela. Otworzył skrzypiące drzwi i czujnie wyjrzał na zewnątrz. Krytycznym spojrzeniem zmierzył dziewczynę od stóp do głów.

- No, jesteś wystarczająco ładna. Myślę, że się nadasz. Kto jest twoim ojcem?

Dziewczyna nerwowo oblizła usta.

- Proszę pana, ja nie jestem stąd, ja przyjechałam z Vallaki.

-Nie wiem. Chyba ze dwa dni temu.

- Dwa dni! Chodź, nakarmimy cię, a potem pójdziemy zobaczyć się z bratem Martinem, dobrze?

Odeszli w stronę sklepu Koli i Leisl nie słyszała reszty ich rozmowy.

Kupujesz coś, czy będziesz tak stać i zniechęcać klientów? - warknął w jej kierunku rozzłoszczony handlarz kapustą.

Przepraszam - mruknęła i odeszła z rękami w kieszeniach.

Mój ojciec był rybakiem, ale utonął tego lata. Mamy szycie nie wystarcza, żeby nas wszystkich utrzymać i...

Karczmarz zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Dziewczyna aż podskoczyła słysząc ten huk i do oczu napłynęły jej łzy. Schyliła się po swój tobołek.

- Pomogę ci - Leisl usłyszała dobiegający z tyłu czysty, męski głos. Zaskoczona zrobiła krok do tyłu, jeszcze bardziej chowając się za wóz z kapustą. Rozpoznała ten głos

- należał do młodego, przystojnego kapłana, brata Saszy. Poczula, jak serce zaczyna jej szybciej bić; zawsze robiła się bardziej nerwowa w jego obecności.

- Dziękuję, panie - odparła dziewczyna łagodnie, cała rozpromieniona. Sasza uśmiechnął się do niej, z łatwością podnosząc z ziemi tobołek. Odziany był w czerwono-różową szatę, lamowaną złotem i przepasaną złotym pasem. Delikatne, pastelowe barwy ostro kontrastowały z ciemną cerą młodzieńca.

- Gdzie mam go zanieść, pani?

- Och, proszę, mów do mnie Katia. Tak naprawdę to nie mam tego dokąd zabrać. Może wiesz, panie, kto mógłby potrzebować mojej pomocy? - spojrzała na niego błagalnie.

- Mogę robić wszystko... to znaczy... - zarumieniła się i spuściła wzrok. - Cokolwiek... przyzwoitego. Potrafię gotować, i sprzątać, i naprawiać ubrania... Och, proszę, pomoże mi pan?

Brat Sasza uśmiechnął się.

- Przykro mi, że nie znalazłaś żadnej pracy, ale mieszkańcy miasteczka podejrzliwie odnoszą się do obcych. Wiesz, co? Bratu Martinowi i mnie zupełnie nie udaje się utrzymać porządku w kościele, a poza tym żaden z nas nie umie gotować. Czy nie zechciałabyś popracować dla nas? Z pewnością udałoby ci się załatwić jakąś kwaterę tu, we wsi. Ślicznej, młodej damie nie wypadaloby mieszkać z takimi dwoma starymi kawalerami, jak my, nawet jeśli są kapłanami.

Uśmiechnął się ciepło, spoglądając na nią wesołymi oczyma. Leisl, obserwująca to ze swego ukrycia poczuła, jak od stóp do głów przenika ją fala gorąca. W brązowych oczach Katii wezbrały łzy, wargi zadrżały i rozplakała się.

- Och, panie, jesteś taki dobry... Tak się bałam...

- Proszę, nie płacz, moja droga, a już na pewno nie nazywaj mnie panem. Jestem brat Sasza.

Przesunął pakunek na jedno ramię i drugą, wolną ręką ujął dziewczynę pod brodę. Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

- Kiedy ostatnio jadłaś? Katia wzruszyła ramionami.

Nie wiedzieć czemu zapragnęła nagle, żeby niebo znów się zachmurzyło i zaczął padać deszcz.

\*\*\*\*\*

Jander otworzył oczy - znów przespał cały dzień, bez żadnych snów. Odczuwał z tego powodu ulgę, ale czasem dręczyło go to, że Anna nie śniła mu się już od kilku lat, kiedy to wyczerpał wszystkie możliwości prowadzenia śledztwa.

Doszedł do wniosku, że śliczna dziewczyna była jedną z

„zagubionych”, ludzi doprowadzonych do obłędu tym, co widzieli. Wędrowali potem bez celu od miasta do miasta, szukając zmiłowania. Jander wypytywał o Annę, ale nikt z mieszkańców nie słyszał o kobiecie o takim imieniu, która pasowałaby do jego opisu. Niektórzy w dodatku często zastanawiali się, dlaczego też elf szuka dziewczyny, która nie żyje od dobrych stu lat?

A on nie mógł im tego wyjaśnić. Wszystko, co mógł uczynić, to podziękować i ciągnąć swoje poszukiwania.

Wstał, przeciągnął się i rozejrzył po komnacie. Przynajmniej w tym jednym miejscu coś się wyraźnie zmieniło - odnowił całą sypialnię, przywracając jej jeśli nie dawny przepych, to z pewnością cechujące ją niegdyś wygody. Oczyszczył wszystkie meble, nad łóżem zawiesił błękitno-purpurowe zasłony. Przy oknie, którego zamknięte okiennice rysowały się pod gustowną draperią, znajdował się wygodny fotel do czytania. Elf spojrział tęsknie na okno; jak pamiętał, tej nocy powinna była być pełnia, najlepszy czas, by zajrzeć do ogrodu.

Zarośnięty, umierający ogródek, odkryty przez niego bez mała ćwierć wieku temu, należał do przeszłości. Jander przyłożył się do pracy nad nim i wiele czasu poświęcił sadzeniu, przycinaniu i eksperymentowaniu z nowymi odmianami różnych roślin. Ogród przekształcił się w zieloną oazę, która swe piękno zawdzięczała wyłącznie jego wysiłkom. Przysiadł na murku i szczęśliwy spoglądał na swe dzieło, znajdując chwilę wytchnienia.

Oto znów nadeszła jesień i trzeba było pomyśleć o

Stwierdził, że tęskni za barwami dnia. Nocna paleta barw była wprawdzie piękna, ale ograniczona: granat i atramentowa czerń nieba i ziemi, perłowa biel księżycowego blasku, ciemna zieleń pól i lasów - więcej odcieni nie dostrzegał. Gdzie się podział błękit nieba? Gdzie są róż, lawenda i reszta delikatnych kolorów dziennego światła? Zniknęły, były poza jego zasięgiem.

Zacisnął powieki, zmuszając się do przypomnienia sobie kolorów dnia.

- Anno - rzekł sam do siebie. - Wróć, proszę. Tak za tobą tęsknię...

Nie wiedział, na co właściwie liczy, gdyby ta tęsknota miała przywrócić mu bolesne i radosne sny, w których wraz z ukochaną cieszył się wspaniałymi świtami i skąpanymi w słońcu wieczorami. Skupił się, uformował w myśli obraz Anny - wysokiej, pięknej, z grzywą kasztanowych loków spływających po plecach i brązowymi oczyma, śmiejącymi się do niego... Anna. Otworzył oczy i zabrakło mu tchu w piersi.

Ujrzał przed sobą taką właśnie kobietę. Przez krótką chwilę chciał wykrzyknąć imię Anny, ale myśl ta pierzchła, gdy dokładniej przyjrzał się dziewczynie. Rzeczywiście, miała ciemne oczy i kasztanowe włosy, ale była stanowczo zbyt drobnej budowy; oczy miały odpowiedni odcień, ale wyrażały coś zupełnie niewłaściwego. Z cynicznym uśmiechem przyglądała się Janderowi.

- Janderze - rozległ się pomruk Strahda, który teraz dopiero pokazał się elfowi. - Pozwól, że przedstawię ci moją nową przyjaciółkę: oto panna Katrina Jakowlena Pulczenka; Trina - to jest Jander Sunstar, gość z dalekiego królestwa.

Przez chwilę Jander sądził, że dziewczyna stojąca u boku Strahda to po prostu kolejna, niedawno stworzona wampirzyca, ale poczuł jej specyficzny zapach, będący z pewnością wonią żywej istoty. Kiedy Strahd gestem posiadacza położył jej dłoń na ramieniu, zdawał się dosłownie nad nią górować. Kobieta miała na sobie typowe ubranie mieszkanki wioski, ale widać było, że nie należy ono do niej; drobna figurka prawie w nim ginęła.

Jednak ani w wyrazie twarzy, ani w postawie kobiety nie było nic z poddaństwa. Jasnymi oczami zdawała się błyskawicznie dostrzegać wszystko i robiła wrażenie całkowicie wyzbytej strachu, co szczególnie w Barovii było godne uwagi.

- Miło mi, że cię poznałam, Jander - odezwała się miłym głosem, w którym za dużo było jednak samozadowolenia, by dało się go określić jako atrakcyjny. - Strahd dużo mi o tobie opowiadał - poklepała Strahda po dłoni, którą dalej opierał na jej ramieniu. - Czy mogłabym...?

Hrabia skinął głową i Jander zauważył na jego ustach cień uśmiechu, kiedy Trina nagle wygięła się w tył, jakby pod wpływem wewnętrznego bólu. Ku zdziwieniu elfa mimo dziwaczного wykrzywienia ciała nie wydała ani jednego dźwięku świadczącego o cierpieniu, za to przerażony mógł obserwować, jak jej twarz wydłuża się na podobieństwo wilczego pyska, a jej kończyny przekształcają się w długie łapy

przycięciu roślin i przygotowaniu ich do zimowego snu. Elf przykłęknął obok krzewu białych róż, rosnącego przy drzwiach kaplicy, i przyjrzał mu się uważnie. Jedyne pozostałe na nim kwiat wyglądał niesamowicie w promieniach księżyca. Jander pochylił się, żeby wciągnąć w nozdrza jego świeży, słodki zapach i poczuł na twarzy dotknięcie płatków, tak samo miękkich, jak miękkie były policzki Anny. Przymknął oczy i zaciągnął się głęboko, ze smutkiem.

Odsunął się, otworzył oczy i zamarł w bezruchu, ponownie spojrzawszy na kwiat. Uśmiech zniknął mu z ust. Kwiat, jeszcze przed sekundą wspaniale rozkwitły, zwiędł i umarł, a jego płatki opadły na ziemię, czyniąc mu niemy wyrzut.

Oszołomiony i przerażony Jander cofnął się od krzewu. Tuż obok jego stopy rozkwitała kępka nocnych fiołków, ku której teraz powoli, z obawą, sięgnął dłonią, dotykając liliowych kwiatków. Zwiędły na jego oczach, na liściach zaś zaczął pojawiać się brunatny kolor śmierci. Poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch.

Co się z nim stało? Nagle, bez ostrzeżenia, jego dotyk stał się zabójczy dla kwiatów. Wampir zacisnął dłonie, przyciskając je do piersi, jakby chciał mieć pewność, że żadna niewinna roślina nie padnie już jego ofiarą. Oparł się o mur, ciesząc się, że swoimi rękami zabójcy dotyka zimnego, szorstkiego, nieczułego kamienia.

Prawie płacząc spojrzął na mleczną w księżycowej poświacie mgłę, wirującą z wolna przy krawędzi urwiska. Tam, gdzie była nieco rzadsza, widział w dole ostre zarysy skał. Przez chwilę rozważał nawet skok w kłęby mgły, ale zaraz odrzucił ten pomysł: nie ulżyłoby mu to w żaden sposób; nie mógł umrzeć.

wilka. Palce u nóg i rąk uległy skróceniu, zamiast paznokci pojawiły się pazury. Potężne mięśnie napięły się, rozrywając ciasne teraz ubranie i przed upływem minuty w miejscu, gdzie przedtem znajdowała się Trina, stanął szaro-brunatny wilk, odziany w resztki zbędnych już fatalaszków. Zwierzę zmrużyło ślepią, oblizało się i położyło spokojnie uszy po sobie.

Trina mieszka w wiosce, gdzie o jej wdzięki stara się pewien dość natrętny konkurent. Nie ma zbyt wiele czasu dla siebie, toteż woli odwiedzać zamek pod postacią wilka - wyjaśnił Strahd. Wilczyci spoglądając to na niego, to na elfa, pozbywała się właśnie resztek ubrania, potem zaś podeszła do Jandera i obwąchała go ciekawie, rozdymając szeroko nozdrza.

To pierwsza śmiertelna kobieta, jaka od dobrych ponad stu lat z własnej woli weszła do zamku Ravenloft - dorzucił hrabia. - Nie mogę pić jej krwi; wilczy rodowód Triny sprawia, że nie nadaje się dla nas.

- Więc po co sobie zawracać głowę? Strahd pokiwał ostrzegawczo palcem.

- Uważaj, Janderze. Ona rozumie każde twoje słowo! - Trina szczerknęła krótko, potwierdzając słowa hrabiego. -

Jej towarzystwo odpowiada mi znacznie bardziej niż niewolnicy; jest niemal równie bezlitosna, jak ja sam. Niełatwo stać się kimś takim w dziesięć lat! - zaśmiał się niewesoło. - Intryguje ją idea dobra i zła, ale przypomina mi wilka z leśnych ostępów - cechuje ją zupełny brak skrupułów. Jest znakomitą szpiegiem i wesołą towarzyszką w łożu - ponownie skoncentrował swą uwagę na wilczycy. - Chodźmy, najdroższa. Byłem już twoim gościem, teraz czas więc, bym odwzajemnił przysługę.

Jander patrzył, jak odchodzą razem - wysoki, elegancki wampir i zimny, wyrachowany wilkołak. Śledził wzrokiem ich widoczne w świetle pochodni zmierzające w stronę zamku sylwetki i zastanawiał się, co też pomyślał sobie o Irinie niewolnicy Strahda? A jaka będzie jej reakcja?

Czuł narastający głód, ale spróbował o nim zapomnieć. Czuł się zmęczony tym miejscem; wycieczki do pobliskiej wioski i do Vallaki niewiele mu pomagały, a działania, które podejmował przez ostatnie kilka lat, okazywały się próżnym wysiłkiem. Usiadł na kamieniu nad przepaścią i oparł głowę o ścianę.

- Zapomniałeś o mnie - doleciał go słodki głos, za którym tak tęsknił i którego zarazem tak się obawiał. Wołał nie otwierać oczu; bał się stwierdzić, że nie śpi i to własny umysł płata mu takie figle.

- Na bogów, Anno, nigdy. Przecież wiesz - szepnął w odpowiedzi. Usłyszał szelest sukni i poczuł zapach jej skóry, kiedy przysiadła obok, ale nadal nie chciał na nią spojrzeć.

- Popatrz na mnie, kochany - jej głos brzmiał łagodnie, miękko, niczym dźwięk wiatru poruszającego korony drzew w letnie popołudnie.

- Nie mogę.

- Boisz się zobaczyć, co się ze mną stało przez twoje zapomnienie?

Jander aż jęknął pod wpływem tego oskarżenia. Odwrócił się ku Annie i powoli, niechętnie spojrział na nią.

Tym razem krzyknął z przerażenia.

Dziewczyna wyglądała znacznie gorzej, niż niegdyś w przytułku; jej lśniące włosy pozlepił brud, twarz wcale nie była czystsza, a z ubrania unosiła się woń zgnilizny. W jej oczach elf widział czysty, nie przytłumiony obłędem ból i to okazało się najtrudniejsze do zniesienia.

- Anno - wyszeptał, czując wzbierające we własnym wnętrzu poczucie winy. - Czy to przeze mnie?

- Nie znam spoczynku, dopóki mnie nie pomścisz - odparła ze łzami w oczach. - Jesteś moją jedyną nadzieją. Czemu nie tęskniłeś za moim towarzystwem przez te ostatnie dziesięć lat?

- Bo to za bardzo boli - mruknął, próbując odwrócić wzrok i nie mogąc się do tego zmusić.

Pogładziła go po policzku.

- Czyżbyś sądził, że ja nie cierpiałam, najdroższy? Życie obłąkanej to bolesne doświadczenie. Jander, gdzie one się podziały? Miałam kiedyś umysł, myśli, sny - co się z nimi stało, kiedy oszalałam? Dokąd odeszły?

Jander odsunął się od dziewczyny.

- Nie wiem, jak ci pomóc - krzyknął, równie zły na własną niemoc i na Annę. Wstał i odszedł kilka kroków, odwracając się do niej plecami. - Nikt cię tu nie zna, nikt nie potrafi podsunąć choćby jakiejś wskazówki!

- Sam musisz je znaleźć, a dzięki nim odszukać tego, kto mnie zniszczył. Rozwiązanie zagadki leży bliżej, niż ci się wydaje.

Jander odwrócił się z zamiarem zadania mnóstwa pytań - tylko po to, by stwierdzić, że Anny już nie ma. Zamrugnął oczami, wytrącony nieco z równowagi jej nagłym zniknięciem. Nadchodził świt, niebo zaczynało szarzeć i przez moment nie marzył o niczym innym, jak tylko zostać tu, gdzie stał i podziwiać wspaniałość wschodu słońca, poczuć ból, jaki niesie ze sobą... Wszystko by się skończyło... ale tajemnica by pozostała.

Czując na barkach jej ciężar odszedł w stronę zamku.

## PIĘTNAŚCIE



Trina nudziła się.

Jander wiedział o tym słysząc jej nieustanne westchnienia i niespokojne kroki za plecami, ale koncentrował się całkowicie na swojej pracy.

Stojąc na drabinie wydłubywał jednym ze znakomitych dłut kurz i brud przez dziesięciolecia nagromadzony w rowkach liter wyrytych pod freskiem. Napis nie był już zupełnie nieczytelny; wyglądał tak: KRÓL GOBLINÓW UCIEKA PRZ D P ĘG W T GO MB L KR Z O R.Z cierpliwością godną umarłego Jander zaczął odskrobywać „E” w słowie „PRZED”.

Samo malowidło znajdowało się w opłakanym stanie, choć dawało się na nim rozpoznać potężną sylwetkę, stojącą z rozpostartymi ramionami na wzgórzu przed gromadą kulących się ze strachu istot. Elf domyślał się, że obraz przedstawia Strahda walczącego ze stworami, które najechały Barovię.

- Na bogów, Jander! Jak ty to możesz znieść? - Trina, w ludzkiej postaci, przyglądała mu się z dołu, z niesmakiem marszcząc zadarty nosek.

- Moje ty wilcze szczenię - odparł, nieco ubawiony. - Wolę się zajmować tym, niż dla zabawy polować na niewinnych ludzi.

Strahd byłby się obraził, ale Katrina zauważyła tylko:

- Ale my tak robimy - jestem przecież łakiem.

- Nie wszystkie łaki są z natury złe - stwierdził pozbawionym emocji głosem elf, mrużąc oczy w miarę, jak pod jego palcami „E” odzyskiwało dawny kształt. - Przynajmniej tam, skąd pochodzę.

Roześmiała się, przyklaskując drobnymi dłońmi. Dowcip wyraźnie ją rozbawił.

- To zabawne!

- To prawda.

- No nie! Naprawdę?

- W moim świecie, Torii, żyją sowołaki, niedźwiedziolaki, a nawet delfinołaki i niektóre z nich są prawymi, kochającymi stworzeniami, posłusznymi prawu i dokładającymi starań, by wcielić je w życie. Kiedyś zaprzyjaźniłem się z delfinołakiem. Uratował mi życie.

- Co to jest delfinołak?

Zaskoczony Jander oderwał się na chwilę od swego zajęcia. Barovia zdawała się nie mieć dostępu do morza, więc Trina oczywiście nie mogła go zobaczyć. Zrobiło mu się jej żal i nagle poczuł, jak w jego piersi wzbiera tęsknota za pięknymi brzegami Evermeet.

- Delfin to zwierzę bardzo przypominające rybę, tyle że ciepłokrwiste. Poza tym jego młode rodzą się żywe, a nie lęgną z jaj. Delfinołaki mogą przybierać formę delfina lub człowieka.

Trina nie kryła zadziwienia.

- Cóż za dziwaczne zwierzęta. Czy ten delfinołak był ci coś winien?

- Nie. Po prostu zobaczył, że mam kłopoty i pomógł mi. Trina zmarszczyła brwi.

- To głupota - odparła zamyślona. - Mogłeś przecież tylko udawać, a naprawdę chcesz go złapać i sprzedać.

Jander przerwał pracę i przyjrzał się dziewczynie.

- Nie każdy rozumuje tak, jak ty - rzucił.

- To i dobrze - zamruczała. - Opowiedz mi, jak się tu znalazłeś.

Jander wrócił do przerwanej dłubaniny.

- Mgły mnie tu sprowadziły. Nic niezwykłego.

- Z każdym tak jest. Czy nikt nigdy nie przybywa tu za sprawą magii?

Elfa czasem bawiła paplanina wilkołaczycy, ale teraz zahaczyła o temat, który najmniej lubił i czuł, że jego cierpliwość się kończy.

- Trina, zupełnie nie znam się magii. Może idź i zapytaj Strahda?

Nie od razu odpowiedziała, a kiedy wreszcie odezwała się, słychać było, że się złości.

- Nie rozmawiam z nim. Ostatnią noc spędził z Iriną. Znowu - ze złością kopnęła kamienny stopień i dodała wiązanek przekleństw, jakiej nie powstydziliby się prawdziwy wilk morski.

Jander przypomniał sobie Irinę, najnowszy „nabytek” Strahda. Ciągle jeszcze była człowiekiem, choć już niezbyt długo.

- Po co więc przyszłaś tutaj? - spytał. Wzruszyła drobnymi ramionami.

- Nie wiem - nagle jej głos stał się niższy, bardziej chrapliwy. - Może chciałam zobaczyć się z tobą.

Jander ponownie obrzucił ją wzrokiem. Stała jedną nogą na drabinie, uśmiechając się do niego. Oczami wilkołaka wpatrywała się w niego w napięciu; jej czerwone usta wyglądały tak zachęcająco. Przesunął się tak, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Nadal było mu jej żal.

- Trina, jesteś niezwykle atrakcyjną dziewczyną, ale nie mam ochoty. Poza tym jeśli wydaje ci się, że mogłoby mi przez myśl przejść romansowanie z którąś z kobiet Strahda...

- Którąś z nich! - odwzajemniła z wściekłością jego spojrzenie. - Nie jestem po prostu jedną z jego kobiet!

Elf nic nie odpowiedział, zaś Trina nie przestawała się dąsać.

- Niedobrze mi się robi, jak to słyszę. Czemu ja mu nie wystarczuję? Po co mu te głupie niewolnice, które nie mają nawet własnego rozumu? Mówi, że podoba mu się we mnie to, że mam osobowość.

- Nie wątpię - przyznał Jander.

- Więc dlaczego...

- Trina, Strahdowi podoba się twoja niezależność. Ale on lubi czuć, że ma nad czymś władzę. Niech sobie ma te niewolnice. Są dla niego tylko... zabawkami - urwał, nie dodając, że w głębi serca uważa, iż ona sama jest dla władcy Barovii czymś niewiele bardziej znaczącym od zabawki.

- Nie podoba mi się to - wymruczała, przysiadając na kamiennych schodach. Oparła brodę na dłoniach, na jej ślicznej twarzy malowało się utrapienie. Gdyby nie wrodzona gwałtowność, Trina mogła czasem przypominać opuszczone dziecko.

Jander zszedł z drabiny, złożył starannie narzędzia do ochronnego mieszka własnego pomysłu i usiadł obok niej. Nie spojrzała na niego i nawet, kiedy odwrócił jej twarz ku swojej, nie podniosła wzroku. Na jej rzęsach perliły się ogromne łzy. Otoczył ją ramieniem.

- Znoszę to, jak mnie traktuje, tylko ze względu na magię - rzekła niewyraźnie. - Bo on mnie uczy, wiesz? Dużo już umiem. Poczekam, aż nauczy mnie tyle, żebym zmusiła go, by chciał tylko mnie.

- Ludziom tylko o to chodzi w magii, prawda? - podniesionym głosem spytał Jander. - Magia! „Mogę być bogaty, mogę zmusić kogoś, żeby mnie pokochał, mogę rządzić światem”. Na bogów!

- Nienawidzisz magii? - Trina, zaskoczona, pokręciła głową. - Ale dzięki niej można tyle zrobić. Na przykład to malowidło, nad którym wiecznie tak się biedzisz. Wystarczyłoby poprosić Strahda, żeby wypowiedział jedno małe zaklęcie i w sekundę byłoby gotowe.

- Lubię pracować nad tym freskiem. Moje dłonie przywracają mu piękno, a magia odebrałaby mi to uczucie. Poza tym - dodał ostrzej - Strahd nie widzi zastosowania dla niczego, co nie przyniosłoby mu natychmiastowych korzyści.

- To nieprawda!

- Ależ tak! Jeśli szukasz kogoś, kto cię pokocha, to słyszałem o jakimś młodzieńcu z wioski, z którym ponoć romansujesz.

- On? Nie bądź śmieszny. Zgodziłam się z nim spotykać tylko dlatego, że Strahd uznał to za dobry pomysł, żebym związała się z kimś z miasteczka. Ludzie będą wobec mnie mniej podejrzliwi.

- Ach, więc robisz to, co ci Strahd każe. Nie jesteś lepsza od jego niewolnic; na dobrą sprawę jesteś gorsza, bo słuchasz go z własnej woli.

Trina już otworzyła usta, szykując się do odpowiedzi, i nagle zamarła, gdy dotarła do niej prawda zawarta w słowach elfa.

- Nie - wyszeptała. - Nie jestem jego zabawką. Nie jestem. On mnie kocha.

Była młoda i wyglądała tak żałośnie, tak podobnie do zwykłej dziewczyny, miotanej porywami pierwszej niedorosłej miłości, że Jander poczuł wzruszenie. Przytulił ją czule, wyczuwając nagromadzone w jej ciele napięcie. Ramiona Triny zdrząły, kiedy zaczęła szlochać. Zaciśnęła małe dłonie na błękitnej tunice zdając sobie sprawę, że nie ma nadziei na to, żeby związek z panem tej krainy skończył się szczęśliwie.

- No, no, cóż za przemiała scenka - rozległ się głos Strahda Jander i Trina odsunęli się gwałtownie od siebie niczym para dzieciaków przyłapaną na czymś, czego nie powinny robić.

- Strahd... - zaczął Jander, ale wyraz twarzy hrabiego nie pozwolił mu dokończyć. Oczy Strahda zmieniły się w płonące czerwienią punkciki w posiniałym z wściekłości obliczu. Groźnym gestem uniósł ramiona, a jego wargi wykrzywił grymas nienawiści.

Przez chwilę elf miał wrażenie, że posunął się za daleko, że wampir stracił cierpliwość i zamierza go zniszczyć, ale czerwony blask zbladł i spojrzenie Strahda stało się opanowane i odległe jak zwykle. Opuścił ręce i Jander z ulgą zamknął oczy.

- Janderze, mój przyjacielu - rzekł Strahd, łagodnie, ale z nieskrywaną groźbą. - Magia nie musi ci się podobać, ale nie wolno ci lekceważyć jej mocy... I mocy tych, którzy się nią posługują.

Powiedziawszy to przeniósł swą uwagę na wilkołaczycę, która ze strachu zaczęła przechodzić przemianę. Wcisnęła się w zakrzywioną ścianę otaczającą kręcone schody, drapiąc ją wilczymi pazurami i skamłąc cicho. W wilczym pysku pozostały całkowicie ludzkie oczy, którymi teraz ze strachem obserwowała otoczenie.

Usta Strahda rozciągnęły się w czarującym uśmiechu. Nie spuszczać z niej łagodnego spojrzenia wyciągnął w jej stronę dłoń z długimi paznokciami.

- Trina, kochanie - rzekł przymilnie. - Nie bój się. Wszystko już zostało wybaczone i zapomniane. Tak, malutka, moja Trino - dodał, gdy dziewczyna, już zupełnie w wilczej postaci, zaczęła łąsić mu się do nóg. Poklepał ją pieszczotliwie.

- Może troszkę cię zaniedbywałem.

- Hrabia wraz z wilczycą ruszyli w górę schodów. W pół drogi Strahd stanął i odwrócił się do Jandera. Elf wytrzymał jego spojrzenie.

- Mój przyjacielu - lodowaty ton głosu hrabiego przeczył łagodności słów. - Od dawna już nie mieliśmy okazji, żeby się zobaczyć i zamienić parę słów. Przyjdę po ciebie jutro po zachodzie słońca; będziemy mogli spożyć razem posiłek i porozmawiać, jak kiedyś, co? - i nie czekając na odpowiedź poszedł dalej.

Jander patrzył w ślad za nim czując szalejącą w głowie burzę emocji. Chciał wrócić do pracy nad freskiem, ale porzucił ten pomysł. Był za bardzo roztrzęsiony. Z całego serca żałował, że Trina w ogóle poruszyła temat magii. Wiele bólu, jaki spotkał go w długiej egzystencji, zawdzięczał wpływowi tajemnej mocy. Nawet na przesiąkniętej magią Torii mistrzowie sztuki tajemnej nie byli w stanie pomóc mu pozbyć się klątwy życia w śmierci.

Próbował nie dopuścić, żeby przykre wspomnienia wydostały się z otchłani niepamięci, ale mimo jego wysiłków wkrótce wróciły.

Jander oparł się o kutą, żelazną furtkę. Drżał z wyczerpania. Wzrok jego przesunął się wzdłuż ukwieconej ścieżki prowadzącej do drzwi domku. Teraz, kiedy dotarł już na miejsce, zaczął się wahać, nie mając pewności, czy wystarczy mu odwagi, by rzecz doprowadzić do końca.

Oslabionemu wampirowi dotarcie do Waterdeep zajęło wiele tygodni, spędzonych na nocnych wędrówkach i odpoczynkach za dnia. Od czasu, gdy zniszczył swojego mistrza, Cassiara, nie pił krwi ludzi, mimo iż jego nieumarłe ciało gorączkowo domagało się ożywczego płynu. Jednak z trudem przychodziło mu posilanie się choćby zwierzęcą krwią, toteż zmuszał się do tego wyłącznie wówczas, gdy było to absolutnie niezbędne.

Tylko niemądra дума powstrzymywała go od zmiany postaci, by przyspieszyć podróż - wilk czy nietoperz dotarłby do Waterdeep znacznie wcześniej, lecz Jander kurczowo trzymał się swej elfiej natury i całą drogę przemierzył na własnych nogach.

Sądził do niedawna, że Lyria, Śliczna, dawno już nie żyje, że jej ciało zdążyło rozsypać się w proch wieki temu. Kiedy dowiedział się, że dzięki sztuce magicznej udało jej się powstrzymać starzenie i mieszka właśnie w Waterdeep, poczuł odżywiającą nadzieję. Teraz, stojąc przed domem dawnej przyjaciółki, wziął (w myśli) głęboki wdech, otworzył furtkę i ruszył w niedaleką, ale jakże długą drogę do drzwi. Stukotem kołatki oznajmił swoje przybycie.

Zrazu nic nie zmąciło panującej wewnątrz ciszy, więc zapukał ponownie. W jednej z komnat na piętrze zamigotało światło, a po chwili dzięki doskonałemu słuchowi Jander usłyszał trzeszczenie schodów i kroki schodzącej osoby.

- Późno już. Po godzinach liczę sobie podwójną stawkę. Elf uśmiechnął się lekko.

- Wpuść mnie, ty okrągłoucha dziewczko - odparł, próbując nadać swemu głosowi brzmienie równie beztroskie, jak przed stu laty.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale ktoś otworzył zasuwę i uchylił skrzypiące drzwi.

- Tylko jedna osoba na tym świecie nazywa mnie okrągłoucha, długopalcy - przekornie odrzekła uradowana Lyria.

Prawie się nie zmieniła. Mikstury, jakie piła, najwyraźniej działały znakomicie. Jej włosy zmieniły kolor, nie przypominały już złotego blasku słońca, stały się kremowo-białe, z czym było jej dziwnie do twarzy. Wspaniałe zielone oczy oplotła siateczka zmarszczek, ale ciało, przyodziane w wielobarwną szatę, zwaną przez Lyrię „tęczową sukienką”, pozostało tak samo smukłe jak dawniej. Z radosnym okrzykiem rzuciła mu się na szyję.

Zaskoczony Jander zawahał się przez moment, zanim odpowiedział na jej uścisk. Odsunęli się od siebie, przyglądając się sobie nawzajem.

- Lyria Śliczna - odezwał się Jander ciepło, z uczuciem. - Piękna jak zawsze.

- Elfy zawsze były najlepszymi pochlebcomi - odcięła mu się. - Witaj więc, przyjacielu. Ale wejdź, wejdź proszę! Ręce masz zimne jak lód!

Robiąc mnóstwo zamieszania, niczym kwoka opiekująca się swoim jedynym kurczęciem, zagoniła Jandera do wnętrza domu. Wystrój komnaty harmonizował z osobą właścicielki - była zarazem elegancka i zapraszająca. W kamiennym kominku płonął ogień, którego ciepło pozwalało nie zwracać uwagi na wilgoć unoszącą się od dwóch wysokich regałów po bokach. Z obu stron niskiego, intarsjowanego stolika stały otomany, zarzucone puchatymi poduszkami w kolorze wina.

Pośrodku stołu na srebrnej tacy stała karafka ciemnego wina i cztery wysmukłe, szklane kielichy, opalizujące delikatnie na podobieństwo bąbelków na powierzchni strumyka. Lyria wskazała Janderowi jedną z otoman, później karafkę.

- Może masz ochotę na kieliszek wina, żeby się rozgrzać?

- Nie dziękuję - szybko, zbyt szybko odparł Jander. - Nie piję już alkoholu.

- Co? - Lyria wybuchnęła swym melodyjnym śmiechem. Elf też się uśmiechnął; pamiętał, jakie zawody rozgrywali z Trumperem Hillhollow. Zwykle niziołek wygrywał, ale przynajmniej dwukrotnie Janderowi udało się spoić go tak, że wpadł pod stół. - Sto lat potrafi zmienić każdego.

Uśmiechnęła się nalewając sobie rubinowego płynu.

- Może coś innego? Twoje ciało jest po prostu lodowate. Naprawdę, widywałam cię w lepszym stanie. Czy coś cię gryzie?

Jander poczuł na ramionach brzemień swej egzystencji, zupełnie jak coś namacalnego.

- Lyria... Jak ja wyglądam? - od z górą stu lat był wampirem, nie mogącym zobaczyć własnego odbicia.

Lyria zmarszczyła czoło.

- Dziwne pytanie. Czekaj, zaraz dam ci lustro i będziesz mógł...

- Nie! - Jander złapał czarodziejkę za rękę zanim zdał sobie sprawę, co właściwie robi. Zmusił się, żeby ją puścić. - Po prostu... po prostu powiedz mi, co widzisz.



W szmaragdowych oczach Lyrii zabłysła ciekawość. Przyjrzała mu się badawczym wzrokiem, poddając krytycznej ocenie.

- Cóż... Włosy masz tej samej barwy co zawsze to samo złoto, którego tak ci zazdrościłam. Oczy... Nie są do końca srebrne, raczej stalowoszare. Kolor skóry masz inny, jakby była troszkę opalona, nie taka brązowa, jak zwykle. Jesteś strasznie chudy i zmarznięty, Jander.

Elf spuścił wzrok. Jak to ubrać w słowa? Zatopiony we własnym żalu nie zwrócił uwagi, że Lyria wstała ze swojego miejsca.

- Moja droga - zaczął, podnosząc spojrzenie. - Ja...

Wrzasnął z bólu, spadając z otomany. Młóćąc dziko ramionami zrzucił ze stołu dwa kielichy, które roztrzaskały się z hukiem o podłogę. Lyria znalazła zwierciadło i skierowała je w jego stronę, a teraz patrzyła z przerażeniem na zwijającego się w bólu elfa.

- Ależ to tylko... - spojrzała w lustro i nagle wszystko stało się jasne.

Odbijała się w nim otomana, sterty poduszek, odpryski szkła po stłuczonych kieliszkach, podobnie jak podłoga i kamienne ściany domu. Nie było widać Jandera.

- Moje biedactwo - westchnęła z żalem. - Mój biedny przyjacielu.

Jander, drżąc na całym ciele, spojrzał na nią. W jego oczach krył się niewymowny ból, a po policzku spływała pojedyncza krwawa łza.

Delikatnie pomogła mu wrócić tam, gdzie siedział i przyciągnęła sobie krzesło, żeby usiąść naprzeciwko.

- Jak? - zapytała.

Jander prychnął śmiechem, bez cienia rozbawienia.

- Nawet nie szukałem przygód; wracałem po prostu tu, do Waterdeep. Miałem dość włóczęgi i zamierzałem wsiąść na najbliższy statek o Evermeet. Dwa dni od domu. We śnie...

Przerwał w pół słowa, zastanawiając się, czy powinien opowiedzieć jej całą okrutną historię, ale kiedy spojrzał w zielone, przejęte oczy, zdecydował jej tego oszczędzić. Nie było sensu zadawać jej więcej bólu.

- Mów - rzekła przynaglająco. Zwilżył językiem wargi i ciągnął dalej.

- Wampir zaskoczył mnie we śnie. Moja osoba zafascynowała Cassiara, władającego całą zgrają nieumarłych istot. Nigdy nie słyszał o wampirze - elfie. Byłem dla niego nowinką. Prawie sto lat trwało, zanim go zabiłem. Postanowiłem cię odnaleźć. Jeśli ktokolwiek potrafiłby zdjąć tę klątwę, to tylko ty. Zajęło mi to dużo czasu.

Gwałtownym ruchem ujął dłonie czarodziejki w swoje ręce.

- Tak naprawdę nie zmieniłem się, Lyrio. Wciąż jestem elfem. Wyglądam tak blado, bo już od miesięcy nie piłem ludzkiej krwi, a od paru dni nawet krwi zwierząt. Bogom jestem obojętny, nie ocalili mnie. Ale ty możesz to uczynić, ty znasz się na magii! Możesz mnie uleczyć, prawda?

Teraz to Lyria odwróciła niespokojnie wzrok. Ucisnęła jego lodowate dłonie, po czym wstała i zaczęła się przechadzać po komnacie. Jander poczuł, jak coś skręca go w środku; znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że takie spacerowanie nie wróży nic dobrego.

- Lyrio...

Uciszyła go niecierpliwym machnięciem ręki.

- Janderze Sunstar, pamiętam, kiedy pierwszy raz cię spotkałam, jeszcze przed powstaniem Srebrnej Szóstki. Opowiadałeś mi o swojej ojczyźnie, o Evermeet, mówiłeś, że chciałbyś przybyć tu, do Faerun. Twoja twarz promieniała entuzjazmem. Pamiętam, jak próbowałam wbić ci do tej twojej rozsądnej, ustatkowanej, odpornej na magię głowy jakieś magiczne prawidła. Tyleśmy razem przeszli - smok, Daggerdale... - zawiesiła głos, a jej oczy zalśniły. - Wiesz, że gdyby istniał jakiś sposób, w tym czy innym - jakimkolwiek innym - świecie, pomogłabym ci.

Jander poczuł, że ból w jego trzewiach wzmaga się.

- To brzmi jak „nie”.

Uwolnione spod powiek łzy pociekły Lyrii po twarzy. Otarła je wierzchem dłoni.

- To dlatego, przyjacielu, że nic nie mogę zrobić. Jest tylko jedno lekarstwo na wampiryzm - śmierć. Ona prawie ze wszystkiego leczy.

Jander przeżywał istną gonitwę myśli.

- Mogłabyś mnie zabić, a potem wskrzesić?

- Tak, z pewnością. Ale wskrzesiłabym wampira, bo tym teraz jesteś. Żadna magia nie może ci pomóc.

Elf miał wrażenie, że otacza go całun szkarłatnej mgły.

- Nie... nie... Jestem elfem! Elfem! - zaczął nerwowo zbierać z podłogi odłamki szkła. - Nie mogę być jednym z... Byłem w Daggerdale. Wiem, co robią wampiry. Wiem, czym są. Nie zapomniałem. Lyrio, proszę, błagam, powiedz, że nie jestem...

Zdał sobie sprawę, że zaciska dłoń na ostrym odprysku, ale nie czuł bólu. Prawie nieświadomie wyciągnął szklaną drzazgę z rany, z której nie pociekła krew.

Nie wiem, jak ci się to udało, ale pozostałeś tym, kim byłeś. Możesz być z tego dumny, czerpać z tego siłę. Nie istnieje dla ciebie żadne magiczne lekarstwo, ale to nie znaczy, że musisz stać się podobny do tych okropieństw z Daggerdale. Może mógłbyś... - jej głos zamarł, gdy ujrzała wpatrzona w nią wstrząśnięte oczy Jandera.

- Nie ma żadnej nadziei - wyszeptał elf. Skrył twarz w dłoniach. Lyria oparła rękę na jego ramieniu.

- Magia nie może cię ocalić. Istnieje tylko jeden sposób, żebyś pozbył się swojego przekleństwa. Gdybyś szukał śmierci, mój drogi, przyjdź do mnie, a uczynię to z litości dla ciebie. Lepiej zginąć z ręki przyjaciela.

Jander ryknął wściekle i rzucił się w jej stronę. Lyria była jednak szybsza i udało jej się odskoczyć. Zaczęła gorączkowo grzebać w szkatułce wypełnionej różnymi drobiazgami, aż wreszcie jej dłoń zacisnęła się na czymś. Odwróciła się i podsunęła to przed oczy elfowi.

Wampir cofnął się chwiejnie, błyskawicznym ruchem zasłaniając rękoma twarz.

- Lyrio! - krzyknął łamiącym się głosem. - Wyśmiewasz się z mojego bólu!

Zniknął i Lyria została sama. Łapiąc gwałtownie oddech, ciekawie przyjrzała się przedmiotowi, który pozwolił jej odpędzić wampira. Trzymała w dłoni niewielki, drewniany, różowy dysk - symbol Lathandera, Pana Poranka. Zamknęła oczy. Jander był niegdyś wyznawcą pięknego, złotoskórego boga świtu.

## SZESNAŚCIE



Saszę obudziła muzyka deszczu uderzającego w okno. Jeszcze przez chwilę leżał w niedużym, przytulnym łóżku, rozkoszując się uczuciem leniwej senności. W głębi duszy cieszył się, że pada - nie będą musieli odprawiać codziennego obrządku powitania świtu na rynku.

Nie żeby Sasza nie był religijnym człowiekiem. Czternaście lat temu, po owej straszliwej nocy, Lathander zajął naczelne miejsce w jego świecie. Dziś także odprawią swą zwykłą ceremonię, tyle że we wnętrzu kościoła, zostawiając otwarte drzwi dla każdego, kto zechciałby przyjść. Saszy nie podobało się, że udało im się przekonać do wiary w Pana Poranka ledwie garstkę Baroviańczyków. Czuł się zniechęcony, kiedy przez godzinę stał na podwyższeniu wzniesionym na rynku i nikogo nie interesowało to, co miał do powiedzenia.

Na dźwięk odległego grzmotu otworzył oczy, ziewnął, przeciągnął się i spuścił nogi na drewnianą podłogę. Naciągnął szybko szaty, żeby opanować zimne dreszcze. W małej, chłodnej komnacie było jeszcze ciemno, toteż zapalił świecę. W jej świetle wyciągnął modlitewny dywanik i usiadł na nim, przygotowując się wewnętrznie do kilku prywatnych chwil z Panem Poranka.

Piętro niżej brat Martin szykował ołtarz. Nucił cicho, okrywając go białym płótnem i z szacunkiem stawiając na nim świeczniki. Zewnętrznie niewiele się zmienił, mimo iż miał już trzydzieści kilka lat, jednak od wewnątrz zżerała go choroba. Wiedział o niej już od jakiegoś czasu i dawno już uznał, że widać taka była wola Lathandera, więc nic nie wspominał o niej Saszy.

Przepraszam, że się spóźniłam, bracie Martinie, ale to przez ten deszcz - dobiegł go głos Katii, odbijający się echem w pustej nawie. Zatrzymała się w drzwiach i otrząsała wodę z włosów, rozsiewając dookoła drobne kropelki. Dygocząc z zimna ściągnęła wełniany płaszcz i rozwiesiła go na jednej z ław, żeby wysechł.

- Nie przejmuj się, moja droga. Sasza wyleguje się jeszcze w łóżku i nawet się z nim nie widziałem dziś rano.

Katia roześmiała się na te słowa, a w oczach zalśnił jej wesoły ogień.

- Udało mi się znaleźć coś, na co nawet ty się skusisz, bracie - rzekła, podchodząc do ołtarza z mokrym od deszczu, przykrytym koszykiem. - Twoje ulubione ciasto śliwkowe. Mam też chleb, kawałek sera i suszone jabłka w cukrze.

Kapłan poczuł wzruszenie.

- Katio, jak myśmy z Saszą mogli się bez ciebie obejść? Obawiam się jednak, że nie jestem zbyt głodny. Podzielcie się z Saszą ciastem. Ja zjem trochę tych słodkich jabłek.

Katia oparła dłonie na biodrach i wpatrywała się w niego natrętnie.

- I? - dodała ponaglająco.

- I trochę sera.

- I co jeszcze?

- Litości, proszę - roześmiał się Martin, udając, że się opiera.

Oboje odwrócili się słysząc jakiś dźwięk z drugiej strony kościoła. Cristina, szwaczka, wpadła do środka, ciasno owinięta czarnym płaszczem, tyleż dla ochrony przed deszczem, co żeby jej nie rozpoznano. Na twarzy miała rumieńce i czujnie przyglądała się obojgu, podchodząc do ołtarza.

- Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła tu przychodzić, bracie Martinie - powiedziała drżącym głosem. - Jeśli mój mąż się dowie...

- Siostro - odparł Martin łagodnie, biorąc ją za rękę. - Lathander się tobą zaopiekuje. Modlę się tylko, by jego dłoń dotknęła Ivara tak samo, jak stało się to z tobą.

- Witajcie, siostry - odezwał się Sasza, wchodząc do kościoła, odziany w oficjalną różową szatę. Cristina uszyła mu ją w zeszłym roku i nosił ją z dumą i radością. Podenerwowana szwaczka uśmiechnęła się lekko widząc go w niej.

- Witaj, bracie Saszo - odparła cicho Katia, nagle bardzo zajęta zapalaniem świec w nawie.

Sasza spojrział na nią. Miał większą ochotę patrzeć na nią, niż na jedzenie, które przyniosła. Sześć miesięcy temu przybyła do wioski; przez te sześć miesięcy widywał ją codziennie i coraz trudniej przychodziło mu ukryć uczucie, jakie do niej żywił.

Najpierw zakochał się w niej za jej wygląd. Kto by się nie zakochał? Była niezaprzeczalnie piękna, z ciemnymi lokami, zgrabną figurą i dużymi, potrafiącymi tyle wyrazić oczami. A poza tym płynęła w nim krew Vistanich, a zgodnie z baroviańskim powiedzeniem Vistani mieli nosa do najładniejszych kobiet.

Ale wygląd to nie wszystko, Katia dopiero swoim łagodnym usposobieniem tak naprawdę podbiła serce Saszy. Patrzył teraz, jak zapala jedną świecę po drugiej, wspinając się na palce, by dosięgnąć tych największych. Kiedy knot rozbłyskał ogniem, rozświetlał jej piękną twarz miękkim, ciepłym blaskiem. Sasza podjął decyzję. Postukał Martina w ramię.

- Bracie, można na słówko?

- Oczywiście, Sasza. O co chodzi?

Odeszli trochę na bok od Cristiny i młodszy z mężczyzn zaczął cicho:

- Wiele myślałem przez ostatnich kilka miesięcy. Ciekaw jestem... Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale... Czy kapłani Lathandera mogą się żenić?

Stało się; powiedział to, co musiał. Czuł ulgę, że wreszcie się na to zdobył, obojętne, jaka miałyby być odpowiedź Martina. Ten tylko uśmiechnął się przenosząc wzrok z Saszy na Katię.

- To o nią chodzi, prawda?

Młody kapłan przytaknął i uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Jeśli twoja wybranka jest jedną z wiernych, nie ma żadnych powodów, dla których nie mógłbyś się z nią ożenić. Ale, chłopcze - dodał poważnym tonem. - Jest jedna przeszkoda.

Sasza spojrział mu w oczy z przejęciem.

- Jaka?

- Ona musi powiedzieć „tak” - głos Martina był nadal poważny, ale w niebieskich oczach błysnął figlarny ognik.

Sasza spojrział na Katię, która już uporała się ze swym zadaniem i zasiadła z Cristiną w pierwszej ławce. Nachylały się ku sobie i dostrzegł, jak Katia ściska dłonie starszej, znękanej kobiety. Czując na sobie jego wzrok spojrzała mu w oczy, a na jej wargach wykwitł nieśmiały uśmiech. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Zapyta ją o to jeszcze dziś, zaraz po porannym obrzędzie.

- Już prawie pora, a my jeszcze nie jesteśmy gotowi - przypomniał mu Martin. Sasza uśmiechnął się przepraszająco i pomógł mu przystroić ołtarz.

W kilka chwil później wstało słońce, widoczne jako niewiele jaśniejszy punkt we wszechobecnej szarości. Niewielu ludzi w wiosce zauważyło różnicę, ale czworo skulonych w kościele pochyliło głowy w podziękowaniu za nadejście świtu. Pan Poranka pokonał długą baroviańską noc, odpędził wszystkie strachy korzystające z osłony ciemności, a to nie było co. Każde z nich pociągnęło łyk białego wina z połączanego kielicha, zwanego Pucharem Słońca, po czym Sasza poprowadził poranną modlitwę. Na koniec zaśpiewali wspólnie pieśń, prosząc o kolejną spokojną noc.

Czysty tenor Saszy niósł się daleko. Deszcz przybrał na sile i drobna, chłopięca postać skulona tuż za drzwiami kościoła przemokła do suchej nitki. Mały Lis przez lekko uchylone wrota przysłuchiwała się pieśni, cicho wtórując zebranych w środku. Otarła spływającą po twarzy kroplę nie będąc pewną, czy to deszcz, czy łza.

Jander widział już Strahda w gniewie, ale nigdy tak rozszłoszczonego, jak teraz.

Czarnowłosego wampir stał w wejściu, a jego wściekły ryk wtórował srożącej się na zewnątrz burzy. Hrabia szczyił się swym opanowaniem, ale elf zawsze zdawał sobie sprawę, że tuż pod tą gładką powierzchnią czaił się gniew, łatwy do obudzenia i nieujarzmiony. Przemoczony deszczem i krwią Strahd trzymał w ramionach bezwładne ciało i dawał upust swej złości.

- Kto śmie! - krzyczał, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Kto śmie?!

- Co się stało? - zapytał Jander. Trina, którą zamieszanie sprowadziło do pokoju, uśmiechnęła się lekko na widok całej sceny.

Strahd gniewnym ruchem rzucił zwłoki na podłogę. Ciało upadło z głuchym odgłosem i dopiero teraz elf dostrzegł, że pozbawiono je głowy, a w klatce piersiowej ziała ogromna dziura. Strahd trząsał się z wściekłości.

- Ktoś zabił jedną z moich niewolnic!

Jander zamierzał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Iby było do przewidzenia. Ostrzegał już hrabiego, że ma zbyt wielu niewolników, jednak obecny stan Strahda sprawił, że wołał mu tego nie przypominać.

- Niech będzie przeklęty, jeszcze z nią nie skończyłem! - hrabia odwrócił się w stronę zaskoczonego elfa. - Wiesz może, której z tych podłych kreatur z wioski starczyłoby odwagi, żeby zrobić coś takiego?

Jander pokręcił głową.

- Wszyscy boją się ciebie, Wasza Ekscelencjo; matki straszą dzieci „diabłem Strahdem”. Może to jacyś przyjezdni?

Strahd zaczął przemierzać niespokojnie komnatę, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści.

- Nie, Vistani od dawna już nie donosili mi o żadnych przybyszach.

- Mogło się zdarzyć, że ktoś przybył przez mgły i nie spotkał Vistanich - odezwała się Trina, schodząc po schodach w kierunku Strahda, który zatrzymał się w pół kroku i przyjrzał się jej badawczo.

- Tak - przyznał. - Sprawdzę to.

- A co z kapłanami? - podsunął Jander. Trina parsknęła

śmiechem.

- Co? Martin Szalony i ten jego chuderlawy pomocnik? Nie, Jander, ze strony tych dwóch nie należy się niczego obawiać.

- Musi być ktoś jeszcze, ktoś w wiosce, kto postanowił mi się sprzeciwić - na usta Strahda wypłynął okrutny uśmiech. Jego kły zabłyśły w świetle pochodni. - Będzie tego gorzko żałował. Jander, jak załatwiłbyś sprawę takiego osobnika?

- Jest coś, co możesz zrobić, żeby nigdy więcej nie sprawiać ci kłopotów - odparł elf. - ale nie sądzę, żeby ten pomysł ci się spodobał. Możesz przeczekać.

To dobre dla tchórza! - skwitował pogardliwie Strahd. - Sugerujesz, że ja, władca Barovii, miałbym pozwolić jakiemuś śmiertelnikowi na mordowanie moich stworzeń?

Właśnie to proponuję. Na razie nie ma śladu, który łączyłby cię z tą wampirzycą, ale jeśli zaczniesz karać mieszkańców Barovii za te ataki, sam wejdiesz myśliwym w sidła. Daj sobie spokój, Strahdzie. Pozwól mu niszczyć twoich niewolników, jeśli zechce. Tobie nie może nic zrobić, a za parę lat on umrze, a ty nic nie stracisz.

Strahd z niezadowoleniem zmrużył oczy; jego nozdrza rozdeły się gniewnie.

- Miałaś rację, Janderze. Nie podoba mi się twój plan. Zgadzam się jednak, że mówisz słusznie i rozważę to.

Spojrzał na leżące u jego stóp zwłoki i pokręcił głową.

- Biedna, śliczna Irina. Jander, każ któremuś z zombich zrobić z tym porządek. A ty, kochanie - zwrócił się do Katriny, wyciągając do niej bladą dłoń - chodź ze mną.

Lekkim krokiem wbiegli po schodach, przy czym tylko stopy Katriny czyniły hałas na kamiennej powierzchni.

Jander zwrócił uwagę na pozbawione głowy ciało pięknej kobiety, podniósł je z łatwością i wyniósł do ogrodu przy kaplicy, gdzie w padającym deszczu sam ją pogrzebał.

Następnego wieczora wstał wcześniej i udał się do kaplicy. Stał przy rozbitym oknie, zapatrzony w zapadający zmierzch. W ciągu dnia deszcz, który pamiętał z ubiegłej nocy, przeszedł w śnieg i w poblaskach zachodzącego słońca dostrzegał dwa przysypane świeżym puchem kopczyki grobów Iriny i Nataszy.

Strahd zjawił się obok niego nagle i zupełnie nieoczekiwanie, ale Jander zdążył odwrócić się, by go przywitać i zręcznie schwycił rzucony mu szary, wełniany płaszcz. Hrabia rozciągnął usta w uśmiechu - najwyraźniej był w znakomitym humorze. Elf zeszytywniał nieco, starając się zachować neutralny wyraz twarzy; pojęcie zabawy w wersji Strahda niewiele miało wspólnego z jego własnym.

- Chodź, przyjacielu - rzekł Strahd widząc, że Jander zwleka z założeniem płaszcza. - Mamy coś do zrobienia.

- Nie zapolujemy dziś jako wilki? - spytał go ostrożnie Jander. Zazwyczaj kiedy wybierali się wspólnie na łowy, co w miarę upływu lat zdarzało się coraz rzadziej, zmieniali się w wilki. Wilcze futro było znacznie bardziej dyskretne niż płaszcz.

To niespodzianka. Złożymy wizytę komuś w wiosce - odparł

hrabia, nie chcąc ujawnić niczego więcej. Poszedł przodem, prowadząc na podwórzec, gdzie czekał na nich jego wspaniały powóz zaprzęzony w parę czarnych koni. Jander poczuł ulgę na ten widok; z pewnością Strahd nie wybierałby się wspaniałą karetą, gdyby znów zamierzał dać komuś „nauczkę” i urządzić rzeź, jak wtedy, w domu burmistrza.

Czarne jak noc rumaki podążyły w dół drogą prowadzącą do miasteczka. W powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę, ale ziemię wciąż spowijała śnieżna opończa. Księżycowi ledwie paru dni brakowało do pełni i jego światło wyraźnie rozjaśniało krajobraz.

Przez jakiś czas oba wampiry siedziały w milczeniu. Jander zastanawiał się, co też hrabia zamierza tej nocy - najwyraźniej przyszykował dla niego kolejny mały „test”. Uderzyła go ironia całej tej sytuacji: oto jechali razem, zapewne dwaj najpotężniejsi przedstawiciele swojego rodzaju, przez mroczną krainę, która zdawała się im dodawać sił. Razem stworzyliby niepokonany duet, jednak za bardzo różnili się, żeby kiedykolwiek stać się prawdziwymi sprzymierzeńcami.

Elf podziwiał w Strahdzie wiele rzeczy; hrabia był bez wątpienia znakomitym kompanem, obdarzonym ogromną wiedzą, z którym dawało się znakomicie rozmawiać na rozmaite tematy. Ale była też w nim jakaś chciwość, której Jander nie lubił. Nie byli przyjaciółmi, mimo że Strahd zawsze tak się do niego zwracał. Towarzysze broni, złączeni naturą nieumarłych istot i poczuciem własnej niezależności - to może tak, ale nie przyjaciele.

Jander zauważył, że hrabia przygląda mu się i uśmiechnął się lekko.

- Chciałbym, żebyś mi powiedział, co zamierzasz.

- I zepsuł całą niespodziankę? Nigdy! Kiedy ktoś ma przed sobą całe stulecie, to właśnie zaskoczenie pozwala zachować świeżość zmysłów. Wieczny stan wytrącenia z równowagi jest jedynym sposobem trzymania intelektu w gotowości. Czyżbyś się ze mną nie zgadzał?

Przebyli pierścień mgły, z kłopotem przejechali przez most i wkrótce dotarli do pierwszych zabudowań wioski. Jander dostrzegał w oknach białe twarze ludzi ze strachem wyglądających po nocy. Konie podążyły dalej niespiesznie. Na rynku wzięli ostry zakręt w prawo, po czym skręcili w pierwszą uliczkę po lewej.

Zatrzymali się przed niewielkim sklepikiem, którego skrzypiący w podmuchach wiatru szyld był nieczytelny ze starości. We wszystkich pozostałych sklepach było ciemno

- zostały albo zamknięte, albo całkowicie opuszczone - tylko w tym jednym w oknie paliło się światło.

Strahd wyskoczył z powozu i podszedł do drzwi. Chcąc, jak zwykle, wywrzeć dobre wrażenie, starał się wyglądać dobroduszenie, a zarazem rozkazująco. Zastukał głośno do drzwi.

Przez długą chwilę panowała cisza, aż wreszcie ze środka rozległ się głos:

- Kto tam?

- Twój prawowity władca - donośnie odparł Strahd. - Miałś mnie oczekiwać.

Znów zrobiło się cicho, a Jander poczuł dolatujący z wnętrza odór strachu. Rozległ się trzask odsuwanej zasuwy i drewniane drzwi uchyliły się odrobinę. Kobięca twarz o ostrych rysach wyjrzała na zewnątrz, po czym drzwi otwarto na oścież.

Kobieta pochyliła się w dygnięciu, być może maskując przerażenie.

- Dobry wieczór, hrabio - rzekła drżącym głosem. - Nazywam się Cristina. Wszystko zostało przygotowane na twoją wizytę, panie.

- Znakomicie, moja droga! - odparł zadowolony Strahd. Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać. Cofnęła się o krok i wprowadziła ich do niewielkiego, pustawego saloniku. Elf obrzucił pokój szybkim spojrzeniem, zwracając uwagę na podniszczone krzesła i stary, lecz porządnie wypolerowany stół pośrodku. Na ścianach pełno było oprawionych w ramki barwnych szkiców przedstawiających mężczyzn i kobiety w wieczorowych strojach - i tylko te obrazki wyglądały na coś naprawdę osobistego w wystroju komnaty.

Strahd poprowadził Jandera na środek pokoju. Cristina szła w ślad za nimi.

- Oto mój towarzysz, Jander Sunstar - powiedział hrabia. - Tb jego właśnie powinnaś zobaczyć.

Kobieta zwróciła na elfa przerażone oczy, ale posłusznie podeszła bliżej. Wyciągnęła w jego stronę dłoń, a on, zaskoczony, odsunął się pospiesznie, rzucił Strahdowi pytające spojrzenie, ale hrabia tylko się uśmiechał. Cristina znów zbliżyła się do niego i powoli, ale zdecydowanie przesunęła rękoma po jego ramionach i wzdłuż rąk, przyglądając się jego szatom.

- Nie powinno być żadnych problemów, Wasza Ekscelencjo - odezwała się. Elf był już zupełnie zdezorientowany i na jego twarzy odbiło się zmieszanie.

Hrabia wybuchnął śmiechem.

- Cristino, wprawiamy naszego przyjaciela w zakłopotanie! Janderze, Cristina jest szwaczką, poprosiłem burmistrza, by przekazał najlepszemu krawcowi w miasteczku, że potrzebne nam są jego usługi. Twoje ubranie nie nadaje się na wiosenną uroczystość.

- Na co? - zapytał Jander, ciągle niewiele rozumiejąc. Strahd zignorował go i zwracając się ponownie do Cristiny, wyraźnie odprężonej, rzekł:

- Moja droga, czy przygotowałaś zestaw materii i kolorów, z których moglibyśmy coś wybrać, tak jak prosiłem?

- Uczyniłam tak, panie - odparła i zaprowadziła ich do drugiego, o wiele większego pomieszczenia, gdzie trzymała wszystkie niezbędne jej w pracy przybory: nożyce krawieckie, manekiny, puchate poduszeczki na igły i szpilki, szpulki nici i kolorowej przędzy do haftowania. Na jednym ze stołów piętrzyły się bele materiałów. - Mogę tylko mieć nadzieję, że zadowolili was coś z tego, co mam.

Kiedy Cristina skoncentrowała się na konkretnym zajęciu, zniknęła gdzieś część jej strachu. Kobieta dobiegała już

czterdziestki, twarz miała pobrużdżoną od trosk, ale w jej oczach nadal rozpalał się wewnętrzny ogień, kiedy zaczynała mówić o swojej pracy. Znakomicie spisała się przygotowując ogromny wybór materiałów. Jander, który lubował się w zdecydowanych kolorach, jak czerwony i niebieski, wybrał złoty jedwab i aksamit barwy indygo, do czego dodał pierwszorzędne, szkarłatne sukno i złoto-srebrne oblamowanie.

- Nie podoba ci się mój styl ubierania się? Myślę, że świetnie by ci pasował - zauważył hrabia, wskazując znakomicie dobrane szaty, które sam nosił.

- Nie wasza Ekscelencjo, mam wrażenie, że jak dla mnie za dużo tam guzików. Nowe ubranie podobne do tego, które mam na sobie, będzie idealne. I rękawiczki - dodał szybko elf, smutniejąc na twarzy. - Kilka par rękawiczek.

Może warstwa materiału oddzielająca jego ciało od delikatnych roślin pozwoli mu znowu pracować w ogrodzie.

- Szczerze żałuję, że nie mogę tam iść - rzekła Cristina. - Bardzo chciałabym zobaczyć tych wszystkich ludzi w ich wspaniałych strojach! Zaraz, momencik! Już przynoszę lustro, żebyś mógł, panie, zobaczyć, czy w tych kolorach jest ci do twarzy.

- Ależ nie trzeba, dziękuję - zaprotestował Strahd. - Spieszmy się jeszcze na spotkanie. Na kiedy możesz przygotować stroje?

Cristina zastanowiła się.

- Będą gotowe w ciągu tygodnia.

- Trzy dni - Strahd zmarszczył brwi. Krawcowa pobladła, ale przytaknęła.

- Jak sobie Wasza Ekscelencja życzy.

- To za twój wysiłek - hrabia niedbałym gestem sypnął na stół garść złotych monet. Kiedy zszokowana Cristina skończyła je zbierać, goście już zniknęli.

Siadła na stołku, drżąc na całym ciele. Wiele mówiło się szeptem o hrabim Strahdzie von Zarovich - zawsze były to rzeczy niezwykle, a zwykle złowrogie. Równie tajemniczo, choć sympatyczniej, prezentowała się towarzysząca mu dziwna, złotoskóra istota. Cristina przycisnęła monety do piersi. Nigdy w życiu nie widziała tylu pieniędzy na raz. Hrabia Strahd obszedł się z nią należycie i nie zamierza mówić źle ani o nim, ani o jego przyjacielu.

Jak długo będzie żyła, nic złego nie powie.

- Chcesz kogoś znaleźć na tej uroczystości, prawda? - zapytał Jander Strahda, kiedy ten trzy noce później przyniósł mu nowe szaty.

Hrabia gwałtownie odwrócił się w jego stronę, przeszywając go wzrokiem.

- Czemu tak uważasz? - odpowiedział pytaniem, miękko, ale z groźbą w głosie.

Elf nie za bardzo wiedział, jakie sprężyny poruszył w umyśle hrabiego, ale ostrożnie kontynuował:

- Chcesz się przekonać, czy uda ci się czegoś dowiedzieć o tym zabójcy wampirów.

Strahd rozluźnił się, a jego spojrzenie złagodniało.

- Ach... tak, rzeczywiście. Twoja rada była dobra, ale nie mogę porzucić mojego własnego dochodzenia. A poza tym już zbyt długo nie pojawiałem się publicznie w Barovii. Nie chciałem, żeby ludzie o mnie zapomnieli.

- To chyba niemożliwe - odrzekł Jander. - Ale czemu chcesz, żebym i ja poszedł? Naprawdę wolałbym nie iść.

Hrabia uniósł jedną kruczoczną brew.

- Janderze, po wielu latach, które spędziłeś kryjąc się w zamku Ravenloft, nadszedł czas, żeby ludzie poznali mojego gościa, żeby mogli odpowiednio cię traktować. Czy tak wiele żądałem od ciebie przez cały ten czas, że teraz chcesz mi odmówić swojego towarzystwa?

- Nie, ale...

- Nie podoba ci się nowy strój, który kazałem dla ciebie uszyć? Czy to to cię tak zdenerwowało? Chcesz, żebym oddał go Cristinie i zażądał zwrotu pieniędzy?

Jander zaklął w głębi duszy. Strahd był gotów to uczynić, a myśl o biednej szwaczce, której zabrano ciężko zapracowane pieniądze sprawiła, że poczuł gniew.

- Szaty są piękne - odparł zmęczonym głosem. - i założę je na tę uroczystość.

- Będziesz wyglądał jak prawdziwy szlachcic - przyznał hrabia, umyślnie ignorując poirytowanie elfa.

Pół godziny później, czując na skórze delikatny dotyk materiału, Jander musiał przyznać Strahdowi rację. Żałował, że nie może przejrzeć się w lustrze; wiedział, że odzienie było znakomicie uszyte i robiło doskonałe wrażenie. Bawełniana koszula, którą założył pod błękitną, aksamitną tunikę z krótkimi rękawami, leżała na nim idealnie. Na samej tunice złotą nicią wyszyto ozdobne wzory. Złote, jedwabne spodnie również uszyte na miarę, a całości dopełniały białe buty z miękkiej skóry. Zgodnie z życzeniem elfa Cristina uszyła również kilka par rękawiczek z tej samej mlecznobiałej skóry.

Strahd wszedł do komnaty i stanął, mierząc elfa spojrzeniem od stóp do głów.

- Odwróć się - polecił beznamiętnie. Jander niechętnie usłuchał, a kiedy znów spojrzał hrabiemu w twarz, w jego ciemnych oczach dostrzegł wyraz aprobaty zmieszany z odrobiną samozadowolenia.

- Teraz w każdym calu jesteś godnym towarzyszem władcy Barovii - rzekł Strahd, kłaniając się nieznacznie.

Tej nocy ponownie wsiedli do powozu i udali się spieszenie w dół do wioski, niczym jastrzęb spadający na swą zdobycz.

## SIEDEMNAŚCIE

Uroczystość odbywała się w dworku burmistrza.



Jander czuł się dość nieprzyjemnie, wspominając ostatni swój pobyt w tym miejscu, ale przez minione lata naprawiono zniszczone sprzęty i odnowiono komnaty, nowy burmistrz zaś był zdecydowany doprowadzić do wymazania tragicznych wydarzeń z pamięci mieszkańców.

Wokół domu wykrecało wiele powozów, nie wytrzymujących porównania z kareta Strahda, ale najlepszych, na jakie stać było niezbyt zamożnych Baroviańczyków. Podobnie stroje mieszkańców dalece ustępowały odzieniu Strahda i Jandera i elf nagle zaczął żałować, że nie założył mniej pysznych i świadczących o bogactwie hrabiego szat. Uśmiechnął się ponuro pod nosem. Wcale nie znaczyło to, że miał nadzieję zmieszać się z tłumem. Mieszkańcy Barovii byli odludkami i nawet nieznanego człowieka traktowali nieufnie, Jander zaś, jako ewidentnie obcy, był od razu podejrzany. Sama zmiana stroju nie pomogłaby im wyzbyć się obaw. A poza tym przybył tu przecież wraz z „diabłem Strahdem”.

Ich powóz wtoczył się klekocząc po bruku przez otwartą, żelazną bramę. Przy głównym wejściu czarne rumaki zatrzymały się, a służący postąpił krok do przodu, by otworzyć drzwi pojazdu. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu, ale wyraźnie pobladła. Strahd żywym krokiem wysiadł z karety.

Powitała go cisza, aż wreszcie po dłuższej chwili powitały go pomruki ze strony kilku odważniejszych, również właśnie przybyłych gości:

- Dobry wieczór, hrabio.

- Rzeczywiście, piękny wieczór dziś mamy, dobrzy ludzie - uprzejmie odparł Strahd, po czym odwrócił się i skinął ręką na Jandera. Elf wyszedł z powozu znacznie mniej dostojnym krokiem niż hrabia. Kilku ludzi spojrzało na niego.

- Chodź - rzucił szeptem Strahd, chwytając go za ramię i prowadząc wśród tłumu. Jander czuł się nieswojo pod ostrzałem świdrujących spojrzeń. U szczytu schodów, po których wchodzili, oczekiwał ich już burmistrz z żoną.

Burmistrz był wysokim mężczyzną po czterdziestce, z ciemnymi włosami i elegancko przyciętą brodą. Jeśli nawet nie zapowiedziane pojawienie się na uroczystości hrabiego Strahda von Zarovicha wraz z przyjacielem wytrąciło go z równowagi, potrafił to ukryć.

- Wasza Ekscelencjo, to zaszczyt dla mojego domu gościć cię w mych progach - rzekł donośnie, chyląc się w ukłonie. - Pozwól, że przedstawię ci moją żonę, Ludmiłę.

Ludmiła, teraz już kobieta w wieku trzydziestu paru lat, ładna i o zgrabnej figurze, pokłoniła się głęboko, spuszczając wzrok. Janderowi wydała się dziwnie znajoma.

- Wraz z moim małżonkiem witamy Waszą Ekscelencję - rzekła.

- Ludmiła Kartova, prawda? - spytał hrabia, pochylając się i przyciskając lodowate usta do jej dłoni.

- Och, tak, Wasza Ekscelencjo. Zanim wyszłam za mąż.

- Przyjmij, proszę, wyrazy współczucia z powodu śmierci

rodziny, madame. Oraz wyrazy uznania za odnowienie domu.

- Dz-dziękuję, Wasza Ekscelencjo.

Nagle Jander zdał sobie sprawę, skąd zna Ludmiłę i zuchwałość Strahda oszołomiła go.

- Burmistrz Radawicz - ciągnął hrabia. - Pozwól, że ja z kolei przedstawię ci mojego przyjaciela - oto Jander Sunstar, przybysz z dalekich stron, co bez wątpienia widać.

- Panie, pani - odezwał się Jander. - To prawdziwy zaszczyt poznać państwa. Ja również wyrażam swoje współczucie z powodu waszej straty.

- Tak - przerwał szybko Radawicz, ukradkiem ściskając dłoń małżonki. - Wejdźcie, proszę i rozgośćcie się.

Jander i Strahd weszli do środka, mijając gospodarzy. Gdy przechodzili z przedsionka do głównej sali domu wszyscy ludzie kłaniali się hrabiemu.

Elegancka, bogato i ze smakiem urządzona komnata niewiele miała wspólnego z kostnicą, z której Jander musiał uciekać. Zauważył, że część wypalonych ścian poprzedniej rezydencji zwyczajnie wyburzono, tym samym czyniąc z trzech-czterech ciemnych, niewielkich pokoików jedną przestronną, rozświetloną komnatę. Rzeźbione drewniane kolumny podtrzymywały szeroką połąć sufitu, wyłożoną gipsowymi płytami, przedstawiającymi kwiaty jabłoni.

W czterech wielopoziomowych świecznikach płonęło mnóstwo świec, które musiały kosztować fortunę. Proste, żelazne konstrukcje pomalowano na biało, by pasowały do sufitu, co sprawiało, że płomyki świec zdawały się unosić swobodnie wśród cieni. Zgrabne lampy naftowe i mniejsze kandelabry dodatkowo rozświetlały wnętrze, przeblaskując spomiędzy wieńców kwiatów na ogromnym kominku. Zapach kwiatów dopełniał atmosfery tworzonej przez muzykę samotnego fletu i szmer rozmów zgromadzonych w komnacie mieszkańców. W dowód szacunku dla ciepłej i pełnej wiosennych woni nocy nie rozpalono ognia w przygotowanym palenisku, a dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do ogrodu były otwarte na oścież. Z drzew zwieszały się latarnie, rzucając miękkie światło na obsypane kwieciami gałęzie. Jander zastanawiał się, czy w Barovii zdarzali się jeszcze zakochani wystarczająco odważni, by szukać samotności pod nocnym niebem.

- Pan Poranka!

Mężczyzna, który wykrzyknął te słowa, przepychał się przez tłum. Był wysoki, szczupły, wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał bladoniebieskie oczy, błyszczące fanatycznym blaskiem. Oficjalne złoto-różowe szaty, pozwalające domyślać się w nim kapłana jakiegoś bóstwa, zawirowały szaleńczo, gdy upadł na kolana przed Janderem, pochylając poddańczo głowę.

- Panie Poranka, nareszcie przybyłeś do nas!

Elfowi zrobiło się niedobrze. Nie pierwszy to już raz w jego długiej egzystencji zwracano uwagę na jego podobieństwo do boga świtu, Lathandera, Pana Poranka. Czyżby ten kapłan znał boga czczonego przez ludzi z Faerun? Może i on padł ofiarą dziwnych mgieł tej krainy.

- Dobry człowieku - odparł zdecydowanym tonem Jander. - Wstań proszę. Nie jestem Lathanderem, Panem Poranka. Spójrz mi w twarz.

- Nie, nie! Tyś jest Panem Poranka, który przybył, by położyć kres pełnym strachu nocom w tym przeklętym miejscu! - ciągnął kleryk.

Zostaw elfa w spokoju, głupcze! - rzucił Strahd. Kapłan nie przestawał bełkotać, trzymając Jandera za nogę i przyciskając twarz do jego skórzanych butów. Jander nie wiedział, co zrobić, a czuł, że ciepłowość Strahda ulatnia się, niczym mgła w gorących promieniach słońca.

Chodź ze mną, bracie - rozległ się inny głos. Delikatne dłonie wyciągnęły się do kapłana i pomogły mu wstać. Młody człowiek otoczył ramieniem podniesionego z ziemi kapłana. Odziany był w podobną szatę, co kapłan, tyle że znacznie mniej ozdobną.

Pan Poranka nie przybył. Jeszcze nie.

Smukły młodzieniec pokłonił się Strahdowi i Janderowi.

- Przepraszam za zachowanie ojca Martina. Jego umysł nie jest tak jasny, jak kiedyś. Jednak przyznaję, że szlachetny elf przypomina wizerunek naszego boga. Wasza Ekscelencjo, czy wybaczysz nam to zachowanie?

Głos młodego kapłana brzmiał donośnie i zdecydowanie, choć mężczyzna grzecznie spuścił wzrok. Strahd łaskawie skinął dłonią.

- Świątujemy nadejście wiosny, nie srogość zimy. Mogę odpowiedzieć łaskawością na dworność. Zabierz go stąd.

- Mój najszlachetniejszy pan jest zbyt łaskawy.

Młody mężczyzna odprowadził kapłana na bok. Rozmowy potoczyły się dalej, a Jander z ulgą zauważył, że część ludzi przestała na niego zwracać uwagę.

Strahd obserwował go bacznie; w jego oczach pobłyskiwało rozbawienie.

- Spychasz mnie na drugi plan! Jander wzruszył ramionami.

- Kultury pojawiają się i znikają. Lathander umrze wraz ze śmiercią tego kapłana. Ty zaś, hrabio, z pewnością przetrwasz dłużej, niż jakiegokolwiekienne bóstwo.

Strahd roześmiał się w głos.

Przez resztę wieczoru Jander trzymał się na uboczu, przyglądając się wszystkiemu, ale w niczym nie uczestnicząc. Za to Strahd zwracał uwagę wszystkich, wybierając najpiękniejsze kobiety i z kocią gracją prowadząc je w wymyślnych barovianskich tańcach. Oparty o drzwi do ogrodu elf widział, jak wyraz twarzy kobiet zmienia się, przechodząc od strachu, przez onieśmienie, po oczarowanie tańcem z hrabią.

Ze smutkiem pokręcił głową. Bez wątpienia Strahd oplatał je siecią swojego uroku. W ciągu najbliższego tygodnia czy dwóch jedna po drugiej kobiety te udadzą się do zamku Ravenloft i ich rodziny nigdy ich już nie ujrzą.

A przynajmniej będą się o to modlić.

- Trzymam w dłoni medalion, który, gdybym się nim

posłużył, sprawi ci wiele bólu. Nie dość na tym; obnaży także twoją prawdziwą naturę wobec wszystkich tu obecnych. Nie sądzę, żebyś tego chciał.

Jander przez chwilę trwał w bezruchu, po czym powoli odwrócił się w stronę osoby, która ośmieliła się zwrócić do niego tak odważnie.

Przed nim stał młody człowiek, który wcześniej pomagał wstać kapłanowi. Przyglądał się elfowi, ale unikał spojrzenia mu w oczy.

- Co to znaczy - moją „prawdziwą naturę”? - łagodnym głosem zapytał wampir. - Ośmielasz się grozić gościowi burmistrza waszego miasteczka i hrabiego Strahda von Zarovicha?

Młody kapłan uśmiechnął się nieznacznie, nie podnosząc wzroku.

- Nie wydaje mi się, żebyś chciał zaryzykować, nosferatu. Odwróć się powoli i wyjdź do ogrodu.

- A więc ten kapłan wie, co robi, zamyślił się Jander. Miał rację: jakkolwiek sprzeciw z jego strony i wszyscy mieszkańcy wioski dowiedzą się, że jest wampirem. Łatwo było przewidzieć ich gwałtowną reakcję.

Postąpił zgodnie z poleceniem kleryka, zamierzając zwabić go w zacienione miejsce.

- Nie wychodź poza krąg światła z drzwi.

- Jak sobie życzysz.

W młodym kapłanie uwagę elfa zwróciło coś niezwykle znajomego; był niepozornej postury, lecz sposób, w jaki się poruszał - nie wspominając o zręcznym zaaranżowaniu konfrontacji z Janderem - wskazywał na stalową wolę i wewnętrzną siłę. Twarz miał przystojną, o drobnych rysach, prawie ładną, jednak kwadratowa szczęka i zdecydowane czarne oczy wykluczały jakiegokolwiek słabostki. Emanowało z niego poczucie ogromnego smutku i straty, ale nie brakło w nim determinacji.

- Dobrze więc. Masz mnie w ręku - cicho zaczął Jander. - Nie jesteś tak głupi, za jakiego chciałbyś uchodzić wśród wieśniaków, co? Co zamierzasz?

Młodzieniec nie spuszczał z niego czarnych oczu.

- Wiem o tobie więcej, niż mógłbyś sądzić, nosferatu. Nazywasz się Jander Sunstar i jesteś elfem z innego świata. Przed blisko dwudziestu pięciu laty przybyłeś do Barovii i uratowałeś od stryczka cygańskiego chłopca. Dziewczyna, jego kochanka, przysięgła ci przyjaźń swojej rodziny.

Jander słuchał wyczekująco.

- Od dawna cię szukałem. Nazywam się Aleksiej Pietrowicz, w wiosce mówią do mnie Sasza. Jestem synem Anastazji. To mojemu ojcu ocaliłeś życie.

Głos miał opanowany, tylko gdzieś głęboko krył się ból i gniew. Jander podziwiał ten pokaz samokontroli.

- Masz dużo szczęścia, Sasza, pod wieloma względami. Jak udało ci się uniknąć losu reszty rodziny?

- Tamtego wieczoru nie było mnie w domu, razem z przyjacielem spędziliśmy noc na zewnątrz. Następnego ranka

wróciłem i znalazłem... - zawiesił głos.

Czytałeś książkę - przypomniał sobie Jander. - W kamiennym kręgu. Mądrze zrobiliście obozując tam. To jest naprawdę święte miejsce i niewielu nieumarłych ma dość siły, by naruszyć poświęconą ziemię.

Sasza zeszywniał cały i Jander zrozumiał, że popełnił błąd.

- Skąd wiedziałeś?

Elf nie odpowiedział. Sasza zacisnął usta, a jego dłoń zacisnęła się mocniej na medalionie. Podniósł go w górę, gotów porazić nim Jandera. Elf odwrócił twarz.

- Skąd wiedziałeś? - naciskał Sasza gorączkowo.

- Byliśmy tam - przyznał wampir. - Ty i twój przyjaciel tylko o włos uniknęliście śmierci. Gdyby... moi towarzysze byli bardziej głodni, naruszylibyśmy granice świętego miejsca, żeby zdobyć waszą krew.

Twarz Saszy przybrała udręczony wyraz.

- Czy ty...?

Jander wiedział, o co chłopcu chodzi.

- Nie. Nie zabiłem nikogo z twojej rodziny. Jesteś bardzo podobny do Pietii, Sasza. Nie znałem twoich rodziców zbyt dobrze, ale robili wrażenie dobrych ludzi. - Głos miał spokojny, opanowany. - Oplakiwałem śmierć twojej matki. Nie zginęła z mojej ręki, przysięgam.

Młodzieniec spojrział wreszcie Janderowi w oczy i po chwili odprężył się odrobinę.

- Mogłeś uratować mojego ojca i mimo to zrobić... to... matce. Chciałbym ci wierzyć, ale jesteś...

- Wampirem? Tak, od ładnych paru wieków. Ale to wcale nie znaczy, że nie odczuwam żalu na widok rzezi. Sasza, przed chwilą okazałeś mi zaufanie - spojrzałeś mi w oczy, chociaż wiesz, że to niebezpieczne. Postanowiłem nie czynić ci krzywdy, tak jak ty zdecydowałeś się mnie nie zdradzić.

Sasza przełknął ślinę.

Matka opowiadała mi o tobie. Poprzysięgłem, że jeśli kiedyś cię spotkam, nie uczynię ci nic złego. To nie jest kwestia wyboru, wampirze. Oddałbym cię tłumowi, gdybym tylko mógł, ale honor mi na to nie pozwala.

Wiele czasu upłynęło, odkąd ostatni raz zaczerpnąłem powietrza w płuca. Zapomniałem więcej, niż większość śmiertelników kiedykolwiek będzie wiedziała, ale nie zapomniałem, co to honor - odparł Jander z namysłem. - Nie uczynię krzywdy tobie, ani twoim krewnym, synu Pietii. To wszystko, co mogę zrobić.

Powiała nocna bryza, przyprawiając Saszę o dreszcze. Nie odzywał się dłuższą chwilę, a Jander uszanował jego milczenie. Czas płynął, aż wreszcie Sasza zaczął cicho;

- Urodziłem się w tym domu. Ta wioska jest moją ojczyzną jej mieszkańcy to mój lud, bez względu na to, czy się do mnie przyznają, czy nie. Są rzeczy gorsze od śmierci, Janderze Sunstar, a istoty takie, jak ty, do nich należą. Jak to możliwe, żebyś tak bardzo przypominał Pana Poranka, a zarazem był jego największym



wrogiem? - pogrążony w myślach i bólu Sasza zmarszczył ciemne brwi. - Jak to możliwe, że ocaliłeś nieznanego ci chłopca, jeśli żyjesz pijąc krew? Nie potrafię zrozumieć tego wszystkiego. Może ludziom nie jest dane rozumienie tych rzeczy. Będę posłuszny przysiędze moich rodziców. To wszystko, co ja mogę zrobić.

Zniknął tak samo cicho, jak przedtem przybył, wtapiając się w nocne cienie niemal z równą łatwością, co wampir. Jander był pełen podziwu; łatwość kamuflażu Sasza zawdzięczał zapewne płynącej w jego żyłach cygańskiej krwi. Z westchnieniem wrócił do sali i ponownie skoncentrował się na bawiących się ludziach.

Po jakimś czasie jego uwagę zwróciła młoda kobieta rzucająca mu zza wachlarza niezupełnie ukradkowe spojrzenia. Była całkiem atrakcyjną blondynką z brązowymi oczyma. Kiedy zauważyła, że się jej przygląda, uśmiechnęła się przekornie.

Jander nie spuścił wzroku i kiwnął palcem, żeby podeszła bliżej. Chichocząc za osłoną wachlarza wymieniła znaczące spojrzenia z przyjaciółkami, które z kokieteryjnymi uśmiezkami wypchnęły ją do przodu. Elf poczuł ból w ustach i zdał sobie sprawę, że jest bardzo głodny. Czas się posiłnić.

\*\*\*\*\*

Sasza próbował uspokoić kipiące emocje, spacerując po podwórku. Wdychał głęboko chłodne, nocne powietrze, ciężkie od zapachu kwiatów i starał się uspokoić. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą miało miejsce: rozmawiał z wampirem.

Podniósł wzrok na dźwięk końskich kopyt Katia, w rozwianym płaszczu, podjechała do niego.

- Sasza - zaczęła zmartwiona. - Martin... Lepiej się pospiesz.

Sasza poczuł, jak serce przestaje mu bić. Prosił Katię, żeby zabrała Martina do kościoła, ale najwyraźniej coś się stało. Nie tracąc czasu na sprowadzenie własnego wierzchowca, wdrapał się na siodło przed Katię, chwycił wodze i skierował zwierzę w stronę świątyni.

Z domu burmistrza do kościoła nie było daleko, ale zdenerwowanemu Saszy podróż zdawała się zabierać wieki.

- Co się z nim dzieje? - zapytał Katię, kiedy galopowali na miejsce.

- Wygląda na to, że zupełnie stracił rozum. Strasznie cierpi. Nie wiem, co mu jest.

Ledwie dojechali, Sasza zeskoczył z konia i pomógł zsiąść dziewczynie, po czym razem otworzyli wrota prowadzące do niemal zupełnie pogrążonego w mroku wnętrza.

- Martin? - rzucił pytająco Sasza, mrugając oczami. Jedyne światło pochodziło z samotnej świecy na ołtarzu, w pobliżu którego Sasza dostrzegł wreszcie skulony kształt.

- Martin! - krzyknął i pobiegł w kierunku drewnianego stołu. Katia kręciła się gorączkowo, zapalając dodatkowe świece, żeby Sasza mógł lepiej widzieć.

Martin trzymał się za bok, pojękując cicho. Jego bladą twarz wykrzywił grymas okrutnego bólu, jednak gdy Sasza dotknął go,

starszy kapłan otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Sasza, byłeś dla mnie niczym syn - wykrztusił. - Będzie mi cię brakowało, kiedy odejdziesz, ale widziałem Pana Poranka i On wezwał mnie do siebie!

- Martin - wtrącił Sasza. - To nie był Pan Poranka. To elf. Nie jest bogiem. Pozwól, żebym cię uleczył, proszę!

Martin potrząsnął głową, skręcając się z bólu i zaciskając trzymaną pod żebrami dłoń.

- Nie, chłopcze. Nie trać na mnie modlitwy. On mnie wezwał i muszę odejść. Powiadom ci, to był Pan Poranka, pamiętam go; pamiętam tę łagodną twarz splamioną krwią...

Sasza poczuł przebiegający go dreszcz; rodzinę Martina, tak samo, jak krewnych Saszy, zabiły wampiry. Sam Martin zawdzięczał życie istocie, która go oszczędziła, a którą uważał za Lathandera. To musiał być Jander. Młody kleryk zaczął drżeć na całym ciele. A więc... to wszystko kłamstwo? Nie istniał żaden Pan Poranka, był tylko Jander? Tb niemożliwe, po prostu niemożliwe...

- Martin, nie umieraj, proszę, mogę cię uzdrowić...

- Nie! - nadspodziewanie zdecydowanym tonem zaprotestował Martin. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły gdzieś w dal. - Tak, Panie Poranka, słyszę... przybywam- ...ach! - w jego jęku ból zmieszał się z zachwytem. Wyciągnął drżącą, chudą dłoń ku czemuś, czego Sasza nie widział, potem zadrżał, westchnął po raz ostatni i ramię opadło bezwładnie. Martin znieruchomiał.

Oszołomiony Sasza przez długą chwilę tylko mu się przyglądał, aż wreszcie złożył stygnące dłonie umarłego na piersiach i zamknął mu oczy. Łzy same pociekły mu z oczu. Od niemal piętnastu lat Martin był jego całą rodziną-Ludmiła i jej mąż, Nikołaj, przyjaźnie odnosili się zarówno do niego, jak i do starszego kapłana, ale Sasza nie miał wątpliwości, że sercem i duszą był przy Martinie i Panu Poranka. Teraz obudziły się w nim wątpliwości.

Katia ukłękła obok i objęła go ramieniem. Równie delikatnie Sasza uwolnił się z jej uścisku.

- Nic mi nie będzie - rzekł, muskając czule jej policzek. - Niebawem zajmę się Martinem. Możesz mnie teraz na chwilę zostawić? Muszę zostać sam z moim bogiem. Mam do niego wiele pytań.

\* \* \* \*

Jander kolejny raz zszedł do lochów, gdyż nie dowierzał ani bezmyślnym szkieletom i zombim, ani okrutnym wampirzycom, że dostarczą odpowiedniego pożywienia nowemu więźniowi. Zdjął z uchwyty wiszący na zewnątrz żelazny klucz i otworzył skrzypiące drzwi.

Dziewczynka wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczyma.

- Masz - powiedział, stawiając przed nią talerz zjedzeniem. - Jedz.

Dziecko spojrzało na talerz, marszcząc noski i znów podniosło wzrok na niego. Odwrócił się, zamierzając wyjść, a

wówczas dziewczynka wyciągnęła ręce i uczepiła się jego spodni. Przykucnął, żeby się jej przyjrzeć; twarz miała poważną, na szyi widniały dwie czerwone ranki. Jeśli chciał, Jander umiał posilać się delikatnie, zostawiając nikłe ślady. Nauczył również Strahda, jak to robić, jednak pozostałe wampiry, twory hrabiego, przepelniała żądza krwi. Strahd pozbywał się ich niedbale i z łatwością i elf również nauczył się nie przejmować zbytnio ich prawdziwą śmiercią, kiedy znudziły władcę zamku. Niewolnice były okrutne - to dziecko nie przeżyłoby, gdyby któraś chciała ponownie pożywić się jego krwią.

Nie bardzo wiedząc dlaczego, zły na siebie za okazywaną słabość, Jander rzekł:

- Chcesz wrócić do domu, panienko?

- Tak, proszę pana, proszę - odpowiedziała, drżącym, miłym głosem. To, co zamierzał Jander, graniczyło z szaleństwem, ale zbyt długo już siedział beczynn timer. Cóż znaczyło dla Strahda jedno małe dziecko? Bez dalszych słów Jander wziął dziewczynkę w ramiona, a ona objęła go za szyję i naturalnym ruchem oparła mu głowę na ramieniu, jakby był jej niańką. Po paru minutach już spała.

Ostrożnie wrócił na górę, do wyjścia, nasłuchując odgłosów mogących zdradzić obecność innego wampira. Napotkał kilka szkieletów, ale wszystko wskazywało na to, że niewolnice udały się na łowy. Strahda również nie było w zamku, co ostatnio zdarzało się niemal co noc. Nigdy nie zapraszał na nocne wędrówki Jandera ani Triny i nigdy też nie mówił im, co właściwie robi.

Nieważne, rzekł sam do siebie Jander. Gdyby któraś z niewolnic wspomniała o dziecku, mógł się tłumaczyć, że zabiera ją w inne miejsce, by się posilić.

Wyszedł na podwórzec. Powitało go chłodne, nocne powietrze. Z ulgą przymknął oczy.

Nagle rozległo się donośne szczeknięcie i wystraszony rozejrzał się dookoła. Niedaleko siedział jeden z wilków mieszkających w Ravenloft, uderzając ogonem o bruk. Jander miał się na baczności; wilki były teraz zupełnie oddane Strahdowi. Ma szczęście sondując umysł zwierzęcia znalazł tylko chęć towarzyszenia mu. W porządku, maleńka, powiedział w myśli do wilczycy, pobiegajmy trochę.

Elf biegł szybkim krokiem, mimo nieporęcznego brzemienia i podążający obok wilk dyszał ciężko, a i tak, zanim dotarli do wioski, do świtu brakowało ledwie godziny. Jander zatrzymał się przed mostem. Po ostatnich burzach Mis wezbrała i bystro toczyła swoje brunatne, zmacone wody. Źle byłoby wpaść w jej nurt. Spojrzał na most; dwadzieścia pięć lat temu nie potrafił sam go pokonać i Pietia musiał go przenieść. Od tego czasu wraz ze Strahdem albo udawali się wprost do wioski pod postacią nietoperzy, albo prze bywali rzekę powozem.

Jander wiedział, że odkąd przybył do Barovii moc, jaką dysponował, uległa zmianie. Kraina w okrutny sposób pozbawiła go kontaktu z naturą, przydając jego dotykowi zabójczych dla roślin właściwości. Z drugiej strony - zaobserwował, że potrzebuje mniej snu, niż w Faerun, fizycznie zaś jest silniejszy niż przedtem.

Ciekaw był, co się stanie, jeśli spróbuje przejść przez most.

Zanim taka myśl zdążyła się do końca ukształtować w jego umyśle, był już w pół drogi przez rzekę, z dzieckiem śpiącym mu spokojnie na ramieniu. W miarę zbliżania się do drugiego brzegu czuł narastające uniesienie, a kiedy jego stopy dotknęły ponownie stałego ładu, z trudem powstrzymał się, żeby nie skakać z radości. Co jeszcze mógł zrobić z rzeczy, które kiedyś były mu zakazane? Nosić święte symbole? Przejrzeć się w lustrze?

- Zobaczyć słońce?

Z zamyślenia wyrwało go warknięcie wilczycy. Stała obok niego wyprężona, strzygąc uszami i rozdymając nozdrza. Po chwili z cichym szczeknięciem zniknęła w cieniu, ruszając w drogę powrotną do zamku. Jander podążył wzrokiem tam, gdzie przed chwilą się wpatrywała i w infrawizji dostrzegł przed sobą duży, czerwony kształt. Ułożył inaczej uciążliwy ciężar i zaczął się zbliżać w absolutnej ciszy.

Wkrótce rozpoznał w poruszającym się człowieku Saszę i domyślił się, co młodzieniec robi. Nie miał na sobie swej zwykłej złoto-różowej szaty, tylko całkowicie czarne odzie nie. Wokół szyi układał mu się kaptur, odsłaniając bladą, ściągniętą twarz. Przez ramię przerzucił okrwawiony worek.

- Znów się spotykamy, Saszo Pietrowiczu - powitał go Jander lekko rozbawionym głosem. - A więc to ty zabijasz nieumarłych. Mogłem się tego spodziewać.

Sasza odwrócił się gwałtownie, sięgając po medalion. Kiedy rozpoznał, kto wyrzekł słowa powitania, napięcie częściowo opadło, ale gdy dostrzegł, co wampir niesie na ręku, opanował go strach.

- Rzuć ją natychmiast! - krzyknął rozkazująco. Jander uśmiechnął się niewesoło.

- Miałaby paskudne siniaki, gdybym to zrobił. To nie tak, jak myślisz. Przyniosłem ją właśnie z... stamtąd, gdzie ją znalazłem.

Na twarzy Saszy odmalowała się podejrzliwość.

- Na święte loki Sunę, chłopcze, czy naprawdę sądzisz, że zawołałbym cię w ten sposób, gdybym właśnie posilał się jej krwią?

Sasza zignorował tę uwagę, zrzucił worek na ziemię i podszedł do elfa z wyciągniętymi rękoma.

- Daj mi ją.

Jander nie poruszył się.

- Nadal mi nie ufasz.

- Jesteś wampirem! Jak mógłbym ci zaufać?

- W takim razie czy zaufałyś mi, gdybym próbował się targować?

Twarz Saszy pociemniała z gniewu.

- Czego chcesz, nosferatu?

- Mieszkasz w kościele, jedynym miejscu w wiosce, w którym znajdują się jakieś księgi i zapiski. Szukam osoby imieniem Anna, urodzonej około roku 333, według kalendarza Barovii. Sprawdź, czy znajdzie się tam coś na jej temat.

- Czemu chcesz to wiedzieć? Jander czuł narastającą irytację.

- Nie mam żadnych przewrotnych zamiarów, zapewniam

cię. Zapomniałeś, co to zaufanie i radość. Tęsknię za chłopcem, który opowiadał historie o duchach.

Sasza zacisnął wargi; zaczynał tracić cierpliwość.

- Ten chłopiec umarł tamtej nocy razem ze swoją rodziną. Niewiele zostało rzeczy, którymi mógłbym się cieszyć.

Coś w Janderze pękło, z wielką gwałtownością, która zaskoczyła ich obu. Jasne brwi złączyły się, kiedy zmarszczył czoło.

- Nic? Żyjesz. Jesteś młody. Nie musisz żywić się krwią niewinnych, żeby przetrwać! - Gwałtownie wyciągnął przed siebie rękę, na których trzymał dziecko. Dziewczynka obudziła się. - Możesz poczuć na skórze ciepło słońca, zaznać miłości kobiety, miłości swoich współbraci... Na bogów! Gdybym był tobą, synu Pietii, każdego dnia składałbym dzięki na kolanach, śmiałybym się w każdej minucie życia!

Dziecko zaczęło płakać. Sasza chwycił ją i przytulił mocno, a gdy tylko to uczynił, Jander przybrał wilczą formę i zniknął w mroku, kładąc uszy po sobie.

Wybuch elfa zaskoczył Saszę. Jander miał rację: mnóstwo rzeczy przyjmował za pewne i niezmiennie i wstyd mu było, że nieumarły musiał mu to wytknąć.

- Gdzie się podział złoty człowiek? - spytała dziewczynka.

- Jesteś bezpieczna, malutka. Zabieram cię do domu.

- Chcę, żeby złoty człowiek wrócił! I chcę, żebyś mnie postawił na ziemi.

- Zrobię to, jak tylko dojdziemy do wioski, hmmm? Sasza, nie zwracając zbyt wiele uwagi na szczebiotanie dziecka, myślami pozostawał przy elfim wampirze. Przebyli pół drogi do wioski, gdy nagle do jego uszu doleciał gardłowy śmiech, poprzedzony stłumionym jęknięciem. Najpierw zaczerwienił się, zmieszany, myśląc, iż oto napatoczył się na parę młodych kochanków, zaraz jednak dotarło do niego, że w jęku nie pobrzmiwał ani ślad rozkoszy, a śmiech był pełen okrucieństwa.

Szybko postawił dziewczynkę na ziemi.

- Co robisz? - spytała. Sasza założył jej na szyję własny medalion Lathandera i wyciągnął z worka kawałek sznura.

- Muszę zawrócić, maleńka. Przywiążę cię tutaj, żebyś nie zgubiła się we mgle, dobrze?

- Nie! - zaprotestowała, odymając gniewnie drobne, różowe wargi.

Sasza skrzywił się na dźwięk jej głosu.

- Zabawimy się w taką grę, dobrze? - szepnął. - Nazywa się to „Gra w cicho” i ta dziewczynka, która będzie się zachowywała najciszej, dostanie garść jabłek w cukrze.

Dziecko wyraźnie rozpogodziło się na twarzy, kiedy kończył je przywiązywać do drzewa. Przyłożyła palec do ust; Sasza uczynił podobnie. Ze zmrużonymi oczyma nasłuchiwał, próbując zlokalizować źródło dźwięku.

Piękna kobieta pochylała się nad leżącą przed nią inną, młodszą dziewczyną, przyciskając wargi do szyi ofiary i wysysając jej krew. Cienka strużka spływała po ciele leżącej, wsiąkając w kołnierzyk. Obok leżał szarobury wilk z wół zamkniętymi ślepiami

i wysuniętym językiem. Na szczęście Sasza podszedł ich pod wiatr i żadne ze stworzeń nie zauważyło jeszcze jego nadejścia.

Poczuł wzbierający w nim znajomy gniew. Bogowie, ależ nienawidził tych istot! Czuł też, jak wypełnia go strach, odwieczny strach, ale jak zwykle udało mu się go stłumić. Wycelował dokładnie i rzucił flakonik wody święconej wprost w głowę wampirzycy. Buteleczka rozbiła się, a woda rozlała, paląc ciało i oślepiając ofiarę, która krzyknęła rozpaczliwie piekielnym głosem.

Wilk poderwał się na nogi ze zjeżonym grzbietem i zaczął warczeć złowrogo.

- Demonie ciemności! - przeszył ciemność okrzyk Saszy. - W imię Lathandera, Pana Poranka, Nakazuję ci odejść stąd!

Szybkim gestem wyciągnął rękę z różowym dyskiem z drewna. Malująca się na jego twarzy determinacja dodawała mu lat tak, że wyglądał na znacznie więcej, niż swoje dwadzieścia cztery lata.

Wampirzyca zasyczała. Z jej rysów zniknęły wszelkie ślady urody, twarz przypominała maskę z krwi i przypalonego ciała. Cofnęła się, zaskowyczała i zniknęła w mroku. Towarzyszący jej wilk zatrzaskał pysk i również skoczył w noc. Sasza zmówił cichy dziękczynny pacierz do Lathandera, po czym pospieszył na pomoc leżącej mieszkance wioski.

Oddychała płytko, ale wciąż żyła. Z szybkością, którą zawdzięczał wprawie, przemył ranę wodą święconą, ucisnął lekko, żeby powstrzymać krwawienie i obwiązał ją. Kiedy znajdą się w bezpiecznym miejscu pomodlił się do Lathandera, by pozwolił mu ją uzdrowić, teraz jednak bał się tracić czas. Okrył ranę płaszczem i wrócił po dziewczynkę.

- Jestem bardzo cicho - szepnęła głośno, kiedy odwiązywał ją od drzewa.

- Wiem, maleńka - odparł również szeptem Sasza. - Jestem z ciebie bardzo dumny.

Kobieta próbowała usiąść, kiedy oboje podeszli bliżej. Widząc zbliżającego się Saszę próbowała dobyć sztyletu z buta, ale jej palce poruszały się niezdarnie.

- Spokojnie, spokojnie - mruknął Sasza. - Przez jakiś czas będziesz trochę osłabiona.

Spojrzała przytomniej na młodego kapłana, a on zdał sobie z przerażeniem sprawę, że zdjął kaptur. Czy wiedziała, że jest zabójcą wampirów? Widziała, jak atakował nieumarłe istoty? Starannie budowany wizerunek cichego, nieśmiałego kleroika legnie w gruzach, jeśli nie uda mu się jej przekonać, żeby dochowała tajemnicy.

- C-co się stało? - zapytała dziewczyna.

- Zatakował cię wampir.

- Jesteś kapłanem.

- Zgadza się.

- Więc odpędziłeś go?

Sasza zawahał się.

- No...

- Mogę ci pomóc - kobieta była słaba, ale najwyraźniej

mówiła poważnie. Zamrugła niepewnie oczami; nadal jest w szoku, zawyrokował Sasza. - Na imię mam Leisl - dodała słabnącym głosem. - Mogę ci pomóc. Nie boję się tego... czegoś i nie mogę znieść, że uczciwy złodziej nie czuje się bezpiecznie w nocy. - Spojrzała nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. - Nie możesz cały czas sam tego robić. Co będzie, jak ci... się coś stanie...?

Oslabiona wysiłkiem i utratą krwi Leisl zemdląła i Sasza ledwie zdążył ją przytrzymać, żeby nie upadła.



## OSIEMNAŚCIE

Leisl poczuła na twarzy ciepło słonecznego światła. Powoli otworzyła nie przyzwyczajone do jasności, senne oczy, a kiedy już mogła normalnie patrzeć, rozejrzała się dookoła.

Złote światło - wydawało jej się, że jest późne popołudnie - wpadało przez jedyne w pomieszczeniu, niewielkie okienko, teraz otwarte, by umożliwić dopływ świeżego, letniego powietrza. Mały Lis leżała w niedużym, wygodnym łóżku, przykryta cienkim wełnianym kocem. Uwagę jej przyciągnęły ściany komnaty, nachylone pod dziwacznymi kątami, co kazało jej przypuszczać, że znajduje się na jakimś strychu. Poza łóżkiem jedynymi meblami, jakie dostrzegła, był niski stołek i stół, na którym stał świecznik i miednica.

Wykręciła głowę, żeby lepiej się rozejrzeć i skrzywiła się z bólu. Podniosła dłoń do szyi i namacała bandaż na gardle. Przypomniała sobie wszystko, co się wydarzyło i zaczęła się zastanawiać, gdzie właściwie trafiła.

Nagle drzwi otworzyły się i weszła przez nie młoda, ładna kobieta. Kiedy zobaczyła, że Leisl nie śpi, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Gdzie jest Sasza? - zapytała Leisl tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną, ale nie przestawała się uśmiechać.

- Już nie śpisz? To dobrze. Nazywam się...

- Katia, wiem. Gdzie Sasza? Katia, zdumiona, uniosła brwi.

- Nie ma go tutaj w tej chwili, kazał mi się tobą opiekować.

Jesteśmy w kościele - to jego pokój. Masz ochotę coś zjeść?

Na myśl o jedzeniu Leisl poczuła mdłości, ale chcąc choćby na chwilę pozbyć się Katii, odparła:

- O tak, z przyjemnością bym coś przegryzła.

- To dobrze. Zaraz wrócę, a ty leż i wypoczywaj - poklepała jej dłoń siostrzanym gestem i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Cudownie, pomyślała z sarkazmem Leisl. Leżę w łóżku człowieka, którego kocham, a zajmuje się mną jego narzeczona; po prostu cudownie. Ostrożnie usiadła na łóżku i zauważyła, że ktoś ją przebrał: miała teraz na sobie męską, bawełnianą, o wiele za dużą koszulę i nic poza tym.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mały Lis podciągnęła koc

pod brodę, zasłaniając się.

- Wejdz proszę. Tb się nazywa szybkie pichcenie, Kat... och!

Do pokoju wszedł zatroskany Sasza, ubrany zwyczajnie, w kapłańską szatę.

- Dzień dobry. Masz na imię Leisl, prawda? Lepiej się czujesz?

- Tak, dziękuję - skinęła głową.

- Słuchaj - zaczął Sasza, przesuając sobie stołeczek bliżej łóżka. - Musimy porozmawiać.

Leisl oparła się wygodniej na poduszce i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Zaczynaj więc.

- Dziś w nocy mówiłaś, że jesteś złodziejką. Dziewczyna zmartwiała. Czy naprawdę powiedziała coś takiego?

- Obrażasz mnie. Nazywałeś mnie złodziejką, a nawet mnie nie...

- Tak mówiłaś, Leisl - powtórzył Sasza zmęczonym głosem.

- Byłaś słaba, w głowie ci się mąciło, ale wiem, że to prawda.

Spuściła wzrok.

- Chcesz mnie wydać? - W najlepszym wypadku zostanie publicznie wychłostana na rynku, ale jeśli burmistrz będzie w wyjątkowo złym humorze, może kazać obciąć jej obie dłonie.

Sasza pokręcił głową.

- Proponuję ci interes. Nikt nie wie, że nocami... robię to, co robię. Muszę trzymać to w tajemnicy.

- To zrozumiałe; oboje będziemy dyskretni.

- Nie możesz iść ze mną.

- Dlaczego?

- To zbyt niebezpieczne. Leisl prychnęła w odpowiedzi.

- Sasza, nie odróżniłbyś niebezpieczeństwa od...

- Widzę, że miło się wam rozmawia - przerwała Katia, wnosząc tacę z jedzeniem. Mimo wcześniejszych mdłości Leisl z przyjemnością wciągnęła w nozdrza zapach potraw. Katia przyniosła gorącą owsiankę, kawałek chleba, masło, jajka sadzone i duży dzbanek świeżego mleka.

- Mam wrażenie - rzekła Leisl, kiedy Katia położyła jej tacę na kolanach - że bardzo szybko zjem to wszystko.

- To dobrze - zgodziła się Katia. - Przydałoby ci się trochę więcej ciętka na tych kościach.

Leisl obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem, ale Katia zdawała się tego nie zauważać.

- Zostawić was, żebyście sobie jeszcze pogadali? - spytała.

- Tak, proszę - odparł kapłan. Katia nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała - rzuciła na odchodnym do Leisl.

Zapadła niezręczna cisza. Mały Lis rzuciła się na jajka.

- Niezłe. Chcesz trochę? - zagadnęła z pełnymi ustami.

- Nie, dziękuję - skrzywił się Sasza. Leisl wskazała widelcem na drzwi.

- Czy ona wie o twoim, hmmm, hobby?

- Nie, i chciałbym, żeby tak to zostało. Powiedziałem jej, że znalazłem cię dziś wcześniej rano na progu - przerwał, po czym po chwili ciągnął dalej: - Doceniam twoją propozycję pomocy, ale to Mały Lis posiadała mu spojrzenie zdolne zabić.

- Saszo Pietrewiczu, odkąd skończyłam siedem lat kradnę, żeby przeżyć - rzuciła ostro. - Udało mi się wykaraskać z sytuacji, od których posiwałyby ci te kruczoczarne włosy. Może ta dziewczynka o słodkiej buzi nie byłaby w stanie sobie z tym dać rady, ale to nie znaczy, że ja nie potrafię. Więc nie mów mi więcej, że jestem dziewczyną, dobrze?

- Nie umiesz okazać wdzięczności komuś, kto właśnie uratował ci życie - cicho zauważył Sasza.

Leisl spuściła oczy, wlepiając je w talerz.

- Przepraszam. Masz rację. To jest mój problem. Nie przerwała jedzenia.

- Katia dobrze gotuje - przyznała.

- Więc mogę ci zaufać, że mnie nie zdradzisz? Dziewczyna zaczęła smarować chleb masłem.

- Tak. Będę trzymała buzię na kłódkę, jeśli tylko ty uczynisz tak samo.

- Dziękuję ci, Leisl. Możesz tu zostać do czasu, aż poczujesz się lepiej.

Sasza wstał i bez dalszych słów wyszedł z pokoju. Mała Lis patrzyła w ślad za nim, gdyby mógł widzieć malujące się na jej twarzy rozmarzenie, byłby autentycznie zdumiony. Po chwili skupiła się ponownie na znakomitym śniadaniu; nie zamierzała stąd odejść, dopóki nie skończy posiłku.

\*\*\*\*\*

Wampirzyca wciągnęła w nozdrza powietrze i na twarz wypłynął jej uśmiech. Ludzka krew.

Siedzący u jej stóp wilk również wyczuł tę woń i powarkował cicho, gotów do łowów. Wspólnie zaczęli podchodzić zwierzynę.

Ten niewysoki, szczupły człowiek, odziany na czarno, będzie łatwym kąskiem. Stał na brzegu płynącej wartko Ivlis, zabawiając się wrzucaniem kamyków w jej nur.

W zupełnej ciszy skoczyła na mężczyznę, ale to on jej zgotował niespodziankę. Gdy tylko jej ręce oplotły jego ramiona, rzucił się w fale rzeki, próbując się odwrócić i chwycić ją za Mały Lis parsknęła tylko.

- Pewnie. Utopiłbyś się, gdyby nie ja - rozchyliła płaszcz. - P-przysuń się. Zaraz umrzesz, jeśli się nie r-rozgrzejesz.

Sasza zawahał się. Na myśl przyszła mu Katia, ale odpędził ten obraz. Trudno było uważać Leisl za kobietę i z pewnością nie zagrażała miejscu Katii w jego sercu. Przytulili się ciasno, a Sasza owinął ich płaszczem.

W milczeniu ruszyli w stronę wioski. Leisl prawie dorównywała młodemu kapłanowi wzrostem, toteż z łatwością dotrzymywała mu kroku.

- No to kiedy idziemy następny raz? - spytała.

Sasza zatrzymał się i spojrzał na nią wściekle z odległości kilku cali.

- Czemu sądzisz, że cię wezmę ze sobą?

- Ależ wezmiesz - uśmiechnęła się chytrze. - Bo inaczej powiem twojej ukochanej Katii, co robisz po zmroku.

zajęcie jest dostatecznie niebezpieczne dla jednej osoby, zaś dwie, a zwłaszcza dziewczyna...

ramię.

Wampirzyca wydała głośny jęk, ale atramentowo czarna woda wypełniła jej gardło i wlała się do nozdrzy. Poszli oboje na dno niczym kamienie, tym bardziej, że wampirzyca zupełnie nie umiała pływać. Poczwała, jak człowiek próbuje wyrwać się z jej objęć i zacisnęła ciaśniej uchwyt na jego chudym ciele. Do diabła, jeśli miała zginać, to zabierze go ze sobą...

Mały Lis przyglądała się niespokojnie całej scenie z kryjówki na wysokim powykręcany drzewie, rosnącym nad brzegiem rzeki. Nic nie umknęło jej uwagi: Sasza bez wątplenia był najgłępszym młodym człowiekiem, jakiego zdarzyło jej się w życiu widzieć, a widziała wielu głupich, młodych mężczyzn. Musiała jednak przyznać, że wyglądał na takiego, który dokładnie wie, co robi. W końcu przecież to on uratował ją przed wampirem.

Leisl zaczęła się denerwować, kiedy na powierzchnię wody wypłynęły bąbelki powietrza, pękając z cichym „pop”; zaniepokoiła się jeszcze bardziej, gdy bąbelki przestały się pojawiać. Po upływie kilku kolejnych długich sekund zakłęła siarczyście i skoczyła w wodę.

Ależ ta woda była zimna, mimo lata! Szok wywołany zmianą temperatury sprawił, że omal nie wypuściła całego powietrza z płuc, ale tylko zagryzła wargi i zanurkowała głębiej. Jej dłonie natrafiły na miękkie ciało.

Wampirzyca nie żyła, ale Sasza nie mógł uwolnić się z jej uścisku i wydostać na powierzchnię. W ciemnościach Leisl nic nie widziała, ale domyśliła się, że to kapłan próbuje się wyrwać i spróbowała odgiąć martwe dłonie, zaciśnięte na jego szyi. Kawałki mięsa wampirzycy, oderwane od kości przez bezlitosny nurt przepływały koło niej w wodzie. Sasza przez kilka beczennych chwil próbował walczyć z Leisl, ale wreszcie wyszarpnął się i wypłynął na powierzchnię. Mały Lis wynurzyła się obok niego.

Przez długą chwilę oboje kaszleli niczym zaawansowani gruźlicy, głośno i szybko wciągając powietrze, zanim Sasza zaczął płynąć w stronę brzegu. Wyszli z wody, trzęsąc się z zima. Sasza odszukał swój płaszcz i otulił nim dziewczynę, która z wdzięcznością powitała tę odrobinę ciepła. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać szczykanie zębów.

- Nie powinnaś była iść za mną - odezwał się Sasza. - Mogło ci się coś stać, mogłaś nawet zginać. Tb niebezpieczne zajęcie.

Kapłan poczerwieniał ze złości. W najmniejszym stopniu nie wstydził się tego, że polował na wampiry, ale nie chciał w to wplątywać w niewinnej Katii, swojej przyszłej żony; gdyby sprawa wyszła na jaw, groziłoby jej więcej niż śmiertelne niebezpieczeństwo. Poza tym dość już wycierpiała w swoim krótkim życiu i nie zamierzał przysparzać jej trosk, kazać martwić się o niego.

Mały Lis uniosła brwi.

- I jak? Co wybierasz? Wolisz współnika czy oszalałą narzeczoną?

Nie miał wyboru i dziewczyna doskonale o tym wiedziała. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby jej odpowiedzieć, tylko wyszarpnął płaszcz i ruszył dalej sam.

- Hej! - krzyknęła Leisl, doganiając go.

- Będziesz musiała poprzysiąc wierność Lathanderowi, Panu Poranka - stwierdził Sasza nie patrząc na nią. - Tylko wtedy będziemy się mogli razem pokazywać.

- W porządku. Właściwie i tak mi się podoba taki pomysł.

- Będziesz musiała wykonywać moje polecenia nie podając ich w wątpliwość.

- Też zgoda.

- I koniec ze złodziejstwem. Nie zgodzę się pracować z kimś, kto utrzymuje się z kradzieży.

Leisl już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zamiar.

- Dobrze. Jestem przyjęta?

Wreszcie spojrzał na nią. Na jego twarzy irytacja walczyła z rozbawieniem.

- Umiesz człowiekowi zatruć życie. I dobrze o tym wiesz Mały Lis wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

\*\*\*\*\*

- Twój ruch - rzekł Strahd.

Jander, wpatrzony w planszę, zmarszczył brwi. Rozgrywali partię wymyślonej przez Strahda gry pod nazwą „Jastrzębie i zajęce”. Rzecz jasna, pan Barovii zawsze nastawał na odgrywanie roli Jastrzębia, ale w miarę, jak Jander poznawał tajniki gry, stawał się dla hrabiego równorzędnym przeciwnikiem. W przedłużającej się ciszy rozlegał się tylko trzask płonącego na kominku ognia. Wreszcie Jander przesunął swojego zajęca o dwa pola w prawo.

- W pięciu ruchach dotrę do nory - oznajmił. Strahd zamyślił się, badawczo obserwując planszę.

- O ile nie uruchomię swojego gołębiarza - wymruczał, „spadając” z góry na Janderową bierkę. Wziął do ręki szary kamień i odłożył go na stertę podobnych kamyków, jakie zabrał elfowi, odkąd zaczęli grać. - Zawsze odslaniasz plecy, Jander.

- A ty - odrzekł zadowolony z siebie elf - zawsze zapominasz o drobiazgach.

Przeskoczył zajęczyca dwa pola.

- Zajęczyca w norze. Zgodnie z zasadami pozwala mi to... - policzył znajdujące się na planszy bierki - wprowadzić do gry pięć nowych kociąt.

Z rozbawieniem wybrał pięć kamieni ze stosu.

- Grasz defensywnie - zauważył Strahd.

- Jestem zajęcem. Taka moja rola.

- Nudzę się - mruknęła Trina, kręcąca się wokół nich od początku wieczoru. Strahd coraz rzadziej spędzał noce w domu i zdecydowanie nie podobało jej się, że wolał pograć z Janderem, niż jej poświęcić swoją uwagę. Wyciągnęła się przy kominku, opierając się ramieniem o drzemiącego obok ogromnego, szarego wilka.

- Cisza! - warknął hrabia. Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. - Wejść.

Weszła jedna z jego niewolnic.

- Ekscelencjo, jakiś Vistani chce się z tobą widzieć. Mówi, że to ważne.

Strahd zwrócił się w jej kierunku, zapominając o grze.

- Zaraz zejść. Janderze, Trino, niedługo wrócę. - Wstał, zatrzymał się w pół kroku, zrobił ruch na planszy i uśmiechnął się lodowato. - Twoja zajęczyca nie żyje.

Wyszedł, powiewając czerwono-czarnym płaszczem. Trina wskoczyła na opuszczony przez niego fotel.

- Naucz mnie w to grać, Jander - spojrzała na okrągłe, gładkie kamyki.

- Nie dziś - odparł, po czym zapytał: - Wiesz może, gdzie Strahd ostatnio znika na całe noce?

Zmarszczyła brwi.

- Nie. Kiedyś zabierał mnie ze sobą, ale już tego nie robi. Mówi, że kogoś szuka. Czemu jedne kamienie są szare, a inne w różnych kolorach?

Jander nie zwracał na nią wcale uwagi. Myślami był przy hrabim i zastanawiał się, czy Strahd zauważył, jak bardzo się zmienił. A więc „szuka kogoś”. Nie był tym specjalnie zaskoczony. Zastanawiało go natomiast to, że Strahd nie prowadził metodycznej masakry mieszkańców wioski w poszukiwaniu swojej nemezis, potrafił za to zniknąć na tydzień, czasem dłużej, prowadząc sekretne dochodzenie i rozbudowując siatkę szpiegów.

Takie powstrzymywanie się od otwartego działania wcale nie oznaczało, że godził się z istniejącym stanem rzeczy, i Jander zdawał sobie sprawę, że Sasza wpadnie w końcu w sieć. W myślach życzył chłopcu szczęścia.

Vistani znaleźli kolejną z moich niewolnic - głos Strahda wyrwał elfa z zamyślenia. Hrabia stał w drzwiach gabinetu, trzęsąc się z wściekłości.

Co się stało tym razem? - zapytał Jander.

- Utopił ją. Marię. Niech go diabli, niech go diabli! Jander przypominał sobie Marię, najnowszy dodatek do grona Strahdowych ślicznotek. Zmysłowa kobieta, o dużych, hipnotyzujących oczach, bardzo przypadła hrabiemu do gustu; nic więc dziwnego, że był wyjątkowo rozwścieczony.

- Ten mój nieprzyjaciel jest niesamowity! Tyle razy powtarzałem niewolnicom, żeby nie włączyły się same. Ostrzegałem je. A jemu wciąż udaje się je zaskoczyć i zabić. Shurę oślepił, żeby nie mogła go zidentyfikować. Zaczynam się zastanawiać, czy jest kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem - Strahd uśmiechnął się przebiegle. - Dobrze, że mam w zanadrzu nowe czary, którymi będę mógł z nim walczyć.

Trina, z roztargnieniem bawiąc się figurami na planszy, mruknęła coś pod nosem. Strahd nasrożył się.

- Słucham, śliczności moje? Trina odęła wargi.

- Nic - odparła markotnie.

Utrzymywany dotąd na wodzy gniew hrabiego wybuchnął z pełną siłą. Strahd podszedł do dziewczyny, złapał ją włosy i odchylił jej głowę do tyłu.

- Pamiętaj, kto jest twoim panem, wilcze szczenię - warknął, zbliżając usta do jej szyi. - Nie mogę posilić się twoją krwią, ale mogę odebrać ci życie. Co powiedziałaś?

- Strahd... - zaczął Jander.

- Cisza! - wykrzyknął wampir, dodając kilka niezrozumiałych słów. Jander chciał skończyć, ale stwierdził, że nie może mówić. Podniósł dłoń do szyi, jakby chcąc wydobyć siłą słowa z gardła.

- Mów! - rozkazał wilkołaczycy Strahd.

Trina płakała, trochę z bólu, trochę ze złości, ale odparła:

- Powiedziałam: „Gdybyś nie miał tylu tych głupich niewolnic, to byś ich nie tracił!”

Strahd puścił ją, krzywiąc twarz w wyrazie pogardy. Trina spadła z fotela, zmieniając się w wilczycę. Hrabia spojrzał na planszę do gry i twarz pociemniała mu jeszcze bardziej.

- Trina, bawiłaś się moimi figurami. Powiedziałem ci, żebyś nigdy ich nie dotykała.

Ale zanim mógł ją dodatkowo ukarać, Trina skończyła przemianę i wypadła pospiesznie przez otwarte drzwi, chowając ogon pod siebie.

- Mała, zazdrosna suka - rzucił Strahd. Jego gniew ustępował miejsca samozadowoleniu. - Nie cierpi, kiedy nie zwracam na nią uwagi. Zaraz wróci, żeby się do mnie łąsić. Będzie moja tak długo, jak zechcę; pożąda mojej magii - i zaraz dodał - i mnie.

Popatrzył na Jandera i uwolnił go spod wpływu zaklęcia uciszającego.

- Strahdzie, mówiłem ci, że nie znoszę magii! - wściekłym tonem rzekł elf. - Czemu nie możesz tego uszanować? Ludzie giną, ty dopuszczasz się okrucieństw - i po co to wszystko? To pogwałcenie praw natury! Magia nie przynosi ci ukojenia, prawda?

Oczy Strahda zapłonęły czerwono.

- Uważaj co mówisz, Janderze, mój przyjacielu - odrzekł niebezpiecznie spokojnym głosem. - Pamiętaj, czym jesteś gościem. I pamiętaj również, że sam jesteś zaprzeczeniem praw natury.

Elf zamarł jak rażony gromem. Strahd nie zwracał na niego uwagi, na nowo rozstawiając figury na planszy.

- Zagramy od nowa? - zagadnął.

Jander wybiegł z gabinetu, chcąc znaleźć spokój w leśnych ostępach. Przez całą drogę z zamku czuł na plecach powiew bryzy niosącej wszystkie zapachy lata. Kiedy zaszył się w leśnym gąszczu, wyjął flet i zaczął grać niespokojną, gorączkową melodię. Jego palce tańczyły po instrumencie, gdy próbował przelać przepelniający go gniew w muzykę.

Jestem zaprzeczeniem praw natury, pomyślał gorzko, ale jestem zarazem czymś więcej, czymś, czego Strahd nigdy nie pojmie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie rozgłosić w wiosce o zbrodniach hrabiego, ale nie mógł się pogodzić z myślą o zdradzie. Na Torii on też został zdradzony i stracił wszystko

- życie, szczęście, może nawet swoją nieśmiertelną duszę. Wspomnienia wyparły z jego umysłu całą złość i pograżył się w nich, dając się porwać wszechogarniającemu smutkowi.

\*\*\*\*\*

Ogień strzelił wysoko, gdy Jander dorzucił świeżo przyniesioną porcję suchych gałęzi. Cofnął się od trzaskających płomieni, z których buchnął teraz snop iskier. Po chwili ognisko uspokoiło się, rozsiewając wesołą poświatę.

Ale elfowi wcale nie było lekko na duszy. Czuł się zmęczony, a wciąż czekało go kilka dni podróży. Parę kroków dalej jego koń z zadowoleniem skubał trawę, od czasu do czasu strzygąc uchem w kierunku właściciela. Jander rozłożył sobie poślanie i zaczął grzebać w torbie w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby mu zmusić burczący brzuch do milczenia. Skrzywił się widząc rezultat tych poszukiwań: z zapasów został mu jedynie kawałek solonej, prawie niezjadliwej, wołowiny i trochę czerstwego podróznego chleba. Bez specjalnego entuzjazmu odgryzł kęs chleba, zdając sobie sprawę, że powinien się ruszyć i zastawić wnyki na królika.

Serce zabiło mu żywiej na myśl o powrocie do domu. Od dwustu lat włóczył się po Faerun walcząc ze złem, poznając nowych przyjaciół, sypiając na twardej, zimnej ziemi - każdego by to zmęczyło. Zawsze podtrzymywał dobrą reputację rodu Sunstar. Teraz słyszał w duszy śpiew Evermeet, które wzywało go do siebie. „Evermeet, Evermeet, ojczyzno Ludzi...”

Samotny w mroku nocy Jander sięgnął po flet. Sam go wyrzeźbił jeszcze na Evermeet i wszędzie ze sobą woził, jako jedyne stałego towarzysza w ciągu tych dwustu lat. Ostrożnie odwinął instrument z pokrowca i podniósł go do ust.

Niezwykła, mająca w sobie coś z magii muzyka, słodka niczym ptasi śpiew i zniewalająca jak szum morskich fal, popłynęła w powietrzu. Klacz elfa przerwała posiłek, żeby się w nią wsłuchać. Gideon mawiał, że nawet dzikie zwierzęta leśne porzuciły swoje zwykłe zajęcia i słuchały, jak Jander gra. Elf nie potrafiłby powiedzieć, czy to prawda, ale gra na flecie przynosiła mu ulgę.

Czysty dźwięk brzmiał w jego duszy jeszcze chwilę po skończeniu gry.

- Nikt na Torii nie potrafi tak grać, jak ty, przyjacielu - doleciał go głos.

Jander w mgnieniu oka dobył miecza.

- Kto to? - zapytał, zaniepokojony, gdyż nie słyszał nadejścia intruza.

W odpowiedzi na jego pytanie do ogniska podeszła jakaś postać. Mężczyzna zbudowany był potężnie, jak wojownik, ale nosił kapłańskie szaty. Janderowi zaparło dech w piersi i przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

- Gideon - rzekł wreszcie cicho. - Myślałem, że zginąłeś w Daggerdale!

- Tak by się pewnie stało, gdyby nie Cud Ilmatera. Zostałem pobłogosławiony, Ilmater uwolnił mnie od bólu.

Jander słyszał już kiedyś o Cudzie - bywało, że gdy jakiś szczególnie gorliwy kapłan Ilmatera przeżywał straszliwe cierpienia, bóg zstępował na ziemię i zajmował jego miejsce. Nie zdarzało się to często, jednak zdaniem elfa Gideon z pewnością na ten dar zasługiwał.

Wsunął miecz do pochwy, odrzucił go na poślanie i podszedł do przyjaciela z ramionami wyciągniętymi w powitalnym geście. Uśmiechnięty Gideon wyszedł mu na spotkanie i omal nie zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku.

- Dzięki niech będą bogom, dzięki...

Słowa modlitwy przemieniły się w ustach Jandera w zduszony jęk, gdy poczuł wbijające mu się w gardło dwa drobne, palące żywym ogniem punkciki. Miał wrażenie, że wraz z ciałem przebijają jego duszę. Przeszywający ból rozszedł się w głąb trzewi i zdawało mu się, że duch uchodzi z niego przez dwie ranki w tętnicy. Ledwie poczuł własną krew spływającą po szyi i plamiącą błękitną tunikę.

Próbował odepchnąć od siebie Gideona, ale nie miał siły i tylko niepewnie oparł dłoń na masywnej klatce piersiowej kapłana. Wampir posilał się, Jander zaś czuł, jak jego świadomość zmniejsza się do rozmiarów małego światełka, tuż pod powiekami; wkrótce zgasła zupełnie.

Po jakimś czasie odzyskał przytomność leżąc pod cienką warstwą wilgotnej i chłodnej ziemi. Czując na twarzy jej ciężar, spróbował poruszyć się i wytrzeć piasek z oczu, ale wówczas stwierdził, że reszta ciała jest również przysypana. Wpadł w panikę, kiedy zdał sobie sprawę, że oto spoczywa w grobie i zaczął wygrzebywać się z niego, opętańczo otrząsając ziemię z twarzy i wygrzebując sobie rękoma drogę na powierzchnię.

Strach dodał mu sił i po chwili odczołgiwał się od płytkiego dołu, w którym leżał. Opadł bezwładnie na ziemię, nie starczyło mu sił, by stanąć na nogi i zorientować się w sytuacji. Był w stanie tylko wpatrywać się w wykop, przypominający wstrętną szramę w żyznej leśnej ziemi i wznosić dziękczynne modły, że udało mu się wymknąć.

- Dobry wieczór, Janderze - doleciał go chropawy głos. - Mam nadzieję, że dobrze ci się spało - słowom towarzyszył nerwowy śmiech.

Nadal osłabiony Jander usiadł i odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos. Z cienia pobliskiego drzewa wynurzył się młody, szczupły mężczyzna o bladej twarzy okolonej burzą loków w kolorze miedzi. Jeden niesforny kosmyk opadał mu na czoło. Oczy miał ogromne, przypominające ślepia sarny. W białych dłoniach miętosił miękkie, rękawiczki z cielejącej skóry, nerwowo zagryzając dolną wargę. Reszta jego stroju, od skórzanych butów począwszy, na płóciennej koszuli kończąc, również była znakomitej jakości.

- Kim... - próbował zacząć Jander, ale tylko zaskrzeczał niewyraźnie. Przesunął językiem po wargach i odezwał się ponownie: - Kim jesteś? Gdzie jest Gideon?

Młodzieniec znów zaśmiał się, krótko, chrapliwie.

- Twój przyjaciel pyta o ciebie, kleryku.

Niegdyśjszy kapłan stanął tak, by Jander mógł go widzieć. Jego oczy lśniły niesamowitym, czerwonym blaskiem, a wykrzywione w



uśmiechu wargi odsłaniały białe, ostre kły. Gęstą brodę miał pozlepianą krwią. Jander poczuł lodowate ukłucie nienawiści, kiedy zdał sobie sprawę, że to jego krew.

- Teraz jesteś jednym z nas, Jander - rzekł Gideon tonem, w którym nie pozostało nic z dźwięcznego, smutnego brzmienia, jakie pamiętał elf. Zamiast tego pobrzmiwało w nim szyderstwo.

- Teraz jesteś jednym z nas. Jander podniósł rękę do szyi - była gładka, bez żadnych śladów. Jeszcze go nie dostali, więc gdyby...

- Nie, Janderze Sunstar - odezwał się rudowłosy mężczyzna. - Naprawdę jesteś wampirem. Spróbuj wyczuć swój puls. Cały dzień minął, odkąd nie żyjesz.

- Powoli, nie spuszczać wzroku z Gideona i obcego człowieka, Jander dotknął jedną ręką nadgarstka drugiej. Zmarszczył czoło i przesunął uchwyt.

Nie czuł pulsu.

Nie podnosząc się z ziemi wykręcił głowę i spojrzał na tajemniczego obcego, który przyglądał mu się badawczo.

- Ten mi się naprawdę podoba, Gideonie. Dobrze się spisałeś. Przynies mu coś do zjedzenia. Janderze, nazywam się Cassiar i jestem teraz twoim panem.

- Nie - wyszeptał elf. - Gideon... Byliśmy przyjaciółmi!

- Twoim przyjacielem był śmiertelny Gideon - warknął w odpowiedzi wampir, zbliżając się do Jandera, aż ten dostrzegł, że trzyma w ramionach jasnowłose dziecko. - Ja to Gideon wampir i nie potrzebna mi moja przeszłość. Cassiar jest moim panem i jemu jestem posłuszny.

- Jesteś bardzo głodny, Janderze, nieprawdaż? - zamruczał Cassiar. Elf nagle poczuł głód i dotarło do niego, że jego od niedawna nieumarłe ciało domaga się świeżej krwi z gardła chłopca. Kły wysuwały się bez udziału jego woli, reagując na jej zapach i przyprawiając go o dziwne pulsowanie w szczęce. Opanowało go przerażenie.

- Nie! - krzyknął zasłaniając twarz dłońmi. - Nie możecie mnie zmusić, żebym zrobił to dziecku!


Cassiar zmarszczył brwi, oduymając gniewnie wargi.

- Nie masz tu nic do powiedzenia. Będziesz mi posłuszny - a ja rozkazuję ci pić.

Jander był jeszcze zbyt młodym i słabym wampirem, by stawić opór poleceniu swego mistrza. Z obrzydzeniem, niezdarnie wgrzył się w gardło chłopca; krew dziecka zbryzgała jego złotą twarz. Jego umysł wzdragał się przed tym, co robił, ale ciało piło chciwie, gwałtownie.

Kiedy było po wszystkim, Jander spojrzał z nienawiścią na Cassiara. Potrzebował na to bez mała sto lat, ale w końcu zgładził swojego mistrza. Ten akt buntu pozwolił mu ukształtować własną przyszłość, ale niewiele pomógł w uwolnieniu duszy od klątwy, jaką zawdzięczał własnemu przyjacielowi - zdrajcy.

## DZIEWIĘTNAŚCIE

 Sasza z przerażeniem skonstatował, iż oto drży cały, stojąc nad ciałem swojej ostatniej ofiary. Próbował uspokoić nerwy, przyklękając na ściółce leśnej, ale nawet po dłuższej przerwie dopiero za drugim razem zdołał wyrwać włócznię z piersi wampirzycy. Pot wystąpił mu na czoło, gdy napełniał śliczne usta czosnkiem; uparcie ignorował Leisl, która stała nieruchomo, obserwując jego podenerwowanie.

Wzniósł nieduży toporek, szykując się do odcięcia głowy, ale ręce tak mu się trzęsły, że nie potrafił tego zrobić.

- Tym razem ja to zrobię - odezwała się Mały Lis, wyciągając dłoń po oreż płynnym, naturalnym ruchem. Kapłan z wdzięcznością oddał jej siekierkę i z podziwem przyglądał się następnie, jak pozbawia trupa głowy. Prawdziwa profesjonalistka - żadnego drżenia rąk, żadnych łez.. Nie pierwszy raz Sasza zadawał sobie pytanie, czy ta dziewczyna w ogóle ma serce.

Wampirzyca stała się istotą nieumarłą ledwie kilka tygodni temu. Bijąca od niej woń krwi i zgnilizny uderzyła w jego nozdrza. Sasza pobladł, potykając się wstał, z trudem dobrnął do najbliższego drzewa i zwymiotował. Leisl taktownie nie zwróciła na niego uwagi, zajęta pracą.

Sasza oparty o pień starał się ze wszystkich sił opanować dreszcze. Otarł usta wierzchem dłoni Oczywiście, że się bał. Zawsze się bał. Tylko głupiec nie odczuwałby zdrowej obawy w obliczu tych obdarzonych wielką mocą przebiegłych stworzeń. Głupiec - albo impulsywne, niewinne dziecko, którym był tamtej odległej nocy, kiedy nierozważnie rzucił wyzwanie nocy tylko po to, by stracić rodzinę, zgłodzoną w domowym sanktuarium.

Tu nie chodziło o strach, tylko o tę nagłą słabość.

Coś białego zatrzepotało na samym skraju jego pola widzenia. Natychmiast wróciła mu dawna czujność; w żyły runął wartki potok adrenaliny. Czyżby kolejny wampir? Ponownie dostrzegł ruch i tym razem udało mu się ją rozpoznać.

- Katia! - krzyknął, a jego ostry głos przeciął gęstą, wszechobecną ciszę letniego lasu. Nie zastanawiając się dłużej, rzucił się w pogoń.

- Sasza, zaczekaj! - wykrzyknęła Leisl. Przeklinając zebrała narzędzia w zakrwawione ręce i pobiegła za nim.

Nietrudno było go dogonić, gdyż Katia, czy też cokolwiek to było, zniknęła. Kapłan oddychał szybko, chrapliwie; na jego twarz wystąpił prawdziwy strach.

- Katia! - powtórzył, jak gdyby to jedno słowo wyjaśniało wszystko.

W Leisl serce zamarło. Wiedziała, dokąd zmierzają.

Zaniepokojony Sasza narzucił szybkie tempo i kiedy doszli do wioski, oboje dyszeli ciężko. Sasza załomotał w drzwi niewielkiego domku Katii.

- Katia? Kochanie, to ja. Proszę, otwórz drzwi!

Długo nikt mu nie odpowiadał. Po twarzy Saszy znać było, jak bardzo się denerwuje, gdy paznokciem kciuka odłupywał drzazgę z framugi. Wreszcie drzwi uchyliły się odrobinę i wyjrzała przez nie wystraszona Katia. Dłoń zacisnęła na zawieszonym na łańcuszku na szyi świętym symbolu.

- Sasza? Och, Sasza!

Szlochając rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją mocno.

- Najdroższa, co się stało? Wydawało mi się, że cię widziałem... - w samą porę urwał. - Tam, na zewnątrz.

- Och, Sasza, to możliwe. I to właśnie jest takie straszne! - wpatrywała się w niego ogromnymi, szklistymi od wzbierających łez oczyma. - Ja... jestem lunaticzką - wyznała szeptem.

Sasza zmartwił. Lunatyzm oznaczał w Barovii kuszenie nieszczęścia. Sasza wiedział najlepiej, jak niebezpieczne mogło być chodzenie we śnie. Pod wpływem nagłego impulsu odgarnął jej włosy z szyi, obawiając się, że odkryje dwie wszystko mówiące ranki. Westchnął głęboko z ulgą, kiedy nie dostrzegł żadnych śladów na jej skórze.

- Mam takie straszne sny - ciągnęła Katia. - Śni mi się krew i że ktoś skrada się za mną w ciemnościach. Potem budzę się i nie wiem, gdzie jestem! - Znow wybuchnęła płaczem i wtuliła twarz w pierś Saszy. - Chciałabym... wiem, że to złe, ale... chciałabym, żebyś był tu przy mnie, kiedy idę spać, tak, żebym wiedziała, że nie jestem sama.

- Hej, wy tam, zimno się robi, a poza tym też chciałabym się trochę przespać - wtrąciła się gwałtownie Mały Lis.

Sasza wzdrygnął się. Wytrącony z równowagi reakcją Katii zupełnie zapomniał o Leisl.

- Ależ oczywiście - odparła Katia, pociągając nosem i odsuwając się wstydliwie od kapłana - Przepraszam, Leisl. Ze mną już wszystko w porządku.

Nie udało się jej jednak nabrać żadnego z dwojga gości - w jej oczach nadal lśniły łzy, a dolna warga drżała.

- Masz - rzucił Sasza, zdejmując z szyi medalion Lathandera i zawieszając go na karku Leisl. - Wracaj do kościoła. Spotkamy się tam rano. Nie podoba mi się pomysł zostawienia Katii samej w takiej chwili.

Katia wydała z siebie cichy, pełen wdzięczności jęk i mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Dobrze - rzuciła Mały Lis. - Do zobaczenia. Spojrzała na Katię i już zamierzała coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle zrezygnowała. Tym razem lepiej było szybko zniknąć niż odpowiadać; gdyby zaczekała choćby chwilę dłużej, mogliby dostrzec łzy w jej oczach. Nie potrafiła nienawidzić Katii, ta dziewczyna była zbyt słodka, ale czuła wściekłą zazdrość. Z trudem przełknęła ślinę, gdy łzy zaczęły płynąć jej po twarzy.

Zaniepokojony Sasza patrzył, jak odchodzi. Leisl wiecznie wprawiała go w zmieszanie. Co ją gryzie tym razem?

Odwrócił się z powrotem ku Katii.

- Dziś w nocy nie będzie już żadnych koszmarów, obiecuję - pocałował ją w policzek.

Domek dziewczyny był niewielki, ale funkcjonalny - parterowy, z dwoma skromnie wyposażonymi izbami. Sasza starannie sprawdził zasuwki na drzwiach i obu oknach.

- O świcie, kiedy moc Lathandera jest największa, założę na drzwi magiczne zabezpieczenia, ale teraz położymy cię do łóżka.

Katia posłusznie weszła do łóża i przykryła się po samą brodę. Ogromnymi, sennymi już oczyma przyglądała się, jak kapłan przysuwa sobie bliżej krzesło.

- Dziękuję, że zostałeś ze mną - ziewnęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Prześpij się trochę. Sasza miał zamiar trzymać straż przy dziewczynie aż do wschodu słońca, ale musiał być bardziej zmęczony, niż sądził, bo w jakiś czas później ocknął się nagle. Katia zwiłała się na łóżku, zaciskając sobie palce na szyi.

- Nie, nie! - krzyczała, zaciskając powieki. Natychmiast kucnął przy niej i przycisnął jej ramiona do posłania, starając się zapanować nad jej gwałtownymi ruchami. Obudziła się z lekiem w oczach.

- Sasza!

- Miałaś zły sen. To tylko zły sen - wziął ją delikatnie w ramiona i przytulił, czując, jak przestaje drżeć.

- Sasza - powtórzyła, ale tym razem w jej głosie zabrzmiała nowa nuta. Wykręcił głowę, próbując na nią spojrzeć. Oczy miała ciemne, a usta bardzo czerwone. - Sasza.

W jednej chwili już ją całował, zapominając o wszelkich dobrych zamiarach w obliczu jej urody. Płonąca w jego umyśle namiętność przegnała wszystkie mroczne myśli.

Zadowolony z wykonanej pracy Jander wyprostował się, przeciągnął i kolejny raz odczytał inskrypcję pod freskiem: KRÓL GOBLINÓW UCIEKA PRZED POTĘGĄ W T GO MB L KR Z O R. Prawie skończone. Musiał przyznać, że ciekaw był, jaka jest reszta napisu.

Trzasnęły drzwi i do jego uszu dobiegł tupot drobnych stóp.

- Jander? Jander, gdzie jesteś?

- Koło fresku, Trina - odkrzyknął. Podbiegła do niego z dziecięcym błyskiem w oczach. W dłoniach trzymała olbrzymią księgę.

- Patrz, Strahd powiedział, że mogę to czytać, jak go nie będzie! - pomachała w jego kierunku opasłym tomem, najwyraźniej jakąś księgą zaklęć. Elf starał się nie pokazać po sobie zniechęcenia.

- To wspaniale, Trina.

Wszystkie czary tu są. Posłuchaj: Czar Służący Do Leczenia Ciężkich Ran, Czar Pozwalający Widzieć Rzeczy Magicznie Ukryte, Czar Otwierający Magicznie Zamknięte Drzwi...

Jander nie słuchał jej. Czar Pozwalający Zignorować Gadające Wilkołaki, pomyślał z nikłym uśmiechem. Czar...

- Jakie było to ostatnie? - zapytał, próbując nadać swemu głosowi zwyczajne brzmienie.

- Eeee... A, tu jest: Czar Otwierający Magicznie Zamknięte Drzwi.

- Słyszałem, że ten jest bardzo trudny. Lepiej jeszcze nie próbuj go używać.

- Tak, jak miał nadzieję, Trina zmarszczyła brwi. Siedziała na schodach, trzymając księgę na kolanach.

- Jeśli tu jest, mogę go rzucić. Nie doceniasz magii, nie wiesz, ile Strahd mnie nauczył przez te parę miesięcy.

- Nadal nie jestem przekonany, czy jesteś gotowa, żeby go rzucić - zaproponował elf.

- Pokaż mi zamknięte magicznie drzwi, a otworzę je dla ciebie - chełpiła się w dalszym ciągu Trina.

Jander udał, że się zastanawia.

- Żadne mi teraz nie przychodzą do... Zaraz. Są tu jedne drzwi, zamknięte przy pomocy magii.

Razem pospieszyli do gabinetu. Jander był zdenerwowany, ale czuł przepełniające go uniesienie. Od dawna już czekał, żeby móc się dostać do tajemniczej komnaty Strahda. Wszędzie poza tym szukał informacji o Annie, ale nic nie znalazł. Wiedział, że za drzwiami znajdują się książki; może w którejś z nich znajdzie coś więcej na temat kobiety, którą kochał.

Wbiegli po kręconych schodach i Jander wskazał drzwi naprzeciwko.

- Myślę, że te są zamknięte w ten sposób. Spróbuj.

Trina położyła księgę na wypolerowanym stole pośrodku pomieszczenia i przez kilka chwil wczytywała się w treść zaklęcia. Elf z udawaną nonszalancją przeglądał tytuły książek na półkach.

- Patrz, Jander - zaszczębiotała wilkołaczycą, stając na wprost drzwi. Zamknęła oczy, podniosła ręce i rozczapierzyła palce. Półgłosem wypowiedziała długi ciąg słów i krawędzie drzwi zaślniły słabo błękitnym światłem, które nagle zniknęło. Rozległ się ledwie słyszalny szcęk i drzwi uchyliły się o cal.

- Rety, Trina, ale ty jesteś sprytna - przyznał Jander. Uśmiechnęła się szeroko, zadowolona z siebie. - Co jeszcze potrafisz zrobić?

Nade wszystko chciał teraz wejść do skrytej za kusząco uchylonymi drzwiami komnaty, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek, co pamiętał. Zdawał sobie jednak sprawę, że zanim to uczyni, musi pozbawić Trinę wszelkich wątpliwości co do kierujących nim motywów. Przez następną mniej więcej godzinę chodził za nią po zamku, udając, że interesują go jej umiejętności, ona zaś przesuwała przedmioty nie dotykając ich, sprawiała, że ogień w kominku buchał gwałtownie, by po chwili na powrót przygasnąć i chwaliła się innymi, niezbyt trudnymi sztuczkami.

Czar Pozwalający Opaść Lekko Niczym Piórko - przeczytała i jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. - To coś jak latanie?

Nie wiem, ale przestuduj go dobrze, zanim pójdziesz skakać z blanków.

- Przestuduję - zaśmiała się Trina.

- Możesz mi jeszcze coś pokazać? - spytał Jander, mając w głębi duszy nadzieję, że osiągnęli już kres jej możliwości. Szybko przebiegła wzrokiem pozostałe zaklęcia i pokręciła głową.

- Nic więcej, nie tak od razu.

- Mogłabyś w takim razie iść poćwiczyć gdzieś indziej? Mam coś do zrobienia.

Posłała mu czujne spojrzenie.

- Cóż takiego?

Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę miał pustkę w głowie, ale zaraz odparł:

- Natrę regały woskiem. Są śliczne, a Strahd nie poświęca im odpowiednio dużo czasu, żeby błyszcząły, jak należy...

Jasne, Jander, zajmij się tym - przerwała mu, wycofując się w obliczu grożącej nudy. - Zaraz spróbuję tego Spadania Niczym Piórko. Na razie - odeszła, zamknawszy księgę, ale zakładając palcem stronę.

Elf nareszcie został sam. Zamknął drzwi prowadzące do gabinetu na klucz, po czym skierował się ku tym prowadzącym do sekretnej komnaty. Czuł suchość w ustach, wywołaną napięciem i podnieceniem. Od lat nie postąpił równie nierozsądnie, ale Strahd dopiero co opuścił zamek i przynajmniej przez parę dni nie wróci. Co też z takim uporem ukrywał przed wzrokiem Jandera? Elf nawet nie potrafił sobie wyobrazić,

cóż by to mogło być.

Przez moment uczył coś na kształt wyrzutów sumienia - dał hrabiemu słowo, że nie wejdzie do tej komnaty. Przez chwilę honor walczył w nim z ciekawością i gorącą nadzieją że może wreszcie tutaj odnajdzie jakiś ślad Anny. Podszedł bliżej do drzwi.

Z drżeniem pchnął je lekko. Skrzypiąc otworzyły się do wewnątrz, ukazując wnętrze dużej, ciemnej komnaty. Zmarszczył nos, czując bijącą ze środka woń rozkładu. Oczy elfa szybko przywykły do ciemności, ale zdjął ze ściany po lewej pochodnię i zapalił ją od ognia płonącego na kominku w gabinecie. Tak uzbrojony wszedł do komnaty.

Przed nim stał podłużny stół. Niegdyś musiał odznaczać się niezwykłą urodą, jak wiele sprzętów w Ravenloft, ale teraz pokrywała go warstwa kurzu. Jander nie był tym zaskoczony. Dopiero na widok tego, co dostrzegł na stole, pod całunem kurzu, uniósł zdziwiony brwi.

Stół nakryto w oczekiwaniu posiłku, który nigdy nie został przyniesiony. Na samym środku leżała ohydna, gnijąca sterta czegoś, co przy bliższych oględzinach, w świetle pochodni, okazało się być resztkami tortu - tortu weselnego, jak należało przypuszczać, sądząc z jego wysokości i drobnej figurki ubranej na białą kobiety, zdobiącej jego szczyt.

Jander poczuł delikatny posmak strachu. Coś tu było nie w porządku, bardzo nie w porządku. Postąpił krok do tyłu i zgniół pod stopą jakiś niewielki przedmiot. Schylił się, chcąc sprawdzić, co to było i uczucie przerażenia nasiliło się: przed oczami miał drugą połowę dekoracji tortu - figurkę pana młodego. Małemu ludzikowi brakowało głowy.

Rozejrzał się po komnacie. Sądząc po stole i tym, co na nim zostało, niegdyś była to jadalnia. Ale znajdowała się tu również galeria obrazów. Dookoła Jander widział twarze członków rodu von Zarovich. Niektóre z imion brzmiały znajomo, inne znów były mu zupełnie obce. Przystanął przed portretem ładnej młodej pary.

Zgodnie z tabliczką pod obrazem miał oto przed sobą Barova i Ravenovie von Zarovich. Malowidło powstało niedługo po ich ślubie i prezentowali się na nim niezwykle elegancko. Kierując się datą powstania obrazu i podobieństwem do Strahda, Jander doszedł do wniosku, że są to jego rodzice. Rysy Barova wyraźnie przypominały twarz syna: mieli niemal identyczne ciemne oczy i delikatnie rzeźbiony nos i kości policzkowe. Ravenovia była piękną kobietą, a wprawnemu artyście udało się uchwycić żywość jej spojrzenia i inteligencję płonącą w oczach.

Kolejny obraz przedstawiał trzech mężczyzn, z których jednym był Strahd, siedzący w wyściełanym czerwonym aksamitem fotelu. Niewiele się zmienił od tego czasu; Jander uznał, że malowidło powstało niedługo przed jego transformacją. Po lewej stronie hrabiego, nieco z tyłu, stał człowiek dobiegający czterdziestki, mocnej budowy, o miłym, łagodnym wyrazie twarzy, znamionującej bliskie pokrewieństwo ze Strahdem. Z prawej, z dłonią na poręczy fotela, klęczał jeden z najprzystojniejszych młodzieńców, jakich Janderowi zdarzyło się widzieć. Rysy jego twarzy również przywodziły na myśl Strahda, ale były inne - wyraźniejsze, ze śladami młodzieńczej werwy i intrygującego połączenia siły, godności i niewinności. Mężczyzna mógł mieć ledwie dwadzieścia lat. Elfowi jego twarz wydała się dziwnie znajoma.

Wszyscy trzej mieli na sobie wojskowe mundury, choć różnili się stopniem. Na szyi najmłodszego wisiał przepiękny wisior w kształcie słońca. Pierś Strahda zdobiły liczne medale.

Jander odczytał podpis: Strahd, Sturm i Sergiej von Zarovich. Stanowiliby trójkę niezwykle przystojnych braci, gdyby malarz okazał się mniej spostrzegawczy i nie oddał wiernie strapienia na twarzy Strahda. Hrabia miał zaciśnięte w cienką krechę usta i ponury wzrok człowieka, który nigdzie, gdzie spojrzy, nie dostrzega piękna ani radości. Nawet za życia, kiedy krew i powietrze w płucach łączyły go ze słonecznym światem żywych istot, Strahd musiał być nieszczęśliwy, mimo licznych odznaczeń na piersi.

Obrazów było znacznie więcej. W miarę upływu lat zmieniały się stroje, aczkolwiek niektóre elementy biżuterii i uzbrojenia powtarzały się od czasu do czasu, jakby były rodzinnym dziedzictwem bądź oznakami władzy. Elf przemierzał bez celu komnatę, oglądając niektóre z portretów.

W drugim końcu pokoju znajdował się niewielki stolik. W przeciwieństwie do większości mebli w zamku, utrzymywano go w idealnym stanie. Przykrywał go kawałek czystego, białego materiału, na którym leżała starannie poukładana biżuteria: naszyjnik, kolczyki i bransoleta. W dwóch wypolerowanych do połysku świecznikach stały świece. Prócz tego na stole leżały dwie oprawne w skórę księgi - jedna stara, nosząca ślady częstego przeglądania, druga znacznie od niej nowsza.

Jander podniósł tę drugą i bezmyślnie przekartkował. Była zapisana szyfrem Strahda, ale w ciągu minionych lat elf miał aż nadto czasu, by go rozpracować. Odłożył księgę na stół, nie zadając sobie nawet trudu, by przejrzeć drugi z tomów.

Nad stołem wisiał jeszcze jeden portret, przykryty białą zasłoną przypominającą splachetek, którym nakryto stół. Jander zmarszczył brwi. Czemu ten jeden zasłonięto? Szybkim ruchem zerwał całun.

Przerażonym wzrokiem wpatrywał się w przedstawione na obrazie osoby, mężczyznę i kobietę, uśmiechniętych, pozujących w weselnym stroju. Ktoś pociął nożem twarz mężczyzny, ale nie to poraziło elfa. Jego uwagę przykuła twarz kobiety, opartej na ramieniu tego człowieka.

Twarz Anny. Niczyja inna.

Uśmiechała się promiennie do pozbawionego w tej chwili twarzy młodzieńca. Jej twarz wyrażała bezgraniczną radość, oczy pały blaskiem miłości. Ubrana była w prześliczną białą suknię; w dłoniach trzymała bukiet kwiatów. Welon skrywał częściowo jej kasztanowe loki. To jej wesele świętowano w tej komnacie.

Przez parę minut elf patrzył na obraz, próbując zrozumieć niezrozumiałe, aż wreszcie opuścił wzrok na podpis pod portretem: „Sergiej

von Zarovich i Tatiana Fiedorowna, portret weselny, 351”.

Cofnął się niepewnym krokiem, drżąc na całym ciele. Czuł zawroty głowy, próbując ogarnąć umysłem to, co widział. A więc to nie była Anna, tylko kobieta imieniem Tatiana. Siostra? Może bliźniaczka?

Jego wzrok padł na książki. Może w nich znajdzie jakieś informacje na temat Tatiany. Wziął ze stołu nowszy tom i otworzył go. Zatyłowano go „Księga Strahda”. Mimo podekscytowania Jander prychnął pogardliwie. Po Strahdzie można się było spodziewać czegoś równie pełnego pychy. Usiadł przy ołtarzyku poświęconym Tatianie z księgą na kolanach i zaczął czytać, odczuwając zarazem chęć dowiedzenia się czegoś i strach.

„Jam jest Pradawny, Jam jest tą Krainą. Mój początek ginie w mrokach przeszłości. Byłem wojownikiem, dobrym i sprawiedliwym, przemierzałem tę ziemię niczym gniew sprawiedliwego boga, ale lata wojen i zabijania zniszczyły mą duszę, jak wiatr przemienia kamień w piasek...

Jander zmarszczył czoło. To nie żadna kronika przeszłości, tylko zwykła Strahdowa propaganda, wizja historii, jaką on chciał ją widzieć - tak samo jak przetykana kłamstwami opowieść o tym, jak Barović otoczyły mgły, którą uraczył elfa dawno temu. Jakaś dziwaczna, pogmatwana historia o rywalu, kobiecie i...

Ponownie spojrzął na portret nowożeńców. Czy ten młody człowiek był rywalem Strahda, tym, który „zaczarował” Tatianę.

- I „skradł” ją hrabiemu? Kłamstwo, to wszystko kłamstwo i Jander doskonale o tym wiedział, choć nie miał pojęcia, skąd. Trudno byłoby sobie wyobrazić dwoje bardziej zakochanych ludzi niż przedstawiona na obrazie para, bądź zobaczyć w nich pana i niewolnicę.

Zdegustowany odłożył książkę i sięgnął po drugą. Ostrożnie, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest delikatna, otworzył ją. Pożółkłe stronicy groziły rozsypaniem się w proch pod jego dotykiem; ledwie był w stanie odcyfrować pismo, a szyfr utrudniał mu szybkie czytanie, ale udało mu się zrozumieć, że ma w rękach dziennik, sięgający roku 349 według baroviańskiego kalendarza - bez mała dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Zanim Strahd stał się wampirem.

Elfowi zaczęły się trząść ręce. Przyciskając księgę do piersi skierował się do gabinetu. Do zmierzchu miał jeszcze parę godzin i nie chciał, żeby mu przeszkadzano. Umieścił pochodnię z powrotem w uchwycie, usiadł na jednym z miękkich foteli i zaczął czytać.

## DWADZIEŚCIA



Dwunasty miesiąc roku 347. Nareszcie - wojna skończona. Nieprzyjaciel został zdziesiątkowany, zmieciony z powierzchni ziemi bądź przepędzony. Odkryłem uroczą dolinkę, położoną u podnóża ruin zamku wodza nieprzyjaciół. Objąłem ją w posiadanie, podobnie jak i sam zamek...

Szósty miesiąc roku 348. Pokój zżera mą duszę. Nie lubię go. Mieszkańcy Barovii nie lubią zaś mnie, ale nie dbam o to...

Trzeci miesiąc roku 349. W zamku trwają prace. Na cześć mojej matki nazwę go Ravenloft. Powoli staje się stosownym domem dla rodu von Zarovich...

Jedenasty miesiąc roku 349. Wszystko gotowe. Poślę teraz po moją rodzinę, dzięki której to puste miejsce stanie się domem...

Czwarty miesiąc roku 350. Przyjechali, a wraz z nimi przybył mój najmłodszy brat, Sergiej, którego nigdy dotąd nie widziałem. Jakiż on jest jeszcze młody, ciałem i duchem! Gdyby nie to, że dzisiejszego ranka niemal pokonał mnie w pokazowej walce, nazwałbym go niedzielnym żołnierzem. Jednak uczciwość nakazuje mi przyznać, że jego kunszt jest zdumiewający.

Zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. Sergiej pasuje do tej epoki pokoju w sposób, w jaki ja, którego kości przenika chłód śmierci i który wciąż czuję smak wojny, nigdy nie zdołałem się dostosować. Ach, ileż dałbym za to, by być takim jak on, młodym i beztruskim, którego uroda tak pociąga kobiety! Jakaż to ironia losu, że jako najmłodszemu synowi przeznaczone mu jest zostać kapłanem!

- Chyba się starzeję - jestem niczym zimna noc próżno goniąca za nadejściem dnia. Nigdy dotąd nie marzyłem o rodzinie, ale teraz, po przybyciu Sergieja, łapię się na rozmyślaniach o kobiecie u mego boku i dziecku na kolanach...

Szósty miesiąc roku 350. Najwyższy z Wysokich Kapłanów, imieniem Kir, zmarł nagle. Sergiej nalega, bym ogłosił ten dzień dniem narodowej żałoby. On ma teraz zająć stanowisko Najwyższego z Wysokich Kapłanów; z pokorą przyjął ten zaszczyt. Nie wolno mu jeszcze nosić oficjalnych szat kapłańskich i nie został jeszcze wyświęcony, ale dostojnicy kościelni zezwolili mu na noszenie Kapłańskiego Naszyjnika, nawet niebrzydkiego cacka, które ma dla chłopaka ogromne - może nawet zbyt duże - znaczenie emocjonalne.

Był rok 350 według barovianskiego kalendarza. Hrabia Strahd von Zarovich spoglądał na Ivlis, wijącą się wśród wzgórz i lasu Svalich. Wiedział, że jest absolutnym i nie kwestionowanym władcą wszystkich ziem, które oglądał.

Nie cieszył się tą myślą. W ogóle niewieloma rzeczami potrafił się już cieszyć.

Kilka lat temu jeden z wystraszonych burmistrzów okolicznych wiosek zaproponował ogłoszenie dnia urodzin hrabiego świętem

narodowym, usiłując w ten sposób odwrócić gniew władcy, wywołany skąpymi podatkami płaconymi przez wioskę burmistrza. Obrął jednak złą taktykę; Strahd nigdy nie obchodził urodzin. Kiedyś żartował, że to „dzień śmierci”, teraz jednak w ogóle nie poruszano tego tematu. Młodość Strahda minęła, strawiona w wojnach i zabijaniu.

Pechowego burmistrza znaleziono martwego, z głową odciętą od ciała jednym wprawnym ciosem miecza. Nigdy więcej nie wracano do sprawy urodzin hrabiego.

Tamtego dnia Strahd wrócił do gabinetu i wziął do ręki dziennik, który zaczął pisać po podbiciu tej krainy.

- Nienawidzę Barovianczyków! Nie wiedzą, kiedy lepiej zostawić człowieka w spokoju. Przerwał, po czym ciągnął dalej: Czy Sergiej też przyswoił sobie tę cechę?

Nabrał niepokojącego nawyku odwiedzania wioski, próbując, jak to określił, „zrobić dla tych ludzi coś dobrego”. Traktują go tam niczym jakiegoś młodego boga, rzucają mu kwiaty pod nogi i wznoszą ogłuszające okrzyki radości na jego cześć. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Miejsce Sergieja jest ponad ludem, w zamku Ravenloft, jak przystało von Zarovichowi. Nie powinien tarzać się w chłopskim gnoju.

Rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi gabinetu.

- Wejść! - polecił Strahd bez zastanowienia.

Do komnaty wszedł Sergiej z rozpromienioną twarzą i zwichrzonymi włosami.

- Strahdzie, muszę ci opowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło!

- Czyżby? - odparł brat i niechętnie odłożył księgę. - Na cóż to takiego natknąłeś się w tej wstrętnej wioszczynie, co mogłoby zainteresować von Zarovicha?

Strahd zmarszczył czoło, gdy Sergiej przysunął sobie krzesło. Nigdy nie uważał entuzjazmu i bezpośredniości cechujących brata za przymioty stosowne dla rodu rządzącego krajem, ale dziś Sergiej przywodził na myśl figlarnego szczeniaka. Musiało się wydarzyć coś naprawdę niesamowitego.

- Poznałem dziewczynę.

Strahd czekał, ale na tym oświadczenie Sergieja najwyraźniej się kończyło. Kryjąc rozdrażnienie sięgnął z powrotem po dziennik.

- Na bogów, Sergiej, jeśli będziesz tu wpadał w podskokach za każdym razem, kiedy postanowisz „ocalić” jedną z miejscowych kurewek...

- Gdybyś nie był moim bratem, zabiłbym cię za te słowa! - rozwścieczony Sergiej poderwał się na równe nogi. - Spotkałem ją w wiosce, robi to samo, co ja: pomaga ludziom i... Nigdy jej nie widziałeś, ale niedługo sprowadzę ją tutaj, żebyś sam się przekonał.

- Nie pozwolę, byś hańbił ten dom, sprowadzając tu nierządnicę!

- A ja nie pozwolę, byś mówił w ten sposób o Tatianie!

- O, to ta dziwka ma jakieś imię.

Sergieja z widocznym wysiłkiem opanował gniew, usiadł, a kiedy ponownie się odezwał, mówił spokojnie.

- Bracie, wiesz, jaką cię darzę miłością. Proszę zatem, byś nie nazywał Tatiany ani dziwką, ani nierządnicą, ani żadnym innym mianem nie wyrażającym należytego szacunku. Nie jest szlachetnie urodzona, to prawda, ale to chodząca doskonałość. Nigdy nie spotkałem pogodniejszej istoty. A poza tym, Strahdzie, ona będzie moja. Zamierzam ją poślubić.

- Nie ma mowy. Przede wszystkim - nie ma odpowiedniego pochodzenia. Po drugie zaś - przerwał, by dotknąć kapłańskiego amuletu na piersi brata. - Jesteś przeznaczony do innej służby. Pamiętasz?

- Wiesz, że matka i ojciec nie nalegają specjalnie, bym nadal starał się zostać kapłanem. Zwyczaj, który nakazuje najmłodszemu z rodu zostać duchownym, nie jest niczym więcej, jak tylko właśnie zwyczajem. Nie jest prawem!

- Nadawałeś się do tego. Sergiej musiał przytaknąć.

- Nadawałem. Właściwie nadal się nadaję. Ale gdyby było mi przeznaczone podążać dalej tą ścieżką, z pewnością bogowie nie pozwoliliby mi tak pokochać Tatiany. Ty też się w niej zakochasz, gdy ją ujrzysz. Poza tym jakie to ma znaczenie, czy się ożenię, czy nie? Ty jesteś dziedzicem rodu, po tobie jest Sturm. Jak widzisz - błysnął swoim dobrze znanym uśmiechem „świat-jest-w-porządku” - bycie najmłodszym synem ma swoje zalety.

- Sergieju - odrzekł Strahd, czując, jak wyczerpuje się jego cierpliwość. - Żeń się z kim chcesz. Nie dbam o to. Jeśli znalazłeś sobie jakąś przypominającą kartofel, obszarpaną wieśniaczkę i uda ci się ją doszorować tak, żeby nie przeszkadzała służącym, dla mojej przyjemności możecie się pobrać choćby jutro. Zostaw mnie teraz samego. Jestem zajęty.

Sergieja zamyślił się i spojrzał badawczo w twarz brata.

- Wiem, że dzieli nas wiele lat i że uważasz mnie za niedowarzonego młokosa. Zawsze cię podziwiałem, bracie, ale nigdy nie udało mi się zrozumieć, skąd bierze się twoja gorycz, skoro tyle razy zwyciężałeś i świat stoi po twojej stronie.

- Sergieju...

- Do diabła, Strahd, nikt nie wie lepiej ode mnie, ile dla nas zrobiłeś. Zakończyłeś toczącą się od pokoleń wojnę. To tobie zawdzięczamy pokój; zrobiłeś swoje i to we wspaniałym stylu. Nie dokonałem niczego tak szczytnego. Nie potrafię wygrywać wojen. Umiem tylko żyć i robić

to, co uznaję za właściwe w tych spokojnych czasach. - Wstał. - Przykro mi, że straciłeś swoją młodość na bitewnych polach, ale to nie moja wina.

Strahd patrzył w ślad za nim, potrząsając głową. Zdarzało się, że był wręcz załamany postępowaniem Sergieja - ale czasem podziwiał go bardziej niż wszystkich innych ludzi.

Młodszy brat był ostatnim i zarazem najpiękniejszym kwiatem na drzewie von Zarovichow. Obdarzał rodziców miłością i dodawał im otuchy, gdy Strahd toczył kolejne bitwy, a zainteresowania Sturma poniosły go w dalekie strony. Sergiej dorastał nie znając najstarszego z braci; pierwszy raz spotkali się, gdy Strahd na dobre osiadł w Barovii i sprowadził rodzinę.

Połączyła ich braterska miłość od pierwszego wejrzenia. Sergiej darzył Strahda nabożną czcią, należną wspaniałemu bohaterowi wojennemu, a ten musiał odpowiedzieć mu tym samym. Dlaczegoż by nie? Sergiej dał się lubić inteligentny, zawsze w dobrym humorze, był niezłym partnerem w treningowych potyczkach.

Na tyle, na ile było to możliwe, starzejący się wojownik kochał brata.

Zamek Ravenloft nie był rajskim ogrodem. Strahd pragnął, by jego młodość wróciła, chciał być Sergiejem, mieć dwadzieścia siedem lat i całe życie przed sobą, traktowane niczym wielki stół bankietowy, którym można się cieszyć do syta. Strahd poświęcił swą młodość, by przebłagać bogów wojny, i teraz, w wieku lat czterdziestu pięciu, nie bardzo miał do czego wracać - ani rodziny, ani bliskich przyjaciół. Wszystko, co czynił, zmierzało do zapewnienia doczesnych korzyści - nie ustanowił prawa, które zmieniłoby świat, nie podbił kraju, który dałby mu nowe życie. Sergiejowi będzie lepiej, gdy weźmie sobie za żonę córkę jakiegoś wieśniaka hodującego kapustę, pomyślał z goryczą Strahd.

Sięgnął po pióro i dopisał dużymi, pogrubionymi literami: Mimo całej miłości, jaka nas łączy, Sergiej czasem mnie denerwuje.

Pięć dni później, kiedy wybranka Sergieja wyszła z powozu i nieśmiało rozejrzała się dookoła, Strahd poczuł ukłucie rozpaczony w sercu.

Dziewczyna była rzeczywiście piękna - chodzący ideał, jak mówił Sergiej. Wysoka, o długich, kasztanowatych włosach, spływających lokami po plecach. Zwyczajne odzienie opinało ciasno pełne piersi i wąską talię. Sergiej trzymał ją za rękę i promieniał miłością i dumą. Kiedy zaś Tatiana spojrzała na swego przyszłego męża, w jej oczach zapłonął płomień absolutnego oddania. Strahd jakoś zdzierzył wzajemną prezentację, wytrzymał również długą, uroczystą kolację tego wieczora, ale pochodzący z doliny klejnot, ukryty pod postacią kobiety całkowicie ośladną jego sercem.

Jej niezwykła słodycz sprawiała, że jeszcze trudniej przychodziło mu to znosić. Podczas wspólnych spacerów często podawała mu ramię, nazywając go, z należyty szacunkiem, „bratem”. Nie miała pojęcia, że z całej duszy zazdrościł swemu bratu.

Czasem hrabia wyobrażał sobie, że dziewczyna kocha i jego, ale kruche to złudzenie pryskało, gdy oczy Tatiany spoczęły na Sergieju i - z całej postaci kobiety emanowała przepelniająca ją miłość. Wszyscy, którzy mieli okazję widzieć ich razem, cieszyli się z ich szczęścia, tak szczerze i widoczne było ich uczucie.

Wszyscy poza hrabią Strahdem von Zarovichem.

Marzenia, aby dziewczyna obdarzyła go miłością, stawały się coraz bardziej natarczywe i ponure. Zaczął przeglądać rozmaite księgi z zaklęciami, ale nie udało mu się znaleźć niczego stosownego. Był rozdrażniony, coraz łatwiej wpadał w gniew; często spędzał całe noce na poszukiwaniu czegoś, co mogłoby okazać się przydatne.

Któregoś popołudnia, próbując oderwać się od tego wszystkiego, zasiadł do organów. Przez chwilę podziałało to jak lekarstwo, gdy otuliły go wibrujące dźwięki muzyki, płynącej z głębi jego duszy. Palce Strahda biegły po klawiszach, dobywając z nich tony odbijające wewnętrzną burzę, ale i przynoszące ulgę.

Dobiegające z wielkiej sali odgłosy przerwały jego skupienie. Przestał grać, czując, jak pryska delikatny spokój ducha. Zmarszczył z niezadowoleniem brwi i poszedł sprawdzić, co się dzieje; najwyraźniej wieczór nie zapowiadał się spokojnie.

Śmiechy i gwar rozmów wypełniły cichą dotąd jadalnię, gdy wtoczyli się do niej uczestnicy polowania. Towarzyszyła im sfora psów, które wywijając ogonami kręciły się zadowolone wokół i chrobotyły o kamienną podłogę pazurami.

- Strahd! - Sergiej zamachał w jego kierunku. - Straciłeś wspaniałe polowanie!

- Naprawdę, Starszy Bracie, nawet ty bawiłbyś się znakomicie, gdybyśmy tylko zdołali odciągnąć cię od tych twoich ksiąg! - dorzuciła Tatiana, uśmiechając się promiennie do hrabiego.

Strahd odpowiedział cokolwiek wymuszonym uśmiechem.

- Książki są doskonałymi towarzyszami. Polowanie na lisy to strata czasu.

- Och, to by ci się podobało. Poza tym nigdy byś nie zgadł, co się potem działo w „Wilczym Leżu”! - Sergiej ujął go pod ramię i poprowadził w stronę stołu, gdzie służący dyskretnie otwierali już omszałe butelki i napełniali winem kryształowe puchary. Płynnym ruchem Sergiej podał bratu kielich rubinowego płynu.

- Sergiej! - twarz Tatiany przybrała barwę wina. Dziewczyna ze śmiechem wtuliła głowę w pierś Strahda, nie okazując specjalnego zażenowania. Proszę, Straszny Bracie, każ mu przestać. Nie chcę, żeby to opowiadał!

Strahd zamknął oczy, zmuszając się, by nie okazać miotającego nim huraganu uczuć. Ach, przytulać tak Tatianę, a nie móc liczyć na jej miłość! Nie mógł się powstrzymać, by nie objąć jej ramieniem.

Nagle zorientował się, że odsunęła się od niego - to Sergiej odciągnął narzeczoną i teraz obsypywał ją pocałunkami, nie zważając na jej nieśmiały protesty.

- Dała mi niezłą nauczkę, Strahdzie!

- Tylko bogowie wiedzą, jak wiele musisz się jeszcze nauczyć - mruknął Strahd, czując wzbierającą w nim, na podobieństwo zatrutej fali przyływu, zazdrość.

- Siedzieliśmy w gospodzie, pijąc piwo z miejscowymi, gdy nagle wielki, kudłaty facet złapał Tatianę. Tylko tyle, złapał. I zanim zdążyliśmy zareagować, usiłował...

- Co?!

Słowo wystrzeliło z gardła Strahda. Czuł wypełniającą go wściekłość. Uczestnicy polowania cofnęli się nieco. Trudno było posądzać hrabiego o spokojne usposobienie, ale nawet największym pechowcom nie dane było doświadczyć gniewu podobnego do tego, który wykrzywił teraz jego nabiegłą krwią twarz. Tatiana także była przerażona i przysunęła się bliżej do przyszłego małżonka. Tylko Sergiej, darzący brata bezgraniczną miłością, nie zareagował. Ciągnął dalej:

- Usiłował uderzyć jej głową o ziemię - dokończył. - Oczywiście razem z grupką kompanów odciągnęliśmy go od niej, jak tylko połapaliśmy się w sytuacji. Chcieliśmy wyprowadzić go na zewnątrz i tak mu przetrzepać skórę, żeby długo to popamiętał, ale nie pozwoliła nam.

Zaskoczony Strahd spojrział na dziewczynę. Rumieniec oblewał jej twarz, ale nie spuściła wzroku. Na bogów, te oczy...

- Powiedziała, że zna tego człowieka, gdyż razem dorastali. Był na nią zły, bo poszczęściło jej się w życiu i miała wyjść za von Zarovicha, jego rodzina zaś przymiera głodem. Wiesz, co wtedy uczyniła moja gołębica? - Sergiej uśmiechnął się i z dumą spojrział na Tatianę, mocniej przyciskając ją ramieniem. - Zdjęła z siebie całą biżuterię i dała mu to wszystko ze słowami: „Masz, kup dzieciom coś do jedzenia. Póki żyję, twoja rodzina nie będzie cierpieć głodu”. A wtedy ten potwór, wielki i zwały jak niedźwiedź... Strahdzie, on się rozplakał, rozplakał jak dziecko i zaczął całować Tatianę po rękach. Czyż ona nie jest cudowna?

Myśliwi wzniesli okrzyki i spełnili toast na cześć przyszłej żony Sergieja. Jej twarz promieniała szczęściem.

- Tatiano, jesteś niemądra - rzekł Strahd ostro. W oczach dziewczyny pojawił się ból, ale hrabia, nie zwracając na nią uwagi, odwrócił się do Sergieja. - A ty, mój bracie, jesteś jeszcze gorszy. Właśnie wytarłeś naszym nazwiskiem brudne uliczki tej wstrętnej wioski. Powinieneś być zabić tego psa za brak szacunku. Gdyby któryś z moich sług postąpił tak, jak ty dzisiaj, kazałbym go wybatczyć do krwi. Niestety, jesteś moim krewnym, więc nie mam takiej możliwości, czego, wierz mi, gorąco żałuję. Państwo wybaczą.

Szybkim krokiem wyszedł z komnaty, cisnąwszy kielich na ziemię. Wszyscy zamilkli w zdumieniu - zakłopotani, nie wiedząc, co powiedzieć. Pierwsza odezwała się Tatiana:

- Biedny Strahd. Wydaje mi się, że bardziej potrzebuje naszego współczucia i troski niż Jakov z wioski.

- Kochanie - odparł łagodnym głosem Sergiej, całując ją w czubek głowy. - Całkiem możliwe, że masz rację.

Strahd skrobał pospiesznie w dzienniku, przelewając swój gniew na papier. Muszę coś znaleźć, jakieś zaklęcie, miksturę, która sprawi, że ten anioł będzie mój. Muszę! Nie ma rzeczy, której bym nie poświęcił, byle tylko zdobyć tę kobietę!

Zbliżał się ranek, a Strahd wciąż się jiiie kładł. Westchnął głęboko i przetarł oczy; powieki miał ciężkie i jakby pełne drobnego piasku. Każda cząstka jego ciała domagała się, by zaprzestał poszukiwań, przynajmniej tej nocy, i udał się na spoczynek.

Wielkim wysiłkiem woli hrabia otrząsnął się z letargu. Jeśli nie uda mi się znaleźć jakiegoś magicznego sposobu na zdobycie Tatiany, pomyślał, spędzę mnóstwo samotnych nocy i wtedy będę mógł się wypaść. Drżącymi ze zmęczenia rękoma sięgnął po kolejną księgę z zaklęciami, usiadł ciężko i zaczął ją przeglądać.

Jego uwagę zwróciły dwie sklejone ze sobą stronicie. Zmarszczył czoło. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważył? Co też za tajemnice skrywały te dwie strony? Poczul wzbierający gwałtowną falą zapal i rozbudził się do reszty. Ostrożnie, starając się nie uszkodzić delikatnego pergaminu, rozdzielił kartki. Na jego twarz wypłynął uśmiech, choć jeszcze bał się uwierzyć w to, co widział na własne oczy. Jakiś dawno zapomniany czarownik zapisał na pożółkłych stronicach Czar na Zdobycie Serca.

Przebiegł wzrokiem instrukcję zaklęcia; nie było w niej nic nadzwyczajnego, nie wymagało żadnych niezwykłych magicznych ingrediencji. Sierść nietoperza... Zaiste, nietrudno będzie ją znaleźć w tym zakazanym miejscu. Zmielony róg jednorożca... Jeśli się nie mylił, ma tu gdzieś odrobinę tego bezcennego proszku. I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Strahd na moment przestał wyraźnie widzieć, więc niecierpliwie przetarł oczy, a kiedy ponownie odczytał treść księgi, lista komponentów uległa zmianie.

- Co to takiego? - mruknął sam do siebie. Na jego oczach litery skręcały się, zmieniały kształty i układały w nowe słowa. Zaniepokojony rzucił księgę na stół. Uderzyła głośno o blat.

- To bardzo stara księga. Powinieneś ostrożniej się z nią obchodzić - doleciał go głos, od którego włosy zjeżyły mu się na karku.

Zadarł głowę i rozejrzał się po komnacie, ale nie było tu nikogo poza nim samym.

- Kto tam? - zawołał.

- Powinieneś wiedzieć - odparł głos. Pobrmiewała w nim tłumiona wesołość; zdawał się dobiegać ze wszystkich kątów pokoju,



szeleszcząc w uszach Strahda niczym suche liście, które niesione wiatrem ocierają się o nagrobek. - Wezwałeś mnie. Usłyszałam twoją nienawiść i jestem tu, by pozwolić ci Zdobyć Serce.

- Pokaż mi się - zażądał Strahd.

Głos roześmiał się, basowo, beznamiętnie.

- Nie zniósłbyś tego widoku.

Nagle hrabia uwierzył w szeptane lodowato zimnym głosem słowa. Jakaś cząstka jego istoty krzyczała w nim, żeby natychmiast opuścił komnatę, zostawił ten głos, sączący się jak trucizna do mózgu i serca, żeby zostawił Tatianę Sergiejowi.

- Nie - wyszeptał. - Ona będzie moja.

- Możemy zaczynać?

- ...nawet nie rozpocząłem obrządku - zająknął się Strahd, próbując zebrać myśli.

- Nie musisz. Ten czar znalazł się tam tylko po to, żeby... przyciągnąć twoją uwagę. Jak bez wątpienia zdążyłeś zauważyć, bez przerwy się zmienia. Zupełnie jak umysł śmiertelnika.

- Czym jesteś?

W odpowiedzi głos przybrał na sile, niczym nocny wiatr niosący burzę, zadudnił śmiechem, a hrabia począł odczuwać, że głos jest obecny jak fizyczna istota.

- Jestem wszystkimi koszmarami, jakie śniły się wszystkim istotom świata. Jestem mroczną myślą o morderstwie i zdradzie, o strachu, żądzy, bezwstydzie i gwałcie. Jestem słowem, które jak nóż zabija duszę, i okrwawionym nożem, który zabija ciało. Jestem trucizną na dnie kielicha, pętlą na szyi złodzieja, lamentem skrzywdzonych i wrzaskiem torturowanych. Jestem kłamstwem. Jestem czarną otchłanią szaleństwa. Jestem Śmiercią i innymi, gorszymi jeszcze rzeczami. Znasz mnie, hrabio Strahdzie von Zarovich. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Strahd zaczął drzeć, ale głos miał opanowany.

- Czy przybywasz... po mnie?

- Przybywam w twoim imieniu - westchnął w odpowiedzi grobowy głos, ponownie przypominający ostatnie tchnienie umierającego człowieka. - Karmiłeś mnie. Należy ci się nagroda. Pożądasz ukochanej swego brata, pragniesz utraconej młodości. Usunę z twej drogi rywala, a ty sam nie postarzejesz się już ani o jeden dzień... jeśli uczynisz, co każe.

Przez chwilę hrabia wahał się; to, co oferowała mu owa istota, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Tatiana. Skinął głową.

- Co mam zrobić?

## DWADZIEŚCIA JEDEN



- Na bogów, jakichż okropieństw i jakich cudów jestem dziś świadkiem! Moje dłonie drżą, kiedy próbuję pisać, lecz nie umiałbym rzec, ze smutku to czy z radości. Dołożę starań, by dokonać możliwie najdokładniejszych zapisków, żebym miał do czego wrócić w późniejszym czasie, gdy umysł mój spokojniejszym będzie i zdoła co wyrozumieć...

\*\*\*\*\*

Wkrótce po zmierzchu, na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości, Strahd zapukał cicho do drzwi komnaty Siergieja.

- Wejść - rzucił młodszy z braci.

Uśmiechając się Strahd przeszedł przez próg. Siergiej wyglądał wspaniale, odziany w jasnobłękitny mundur, przyozdobiony epoletami i odznaczeniami, specjalnie wyczyszczony i odprasowany na tę okazję. Czarne buty lśniły, a zawieszony na szyi platynowy kapłański naszyjnik przy każdym poruszeniu słał na wszystkie strony odbłyśki światła. Siergiej właśnie przypiął do pasa miecz i nerwowo obciągał mundur. Spojrzał w lustro, ciekaw, kto też go odwiedził i uśmiechnął się szeroko, gdy jego oczy napotkały spojrzenie Strahda.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz! - wykrzyknął, wyciągając do brata ramiona. Hrabia zawahał się przez moment, po czym objął go. - Myślałem, że może ciągle się złościć z powodu tego zdarzenia z Tatianą i wieśniakiem.

- Nie, braciszku. Postąpiłem pochopnie i okrutnie. Przybywam prosić cię o wybaczenie.

Oczy Siergieja, równie niebieskie jak mundur, załśniły od wzbierających łez.

- Są w tym kraju tacy, co mówią, że nie ma w tobie dobra - rzekł ochryple. - Ale ja zawsze wiedziałem, że w „diable Strahdzie” kryje się dusza anioła.

- Odsuń się kawałek, niech no ci się przyjrzę - odparł hrabia z nagłym zapalem. Czuł się nieswojo ze względu na emocjonalny ton, jakiego nabrała ich rozmowa. Siergiej posłusznie odstąpił o krok, uśmiechając się z zażenowaniem, Strahd zaś gwizdnął z udawanym podziwem. Brat posłał mu przyjacielskiego kuksańca.

Niejedno serce dziś złamiesz - powiedział hrabia. - Założyłbym się, że przez wioskę przetoczy się fala samobójstw. Wszystkie dostojne

matrony w okolicy będą płakać z żalu - oto odchodzi najbardziej pożądanym z kawalerów Barovii.

- Mam jednak nadzieję, że niedługo potem wzniosą toast za najszczęśliwszego pana młodego na świecie!

Strahd poczuł wzbierającą w jego żyłach falę zimnej złości. Niewiele brakowało, by postanowił zerwać pakt zawarty z tajemniczą, mroczną istotą. Nieskrywana miłość, jaką Sergiej żywił do niego, i zadowolenie, z jakim powitał brata, umocniły go w tym postanowieniu. Teraz jednak, na widok promieniejącego szczęściem młodzieńca, obudziło się w hrabim czarne monstrum zazdrości.

Wyciągnął dłoń i dotknął srebrzystego medalionu na piersi Sergieja. Wisior zakołysał się i zamigotał, a znajdujący się w jego środku kryształ rozbłysł tysiącem odblasków.

- Wiesz, że będziesz musiał to porzucić. Sergiej ujął naszyjnik w dłoń.

- Wiem. Nie mogę zarazem być żonaty i pozostać kapłanem, prawda? Chociaż zawsze uważałem, że to trochę nieuczciwe; można przecież wypełniać należycie obowiązki i wobec rodziny, i wobec boga. Jedna miłość nie musi przyćmić drugiej.

- To świętokradztwo! - wykrzyknął Strahd w udawanym przerażeniu. - Musisz ogłosić własną religię, Sergiej.

Młodszy z braci słysząc to roześmiał się i wypuścił z ręki medalion.

- Może i tak zrobię, jeśli tylko będę mógł go zachować. Mówię ci, Strahdzie, w długie, ciemne noce stanowił dla mnie źródło prawdziwej pociechy.

Na palcu uczuć hrabiego czerwien gniewu walczyła o lepsze z zielenią zazdrości. A cóż ten dzieciak mógł wiedzieć o długich, ciemnych nocach? Przez jakież to niby piekło zmuszony był się przedzierać? Nigdy w swoim krótkim życiu nie musiał o nic walczyć! Wychował się w luksusie, a walczył dla przyjemności, traktując to jako ćwiczenie, nie bił się o życie, o ziemię. Zawsze otaczały go kobiety, a ten idiota za każdym razem znajdował jakiś pretekst, żeby taktownie im odmówić. Był znakomitym, odważnym, młodym wojownikiem, ale, do diabła, powinien zostać kapłanem! Co takiego zrobił, że zasłużył sobie na Tatianę? A co takiego uczynił on, Strahd, żeby mu jej odmawiano?

- Mogłeś mieć wszystkie kobiety tego świata. Dlaczego właśnie ona? - spytał nagle Strahd.

Sergieja otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Spojrzał współczująco na brata.

- Strahdzie - odparł, drżącym z emocji głosem. - Czyżbyś nie wiedział?

W głębi serca Strahd doskonale wiedział dlaczego, i wiedział, co Sergiej miał na myśli, zadając mu to pytanie, retoryczne pytanie człowieka tak bez reszty zakochanego, że sądzi, iż cały świat widzi jego ukochaną tak, jak on.

Zazdrość i ból, jaki odczuwał, kazały Strahdowi wypaczyć znaczenie słów brata. Czyżbyś nie wiedział? Proste pytanie zmieniło się w skążonym umyśle hrabiego w wyzwanie; przeklęty! Wiedział, że Strahd kocha Tatianę i żenił się z nią, żeby go poniżyć!

Ogromnym wysiłkiem woli hrabia opanował gniew i zdał sobie sprawę, że Sergiej coś mówi.

- Moja radość byłaby pełna, gdybym wiedział, że i ty znalazłeś kogoś takiego, jak Tatiana.

- Mam tu prezent dla pana młodego - rzekł Strahd, ignorując słowa brata i wręczając mu jakiś przedmiot, starannie zawinięty w zdobiony haftem kawałek materiału. - Magiczny i stary. Nadaje się na prezent w taki dzień.

Z uśmiechem na twarzy Sergiej odwinął prezent - niewielki sztylet, z rękojeścią zdobioną w czerwone, czarne i złote wzory. Pochwę wykonano z dziwnego rodzaju skóry, o niezwykłym odcieniu. Sergiej, zmieszany, spojrzał pytająco na brata.

- Widzę, że poznajesz - to poświęcona przez czas broń zabójcy z szeregów Baal Verzi. Pochwę sztyletu wykonywano z ludzkiej skóry, najczęściej z pierwszej jego ofiary. Na rękojeści wyrzeźbiono runy magicznej mocy.

Twarzy młodszego z braci odzwierciedlała szok, jakiego doznał. Spokojnym gestem hrabia sięgnął po broń i udał, że się jej przygląda. Ostrożnie wy dobył ją z pochwy i jasne ostrze zaślniło w świetle świec.

- Legendy mówią, że dobyte tego sztyletu przynosi nieszczęście, jeśli nie pozwoli mu się zasmakować krwi. Na ogół nie jestem przesądny, ale wydaje mi się, że tym razem lepiej nie kusić losu. Mam rację?

Zanim Sergiej zdążył zareagować, Strahd wbił mu sztylet w serce. Dłoń hrabiego spłynęła szkarłatem i z dziką rozkoszą wpatrywał się w brata, który rzucił mu jeszcze ostatnie, pytające spojrzenie; do końca nie rozumiejąc co się stało, młody mężczyzna oddał ducha nie wydając żadnego dźwięku. Osunął się bezwładnie w objęcia Strahda.

Ten zaś pospiesznie ułożył zwłoki na podłodze, po czym, zgodnie z żądaniem tajemniczej istoty, wyciągnął nóż z rany. Spojrzał na znaczącą długie ostrze krwawą smugę, nabrał głęboko powietrza i unióś nóż do warg. Oblizwał go do czysta, starając się zwalczyć wzbierające w nim mdłości. Skrzywił się, rozdarł mundur na piersi brata, potem bawełnianą koszulę, aż wreszcie odsłonił niewielką ranę, z której, rytmicznie pulsując, nadal płynęła jasna krew.

- Wypij krew, najpierw z narzędzia, następnie z kielicha, tak brzmiał rozkaz mrocznej istoty. Strahd przyklęknął przy ciepłym jeszcze ciele ukochanego brata, przytknął usta do rany i zaczął pić.

Zakrzusił się, zakaszłał i uronił nieco bezcennego płynu. Zalała go fala wściekłości, wywołanej własną słabością, toteż odwołując się do żelaznej samodyscypliny, która pozwoliła mu zostać znakomitym wojownikiem, zmusił się do picia. Ssał mocno, z ustami przyciśniętymi do otworu jaki pozostał po sztylecie, a przez jego gardło przepływało coraz więcej metalicznie smakującej cieczy. W końcu, prawie niezauważalnie, wewnętrzny opór zmalował, a po chwili Strahd zaczął rozkoszować się jej smakiem.

Czuł wypełniającą go energię. Nagle zdał sobie sprawę z delikatności materiału użytego na strój Sergieja pod obdarzonymi nową wrażliwością palcami; poczuł woń krwi i potu na ciele brata; usłyszał głosy innych gości, mimo iż przebywali wiele pokoiów dalej. W przypiływie dobrego humoru podniósł jedną ręką ciało Sergieja - po prostu dlatego, że potrafił to zrobić! To było cudowne! Roześmiał się w głos i niedbałym gestem odrzucił zwłoki, które rozpląszczyły się na podłodze - i nagle zdał sobie sprawę, co się stało.

Zaczął drżeć. Uklęknął przy martwym bracie, delikatnie muskając białą, znieruchomiałą twarz. Podniósł ciało w ramionach, a kiedy krzyknął głośno, w jego głosie brzmiał prawdziwy żal.

- Do diabła z tobą Sergiej. Do diabła! To twoja wina! Miałeś się nie żenić! Byłeś najmłodszym synem, więc miałeś zostać kapłanem... Czemu nie zrobiłeś tak, jak było ci od urodzenia przeznaczone?!

Strahd wplątał swe mocarne dłonie w poskręcane w loki włosy Sergieja. Przycisnął swą rozplómiętą twarz do jego twarzy, zimnej i bladej. Na korytarzu rozległy się pospieszne kroki i Anton, osobisty sługa Sergieja, z rozmachem otworzywszy drzwi, wszedł do komnaty. Przerażony wlepił wzrok w krwawą scenę, przenosząc spojrzenie z Sergieja na Strahda, oczekując jakiejś reakcji hrabiego.

Strahd podniósł sztylet Ba'al Verzi. Anton rozpoznał broń i jego oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły.

- Sergiej nie żyje - powiedział Strahd łamiącym się głosem. - To musiało stać się przed chwilą. Każ strażom natychmiast odciąć wszystkie wyjścia z zamku. Musimy znaleźć zabójcę mojego brata!

Wstrząśnięty służący przytaknął, nie spuszczać oczu z bezwładnych, skrwawionych zwłok Sergieja. Łzy napłynęły mu do oczu - tak, jak wszyscy w Ravenloft, kochał młodego panicza. Wyszedł z komnaty.

Strahd był zdumiony. Okazało się to takie proste. Nigdy dotąd nie kłamał; jako nie kwestionowany wódz swych oddziałów, a potem pan całej krainy, nigdy nie musiał kłamać. Wątpił, czy da radę wyłgać się z zamordowania brata, a jednak udało mu się, i to za pomocą jednego, drobnego kłamstewka. Zastanawiał się, czy łatwość, z jaką przychodziło mu kłamstwo, była kolejną częścią mrocznego daru. Nagle przebiegł go dreszcz. Pił przecież krew Sergieja. Czy miał ją wciąż na wargach, kiedy Anton wszedł do komnaty? Poderwał się na nogi i podszedł do lustra, by przyjrzeć się swojej twarzy. Spojrzał w szklaną tafelę i doznał szoku.

Jego odbicie powoli stawało się przezroczyste.

Złapał się za pierś i twardość, jaką poczuł, przyniosła mu ulgę. Musiał się nieźle postarać, by stłumić narastające przerażenie, ale przecież nie był mięczakiem. Stłumił strach i obmył twarz i ręce. Woda w umywalce zabarwiła się czerwono.

Z kaplicy dobiegł go wysoki krzyk rozpacz, a po nim szloch i dalsze odgłosy żałoby. Drzwi do komnaty Sergieja ponownie otworzyły się z hukiem i wpadło przez nie czterech zamkowych gwardzistów z dobytymi mieczami.

- Wasza Ekscelencjo - odezwał się kapitan. - Odcieśliśmy wszystkie drogi ucieczki, tak jak rozkazałeś. Nie mamy pojęcia, kto mógł to uczynić, ale nikt nie opuści zamku, dopóki nie będziemy pewni, kto jest mordercą.

Strahd, już na powrót spokojny, skinął głową.

- Doskonale. Zebrać wszystkich w kaplicy i w jadalni, gdzie komu będzie bliżej.

- Tak jest, Wasza Ekscelencjo - strażnicy skierowali się do wyjścia.

- Jedną chwileczkę - Strahd zapłacił cenę krwi. Czas było upomnieć się o nagrodę. - Gdzie jest Tatiana?

- W ogrodzie, na tyłach kaplicy. Nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć.

- Mnie pozwoli - odparł Strahd, uśmiechając się. - Musi.

Ruszył w stronę kaplicy, nie bacząc na łzy i pytania kłębiących się gości. Samą kaplicę rozświetlały dziesiątki świec, sprawiając, że witraże w oknach rzucały barwne plamy światła na podobną aniołowi postać młodej dziewczyny, skulonej na wilgotnej trawie w ogrodzie.

Ogromne oczy lśniły w zbielejącej pod wpływem bólu twarzy panny młodej. Tatiana zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na ziemię i trawę, brudzące jej kunsztownie haftowaną suknię ślubną. Nie podniosła wzroku, kiedy Strahd zbliżył się do niej i ostrożnie przyklęknął obok.

- Chodź, kochanie - rzekł łagodnie, obejmując ją czule. Przez moment pozostała w bezruchu, a po chwili poczuł, jak się odprężyła i wraca do życia. Zaczęła płakać. Smukłym ciałem wstrząsały kolejne szlochnięcia; niczym osoba tonąca trzymała się kurczowo Strahda. Hrabia przytulił ją mocniej, świeżo wyczulonymi zmysłami czując dotyk białego jedwabiu, zapach jej skóry i włosów, ciepło młodego ciała. Mruczał ciche, uspokajające, niosące pociechę słowa.

Wreszcie przestała szlochać i odezwała się rwącym głosem.

- Dla-a-czego? Nie-e rozumie-em. Kto by to... Kto mógł zrobić coś ta-akiego? Strahdzie! - ciałem Tatiany ponownie wstrząsnęły spazmy. Zacisnęła dłonie na ubraniu Strahda.

- Óóóó. Wiem, jak ci teraz ciężko, kochanie, ale niedługo wszystko będzie dobrze. Z wielkiego bólu rodzi się wielka radość i, z czasem, zaczniesz uważać się za najszczęśliwszą kobietę na świecie.

Zamarła, po czym nagle szarpnęła się w jego uścisku i uderzyła go w twarz. Rzuciła mu dzikie, pełne bólu spojrzenie.

- Straszy bracie - wyszeptwała. - On nie żyje! Jak możesz mówić mi takie rzeczy?

- Bo jesteś wolna. Teraz możesz mnie poślubić. On stał na drodze naszego szczęścia, ale to skończone, najdroższa. Skończone! Tatiano, kochanie, mogę ci dać...

- Nie! - Jej ból przeszedł w odręzę. Chciała uwolnić się z jego uścisku, ale Strahd jej nie puszczał.

Był wściekły za jej niewdzięczność. Gdyby tylko przestała się szarpać, pozwoliła mu wyjaśnić, jakie to cudowne rzeczy się wydarzyły, a wszystko to, wszystko, dla niej! Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Miała słodkie usta. Hrabia poczuł jednak, jak wzbiera w nim inny głód, do którego zaspokojenia trzeba czegoś więcej niż pocałunku.

Jęknął z bólu i rozluźnił uchwyt. Dotknął dłonią ust, a kiedy na nią spojrział, była splamiona czerwienią. Dolna warga pulsowała bólem w miejscu, gdzie dziewczyna go ugryzła.

Tatiana przez chwilę wpatrywała się w niego z odległości kilku cali. Jej oczy rozszerzyły się w obliczu nowej groźby i rzuciła się do ucieczki, podkasawszy do kolan sukienkę, pędząc, jakby od tego zależało zbawienie jej duszy.

Może nie myliła się tak bardzo.

Strahd krzyknął z wściekłości, a jego wrzask poniósł się echem po zamku. Hrabia zerwał się z ziemi i w ciszy, z niezwykłą szybkością ruszył w pogoń za dziewczyną.

Tatiana biegła przez ogród, serce jej łomotało, a pot zalewał twarz, kłując w oczy i rozmazując obraz. Kolce róż szarpały jej suknię, aż przerażona zaczęła się zastanawiać, czy rośliny także są posłuszne Strahdowi.

Nie miała dokąd uciec, ale w szaleńczym pędzie nie zdawała sobie z tego sprawy; zresztą i tak było jej wszystko jedno, byle dalej od Strahda, samotnego, starzejącego się wojownika, który jakimś sposobem przeistoczył się w potwora i zamordował Sergieja.

Słyszała go, jak biegnie za nią i wykrzykuje jej imię, rozkazując poczekać. Wiedziała, że stał się straszliwą istotą, widziała jego zakrwawione kły i nigdy więcej nie pozwoli mu się dotknąć. Nawet nie zwolniła przed niskim, kamiennym murkiem. Strahdowi udało się złapać rąbek sukni, ale wyrwała się z żelaznego uchwytu z siłą, o jaką nawet by jej nie podejrzewał.

Mgły zawirowały w dole przepaści, gdy Tatiana rzuciła się w dół, przez mur ogrodu, z rozłożonymi szeroko ramionami, jakby chciała objąć Sergieja. Krzyk dobywający się z jej piersi, gdy leciała setki stóp w dół ku stromym, ostrym skałom, był bardziej okrzykiem radości, że oto wyrwała się Strahdowi, niż płaczem rozpacz.

Dłonie hrabiego zamknęły się na pustce, zamłócił rękami w powietrzu, prawie stracił równowagę. Widział biały - kształt spadający w otchłań na podobieństwo umierającego łabędzia, aż wreszcie mgły i panująca w dole ciemność otuliły dziewczynę, oszczędzając mu widoku ciała roztrzaskującego się o skały.

Uderzył bezradnie w ścianę i zawył z bólu. Z odległych o parę stóp, spowitych mgłą głębin, odpowiedziało mu szyderczo echo.

Tuż obok jego prawego ucha świsnęła strzała. Odwrócił się gwałtownie i obrzucił zamek wściekłym spojrzeniem. Tożsamość mordercy Sergieja przestała już być tajemnicą, a strażnicy znali swoje obowiązki, toteż łucznicy zajęli pozycje i teraz wypuszczali strzały przez szczeliny w murach.

Powietrze nagle wypełniło się śpiewnym dźwiękiem dziesiątek strzał, które trafiły w ciało hrabiego.

Ale Strahd nie zginął.

Spojrzał na sterczące z jego piersi i brzucha drzewca. Usta rozciągnęły się mu w uśmiechu, gdy, w pełni świadom przerażenia, jakie musi budzić, jedną po drugiej wyrwał strzały z ciała. Złapał je wszystkie w garść i drugą ręką złamał cały pęk. W okrutnych zamiarach ruszył w stronę zamku.

Strahdowi von Zarovichowi odmówiono jedynej rzeczy, jakiej kiedykolwiek naprawdę pragnął. Teraz zamierzał sprawić, by wszyscy mieszkańcy zamku Ravenloft, a może nawet całej Barovii, zapłacili mu za to.

## DWADZIEŚCIA DWA



Jander poczuł, że cały drży. Nie znajdował słów, które mogłyby wyrazić kipiące w nim uczucia żalu i przerażenia. Cóż za upadek, cóż za rzeź niewiniątek. Zmusił się, by czytać dalej.

Dziesiąty miesiąc, roku 400: Wróciła, wróciła do mnie! Darowano mi jeszcze jedną szansę! Moja ukochana Tatiana odrodziła się w ciele jednej z mieszkanek wioski, imieniem Marina. Dziewczyna wygląda tak samo, jak wyglądała moja najdroższa, choć jest w niej jakaś subtelna różnica. Nie potrafię jej dokładniej określić. Zresztą czy to ważne? Rozpocząłem zaloty; tym razem z pewnością będzie moja...

Dwunasty miesiąc, roku 400: Wisi nade mną klątwa. Tatiana, moje kochanie, znów nie żyje. Tym razem zginęła z ręki własnego ojca. Głupiec; powiedział, że woli widzieć ją martwą niż żeby miała być moją narzeczoną. Oczywiście zabiłem go od razu, podobnie jak całą rodzinę, po czym wróciłem w mury tego więzienia, by zostać sam na sam ze swym smutkiem. Tatiano, najdroższa, czy nigdy już nie będę mógł cię objąć i zobaczyć, jak patrzysz na mnie z miłością?

Czwarty miesiąc, roku 475: Tatiana znów powróciła. Wydaje mi się, że ta okrutna kraina sprawdza mnie, chcą żeby dowiodł swej miłości. Tym razem dziewczę ma na imię Ola, ale ja znam prawdę. Ma twarz mojej ukochanej; zachowuje się zupełnie inaczej - to trochę tak,

jakby brakowało części Tatiany w idealnym poza tym obrazie, jakby Ola była nie ukończonym dziełem sztuki. Nieważne, i tak nakłonię ją by mnie pokochała...

Czwarty miesiąc, roku 475: Nie zniosę dłużej tej męki! Znów prawie stała się moją i znów musiałem patrzeć, jak mi się ją odbiera. Mówią, że zmarła z gorączki; że nic nie można było zrobić. Ale nikt nie przyszedł do mnie, żeby spytać, czy ja nie mógłbym czegoś uczynić!

Jakaś myśl przedarła się do wypełnionego przerażeniem umysłu Jandera. Czwarty miesiąc 475 roku - przecież to mniej więcej wtedy przybył do Barovii! Imię Oli brzmiało dziwnie znajomo; skupił się i przywołał wspomnienia: dziewczyna, która zmarła z gorączki, tej samej nocy, kiedy Jander trafił do Barowi; tej nocy, kiedy Anna, również w gorączce, zginęła z jego ręki.

Czy mogło być tak, że coś je łączyło? Czyżby były jedną i tą samą kobietą? Anna po przebytych urazach była w stanie wypowiedzieć ledwie urywki słów. Anna: Tatiana. „Sir”, tak zwracała się do Jandera: Sergiej. Najwyraźniej tak gorąco pragnęła się uwolnić od zła, którego wcieleniem był Strahd, że tej nocy, kiedy rzuciła się w mglistą otchłań, jakaś jej część uciekła do innego świata, do Waterdeep. Ciało z odłamkami duszy, fragmentami wspomnień - to dlatego wszyscy uważali ją za obłąkaną.

Gnany żądzą poznania Jander czytał dalej. Nagle uwagę elfa zwróciło jego własne imię.

Do mojego mrocznego królestwa nieszczęścia przybył obcy. Jest nieumarłym jako i ja; tęskni za życiem, jak ja. Jednak w przeciwieństwie do mnie nie dąży do realizacji swych marzeń i planów. Jest miękki niczym niemowlę, łatwo urazić jego uczucia, a sumienie nie pozwala mu nawet do cna wysysać krwi z ofiar. Jak komuś takiemu udało się przeżyć tyle czasu jako nieumarłemu? I skąd bierze się ta jego niezwykła mądrość? Albowiem w złotowłosej głowie owego Jandera Sunstara, elfiego przybysza z obcej krainy, kryje się wiele wartościowej wiedzy.

Pożądaj jej. Czemuż nie mogę wyciągnąć z niego wszystkich tajemnic?

Wydaje mu się, że jest tu gościem. Uważa mnie za swego przyjaciela. Ach, jakże łatwo go oszukać i zarazem jak trudno zgłębić. Ty najmądrzejszy głupiec, jakiego dane mi było poznać. Zatrzymam go tutaj i dowiem się tak wiele, jak tylko zdołam...

Trzeci miesiąc, roku 500: Wyrosło kolejne pokolenie, dzieci dorosły - czas zacząć poszukiwania Tatiany. Być może nie znajdę jej w tym roku ani w przyszłym, ale nie mogę ryzykować jej utraty. Muszę szukać.

A więc to dlatego Strahd zniknął na całe tygodnie. Nie szukał bynajmniej człowieka mordującego jego niewolnice, jak przypuszczał Jander. Władca Barovii próbował odnaleźć swoją ukochaną Tatianę, Annę, by móc dalej ciągnąć ich wieczny taniec wzajemnego udreczenia.

Trzeba to przerwać. Jander przybył do Barovii gnany żądzą zemsty i teraz właśnie zamierzał jej dokonać. Co więcej, zamierzał się rozkoszować tym uczuciem. Przebiegł go dreszcz i poczuł, jak jego świadomość ogarnia szkarłatna zasłona wściekłego gniewu.

\*\*\*\*\*

Sasha znów miał dziesięć lat i wchodził właśnie do domu, w którym dokonano rzezi.

Czerwona ciecz spływała po schodach, wsiąkając w leżący na kamiennej podłodze dywan. Chłopiec zaczął z mozołem wspinać się w górę po niknących w mroku stopniach, jakby coś ciągnęło go wbrew jego woli. Nawet pod jego niewielkim ciężarem deski skrzypiały przeraźliwie.

U szczytu schodów czekała na niego matka, a jej długie, kasztanowate włosy rozpuszczone swobodnie opadały na plecy. Spojrzała na niego z troską w oczach.

- Gdzie byłeś? - zadudnił jej głos, powracając szaleńczym echem. - Tak się martwiłam.

Wyciągnęła do niego ramiona i przytuliła do piersi. W tym samym momencie błysnęły białe kły, a z jej oczu pozostały tylko żółtawe białka. Mamo! Mamo!

Sasha poderwał się i niemal spadł z siennika. Jego ubranie zupełnie przesiąkło potem; dyszał ciężko, czekając, aż wszystkie zmysły wrócą do rzeczywistości po sennym koszmarze. Przez okno sączyło się chłodne światło księżyca.

Opadł z powrotem na poduszkę, czując, że serce zaczyna bić w zwykłym rytmie. Często zdarzało mu się, że budził się dręczony takimi koszmarami, które powracały równie regularnie jak długa, baroviańska noc. Ale częstotliwość ich pojawiania się wcale nie umniejszała strachu, jakie nieodmiennie w nim wzbudzały. Święty Lathanderze, ile jeszcze wampirów będzie musiał zabić, zanim sny ustąpią i znów zazna spokoju?

Zaczerpnął głęboko powietrza i wstał z łóżka. Boso podszedł do niewielkiego stolika i nalał wody do miski. Obmył twarz, zmuszając się do opanowania.

Rozległo się ciche stukanie w okno. Sasha natychmiast czujnie nastawił uszu - i znów to usłyszał: łagodny, cichy odgłos, jak najbardziej rzeczywisty i nie będący częścią jego snu. Za oknem dostrzegł poruszający się kształt. Przeniósł wzrok na skapaną w księżycowym świetle podłogę - postać nie rzucała cienia. Wiedział, co to oznacza: na zewnątrz czaił się wampir, najwyraźniej czekając na niego.

Kapłan uśmiechnął się ponuro. Ten nieumarły wybrał sobie niewłaściwą ofiarę. A kiedy Sasha już go zabije, będzie miał na swoim koncie dwadzieścia zgładzonych wampirów. Szybko i cicho zebrał swoje rzeczy: wieniec z czosnku, który zawiesił sobie na szyi; flakonik wody święconej, tym razem uczciwie zabranej z ołtarza; medalion Lathandera. Zmówił szybką modlitwę, odetchnął głęboko i przygotował się do walki.

Znów dobiegło go postukiwanie, tym razem głośniejsze, jakby czyhający na zewnątrz stwór zaczynał się niecierpliwić. Ale nieumarli nie

tak łatwo tracili zainteresowanie swoimi ofiarami. Sasza, trzymając się z dala od plamy światła na podłodze, podkraść się bliżej, po czym z okrzykiem „Lathander!” jednym, płynnym ruchem zerwał zasłonę i otworzył okno na oścież.

Wolną dłoń zaciskał na drewnianym, różowym świętym symbolu, ale kiedy rozpoznał wampira, opuścił ramię. Jander odruchowo zasłonił się jedną ręką, ale wciąż pozostał uczepiony ściany kościoła, dzięki butom i rękawiczkom wykorzystując chwyt i stopnie, jakie na nic zdałyby się śmiertelnikowi.

- Jander! - wściekle syknął Sasza. - Co tu robisz?

Elf przeszył go spojrzeniem, a kapłan zdał sobie sprawę, że twarz wampira jest cała we krwi. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć i cofnął się ze wstrętem.

- Muszę z tobą pomówić, Sasza. Potrzebuję... twojej pomocy.

Kapłan pokręcił głową.

- Dlaczego sądzisz, że ci pomogę?

Nie potrafił oderwać oczu od straszliwego widoku Jandera. Krew na jego odzieniu pobłyskiwała czernią w księżycowym świetle; twarz miał lepka od posoki.

Domyślając się jak wygląda, Jander rzekł pospiesznie:

- To nie jest ludzka krew. Spotkajmy się za dziesięć minut na cmentarzu. Mniejsza szansa, że ktoś nas tam zobaczy. Przynies miskę z wodą - po czym ciało Jandera zamigotało, rozmyło się w mgłę, która z kolei zestaliła się w kształt nietoperza. Wampir odfrunął w noc.

Sasza drżał na całym ciele; jakaś jego część chciała po prostu wrócić do łóżka i schować się z głową pod kocem. Co takiego zrobił dla niego ten potwór, żeby teraz kazać mu włóczyć się nocami po cmentarzach?

Uratował życie jego ojcu.

Sasza westchnął i sięgnął po dzbanek z wodą. Cicho, nie chcąc budzić śpiącej w sąsiednim pokoju Leisl, zszedł po schodach. Jeden ze stopni zaskrzypiał głośno i Sasza zamarł w bezruchu, nasłuchując. Z komnaty małej złodziejki nie dobiegał jednak żaden odgłos, ruszył więc dalej.

Kiedy parę minut później dotarł na cmentarz, Jander czekał już na niego przy grobowcu Kartovów. Unoszone jesiennym wiatrem liście wirowały wokół niego. Księżyc wynurzył się zza chmury i oświetlił smukłą postać elfa. Sasza znów poczuł mieszaninę przerażenia i podziwu - wysoki, szczupły elfi wampir był piękną istotą ze złotą skórą, przybierającą w świetle księżyca istic magiczny odcień. Co za szkoda, że był takim złym stworzeniem.

Kapłan podał Janderowi miskę i dzbanek. Ten postawił je na ziemi, uklęknął i zdjął rękawiczki, po czym nalał wody do miednicy i umył twarz. Sasza wręczył mu również przyniesiony ręcznik i elf zaczął się wycierać drżącymi dłońmi.

Sasza stał bez ruchu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - rzekł głosem wypranym z wszelkich emocji. - Przysięgałem, że cię nie zabiję, ale to wszystko. Nie powinienem nawet tu przychodzić - niewiele brakowało, by zrobiło mu się żal tych słów, gdy Jander uniósł twarz znad ręcznika i posłał mu pełne bólu spojrzenie. - Co się stało?

- Najpierw, proszę cię, zdejmij ten czosnkowy naszyjnik. Zapach przyprawia mnie o mdłości. Obiecałem, że cię nie skrzywdzę.

Sasza nie poruszył się. Szybciej, niż Sasza mógłby podejrzewać, Jander zerwał się na równe nogi i zerwał wieniec z jego szyi, odrzucając go od siebie. Kapłan uniósł ręce, by osłonić odkryte teraz gardło, ale Jander nie wykonał już żadnego ruchu.

- Przecież nie możesz tego zrobić! - drżącym głosem zaprotestował Sasza.

- Wiele jest rzeczy, które powinny być dla mnie zakazane, ale które mogę tu robić - uśmiechnął się niewesoło Jander. - Pamiętaj o tym, Sasza. W tym miejscu reguły gry ulegają zmianie - uśmiech zniknął z jego twarzy, która przybrała smutny wyraz, jaki Sasza pamiętał z poprzedniego ich spotkania. Wampir przysiadł na kępie trawy i ujął głowę w dłonie. Kiedy po chwili przemówił, przez jego głos przebijała się nuta bólu.

- Prosiłem cię, żebyś poszukał zapisków dotyczących kobiety imieniem Anna. Pamiętasz?

- Tak, Janderze. Przykro mi, szukałem, ale nie...

- Nie mogłeś nic znaleźć. Kochałem ją, jeśli możesz w to uwierzyć. Była obłąkana, ale kochałem ją. Zachorowała, wiedziałem, że umiera, a nie mogąc znieść myśli o życiu bez niej, chciałem uczynić z niej wampira takiego jak ja - czekał na odpowiedź Saszy.

Zgodnie z jego przewidywaniami kapłan był wstrząśnięty.

- To nie miłość, to najbardziej samolubne... Na Pana Poranka, jesteś potworem!

Elf ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na wybuch Saszy.

- Nie miała krewnych, nikt nie mógł się nią zaopiekować. Byłem jej potrzebny. Wiesz, jakie to cudowne uczucie - być potrzebnym? Kochałem ją. Mógłbym troszczyć się o nią całą wieczność. Dlatego właśnie chciałem obdarzyć ją czymś na kształt nieśmiertelności. Miałem nadzieję, że upływ czasu i moja miłość ulecą ją - westchnął i smutno pokręcił głową. - Nie chciała pić mojej krwi i dlatego umarła.

Spojrzał spokojnie na Saszę, a w jego głosie zabrzmiał chłód.

- Kiedy przybyłem do Barovii, kiedy mgły mnie tu sprowadziły, moje myśli krążyły wokół jednego: zemsty. Chciałem odnaleźć człowieka, który zniszczył umysł Anny; dzisiejszej nocy odkryłem, kto nim był - przerwał na moment. - Czasem potrafię się rozgniewać, ale dziś wpadłem w szal. Krew, którą widziałeś na mojej twarzy, jest krwią owiec, całego stada. Zabiłem je wszystkie, co do jednej. Dobrze, że wasi ludzie nie wychodzą z domów po zmroku, bo ja z pewnością zabiłbym każdego nieszczęśnika, któremu zdarzyłoby się wejść mi w drogę.

Zanurzył dłoń w sakiewce i wyjął z niej garść drobnych, błyszczących przedmiotów. Podał je Saszy.

- Daj je właścicielowi stada. Powiedz, że to odszkodowanie od bogów, albo wymyśl jakąś inną bzdurę. Łatwiej przyjdzie mu w to uwierzyć niż w prawdę - uśmiechnął się smutno.

Sasza nie wiedział, co powiedzieć. Jander nagle zmienił temat

- Słyszałeś kiedyś o czymś, co nazywa się szkarłatnym morem? - Sasza pokręcił głową. - Może tu nosi to inną nazwę. To istota gazowa, ale o ludzkich kształtach; żywi się krwią jak wampir. Przedstawia sobą straszliwy widok. Kiedy się pożywia, zmienia swój naturalny, biały kolor na coraz czerwieńszy i materializuje się, przybiera stałą formę. Tylko wówczas można ją zabić, a i to jedynie bronią magiczną.

Wyraz twarzy Saszy świadczył o obrzydzeniu, jakie go ogarnęło. Jander ciągnął dalej.

- Jeśli wierzyć plotkom, szkarłatny mór jest duchem wampira; kiedy jeden z nas ginie, staje się takim właśnie duchem - elf z napięciem wpatrywał się w twarz kapłana. - Zabiłeś wielu z nas. Czy kiedykolwiek widziałeś taką istotę?

- Nigdy.

- Musisz być tego absolutnie pewien.

- Jestem pewien. Janderze, wiem o tych złych istotach chyba więcej niż one same.

- Nie przechwalaj się tak, młodzieńcze - odparł Jander ze słabym uśmiechem na ustach. - Ale możemy sprawdzić, co warte są twoje przechwałki. Jak już mówiłem, jestem tu, bo potrzebna mi twoja pomoc.

Sasza posłał mu pełne powątpiewania spojrzenia.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Jander odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

- Mam do wyrównania rachunki ze Strahdem.

Sasza zeszywniał.

- Nie darzę władcy tej krainy szczególną miłością, ale nie podniosę przeciw niemu ręki tylko dlatego, że ty tak mówisz

- Sasza, zastanów się! Kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy? Na obchodach święta wiosny, jako szlachetnego gościa hrabiego. Wiesz, czym jestem. A jak sądzisz, czym on jest? Wampirem!

Sasza zbladł.

- Nie - szepnął. Jander przytaknął.

Wszystkie wampiry w Barovii są mu podległe; wszystkie, oprócz mnie. Poza nim jestem jedynym wampirem w tej krainie obdarzonym wolną wolą, jedynym wystarczająco silnym, by go pokonać.

- Wobec tego zrób to. Do czego ja miałbym ci być potrzebny?

- On włada magią. Ja nie. Dysponuję tylko zdolnościami, jakie przyniosła mi transformacja. Poza tym - tu jego melodyjny głos stał się bardziej chrapliwy. - Jestem nieumarłym. Śmiertelnik, a zwłaszcza kapłan, potrafi zrobić wiele rzeczy, których ja nie mogę.

Sasza nerwowo obliznął wargi, strzelając oczami na lewo i prawo, niczym schwyte w pułapkę zwierzę. Pamiętał młodości, jakie dręczyły go, kiedy ostatnio wysyłał wampira na wieczny spoczynek.

- Janderze, mam liczne obowiązki wobec mieszkańców wioski. Nie ma Martina i jestem jedynym przeszkolonym kapłanem. Następnego lata zamierzamy się pobrać z Katią. Nie mogę tak po prostu...

W srebrzystych oczach elfa błysnął gniew.

- Nie chcę słyszeć o twoich obowiązkach. Nie obchodzi mnie twoja narzeczona. Nie przyszło ci do głowy, że któregoś dnia Strahd może zechcieć zaspokoić swój głód jej krwią? Krwią waszych dzieci, a potem ich dzieci? Jak można mówić o obowiązkach wobec takiego monstrum? Na bogów, jak sądzisz, kto kilkanaście lat temu wymordował twoją rodzinę?

Sasza otworzył usta w bezgłośnym krzyku i skrył twarz w dłoniach. Jander podniósł się i zaczął chodzić tam i z powrotem, starając się opanować złość.

- Musisz to zrozumieć - kontynuował. - Strahd stał się tym, czym jest po zawarciu paktu z jakąś mroczną istotą, paktu, który przypieczętował krwią własnego brata. Swoją nieokiełznaną żądzą doprowadził dziewczynę do samobójstwa. Tak przynajmniej mu się wydaje, ale ja nie sądzę, żeby naprawdę zginęła. Nie całkiem.

Niezdolny dłużej powstrzymywać wściekłości chwycił Saszę za koszulę i podniósł go na nogi. Wbił wzrok w twarz kapłana.

- Uważam, że część jej osobowości umknęła, uciekła przez jakąś szczelinę do mojego świata. Zanim ją znalazłem, zanim pokochałem, była już ledwie odłamkiem duszy. Strahd zniszczył jej umysł. Obaj kochaliśmy to biedne dziecko, które nigdy nikomu nie zrobiło krzywdy.

Pchnął Saszę na ziemię i zacisnął dłonie w pięści. Czuł wzbierającą w swoim wnętrzu złość, zwierzęcą żądzą mordy. Wysiłkiem woli

stłumił ją w sobie. Kiedy ponownie się odezwał, mówił już spokojniej.

Oto, co uczynił władca tej krainy; ale to jeszcze nie koniec. Wszystko wskazuje na to, że ta dziewczyna, Anna, Tatiana, czy jak tam ma naprawdę na imię, co kilka pokoleń odradza się. Hrabia nie przestaje zaś dręczyć jej i twoich rodaków, tworząc jednego wampira za drugim - ponownie przerwał dla nabrania oddechu. - Złożę przed tobą przysięgę, Saszo Pietrewiczu. Nigdy nie stworzyłem wampira i przysięgam, że nigdy tego nie zrobię. Zniszcz Strahda, a zniszczysz wszystkie wampiry w Barovii. Jak mógłbyś odmówić mi pomocy, jeśli przyświeca mi taki cel?

- Powiedz mi jedno - Sasza zawahał się, spoglądając badawczo Janderowi w oczy. - Jak... Jak to jest?

Jander odwzajemnił jego spojrzenie, po czym zmęczonym głosem odparł:

- Dlaczego chcesz wiedzieć? Jesteś dzieckiem światła i bądź wdzięczny, że tak niewiele wiesz o sekretach, jakie skrywa ciemność!

- Muszę to wiedzieć. Jakie to uczucie, umrzeć, a zarazem nie umrzeć? Jakie to uczucie, gdy...

- Gdy żyjesz kosztem życia innych? - głos Jandera stał się szorstki, rysy jego twarzy stężały. Czuł, jak walczą w nim rozmaite uczucia, jak kłębi się mnóstwo słów - słów strachu, gniewu, tęsknoty, obawy; niemal zakrztusił się nimi i dłuższą chwilę musiał milczeć, zanim zdołał się odezwać.

- Pragnienie krwi nie da się z niczym porównać, to głód, który nie ma swojego odpowiednika. Człowiek, który znajdzie się na pustyni, z opuchniętym językiem, z gardłem przypominającym wysuszony pergamin, pragnący najmniejszej choćby kropli wilgoci, by zwilżyć wnętrze smakujących suchym puchem ust - to nic przy moim pragnieniu. Więzień, który od wielu dni nie dostaje pożywienia, czuje pustkę w żołądku, łakomie przygląda się szczurom dzielącym z nim celę, gnijącej słomie, na której śpi, który wreszcie na własne ciało zaczyna patrzeć, jak na źródło pożywienia - nie ma pojęcia o głodzie, jaki ja odczuwam. I z tym uczuciem budzimy się każdej nocy.

Machnął ręką, wskazując otaczające ich groby.

- Wypełzamy z naszych trumien, z krypt, z jaskiń, kryjówek pośród umarłych - bo sami jesteśmy martwi, choć zarazem żyjemy. Czaimy się w cieniach bądź zwozimy nic nie przeczuwających wędrowców, a potem okradamy ich z czegoś więcej, niż materialnego bogactwa; trzymamy obcą kobietę w ramionach i dzielimy z nią przeżycia bardziej intymne, niż te, które stają się udziałem kochanków, pijemy jej krew, która daje nam życie. Sasza! Czy jesteś w stanie choćby w części ogarnąć to straszliwe zjawisko? A poza tym, niech bogowie mi wybaczą, to jest cudowne uczucie!

Saszę zmroziło przerażenie zmieszane ze współczuciem, kiedy tak słuchał Jandera, pierwszy raz opowiadającego komuś o miotającej nim udreće. Elf nie patrzył już na kapłana; jego oczy przybrały nieobecny wyraz, jakby skierował je do wewnątrz swej istoty i oglądał coś, czego Saszy nigdy nie dane będzie ujrzeć.

- Świeżo poślubiony mężczyzna, który po raz pierwszy idzie do swej ukochanej, odczuwa ledwie cień naszej ekstazy. Radości malarza, kończącego arcydzieło, daleko do uniesienia, jakie jest naszym udziałem. Krew jest życiem i nie ma nic piękniejszego, niż je odebrać, poczuć, jak spływa do twojego wnętrza, jakbyś był pustym naczyniem, które wreszcie napelniono. Wiemy - wiemy - że to fałszywe upojenie, ale nie potrafimy przerwać.

Potem chwila przemija, a wówczas spoglądam na spoczywającą w moich ramionach bezwładną postać i przeklinam sam siebie. Och, ona jeszcze żyje; uspokajam swoje sumienie odbierając życie tylko wówczas, gdy muszę lub gdy ogarnia mnie szaleństwo nie do opanowania. Ale oto zbezczęściłem tę kobietę i czuję wstyd.

- Ona zaś odczuwa moje kły jako zimne i gorące zarazem, przesywające i rozkazujące, czuje krew wysączającą się z jej żył, jakby ktoś wrywał jej serce. Jest całkowicie, absolutnie bezradna, bardziej nawet niż dziecko, które ledwie opuściło łono matki. Ale na tym polega cała piekielna równowaga - bo i my jesteśmy bezradni. Potrzebujemy śmiertelników; potrafimy ich wyczuć, wyczuć zapach ich krwi tak samo, jak niemowlę poznaje mleczną woń matki. Ten zapach woła nas i przybywamy na podobieństwo fal biegnących do brzegu, równie jak one niezdolni się sprzeciwić wezwaniu. Nie ma istot bardziej od nas przeklętych.

Elf umilkł i Saszy zdawało się, że skończył. Kiedy Jander ponownie odezwał się, głos miał cichy, łagodny, pełen już nie złości, lecz żalu.

- Kiedy jeszcze oddychałem, nie byłem złą istotą. Byłem wojownikiem, walczącym o dobro i sprawiedliwość. Leśne zwierzęta nie bały się mnie, czując mą woń. Mężczyźni byli albo moimi przyjaciółmi, albo godnymi wrogami; kobiety zaś istniały po to, by je wielbić i oddawać im cześć. Nie jest czczą przechwałką, kiedy mówię, że gdziekolwiek przyłożyłem swą dłoń, świat stawał się lepszy.

A teraz cierpię męki, jakich nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić. Koń nie pozwoli mi się dosiąść, jeśli mu tak nie rozkażę; mieszkańcy lasu uciekają w popłochu, wyczuwając moją obecność; nie mogę cieszyć się towarzystwem innych ludzi - pozostali mi jedynie tacy nikczemnicy, jak Strahd, którego zresztą niewiele obchodzi i który mnie obchodzi jeszcze mniej. Słońce, od którego pochodzi moje rodowe nazwisko, jest dla mnie zabójcze; w moim świecie nie ma już piękna. Żyję wśród zniszczenia i ciemności i sam rozsiewam je, niczym zarazę. Sama ziemia mnie nienawidzi. Patrz, jak działa moje dotknięcie!

Ponownie wściekły, Jander położył gołe dłonie na trawie rosnącej przy nagrobku. Sasza usłyszał słabe trzaski, a kiedy po paru sekundach elf odsunął ręce, wynurzyła się spod nich martwa, pożółkła trawa.

- A Anna... Och, Anna! - zaszlochał głośno wampir. - Strahd zniszczył Tatianę i nie przestanie tego czynić. Ale to ja ją zabiłem. I



choćbym miał do końca świata płacić za to własnym cierpieniem, nie dość będzie kary. Wiele grzechów mam na sumieniu, Sasza i nigdy nie twierdziłem inaczej. Wiele również tkwi we mnie ran. A czy ty, synu cygańskiego chłopca, pomożesz mi? Czy pomożesz mi pomścić ją i ocalić życie i dusze wszystkich, których kochasz?

Błaganie Jandera poruszyłyby najtwardsze serce i Sasza nie mógł pozostać na nie nieczuły. Ponad pół życia strawił na walce ze złem, które czaiło się w mrokach nocy, w krainie, która była domem dla nieumarłych władców; wbijał kołki w ich serca, odcinał im głowy, a wszystko po to, by nie powstałi z martwych. Pomoc Leisl trochę ulżyła mu w dźwiganiu tego brzemienia, ale niewiele.

A teraz Jander chciał, żeby zaatakował najpotężniejszego wampira w całej Barovii. Sasza czuł się zmęczony. Czy nie dość zrobił? Czy doczeka wreszcie chwili wytchnienia? Czy nigdy nie będzie mógł spędzić bezpiecznie nocy z ukochaną Katią, wolny od wspomnień i koszmarów?

Noce w Ravenloft niosły ze sobą gorsze rzeczy niż wspomnienia i złe sny. Nie mógł, wiedząc o tym, pozostać beczynny. Zamknął oczy.

- Dobrze więc - rzekł. - Od czego mamy zacząć?

## DWADZIEŚCIA TRZY



Kiedy Sasza wrócił, Leisl czekała na niego w jego komnacie, siedząc z podkurczonymi nogami na łóżku. Bez słowa wręczyła mu kubek grzanego wina, pomagającego wypędzić z kości cmentarny chłód. Sasza w milczeniu zaczął pić.

Widziałas, jak mniemam, tego, mmm... elfa - odezwał się wreszcie zmęczonym głosem, kładąc się wygodniej na łóżku. Wolną ręką przetarł oczy.

Więc tak wyglądają. Owszem, widziałam go. Widziałam również, że nie rzucał cienia w świetle księżycy i że twarz miał całą we krwi - starała się mówić opanowanym tonem, ale nie do końca się jej to udawało. - W jaki to zwariowany plan zdołałeś się wplątać, Saszo Pietrowiczu? Sądziłam, że mamy zabijać te stwory, a nie umawiać się z nimi na pogawędki przy grobach!

Sasza w myśli rozważał, co jej odpowiedzieć, ale Mały Lis i tak już wiedziała zbyt dużo. Gorszą rzeczą byłoby, gdyby zdecydowała się mu „pomóc” bez jego przyzwolenia. Wtedy rzeczy mogłyby szybko, bardzo szybko przybrać zły obrót.

Wziął głęboki wdech.

- Ten wampir nazywa się Jander Sunstar. Wiele lat temu ocalił życie memu ojcu, teraz jest kimś w rodzaju... przyjaciela rodziny - uśmiechnął się niewesoło. - Mieszka u hrabiego Strahda, w zamku.

- No, to fantastycznie - Leisl zmarszczyła nosek. - Wampir i zwariowany mag-tyran. Miłych masz przyjaciół, Sasza.

- Leisl! - Sasza usiłował pozostać niewzruszony, ale jej szczerą jak zwykle kazała mu się roześmiać. Poczł przyływ ulgi. Wino to dokładnie to, czego mi było trzeba, pomyślał, pociągając kolejny łyk z kubka. Leisl była naprawdę niesamowita z tym odgadywaniem jego życzeń, zanim sam sobie uświadomił, czego właściwie chce.

- To nie tak - ciągnął. - Jander knuje przeciw Strahdowi; wszystko wskazuje na to, że władca Barovii również jest wampirem - spojrzał na dziewczynę, ciekaw jej reakcji.

Uniosła brwi.

- Jeśli obaj są wampirami, to dlaczego Jander go nienawidzi?

- Nie przeraża cię to?

- A powinno? Prawie co noc wychodzimy zapolować na te przekłete stwory. Wiem, jak radzić sobie z wampirami. Ludzie... - jej głos spowaźniał. - Są mniej przewidywalni. Jeśli o mnie chodzi, to właśnie ludzi uważam za prawdziwe potwory.

- Leisl - zagadnął łagodnie Sasza. Dziewczyna spięła się w sobie, rzuciła mu czujne spojrzenie. - Dlaczego zostałeś złodziejką?

- Nie chcę o tym mówić - odparła krótko, krzyżując ramiona na piersi i zaciskając usta w wąską kreskę. W normalnej sytuacji Sasza nie naciskałby dalej, tym razem jednak musiał się dowiedzieć, czy może jej zaufać, podejmując niebezpieczną misję.

- Słuchaj, szanuję twoją prywatność, ale nie zamierzam zabrać cię do zamku Ravenloft, jeśli nie będę wiedział, co ci tam w głowie siedzi! - rzucił.

Mały Lis przyjrzała mu się badawczo.

- Dobrze - odrzekła, wciąż z odcieniem wrogości w głosie. - Powiem ci. Urodziłam się w rodzinie wieśniaka. Mieszkaliśmy na samym skraju wioski; kiedy miałam siedem lat, stado wilków zrobiło sobie obiad z całej mojej rodziny.

Byłam najmłodsza z czworga dzieci i na poddaszu miałam własny, malutki pokoik. Schowałam się tam, bezpieczna, poza zasięgiem zwierząt i śmiertelnie przerażona przesiedziałam całe cztery dni, zanim głód kazał mi zejść na dół.

Nikt z wioski nie chciał mnie wziąć pod swój dach. Całymi tygodniami żywiłam się resztkami, wyrzucanymi przez innych, aż trafił się pewien mężczyzna, który powiedział, że mnie przygarnie do swojej rodziny. Rodziny, akurat. Nazywał się Lis, a cała ta rodzina składała się z

sierot, takich jak ja, które przyuczała, by dla niego kradły. Byłam w, tym dobra - ciągnęła cicho Leisl; w jej głosie pobrzmiwał teraz lekki ślad nienawiści i dumy. - Byłam tak dobra, że Lis zaczął nazywać mnie Małym Lisem, tak dobra, że wyrzucił mnie ze swojej bandy. Powiedział, że jestem już gotowa, żeby radzić sobie sama.

Miałam trzynaście lat, Sasza, ledwie trzynaście lat. Byłam przerażona. Udało mi się przeżyć, bo zawsze oglądałam się za siebie i nigdy nikomu nie ufałam. Zresztą nadal nie ufam - wyraz jej oczu złagodniał. - Oprócz ciebie. Teraz wiesz, że i ty możesz mi zaufać.

Sasza zapomniał już, jak bardzo potrafiła go czasem złościć ta drobna, chuda dziewczyna, zapomniał, ile kłopotów umiała sprawić. Wyciągnął ramiona i przytulił ją delikatnie. Początkowo zeszytniała, ale już po chwili odprężyła się i objęła go w odpowiedzi. Długo siedzieli tak wtuleni w siebie.

Jander zapowiedział, że po tygodniu wróci, żeby dowiedzieć się, co udało im się odkryć. Sasza i Leisl zaczęli szukać informacji, które pozwoliłyby im wyrównać szanse w konfrontacji z władcą Barovii. Sasza nie zaniedbywał swych obowiązków, ale dopełniał ich nieobecny duchem. Po kilka godzin spędzał w swojej komnacie, modląc się na dywaniku: „Lathanderze, potrzebujemy twojej pomocy. Prowadź nas...”

Pan Poranka nie objawił się Saszy; nie zesłał mu również żadnej wizji. Kapłanowi i jego współpracownicy nie pozostało nic, jak skierować swą uwagę ku skromnie zaopatrzonej kościelnej biblioteczce. Mieściła się ona w małym, ciasnym pokoiku bez okien, w którym wskutek słabego dopływu powietrza unosiła się woń stęchlizny i kurzu. Znać było po książkach, że już zbyt długo nie dotykała ich ludzka ręka. Wszystkie kilkadziesiąt woluminów, ściągniętych z półek, na których dotąd pleśniały, leżało otwartych na drewnianym stole.

Leisl kichnęła i wróciła do posiłku, który Katia przygotowała dla nich. Żuła leniwie, splukując jadło łykiem wina. Sasza, z brodą wspartą na dłoni, przewrócił kolejną kartkę. Jej szelest był jedynym odgłosem mącąym ciszę komnaty. Leisl nudziła się; pierwszy raz w życiu żałowała, że nie umie czytać. Przynajmniej mogłaby mu jakoś pomóc.

- Masz coś? - spytała z nadzieją w głosie.

Sasza westchnął, przekartkował książkę do końca i zamknął ją delikatnym gestem.

- Nie. Zupełnie nic. To głównie spisy i raporty - plony, narodziny, zgony, śluby, tego typu sprawy. Nic, co miałyby dla nas jakieś znaczenie.

Odchylił się i przeciągnął na krześle w tył, tak że dwie przednie nogi zawisły w powietrzu. Splótł dłonie na karku i przymknął oczy, pozwalając myślom błąkać się swobodnie. Wampiry były złymi istotami, ale dziś już mało kto w nie wierzył. Należały do legend. Jak się walczy z legendą?

Leisl wpatrywała się ponuro w stertę ksiąg na stole; niemal podskoczyła, kiedy Sasza nagle usiadł normalnie i nogi krzesła załomotały o podłogę. Oczy mu błyszczały.

Paweł Iwanowicz - rzekł podniecony.

- Kto?

- To stara historia. Wiesz, ta o Pawle Iwanowiczu z Vallaki, dziedzicu Słońca. Nie pamiętasz?

- Nie miałam mamy, która opowiadałaby mi bajki do poduszki. Pamiętasz?

- Ależ Leisl, nie o to mi chodziło... - wyglądał tak żałośnie, że Leisl machnęła ręką w odpowiedzi na jego prośbiny.

- Opowiedz mi o tym Pawle.

- Cóż, był dziedzicem Słońca, którego przeznaczeniem było powstrzymać nadejście ciemności. Jego ojciec dał mu w tym celu cząstkę słońca - wyjaśnił Sasza. - Ciemność wykradła mu tę cząstkę i ukryła ją w najmroczniejszej części krainy. Jak sądzisz, co to za miejsce w Barovii?

Leisl uśmiechnęła się.

- Nie wydaje mi się, żebyś chciał usłyszeć moją odpowiedź.

Sasza zmarszczył brwi.

- Nie czas na żarty, Leisl. Najmroczniejszy zakątek Barovii to zamek Ravenloft, prawda?

- Tak sędzę.

- W swoich poszukiwaniach Paweł stawiał czoła wielu wrogom. Pierwszym z nich i zarazem najstraszniejszym był Nosferatu, czyli wampir. - Sasza zapalał się coraz bardziej. - Widzisz? To wszystko ma sens. Dalej legenda mówi, że kiedy Paweł odzyskał cząstkę słońca, klątwa rzucona na kraj została zdjęta. A Strahd z pewnością jest przekleństwem Barovii.

- Sasza, przecież to tylko jakaś głupia ludowa opowiadka - prychnęła Leisl, na której opowieść nie zrobiła żadnego wrażenia.

- Oczywiście. Ale takie opowiadki często niosą w sobie ziarno prawdy. Może w Ravenloft naprawdę coś jest.

- Pewnie, parę wampirów.

Cierpliwość Saszy wyczerpywała się. Spojrzał ze złością na dziewczynę, nie starając się panować nad własnym gniewem.

- Nikt cię nie prosił, żebyś się w to mieszała. Nikt cię nie prosił, żebyś zabijała wampiry. Tak naprawdę, to nikt nie prosił cię, żebyś cokolwiek tu robiła, do diabła! Jeśli taka jesteś pewna, że to zajęcie dla głupców, to może byś wyszła i zostawiła mnie samego?

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, ale kapłan wyczuwał emocje, kipiące pod tą spokojną maską.

- Zostanę z tobą. Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Było to absolutną prawdą, z czego Sasza doskonale zdawał sobie sprawę.

- Przepraszam - wymruczał.

- W porządku - Leisl odgarnęła kilka książek, robią sobie miejsce i sadwiąc się na stole. - Przypuśćmy, że ta historia jest prawdziwa i że w zamku Ravenloft rzeczywiście ukryto część słońca, która pomoże zniszczyć Strahda. Co to dokładnie jest?

Sasza spuścił wzrok.

- Nie wiem.

- No nieźle.

- Leisl, robię, co mogę.

- Ja również. Nie odpowiedział, pochylając się niżej nad trzymanym na kolanach opasłym tomem.

Westchnął pod nosem; miał nadzieję, że prowadzone przez Jandera poszukiwania okazały się bardziej owocne, bo w przeciwnym wypadku będą musieli stawić czoło władcy Ravenloft bez pomocy magii. A tego, zamyslił się ponuro Sasza, należy się bać.

Nie miał w wiosce nikogo starszego, do kogo mógłby się zwrócić po radę. Po śmierci Martina Sasza został największym uczonym w Barovii. Rozwagał wysłanie Leisl do Vallaki, żeby sprawdzić, czy ktoś stamtąd nie byłby w stanie udzielić im więcej informacji. Mogło się to okazać najlepszym wyjściem, choć wolałby nie robić niczego, co zabiera cenny czas i przyciąga uwagę.

- Gdyby tylko ktoś z wioski znał się na magii, albo...

Na jego twarz zaczął wypływać uśmiech. Albo ktoś spoza wioski...

- Cyganie - rzekł.

Następny dzień był dniem targowym, a w takie dni Vistani czasem zajeżdżali do miasteczka na handel. Wymagało to trochę wysiłku, ale za piętnaście sztuk złota i obietnicę „pomocy, gdyby jej kiedyś potrzebował” Giacomo, mężczyzna o wiecznie rozbieganych oczkach, sprzedał Saszy i Leisl miksturę, która pozwoli im bezpiecznie przebyć otaczający wioskę pierścień mgły. Pozwolił im również odbyć tę podróż w jego własnym wozie.

Jesień na dobre zagościła już w okolicy; sylwetki nagich drzew rysowały się wyraźnie na tle szarego, brzemiennej śniegiem nieba. Leisl i Sasza przytulili się do siebie, żeby się ogrzać. Niebawem dostrzegli ścianę śmiercionośnej mgły, kłębiącej się i wirującej niczym żywa istota.

- Wypijcie teraz - polecił im Giacomo, również unosząc do ust flakon, z którego pociągnął łyk. Dwójka pasażerów zrobiła, co im kazano, niemal krztusząc się gorzką cieczą.

W parę sekund później znaleźli się w samym środku mgły. Gęsty, bliski zestalenia opar pachniał zgnilizną; tylko mikstura dawała nadzieję na przeżycie. Sasza i Leisl z trudem dostrzegali nawzajem swoje twarze za to powożącego pojazdem Vistaniego nie widzieli w ogóle. Ten jednak prowadził swoje kuce przez mgłę, która nagle zrzędła, a za moment zupełnie się rozwiała. Oboje odetchnęli z ulgą.

Jechali dalej drogą prowadzącą do obozowiska Vistameli. Uwagę Leisl zwróciło mnóstwo drobnych, szaro-białych ptaszków, kręcących się wśród gałęzi pozbawionych liści drzew. Pokazała je Saszy.

- To vista chiri - odparł. - Wędrują razem z Cyganami. Moja matka mówiła, że to dusze zmarłych Vistanich.

Mimo swego pochodzenia Sasza nigdy dotąd nie próbował odwiedzić cygańskiego obozu ani odnaleźć ojca. Całkiem możliwe było, że dziś, w tym miejscu, natknie się na Pietię; ale musiał podjąć to ryzyko. Oswoił się już z tą myślą, ale serce waliło mu jak młotem, do wtóru stukotu końskich kopyt.

Przenikliwy wiatr zmienił kierunek i do ich nozdrzy doleciał zapach ogniska. Dojeżdżali na miejsce...

\*\*\*\*\*

Maruszka wpatrywała się w kryształową kulę, dostrzegając w niej rzeczy ukryte przed wzrokiem innych. Bezgłośnie poruszała wargami. Po chwili westchnęła i przykryła kulę purpurową aksamitną osłoną. Zamrugała parę razy oczami, próbując pozbyć się napływających łez, które sprawiały, że ostatnia scena widziana w kuli była nieco rozmazana. Wstała i wyszła na zewnątrz, w jesienny poranek.

Dwadzieścia cztery minione lata zostawiły swój ślad na Prorokini. Jej dar Widzenia w pełni objawił się w jej dwudzieste drugie urodziny, dwa lata po tym, jak złotoskóry elfi wampir ocalił życie jej bratu. Kiedy szła do ogniska, chcąc ogrzać zmarznięte ręce, wpadł na nią jej bratanek, Michaił i przewrócił ją na brunatną trawę.

- Przepraszam, ciociu Ruszko - powiedział, pomagając jej wstać. Spojrzała rozszoszczona na chłopca, najmłodszego z synów Pietii i wróciły wspomnienia wszystkich minionych lat. Michaił liczył sobie ledwie siedem wiosen, ale już aż nadto wyraźnie znać było, że odziedziczył po ojcu talent do wpadania w tarapaty.

Pietia wraz z żoną Ilianą wylegiwali się jeszcze w swoim vardo. nie mogła ich za to winić; komuż chciałoby się w taki zimny ranek opuszczać wygrzane miejsce u boku małżonka? Prorokini nie wyszła za męża. Od urodzenia przeznaczone jej było stanąć na czele plemienia i tak też się stało. Kiedy cztery lata temu zmarła Eva, Maruszka była należycie przygotowana do zajęcia miejsca babki.

Rozcierała ręce nad ogniem, gdy turkot wozu zmusił ją do podniesienia wzroku. Skrzywiła się w głębi duszy, choć na zewnątrz nie dała niczego po sobie poznać. W wozie dostrzegła młodego mężczyznę, jak dwie krople wody podobnego do jej brata; poza tym to właśnie jego rozpoznała dziś w swojej porannej wizji.

Nie był teraz odziany w kapłańskie, złoto-różowe szaty, w jakich widziała go w kuli. Widać było, że dołożył starań, by jego strój jak najmniej rzucił się w oczy; chciał wyglądać jak „typowy” mieszkaniec tych okolic, stąd standardowe połączenie bawełnianej koszuli, kamizelki z owczej skóry i ciemnych, wełnianych spodni. Wraz ze swoją towarzyszką, szczupłą dziewczyną, wygramolili się z wozu Giacomo. Maruszka wiedziała już, co ich sprowadza i kiedy Giacomo wskazał ją przybyszom, powitała Saszę tajemniczym uśmiechem.

Płynie w tobie nasza krew - rzekła bez zbędnych wstępów, kiedy Sasza zbliżył się na tyle, by ją usłyszeć. Zamrugął, zdziwiony.

To niezupełnie prawda. Jestem przybyszem z dalekiego kraju...

Nazywasz się Sasza Pietrowicz i jesteś synem jednego z Vistanich, imieniem Pietia i córki burmistrza. Zostałeś kapłanem boga, który nie jest znany wśród naszego ludu. Czemu zwracasz się do mnie o pomoc?

Był kompletnie zaskoczony. Mówił Leisl, że przebranie na nic mu się nie przyda. Dla niej to było może i dobre, przywykła do przebieranek i odgrywania ról...

- Może młoda dama ma ochotę na filiżankę herbaty? - zaproponowała Maruszka. Umilkła na moment, po czym mówiła dalej.

- Chodźcie więc do mojego vardo - odwróciła się, wskazując im drogę. - Jesteście w stanie zapłacić, jak sądzę? - zagadnęła, choć bardziej przypominało to stwierdzenie, niż pytanie.

Zamiast odpowiedzi Sasza zanurzył rękę w sakiewce i wydobył garść złota, które zamigotało w świetle. Leisl skrzywiła się na ten widok, wiedząc, że zwróca na siebie uwagę.

- Schowaj to - wysyczała. - Bo inaczej może nam się nie udać wrócić stąd cało - nagle zdała sobie sprawę, jak Prorokini musiała odebrać te słowa i podniosła na nią zawstydzony wzrok.

Maruszka tylko się uśmiechnęła.

- Lepiej znasz się na tym, co dzieje się na tym świecie niż twój przyjaciel, maleńka. Kapłanie, dobrze zrobisz słuchając jej. Chodźcie za mną, oboje.

W miarę upływu lat vardo Maruszki przybierało coraz bardziej wyszukany wygląd, odzwierciedlając jej rosnące wpływy tak w obrębie plemienia, jak i na zewnątrz. Wymyślne zdobienia pokrywała świeża farba i złocenia, a przy uprząży jej kucyków podzwaniała taka kolekcja dzwonek i ozdobnych chwaścików, że każde przenosiny obozu przypominały karnawałową procesję.

W środku cienie tajemnicy walczyły o lepsze z plamami szalonych barw. Sprzęty niezbędne do prowadzenia w miarę wygodnego życia - rzeźbione skrzynie z jaskrawą odzieżą, barwne przykrycia na łoża i niezliczone haftowane złotą nicią poduszki - kontrastowały z tajemniczymi przedmiotami, które służyły jej Widzeniu. Księgi leżały na stołach i zalegały kąty, z sufitu zaś zwieszały się starannie powiązane pęki ziół, wypełniając wnętrze wozu niezwykłymi woniami. Karty, owinięte w kawałek białego jedwabiu tak stary, że prawie przezroczysty, spoczywały w przeznaczonym na nie pudełku obok mosiężnej kadzielnicy, glinianej miseczki do wrózenia i dużej bryły kryształu górskiego, którego ściany zmuszały wzrok, by ześliznął się do wnętrza kamienia. Nad tym wszystkim płonęła gruba, biała świeca na przysadzistym świeczniku; jej płomień migotał jak samotne, blade oko. W ogromnej klatce drzemał czarny ptak, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Kiedy Maruszka zapaliła lampy, zwieszające się z belki biegnącej środkiem sufitu, Sasza rozejrzał się dookoła; jest tu całe wyposażenie, pomyślał. Ale była w tym również moc, a miał wystarczająco dużo cygańskiej krwi w żyłach, żeby rozumieć, iż moc w żaden sposób nie zależy od zapachu ziół czy wpływu ognia, tańczącego na tajemniczych przedmiotach. Miał nadzieję, że postępuje właściwie.

Maruszka grzebała wśród tego bałaganu. Jej ruchom towarzyszył delikatny szelest spódnic i brzęk licznych bransolet, podzwaniających na rękach. Niedbale machnęła w ich stronę zdobną w pierścienie dłonią i Leisl z Saszą usiedli na poduszkach na ziemi. Zaraz niemal podskoczyli na dźwięk pukania do drzwi, ale to tylko Michaił przyniósł im herbatę. Maruszka wstrzymała oddech; podobieństwo łączące obu braci było dla niej oczywiste, jednak żaden z nich nie dał po sobie poznać, czy je zauważył. Wypuściła powietrze z płuc.

- No dobrze - odezwała się, podawszy każdemu z gości filiżankę gorącej, aromatycznej herbaty. - Co chcielibyście wiedzieć?

Sasza przyglądał się jej swymi ciemnymi, poważnymi oczyma. Para z herbaty unosiła się przed jego twarzą, spowijając ją mgiełką.

- Chcę znać swoją przyszłość. Wszyscy tego chcą, prawda?

Maruszka zmartwiała. Przymknęła oczy. A więc wizja już zaczyna się wypełniać. Tak szybko, tak szybko...

- Wypijcie herbatę - poleciła krótko - i oddajcie mi filiżanki.

Zrobili to, posłuszni rozkazowi. Maruszka ustawiła filiżanki przed sobą, na wolnym kawałku podłogi, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Powolnym gestem wzięła w dłoń filiżankę Leisl i spojrzała w nią.

- Jest w tobie strach - wymruczała. Leisl prychnęła, ale Prorokini zignorowała to. - Nie czujesz lęku w obliczu dramatycznych wydarzeń, ale boisz się dwóch rzeczy: szarych pieśniarzy nocy i utraty czegoś, na czym ci zależy.

- Twoja ścieżka wiedzie w Ciemność i w niedalekiej przyszłości będziesz musiała stawić czoło obu tym obawom.

Leisl starała się zachować obojętny wyraz twarzy, choć serce w niej zamarło. Szarzy pieśniarze nocy to wilki, których rzeczywiście bała się i nienawidziła. Zależało jej zaś tylko na jednym: na Saszy. A oto ta Vistani właśnie powiedziała, że go straci. Zacisnęła mocno oczy i zamrugowała nimi parę razy, mając nadzieję, że kapłan niczego nie dostrzeże. Ale niepotrzebnie się martwiła, gdyż Sasza nie spuszczał wzroku z twarzy Maruszki.

- A ty, w którym płynie cygańska krew - ciągnęła cicho Prorokini - wyznaczyłeś sobie zadanie, które ciąży ci ponad miarę. Czeką cię wielka strata. Nie widzę wyraźnie, jaką formę przybierze - czy będzie to utrata miłości, czy wiary, czy też czegoś tak namacalnego, jak przedmiot czy osoba. Szukasz światła na ścieżkach ciemności. Kamienie... - jeszcze bardziej ściszyła głos. - Ten, który najbardziej kocha, ma serce z kamienia. Kamień powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Czy... - Leisl przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz. - Czy my umrzemy?

Cyganka podniosła wzrok, a na jej obliczu pojawił się szeroki uśmiech.

- Ależ oczywiście, maleńka. Wszystko umiera. A raczej... - jej uśmiech zbladł nieco. - Prawie wszystko umiera. Zapadło niezręczne milczenie. Dwoje gości siedziało pogrążonych w myślach, aż wreszcie Sasza przemówił.

- Ile jesteśmy ci winni, pani?

Maruszka już miała podać zwyczajowo obowiązującą stawkę, nagle jednak rozmyśliła się.

- Nic nie płacie. Dobrze znam twojego ojca i ze względu na jego krew, niech to będzie mój dar.

Sasza zamierzał zaprotestować, ale zrezygnował.

- Dziękujemy, Madame Maruszka.

Prorokini wstała i otworzyła drzwi, wychylając się na zewnątrz, by wykrzyknąć coś w mowie Vistanich.

- Czas na was, moje dzieci. Nikt nie będzie was niepokoił. Bezpieczna podróż przez mgłę to również podarunek ode mnie.

Sasza i Leisl podeszli do drzwi.

- Żegnaj, Madame - Sasza pokłonił się nisko. Leisl dygnęła szybko i wyszła w ślad za nim. Maruszka patrzyła, jak odchodzą, a potem zamknęła drzwi i opadła na poduszki. Pika zaskrzeczała donośnie i Prorokini uśmiechnęła się do czarnego ptaka.

Dumna była z siebie, że potrafiła im naprawdę powróżyć, chociaż... Przez krótką chwilę żałowała z całego serca, że obdarzona została darem Widzenia. Nie musiałyby wówczas dokonywać takich wyborów.

Jej obowiązki wobec plemienia dalece przekraczały zobowiązania rodzinne. Więzy łączyły ją z każdym z Vistanich, z każdym aspektem ich istoty. Ochrona ich miała zawsze pierwszeństwo przed szczęściem czy bezpieczeństwem obcych. Nie wolno jej uczynić nic, co zagroziłoby ich istnieniu. Eva pokomplikowała sprawy, wplątując Vistanich w machinacje Strahda, ale Maruszka wiedziała, że byłoby głupotą próbować mu się przeciwstawić. Nie mogła tego zrobić, nawet gdyby w grę wchodziło życie jej brata czy jego syna... jej bratanka; nie zrobiłaby tego nawet ze względu na jedyną istotę, dzięki której choć przez moment pomyślała o miłości - obcego, pięknego obcego o złotej skórze. Pochodził z innej rasy i, co znacznie gorsze, jego udziałem stał się zupełnie inny rodzaj egzystencji. Zła na siebie przypominała sobie, co mu przepowiedziała - że odniesie sukces za sprawą słońca i dziecka.

Ironia wezbrała w niej niczym żółć. Jak wampir mógł znaleźć szczęście przy pomocy słońca? Jak nieumarły mógł spłodzić dziecko?

Potrząsnęła smutno poznaczoną siwizną głową.

- Och, Janderze - rzekła cicho. - Jeśli w ogóle mnie pamiętasz, wybac mi mój udział w katastrofie, która nadciąga.

## DWADZIEŚCIA CZTERY

Jander nie miał najmniejszego pojęcia, kiedy wróci Strahd; za pięć minut czy za pięć miesięcy. Liczyła się teraz każda chwila, bo zdawał sobie sprawę, że po powrocie hrabiego nie będzie w stanie zapanować nad własną wściekłością.



Musiał jednak jednocześnie zachowywać pozory. Niewolnice Strahda mogły być złe, ale daleko im do przebiegłości elfiego wampira czy ich własnego stwórcy. Ale miały oczy i umiary patrzeć, więc Jander pilnował się, żeby w obecności innych nieumarłych nie zdradzić się choćby jednym słowem, spojrzeniem czy czynem. Tylko spotykając pozbawione umysłu szkielety i zombi nie musiał niczego udawać.

Co innego bystra mała Trina Miał wrażenie, że wyczuwa iż coś jest nie w porządku, kiedy wpadła go odwiedzić dwie noce po spotkaniu z Saszą. Aby się jej pozbyć, musiał nieźle się wysilić, udając, że całkowicie pochłaniają go freski.

- Mam nadzieję, że uda mi się odtworzyć pierwotny błysk na tym przepięknym wisiorze w kształcie słońca - odezwał się. - Tak, na tym właśnie. Piękny, prawda? Wydaje mi się, że mieszanka srebra z odrobiną bieli...

Podziałało. Trina westchnieniem wyraziła swoje najwyższe zniecierpliwienie i zbiegła po schodach. Usłyszał, jak w pół drogi tupot nóg zmienił się w ciche, delikatne kroki wilczych łap, a kiedy podbiegi do najbliższego okna ujrzał, jak przebiega przez brukowany podwórzec zamku.

Natychmiast porzucił farby i pędzle i pognął do gabinetu. Nawet nie wiedział, czego dokładnie szuka - jakiejś wskazówki, zaklęcia, czegoś, co mogłoby pomóc pokonać hrabiego Strahda Von Zarovich, plagę Barovii.

Dwie rzeczy, które udało mu się wygrzebać w czasie całego śledzenia ksiąg, uparcie siedziały w jego umyśle. Jedną z nich to rozdział z historii armii Barovii. Teraz odnalazł ten fragment i przeczytał go ponownie: Najwyższy Z Wysokich Kapłanów Barovii, młody człowiek

imieniem Kir, przewodził modłom. Został obdarzony mocą użycia tajemniczego Świętego Symbolu Kruczego Rodu przeciw królowi goblinów. I kiedy hrabia walczył, prowadząc swych ludzi do zwycięstwa, w sekrecie użyto również Świętego Symbolu. Po walce Najwyższy z Wysokich Kapłanów Kir ukrył Symbol.

Nikt nie wie, jak Święty Symbol wygląda, ani gdzie został ukryty. Po dziś dzień żaden kapłan nie zdołał go odnaleźć i użyć. Jednak bez wątpienia jego potężna magia pomogła szlachetnemu hrabiemu Strahdowi w odniesieniu zasłużonego zwycięstwa.

- Święty Symbol Kruczego Rodu - powtórzył Jander na głos. - Przedmiot obdarzony ogromną, mogącą czynić dobro mocą, i nikt nie wie, czym ta cholerna rzecz jest!

Roześmiał się niewesoło, uświadamiając sobie ironię tego faktu.

Inna sprawą, która nie dawała mu spokoju, była powtarzana wśród ludu historia nieustraszonego młodzieńca, Pawła Iwanowicza i jego poszukiwań części słońca Jander przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz usłyszał fragment opowieści od Saszy - było to tej samej nocy, kiedy Strahd wymordował rodzinę chłopca, teraz elf stłumił w sobie wyrzuty sumienia, które nawet po tylu latach nie przestawały go dręczyć i skupił się na samej opowieści. Paweł zdołał pokonać Nosferatu. Może w tej legendzie tkwiło ziarno prawdy.

Cały tydzień Jander spędził na szaleńczym przekopywaniu się przez stosy książek z biblioteki Śtrahda. Którejś nocy przechadzał się niecierpliwie po zamku, w oczekiwaniu zmierzchu, a gdy tylko zapadła ciemność, opuścił twierdzę w wilczej postaci. Za dnia spadły pierwsze w tym roku drobniutkie płatki śniegu i las pełen był srebrnych kryształków i białych, duchom podobnych śnieżnych czap. Księżyc, prawie w pełni, świecił jasno w tę pogodną noc.

Jander biegł niespiesznie w kierunku wioski, gdy w nozdrza uderzył go zapach świeżo upolowanej zdobyczy. Przypomniał mu, że i on powinien się posilić, zanim noc dobiegnie końca. W mieszance piżmowej woni wilka i metalicznego aromatu krwi jelenia rozpoznał charakterystyczny zapach Triny i ruszył się w jej kierunku.

Znalazł ją na niedużej polance, położonej wystarczająco głęboko w lesie, by nie była widoczna dla wieśniaków. Docenił spryt Triny, która w półwilczej formie ostrymi pazurami szarpała mięso na sztuki, plamiąc krwią śnieg dookoła. Zaduch śmierci unosił się w zimnym powietrzu. W pobliżu hałaśliwie posilały się inne wilki.

Jander przybrał z powrotem postać elfa, żeby móc rozmawiać z Triną.

- Wiesz, kiedy Strahd wraca? - spytał, starając się ukryć obrzydzenie, jakie odczuwał, przyglądając się wilkom pożerającym wspólnie zabitego jelenia.

Trina spojrzała na niego ludzkimi oczyma wyczernymi z wilczego pyska. Pokręciła głową i oblizła się.

- Wydaje mi się, że na razie nie. Na krótkie wypadki zabiera mnie ze sobą - jej głos dawało się zrozumieć, choć brzmiał o dobre kilka oktaw niżej niż zwykle i przypominał gardłowy warkot. Łakomie wbiła zęby w krwawy ochłap, starając się chwycić go jak najlepiej. Jander odwrócił się i usłyszał trzask kruszonej kości.

Znów zmienił się w wilka i skierował ku wiosce. Wkrótce las się skończył i elf zwiększył czujność, przemykając niczym cień po śniegu. Niedaleko kościoła podczołgał się do niewielkiej kępy drzew, znaczącej granicy cmentarza. Upewniwszy się w ten sposób, że nie dostrzegą go wrogie oczy, przybrał kształt elfa i dopiero wówczas ruszył przez cmentarz do kościoła.

Sasza czekał na niego; nie był sam: na niezgrabnie ciosanej drewnianej ławce pod ścianą kuliły się dwie sylwetki. Wstały, gdy elf podszedł bliżej.

- Myślałem, że będzie nas tylko dwóch - zaczął Jander podejrzliwie.

- Tak miało być, ale jej można zaufać. Janderze Sunstar, przedstawiam ci Leisl, moją... partnerkę w nocnych łowach - przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej. - Wie o tobie.

Leisl wpatrywała się w Jandera.

- Nie wiedziałam, że elfy mogą być wampirami. Pewnie, nie znam zbyt wielu elfów. Ani wampirów.

- Więc oboje już wiecie - odparł Jander sarkastycznym tonem, pochyłając się w parodii ukłonu. - Powiedz mi jedno, Leisl. Co cię tu sprowadza? Wiem, co kieruje Saszą, ale ty?

- Przecież nie mogę pozwolić, żeby Sasza sam stawiał czoło Strahdowi, prawda?

Na ustach elfa błąkał się uśmiech. Wyglądał na usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią. Zwrócił się do kapłana.

- Niewiele udało mi się znaleźć w zamku, ale cały czas mam przeczucie, że odpowiedzi, których poszukujemy, kryją się gdzieś w Strahdowej bibliotece. Sądzę, że powinniśmy skupić się na dwóch rzeczach. Po pierwsze Święty Symbol Kruczego Rodu: wiesz coś na ten temat?

Sasza pokręcił głową.

- Nie znalazłem zbyt dużo informacji dotyczących dawnych religii Barovii. W kościele nic o tym nie ma.

- To ciekawe.

- Tak samo sobie pomyślałem. Zastanawiam się, czy dokumenty nie zostały umyślnie zniszczone.

- Albo przeniesione. No cóż, dość o tym.

- Co to jest, ten Święty Symbol Kruczego Rodu? - spytała Leisl, czując, że nie nadała za rozmową. Elf skierował na nią spojrzenie srebrzystych oczu.

Z tego, co wiem, był to potężny święty przedmiot. Kiedy armia Strahda walczyła w obronie Barovii, użyto Symbolu przeciw goblinom. Niestety - ciągnął Jander. - Jego istnienie trzymano w sekrecie i tylko wtajemniczeni wiedzieli, jak wygląda. Wydaje mi się, że informację tę każdy kapłan przekazywał swemu następcy, ale gdzieś po drodze zabrakło ogniwa w tym łańcuszku. Miałem nadzieję, że może Sasza wie coś więcej, ale... - smutno zawiesił głos.

- A ta druga rzecz? - nalegał Sasza.

- Pomyślisz pewnie, że tonący brzytwy się chwyta, ale jest taka stara legenda, jakieś bzdury o częście słońca i młodym bohaterze. Ale - uśmiechnął się. - Czasem z legend można wygrzebać prawdę. Pytanie tylko jak tego dokonać.

Ku jego zaskoczeniu Sasza i Leisl wymienili porozumie wawcze uśmiechy.

- Leisl i ja doszliśmy do tego samego wniosku. Zresztą owa legenda to jedyna wskazówka, na jaką natrafiliśmy. Ach - może ty coś z tego zrozumiesz - usłyszeliśmy również parę tajemniczych refleksji, które mogą coś znaczyć. Czy mówi ci coś zdanie „ten, który najbardziej kocha, ma serce z kamienia”?

Jander zmarszczył brwi.

- Nie, raczej nie. Zwykle ktoś, kto ma serce z kamienia, w ogóle nie jest zdolny do kochania. Macie jeszcze jakieś zagadki? Kiedyś byłem w tym naprawdę niezły.

- Dobrze, co w takim razie powiesz na „Kamień powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć”?

- Mówiłam Saszy, że moim zdaniem to się odnosi do rzeźb - zasugerowała Leisl. - Jakiś posąg czy może napis na ścianie, wiesz, takie rzeczy. No bo jak inaczej kamień mógłby ci coś powiedzieć?

Jander przytaknął, ale mars na jego czole tylko się pogłębił. Elf zaczął się przechadzać tam i z powrotem. Założenie Leisl brzmiało logicznie, ale coś podpowiadało mu, że wnioski były niesłuszne. Odpowiedzi, przynajmniej część z nich, leżały tuż, tuż, dokładnie tutaj, na samym skraju jego zdolne ści pojmowania. Jeśli tylko się skupi... Nagle zrozumiał.

- Jest taki czar, który sprawia, że kamienie mówią - rzekł. - Znasz go?

Sasza pokręcił przecząco głową.

- Naprawdę sądzisz, że to takie ważne?

- Zastanówmy się. Czy są w Barovii jakieś kamienie, mogą być mury, budynki, które były świadkami jakichś wydarzeń, które teraz mogłyby być nam pomocne?

- Zamek Ravenloft - podsunęła Leisl.

- Jasne - odparł Sasza. - Ale to zbyt niebezpieczne. - Popatrzył dookoła na szare, lodowato zimne kształty, przykryte warstwą bieli, znaczące miejsca spoczynku zmarłych. - Nagrobki?

Jander potrząsnął złotowłosą głową.

- Nie. Wydaje mi się, że na cmentarzu niewiele dzieje się rzeczy, które miałyby teraz dla nas znaczenie. Wiemy, gdzie szukać wampira.

- Rynek? - kolejna sugestia Leisl. - Założę się, że mnóstwo ludzi przemierzyło ten bruk.

- Za duży ruch, nawet w nocy - mruknął Sasza. - Nie możemy ryzykować, że ktoś nas zobaczy. Kościół zaś, niestety, jest drewniany.

Nagle Jander, który cały czas chodził wkoło, słuchając jednym uchem, odwrócił się do nich.

- Kamienny krąg! - wykrzyknął. - To na pewno święte miejsce. Od jak dawna ten krąg tam jest, Sasza?

- Nie wiem. Pewnie od wieków - na twarz kapłana wypłynął uśmiech. - Jander, o to chodziło. Tb musi być to!

- Możemy spotkać się tu jutro, żebyście mieli czas się przygotować? - zapytał elf.

- Możemy sobie pozwolić na taką stratę czasu? Jander wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Strahda może nie być jeszcze przez miesiąc, ale równie dobrze mógł właśnie wrócić do zamku.

- Wobec tego nie mamy czasu - Sasza zacisnął usta w wąską kreskę. - To słuszna sprawa i Lathander z pewnością jej pobłogosławi, zsyłając mi moc władania magią, jakiej potrzebujemy. Pójdę się pomodlić przed ołtarzem. Możecie wejść do środka i... och.

Na twarzy Jandera odbił się smutek. Sasza przeklinał się za własną głupotę: przecież wampir nie może wejść do świątyni.

- Leisl, ty może wejdź do środka, żeby nie marznąć - zaproponował Jander. - Nam, nieumarłym, zimno nie dokucza tak, jak śmiertelnikom.

Orzechowe oczy dziewczyny zwięzły się, kiedy badawczo przyjrzała się elfowi.

- Nie, nie trzeba, Sasza. Obiecuję, że wejdę do środka, jeśli zrobi mi się zimno.

- Dobrze. Nie wiem, ile mi to zajmie - Sasza przeniósł wzrok z wampira na złodziejkę i nagle dotarł do niego komizm sytuacji, mimo całej cechującej ją powagi.

- Dziwni współnicy - mruknął pod nosem i poszedł do kościoła.

Przez chwilę żadne z dwojga pozostałych się nie odzywało. Zerwał się wiatr, burząc kasztanowe włosy Leisl. Dziewczyna skrzywiła się,

czując jak zimno przeszywa ją na wylot i ciaśniej otuliła się płaszczem.

- To musi być wygodne, tak nie czuć zimna - odezwała się, próbując wypełnić dzielącą ich ciszę.

- Tak mi się wydaje - odparł Jander. - Chociaż gdybym mógł na powrót stać się istotą śmiertelną, byłbym szczęśliwy wędrując nago przez śnieżną zadymkę.

Odwróciła się w jego kierunku. Jej twarz rysowała się białym owalem w świetle księżyca.

- Nie podoba ci się to, że jesteś wampirem? Zaskoczenie zmieszane z przerażeniem odbiło się na twarzy Jandera.

- Nie! - rzucił w odpowiedzi. - Czemu tak sądzisz?

- Nie wiem, po prostu... Przepraszam - i znów zapadło niezręczne milczenie. - Czemu chcesz zniszczyć Strahda?

Jander nie od razu odpowiedział, ale po chwili rzekł:

- Zranił kogoś, kogo kochałem.

- Zabił ją?

- Nie. Strahd złamał jej serce i umysł. Zabił jej narzeczonego, a ją samą doprowadził do obłądu.

- Och, Janderze, tak mi przykro - szczerze powiedziała Leisl. - Nic dziwnego, że pałasz żądzą zemsty.

- Chcę zemsty i końca udręk mojej ukochanej - wbił w dziewczynę spojrzenie srebrzystych oczu. - Bo widzisz, co kilka pokoleń ona powraca do życia. A za każdym razem, kiedy się pojawia, hrabia próbuje ją znaleźć i zmusić, by go pokochała - teraz w jego wzroku błysnęła nienawiść. - To się musi skończyć.

- Rozumiem cię. Miłość potrafi pchnąć człowieka do rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobił.

Wampir uśmiechnął się; jego zęby błysnęły lekko w słabym świetle. Dziwne, ale Leisl nie czuła już strachu.

- Wierzę, że rozumiesz. Czy Sasza wie, co czujesz? - Mały Lis próbowała wyjąkać słowa protestu, ale Jander zbył ją machnięciem ręki. - Masz to wypisane na twarzy, kiedy na niego patrzysz.

Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Nie, chyba nie wie. Jest za bardzo zadurzony w Katii, żeby zwrócić na mnie uwagę. Nie mów mu nic, proszę.

- Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Po raz trzeci umilkli, tym razem jednak cisza była miłym towarzyszem.

- A oto i Sasza - rzekł po chwili Jander i oboje wstali. Kapłan zbliżył się szybkim, pewnym krokiem. Kiedy był wystarczająco blisko, by mogli rozpoznać rysy twarzy dostrzegli, że się uśmiecha, a w oczach płąsa mu wesoły ogień.

- Z łaski Lathandera nawet kamienie przemówią - rzekł drżącym głosem. - Mam wszystko, co niezbędne. Idziemy?

Kamienie stały na wzgórzu niczym milczący wartownicy. Nic się tu zmieniło od czasu, gdy Jander i Sasza odwiedzili to miejsce piętnaście lat temu, a spokojna solidność głazów zdawała się świadczyć, że nigdy się nie zmieni. Każdy z kamieni przykrywała biała, śnieżna czapeczka, na której nie znaczyły się jeszcze ślady zwierząt lub innych istot. Sasza i Leisl skierowali się ku środkowi kręgu, gdzie kapłan rozłożył koc. Jander nie poszedł w ich ślady; mógłby wejść do uświęconego miejsca tylko wówczas, gdyby z rozmysłem przełamał jego ochronną barierę. Nie chcąc tak marnować swojej mocy, czekał na zewnątrz.

Przez dłuższą chwilę Sasza stał nieruchomo, czując przepelniającą go moc płynącą z kręgu.. Spojrzał w niebo, określając strony świata i zaczął przygotowywać nieduży ołtarz przed największym z głazów. Jander przyglądał mu się uważnie, Leisl zaś niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

Wreszcie Sasza usiadł i gestem nakazał dziewczynie, by zrobiła to samo. Obok rozmaitych świętych symboli kapłan umieścił buteleczkę srebrzystej cieczy i niewielką bryłkę gliny, którą teraz pracowicie ugniatał, nadając jej kształt głazu, przed którym siedzieli. Zaczął nucić, łagodnym, kojącym głosem, który stopniowo przybierał na sile, aż przeszedł w głośny śpiew.

Jander poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, kiedy czar zaczął działać. Niektóre z wypowiedzianych przez Saszę słów brzmiały dla niego znajomo. Ileż to już lat minęło, odkąd przyglądał się klerykowi, wyśpiewującemu uświęcone zaklęcia?

Kapłan wylał płyn z flakonu na śnieg przed glinianą repliką głazu; Jander rozpoznał rtęć. Głos Saszy wzniósł się gwałtownie, po czym nagle umilkł. Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza, a cała trójka nasłuchiwała, niepewna, co się wydarzy. Na odpowiedź nie musieli długo czekać.

Kamień przed Saszą rozbłysł słabą poświatą. Uszy Jandera pochwyciły niski pomruk, do którego przyłączały się kolejne, narastając i łącząc się w pieśń - mnóstwo różnych nieludzkich głosów. Dźwięk przybrał na sile i elf ujrzał strach na twarzach towarzyszy, gdy i do nich dotarła pieśń:

- Słyszcie pieśń kamieni, której dawno już nie śpiewano.

W dawnych wiekach zaledwie kamieniami byliśmy. Stałyśmy na straży ukrytych w głębi ziemi skarbów. Przybyli ludzie i wydobyte tu dobra wykorzystywali w słusznym celu. Kamienie i metale, kości ziemi; uwalniali je i przekształcali w dzieła piękne i święte.

W wiekach średnich zapomniano, żeśmy strażnikami bogactw. Przeniesiono nas, ukształtowano w święte głazy i strześliśmy ludzkich dusz. Tu miały miejsce akty połączenia, początki i końce.



W wiekach późnych zapomniano o naszej świętości. Niewielu przychodzi tu się modlić w Czasie Ciemności. Strach rządzi tą ziemią. Ale tego, co raz było święte, nie sposób całkiem zbezczęścić. W wiekach późnych stałyśmy się ucieczką zagubionych, którzy nie mają schronienia; samotnych, którym brak miłości. Chronimy ich, by nie zostali odkryci i nie stała im się krzywda. I takie będzie nasze zadanie, aż czas nas skruszy, a wiatr rozwieje proch.

- Pytajcie o co chcecie, a my wam odpowiemy.

Sasza oblizła wyschnięte wargi i drżącym głosem spytał.

- Głazy wielkie, szukamy dwóch przedmiotów: Świętego Symbolu Kruczego Rodu i czegoś, co w legendach nazwano „częstką słońca”.

Co możecie nam o nich powiedzieć?

- Myśmy widziały to, czego szukacie.

Zanim nadeszły wieki późne, podczas Dziewięciu Nocy Strachu, pobłogosławiono tu wielki oręż. Stworzony, a zarazem nie będący dziełem świętego męża. On to resztką sił przyniósł go tutaj, a myśmy go pobłogosławiły.

Zaginęła, zaginęła częśćka słońca, która zarazem była Świętym Symbolem chroniącym Kruczy Ród. Spoczywa niedaleko od tych, których miała strzec. Więcej rzec wam nie możemy.

Oto pieśń kamieni, której dawno już nie śpiewano. Nie zaśpiewamy już więcej.

Zaśpiew stał się niezrozumiały i umilkł stopniowo w czystym, spokojnym powietrzu. Znikła poświata głazu. Jander poczuł dziwny spokój; nawet nocna cisza zdawała się rozbrzmiewać nieprzyjemnie po kojącej pieśni.

Twarz Saszy rozświetlało prawdziwe uniesienie.

- Dzięki ci, błogosławiony Lathanderze - wyszeptał. Nawet oblicze sceptycznej z natury Leisl zdradzało niedowierzenie i zadziwienie.

Przez chwilę zachowywali pełną szacunku ciszę, aż wreszcie odezwała się Leisl.

- Czyli w obydwu wypadkach jest to jedna i ta sama rzecz - przerwała, by po chwili dodać ponuro: - Ale wciąż nie wiemy, gdzie ją ukryto.

- Ależ wiemy - poprawił ją Jander. - Święty Symbol stworzono, by chronił członków Kruczego Rodu - czyli rodzinę Strahda. Mają kruka w herbie, ich zamek nazywa się Ravenloft. A to oznacza, że ukryto go w zamku, w pobliżu tych, których miał chronić.

Spojrzał na Saszę.

- A może... - zachichotał - powinniśmy dać ci na imię Paweł? Gotów jesteś, by wkroczyć do krainy ciemności?

Sasza uśmiechnął się w odpowiedzi, z twarzą wciąż rozjaśnioną magią tego miejsca.

- Jestem gotów, jeśli i ty jesteś, Nosferatu.

## DWADZIEŚCIA PIĘĆ



Sasza wyjrzał przez okno domku Katii. Zwodnicza jasność poranka wywołana była świeżą warstwą śniegu pokrywającą uliczki, skrywającą przed wzrokiem nieczystości. Ledwie parę ludzkich i końskich tropów świadczyło o tym, że są tacy, którzy już nie śpią.

Kapłan z westchnieniem zamknął okiennice.

Odwrócił się ku Katii. Przeciągnęła się i ziewnęła, mrużąc oczy, wciąż z sennym rumieńcem na twarzy. Serce Saszy przepełniała miłość tak wielka, że odczuwał ją niemal jak fizyczny ból. Podszedł do ukochanej i pocałował ją w czoło.

- Czemu nie wyszedłeś, żeby odprawić poranny rytuał? - mruknęła. - Twoje ubranie... Gdzie masz szatę?

Sasza nie spuszczał z niej oczu; była taka piękna, taka delikatna.

- Mam dziś coś ważnego do zrobienia. Przez jakiś czas może mnie nie być. Chcę, żebyś to przeczytała, gdyby... gdybym nie wrócił przez najbliższe parę dni - położył zapieczetowany liścik na jej nocnym stoliku. - Kocham cię, Katii. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wrócić do ciebie. Obiecuję.

Rozbudziła się do reszty na dźwięk podenerwowania w jego głosie. Zmarszczyła brwi.

- Sasza...

Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi, zanim jego postanowienie osłabło.

- Sasza!

Nie zwracał uwagi na błagalny krzyk. Nie mógł, dla ich własnego dobra.

Leisl wyczekiwała go niecierpliwie w kościele. Jak zwykle miała na sobie funkcjonalny, męski strój. Szarobrunatne włosy związała ciasno, żeby jej nie przeszkadzały.

Na zewnątrz czekały osiodłane wierzchowce. Dziewczyna zebrała wszystkie przybory, jakich mogli potrzebować i umocowała je na grzbiecie jednego z koni.

- Czas już, żebyś się zjawił - mruknęła spoglądając spode łba na Saszę. - Słońce wstało godzinę temu. Tracimy czas.

- Tak samo, jak klóćąc się - odparował, z łatwością wskakując na grzbiet szarej klaczy. - Jedźmy - i ścisnął udami boki konia, który ruszył cwałem. Leisl, przeklinając, dosiadła swojego rumaka i podążyła za kapłanem.

Przejechali ulicą Kościelną na rynek, gdzie więcej było widać oznak życia, niż z domu Katii. Sasza, pogrążony w niezbyt miłych rozmyślaniach, nie zauważył, że Leisl została w tyle. Dopiero parę chwil później, kiedy dojeżdżał już do skraju wioski, zastanowiła go panująca za plecami cisza. Wstrzymał konia. Dziesięć minut minęło, nim ujrzał Leisl, niespiesznie jadącą w jego kierunku.

- Co robiłaś? - spytał. - Zdawało mi się, że się niecierpliwisz.

- Wzięłam coś do jedzenia, gdybyśmy zgłodnieli - odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie zabawimy tam tak długo.

- Ale gdyby tak, to jeszcze będziesz mi dziękował.

- Więcej myślisz o jedzeniu niż wszystkie znane mi osoby!

Leisl zmrużyła orzechowe oczy.

- To dlatego, że zdarzało mi się być tak głodną, że teraz nie potrafię takich myśli powstrzymać - odparła zjadliwie. Sasza przyjął reprimendę i spuścił wzrok, po czym zawrócił klacz z powrotem na trakt. Jechali dalej w milczeniu, pozwalając koniom na wybór odpowiedniego tempa.

Sasza rozmyślał o czarach, jakimi dysponował. Lathander okazał prawdziwą hojność, w zamian za długie godziny modłów wypełniając jego umysł licznymi przydatnymi zaklęciami. Jeśli zaś chodzi o bardziej przyziemne przygotowania, Sasza i Leisl zaopatrzyli się w rozmaity oręż - święte symbole, kołki, młotki, wodę święconą i czosnek. Poza tym wieźli również kilka nie pobłogosławionych przedmiotów, wykonanych z czystego srebra; Jander ostrzegł ich, że nietrudno spotkać w Ravenloft wilkołaka.

Przejechali przez most na Ivlis i w niewielkiej odległości Sasza dostrzegł krąg zabójczej mgły. Znow zatrzymał wierzchowca, tym razem by sięgnąć po magiczną miksturę. Leisl uczyniła to samo i oboje, przełknawszy, otrząsnęli się czując jej gorzkość. Przygotowując się wewnętrznie na nieodmiennie niemiłą przeprawę przez mgłę zmusili konie do ruszenia stępa.

Objęła ich lodowata wilgoć, odcinając dopływ światła i dźwięków. Kapłan mógł mieć tylko nadzieję, że Mały Lis podąży tuż zanim, nie mógł jednak tego sprawdzić. Kilkaset stóp dalej opar zrzędł, a po chwili rozwiął się do reszty. Leisl czekała już na niego, szczerząc zęby.

- Ślamazara - rzuciła zaczepnie, ale w jej głosie pobrzmiewała szczerą sympatią. Odpowiedział jej niepewnym uśmiechem.

Podróż do zamku zajęła im więcej czasu, niż planowali. Droga wiała się wśród gór; w pewnym momencie zastanawiali się nawet, czy nie zjechać z traktu i nie podążyć ścieżką odchodzącą w prawo, jednak ryzyko zabłądzenia było zbyt wielkie. Lepiej jechać dłuższą drogą, niż zgubić się w lesie.

W miarę, jak wjeżdżali w góry, konie zwalniały kroku z wysiłku. Sasza poklepał swoją klacz po szyi, a zwierzę zarżało i zastrzygło w jego kierunku uszami.

- Co to jest? - spytała Leisl, wskazując w lewo, gdzie odchodziła ciągnąca się w dal droga. Zamykająca ten trakt ogromna brama nawet w pełnym świetle dnia sprawiała na dziewczynie przygnębiające wrażenie. Uczucie to potęgował fakt że gigantyczne posągi wartowników pozbawione były głów.

- Wrota Barovii - odparł Sasza poważnym głosem. - Mówią, że Strahd potrafi je otworzyć i zamknąć siłą własnych myśli.

Leisl ponownie spojrzała ku bramie i nie udało jej się powstrzymać dreszczy. Sasza również robił się coraz bardziej nerwowy w miarę zbliżania się do celu i teraz uderzył konia nogą silniej, niż było to potrzebne. Klacz ruszyła galopem.

Po kilku pełnych napięcia chwilach zamajaczył w oddali zamek Ravenloft Wysoki, czarny na tle czystego, zimowego nieba, reprezentował sobą wszystko, co złe w Barovii. Tu kryło się źródło obaw mieszkańców wioski; tu zamieszkiwał potwór odpowiedzialny za wymordowanie jego rodziny; tu był dom władcy krainy, istoty rodem z sennych koszmarów. A on, Sasza Pietrowicz, przybywał tu z własnej woli. Na pozór nie miało to sensu, ale kapłan wiedział, że obrał słuszną drogę.

Kiedy podjechali bliżej, Sasza dojrzał dwie wieże strażnicze i rozsypujący się most zwodzony przerzucony ponad przepaścią. Nie sądził, żeby udało się zmusić konie do przejścia po nim.

- Prrrr - mruknął, wstrzymał wierzchowca i zamyślił się. Większość drewnianych belek mostu przegniła, a żelazne części wyglądały na przerdzewiałe.

- Co robimy? - zapytała Leisl, zatrzymując się obok. Spojrzała w górę na wartownie; obie świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kamiennych gargulców, z paskudnym uśmiechem przyglądających się podróżnym.

Sasza westchnął i zsiadł z klaczy, po czym zaczął rozpakowywać juki.

- Przeprowadzenie koni byłoby zbyt niebezpieczne - wyjaśnił. - Musimy je tu wypuścić.

- Wypuścić?

- Jeśli zostawimy je spętane, staną się łatwą zdobyczą dla każdej istoty, która się tu przybłąka. Jeśli puścimy je wolno, mają szansę wrócić do wioski. A poza tym - dodał ponurym głosem, ściągając z końskiego grzbietu kolejny pakunek - jeśli uda nam się wydostać stąd po

wykonaniu zadania, całkowicie bezpiecznie wrócimy do domu. A jeśli na się nie uda, to, cóż, konie i tak nie będą nam potrzebne.

Leisl nic nie odpowiedziała, również rozładowując bagaże. Sasza włożył niezbędny sprzęt do jednej torby, z niechęcią pozbywając się niektórych przyborów; nie na wiele by mu się przydały, gdyby ich ciężar pociągnął go w objęcia śmierci. Wyprostował się i ponownie obrzucił spojrzeniem most, który jednak nie wyglądał ani trochę solidniej, niż przed chwilą. Kapłan pokręcił głową i zarzucił sobie pakunek na ramię.

- Chodźmy więc - rzucił zdecydowanie, choć wcale nie czuł się tak pewnie.

- Powinnam pójść pierwsza - zasugerowała Leisl. - Jestem lżejsza i całkiem zwinna. Może będę mogła ci pomóc.

Sasza zawahał się. Nie podobał mu się ten pomysł, ale dziewczyna miała rację.

- Dobrze. Idź przodem.

Mały Lis ostrożnie weszła na pierwszą deskę, która skrzypnęła, ale wytrzymała. Leisl złapała mocno żelazny łańcuch, wolno przenosząc ciężar na następną deskę, potem na kolejną wymacując drogę przed sobą i balansując ciałem w razie potrzeby. W miarę możliwości trzymała się blisko krawędzi, które lepiej się trzymały. Uważnie przyglądała się każdej z desek, zanim zdecydowała się ją obciążyć.

- Stawiaj stopy tam, gdzie ja - poleciła.

- Na Pana Poranka, ależ to niebezpiecznie wygląda, rzekł sobie w duchu Sasza. Jedną dłoń zacisnął mocniej na pakunku, drugą zaś chwycił zardzewiały łańcuch. Delikatnie stanął na pierwszej belce. Nic się nie stało, więc zmówił szybką modlitwę dziękczynną, którą potem powtarzał po każdym udanym kroku.

Kiedy znów podniósł wzrok, zobaczył Leisl już w trzech czwartych drogi, ale zdekoncentrował się. Zmarszczył brwi patrząc na następną deskę: gdzie stanęła Leisl, tu czy po drugiej stronie?

Stąpił ostrożnie, ale deska pękła pod jego ciężarem i prawa noga wpadła mu w szparę po biodro. Młóćąc opętańczo rękoma pochwycił zwisające po obu stronach łańcuchy. Niesiony przez niego pakunek spadł ku szczytowi kilkaset metrów niżej kły skałom. Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy, aż poczuł ból w gardle. Leisl już była przy nim, trzymając go mocno. Wbił w nią przerażone spojrzenie i wczepił palce w upstrzone piegami przedramiona dziewczyny.

- Wszystko w porządku. Odpręż się - powiedziała złodziejka spokojnym, opanowanym głosem. - Złap się tej belki, jest dość mocna - poleciła ostrzej.

Puścił jej ręce i posłusznie chwycił wskazaną deskę. Cały czas mówiąc do niego, pomogła mu wstać na nogi; dopiero teraz zauważył, że zgubił torbę.

- Lepiej stracić bagaż, niż kapłana - rzekła Leisl. - Twoja moc jest znacznie ważniejsza od wszystkich świętych symboli. Chodź.

Sasza niepewnie stawiał kolejne kroki, ale zdołał przejść.

- Leisl, dzięk...

- Nieważne - odparła, choć ucieszyło ją widoczne w jego oczach uznanie.

Przeszli przez sklepiony tunel, docierając do brukowanego dziedzińca. Przed nimi widniały główne odrzwia zamku Ravenloft, pokryte przepięknymi płaskorzeźbami.

- Spójrz na te drzwi - jęknęła Leisl. - W życiu nie widziałam czegoś równie wspaniałego!

- Piękne, to prawda - przyznał Sasza, przyglądając się zdobieniom. - Ale nie zapominaj, co się za nimi kryje. - Podszedł bliżej i wyciągnął rękę ku klamce.

Jander uprzedzał, że ze względu na światło słoneczne nie może czekać na nich przy drzwiach, ale obiecał, że będą stały otworem. Tak też się stało; drzwi z łatwością otworzyły się i oboje wpadli pospiesznie do środka, a Sasza je zamknął. Wnętrze wydawało się bardzo ciemne, zwłaszcza w porównaniu ze światłem dnia na zewnątrz.

- Cieszę się, że dotarliście tutaj bezpiecznie - rozległ się melodyjny głos Jandera, który teraz stanął w przejściu. Wzrok Saszy oswoił się już na tyle z mrokiem, że zorientował się, iż znajdują się w niewielkim pomieszczeniu, rozświetlanym błyskami pochodni. - Mieliście problemy? Bo spóźniliście się - ciągnął elf.

Sasza posłał mu ponure, udręczone spojrzenie.

- Myślałeś, że nie przyjdziemy?

Wampir nie odpowiedział, unosząc tylko pytająco brwi.

Sasza przygarbił się i odparł:

- Musiałem pożegnać się z Katią.

- Martwiłem się, to wszystko - wyjaśnił Jander. - Szpiedzy Strahda są wszędzie.

Leisl, która dotąd tylko rozglądała się dookoła, wciągnęła gwałtownie dech na widok czterech smoczycy figur, przycupniętych nad wejściem. Smoki wpatrywały się w nią złowrogo pałającymi oczami.

- Są z kamienia - zapewnił ją Jander, choć i u niego lśniąca klejnoty smoczycy oczu wywoływały niepokój. - Jak jesteście wyposażeni? - zagadnął.

- Mieliśmy mnóstwo świętych przedmiotów, ale na moście straciłem pakunek - odrzekł Sasza. - Musi nam wystarczyć to, co ma Leisl.

Jander uśmiechnął się.

- Cały ranek strugałem kołki - rzekł z zadowoleniem. - A co z bronią?

Sasza pokręcił przecząco głową.

- Tylko młotek i topór, gdyby przyszło mi walczyć. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. A ty, Leisl?

Złodziejka wyszczerzyła zęby i poklepała się po cholewce buta Jander dostrzegł zatknięty za nią niewielki sztylecik.

- To wszystko, czego trzeba mi do walki.

- No to mam dla ciebie prezent - powiedział elf i podał jej nieduży, paskudnie wyglądający sztylet Jego ostrze lśniło nawet w świetle pochodni; miał dziwną pochwę. Leisl wzięła go ciekawie do ręki.

- Jander, to sztylet Baal Verzi! - wykrzyknął z obrzydzeniem Sasza. - Czemu dajesz jej takie paskudztwo?

Jander zwrócił ku kapłanowi spojrzenie srebrzystych oczu.

- Ponieważ jego ostrze jest z czystego srebra - odparł chłodno. - Ja też mam broń... tak na wszelki wypadek - dodał, wskazując zawieszony u boku krótki miecz.

- Magiczny? - zapytała Leisl.

- Nie - odparł krótko elf. - Po prostu funkcjonalny. Magię zostawiam tobie, Sasza. Mam do ciebie jedną prośbę: czy mógłbyś znaleźć Strahda, gdyby teraz przebywał w zamku?

Leisl otworzyła szeroko oczy; otworzyła zdziwiona usta. Jander powstrzymał potop pytań, dodając:

- Powiedziałem „gdyby”. Nie sądzę, żeby w tej chwili tu był, ale dobrze byłoby sprawdzić.

Sasza zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie jestem pewien - odpowiedział z wahaniem. - Ale mógłbym spróbować.

Usiadł wygodnie na podłodze i zamknął oczy. Zaczął cicho nucić, po czym nagle zamilkł. Gałki oczne poruszały mu się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami. Wreszcie otworzył oczy i napotkał pytające spojrzenie Jandera.

- Nic nie znalazłem, ale nie mam pewności.

- Dziękuję, że spróbowałeś. Będzie musiało nam to wystarczyć.

Podszedł do rzędu pochodni na ścianie i wyjął dwie z nich z uchwytów. Sasza zapalił niesioną przez Leisl lampę naftową.

- Najpierw powinniśmy odwiedzić katakumby - rzekł wampir, podając Leisl pochodnię. - Zanim zapadnie zmierzch, musimy zabić niewolnice. Chodźmy - poszedł pierwszy, a Sasza i Leisl ruszyli za nim.

Jander narzucił szybkie tempo i śmiertelnikom niełatwo było dotrzymać mu kroku. Leisl odczuwała ulgę, że nie zdążyła się wszystkiemu dokładnie przyjrzeć; wystarczająco zaniepokoiło ją to, co dostrzegła na wpół idąc, na wpół biegnąc cichymi, kamiennymi korytarzami. Powtarzała sobie, że czające się u góry gargulce są tylko kamiennymi rzeźbami, a piękne, lodowate posągi nie mogą przecież śledzić jej wzrokiem.

W żadnym wypadku nie można było nazwać jej tchórzem, ale nigdy dotąd nie znalazła się w takiej sytuacji. Ukraść coś do jedzenia, pchnąć kogoś nożem w bójce, nawet zabijać wampiry w lesie - to jedna sprawa. Ale być tu, we wnętrzu tej mrocznej, przygniatającej ogromem kamiennej budowli, wypełnionej migotliwym światłem pochodni i niespokojnymi cieniami, to zupełnie co innego. Nie mogła otrząsnąć się z dziwnych, przypominających mrowienie, złych przeczuc. Nie spuszczała oczu z Saszy i elfa-wampira, ale uszy miała wyczułone na najdrobniejszy hałas.

Sasza też czuł się nieswojo w mrokach zamczyska. Przywykł do uliczek i ścieżek w rodzimej wiosce. Kościół mógł być zaniedbany, ale nigdy nie miało się w nim za dnia wrażenia, że na zewnątrz właśnie panuje noc, które nie opuszczało go tutaj, w siedzibie Strahda. Dworek burmistrza przypominał zaś zaciszny domek w porównaniu z rozrośniętym nad miarę, choć podupadającym w swej wspaniałości zamkiem Ravenloft.

Jednak najbardziej go uderzyło, gdy tak we troje przemierzali ciemne korytarze, że Jander zupełnie tu nie pasuje. Jego pełna barw postać - złota skóra, niebieska szata, czerwone spodnie - ostro odcinała się od napierającej zewsząd monotonnej, kamiennej masy. Wydawał się bardziej na miejscu w lesie czy nawet tam, w pobliżu kościoła, niż tutaj. I nagle Sasza przypomniał sobie gorzkie słowa Jandera o tym, jak żalosna jest natura wampira; zrozumiał teraz, jak wielkim ciosem był taki los dla elfa, któremu przeznaczono lasy i złote światło słońca, nie zaś mrok i cienie życia w śmierci.

Zatrzymali się przed podwójnymi drzwiami zdobionymi równie bogato, jak wejściowe.

- To wejście do kaplicy - oznajmił Jander. - Ostrzegam was, Strahd ma tu wiele sług. Większość z nich to bezmyślne stwory, którym zakazano krzywdzić mnie i wszystkich, którzy mi towarzyszą. Nie sądzę, żebyśmy natknęli się na coś groźniejszego od szkieletu czy zombi. Przynajmniej za dnia - poprawił się.

Otworzył dwuskrzydłowe drzwi.

Ledwie ich dotknął, usłyszał dobiegające zza pleców ciche grzechotanie. Tak jak czynił to już tysiące razy przedtem, strażnik kaplicy zamierzał sprawdzić, czy przybysze mają prawo tam wejść. Zbliżał się wolno w stronę wampira i dwójki ludzi, powłócząc nogami w

zniszczonych, skórzanych butach. Jander uważał go już niemal za przyjaciela, a przynajmniej jego pojawienie się wcale mu nie przeszkadzało. Próba zagrozenia im wejścia nie stanowiła żadnej groźby.

Po chwili, jakby chciał udowodnić, że Jander miał rację, szkielet usunął się na bok. Medalion na jego piersi zakołysał się przy tym poruszeniu. Jander przeszedł obok, Leisl i Sasza poszli za nim, choć nie powstrzymali się od spojrzenia przez ramię. Kapłan rozmyślał smutno nad zniszczeniem świętego miejsca, przyglądając się połamanym ławkom.

- Jesteśmy - rzucił elf, kiedy przeszli przez alkowę. Przed sobą mieli wejście prowadzące na spiralnie skręcone schody, z którego dochodził chłodny powiew. Powietrze zdawało się nieświeże, jak gdyby przebywało tam uwięzione przez całe stulecia. - Tędy zejdziemy do katakumb. Leisl, zgaś pochodnię. Musimy oszczędzać światło; nie wiem, ile czasu nam to zajmie.

Początkowo w ciszy schodzili do spowitego pajęczynami serca zamczyska. Robiło się coraz zimniej i dwójka ludzi zaczęła drżeć. Leisl wsłuchiwała się w echo ich kroków na stopniach.

- Hej! - szepnęła nagle. Głos zabrzmiał niezwykle donośnie.

- Co? - syknął Sasza, zatrzymując się kilka stopni poniżej.

- Jander, szedłeś już kiedyś tymi schodami?

Elf przystanął i spojrzał na dziewczynę. W pomarańczowym, ruchomym świetle pochodni, jego twarzy zdawała się zmieniać rysy.

- Nie, ale wiem dokąd prowadzą.

- A skąd wiesz, czy nie ma tu pułapek?

Zapadła całkowita cisza. Jander nie miał pojęcia, czy Strahd nie zabezpieczył jakoś tego dogodnego zejścia. To byłoby do niego podobne. Uśmiechnął się krzywo sam do siebie.

- Nie wiem, Leisl. Poruszyłaś niezwykle ważną kwestię. Czy nie zechciałabyś pójść przodem, żeby uruchamiać wszystkie pułapki, które uda ci się dojrzeć?

- Założę się, że... Ejże! - zmarszczyła brwi, gdy dotarł do niej sens ponurego żartu elfa. Sasza, ku własnemu zaskoczeniu, parsknął gwałtownie; nawet Mały Lis zaczęła chichotać, choć potrząsała głową, udając rozzłoszczoną. Jander uśmiechnął się do niej. Światło pochodni odbijało się od jego złocistej skóry, a w oczach lśnił mu wesoły ogień. Leisl nagle zdała sobie sprawę, że chociaż to dziwne, ale zaczyna lubić tego wampira. - A tak poważnie - dorzuciła. - Jeśli chcesz, żebym sprawdzała, kiedy będziemy szli...

- Nie - odparł Jander. - Dalej ja będę prowadził. Wszystkie pułapki byłyby dla was znacznie bardziej niebezpieczne - odwrócił się i zaczął schodzić. - To tylko jedna z zalet bycia martwym.

Nie sposób było stwierdzić, ile czasu upłynęło, zanim zeszli na sam dół, ale pochodnia w ręku elfa wypaliła się niemal zupełnie. Zanim weszli do katakumb wziął pochodnię od Leisl o zapalił ją od własnej, dogasającej.

- Patrzcie, oto sale zmarłych - oznajmił ponurym głosem. Położył dłoń na ramieniu Saszy. - Nie jest to miejsce dla słabych duchem.

Kapłan spojrzał na elfa. Niespokojne cienie wywołane światłem lampy migotały na twarzy młodego człowieka. Długie zejście pozwoliło mu uspokoić nerwy i odnowić wiarę w cel zadania i teraz czuł płonący w duszy płomień, który rozświetlał jego rysy. Jander znał ten wyraz twarzy; kiedyś, dawno, dawno temu, jego też rozpalał taki ogień.

- Nie boję się - odparł spokojnie kapłan. - Gdzie śpią wampiry?

Elf niemal się roześmiał.

- Wszędzie - odparł bez emocji. W każdej z tych trumien może spoczywać jedna ze Strahdowych niewolnic.

Sasza nie potrafił powstrzymać grymasu, jaki wypłynął mu na twarz. Zamknął oczy.

- Jest nas troje, a na zewnątrz panuje dzień - przypomniał Jander.

Zeszli do pierwszej krypty.

- Spójrzcie na nich - odezwała się Leisl z niesmakiem. Spoglądała ku pogrążonemu w cieniu sufitowi. Sasza podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i przełknął ślinę. Z sufitu wilgotnej pieczary zwieszały się setki, jeśli nie tysiące, nie toperzy. Mimo, iż zdawał sobie sprawę, że są niegroźne, poczuł napływającą falę paniki, kiedy zwierzęta trzepotały skrzydłami i przemieszczały się z miejsca na miejsce.

- Musimy zaczynać - ponaglił ich Jander.

Sasza i Leisl sięgnęli po narzędzia, a on wszedł do krypty. Niewiele trudu sprawiło mu odsunięcie kamiennej pokrywy. Zajrzał do środka, gdzie wolny od życia w śmierci leżał szkielet, ciągle w resztkach świetnego stroju. Ruszył ku następnej krypcie, czując, jak mięśnie tężeją mu pod wpływem napięcia.

Kilka wieków wcześniej młody i niewinny elf, jakim był wówczas Jander, nie umiałby sobie wyobrazić, że okropieństwo śmierci może stać się czymś całkiem dla niego zwyczajnym. Ale wszystko się zmienia, pomyślał ponuro, przytrzymując wijące się ciało wampirzycy, kiedy Sasza wbijał kółek w jej serce. Dotychczas popełnili dwadzieścia takich „morderstw”, zgładzili dwadzieścia pięknych, śmiertcionośnych, złych do szpiku kości istot o ustach koloru krwi, która tryskała z ich przebitych serc. Jander przypomniał sobie Dolinę Sztyletów i na krótką chwilę ponownie stał się śmiertelnikiem, poczuł dławiący w gardle strach, kiedy do spółki z Gideonem wyszukiwali i unicestwiali przeklęte stwory;

mniej więcej tak, jak teraz czynili to z Saszą.

Śmierć nie powinna tak spowszednieć, nawet śmierć wampira.

Elf-wampir, szczupła, mała złodziejka i kapłan pół-Cygan uzgodnili sobie system współpracy. Jander, wykorzystując niezwykłą siłę, odsuwał kamienne wieka sarkofagów i przytrzymywał wampiry, kiedy Sasza przebijał ich piersi kolkiem. Leisl pozostawili niezbyt miłe, ale mniej niebezpieczne zadanie, polegające na odcinaniu głów i wypychaniu ust zabitych czosnkiem.

- Ręce będą mi cuchnęły przez najbliższe dziesięć lat - mruknęła pod nosem Mały Lis, wpychając kolejną główkę czosnku do ust świeżo odciętej głowy wampirzycy. Skupiona na tym cokolwiek upiornym zajęciu, zdołała zapomnieć o przerażeniu, choć tylko częściowo. Wciąż miała wrażenie, jakby ktoś ich obserwował i od czasu do czasu rozglądała się gwałtownie dookoła. - Robisz się nerwowa, dziewczyno - rzekła sobie. - A to źle wróży twojej karierze zawodowej. Uspokój się.

Skończyła, co miała do zrobienia, i dogoniła towarzyszy. Dotarli już do ostatniej trumny i leżący w niej potwór właśnie konał w drgawkach, gdy Leisl zbliżyła się do nich. Twarz wampirzycy zbladła, po czym pojawił się na niej wyraz ukojenia, kiedy jej dusza ulatywała z ciała, odnalazłszy pokój. Sasza i Jander cofnęli się, a Leisl kilkoma ciosami oddzieliła głowę od tułowia i dopełniła rytuału.

Elf spojrział na Saszę. Ubranie kapłana przesiąkło potem; oddychał z trudem. Po policzku spływała mu, znacząc kręty ślad, czerwona kropla przypominająca krwawą łzę. Jander wyciągnął rękę, żeby ją otrzeć.

Sasza odskoczył, po czym spojrział na niego rozdrażniony.

- Przepraszam. Wystraszyłeś mnie.

Jander przytaknął, udając, że wierzy słowom kapłana, ale zniechęcony zdał sobie sprawę, jak wygląda prawda. Sasza wciąż nie do końca mu ufał. Nie mógł go za to winić, ale i tak było mu przykro. Rozejrzał się dookoła. Niewyraźne kształty kamiennych trumien majaczyły w cieniu niczym rozleniwione potwory, które zdają się poruszać w migoczącym blasku pochodni. Ludzie mniej odważni niż Leisl i Sasza mogliby już dawno zwariować w tym dziwacznym miejscu.

- Dobrze się spisaliśmy - odezwał się. - Wyliminowaliśmy większość nieprzyjaciół. Teraz musimy znaleźć trumnę Strahda i poświęcić ją, żeby nie mógł znaleźć w niej schronienia.

Sasza kiwnął z wolną głową, zmęczony wysiłkiem. Od zaciskania w dłoni młotka i kolców zaczynały go łapać kurcze. Spróbował rozruszać ręce. Gdyby tylko mogli sobie na to pozwolić, Jander zaproponowałby odpoczynek, jednak czas był ich wrogiem w większym nawet stopniu niż sam władca Ravenloft.

We trójkę sprawdzili już wszystkie kilkanaście krypt pośrodku sali. Elf nie miał pewności, gdzie znajduje się trumna Strahda, ale mógł zgadywać, że znajdujące się z boków pomieszczenia alkowy przeznaczono specjalnie dla najbliższej rodziny hrabiego.

Pierwsza komora, do której zajrzeli, okazała się miejscem spoczynku rodziców Strahda, Barova i Ravenovii, której zamek zawdzięczał swą nazwę. Schody prowadziły w dół, do niewielkiej, spokojnej komnaty. Dwa stojące tu sarkofagi wyglądały na solidnie zapieczętowane i nietknięte. Jander ruszył dalej, nie zakłócając wiecznego odpoczynku szlachetnym przodkom. Oboje umarli zanim Strahd zawarł pakt z mroczną istotą, więc najprawdopodobniej dosięgła ich prawdziwa śmierć.

Drugie pomieszczenie poświęcono Sturmowi i Giselli von Zarovich. Jander pamiętał, że Sturm był drugim bratem hrabiego. Ale ta komnata była zupełnie pusta, nie stały tu nawet sarkofagi. Sturm najwyraźniej miał szczęście i przeżył zwyczajny żywot gdzieś z dala od zamku Ravenloft i je go diabelskiego pana.

Trzecia komnata zmarłych również świeciła pustkami, aczkolwiek znać było ślady przygotowań. Ma jednej z otwartych, pustych trumien widniało wyraźnie wyryte imię: „Sergiej von Zarovich”. Elf pokręcił ze smutkiem głową. Po bestialskim zamordowaniu brata Strahd nawet nie zadał sobie trudu, by złożyć tu jego ciało. Bez wątplenia zwłoki pozostawiono by zgniły tam, gdzie Sergiej padł ofiarą targających bratem żądź. Jander poczuł ból w sercu na widok drugiego z sarkofagów; przymknął oczy. Gdyby wszystko potoczyło się swoim torem, dziś na grobowcu widniałby napis: „Tatiana Fiedorowna von Zarovich”.

Annie nie dane było spocząć w takim miejscu. Jej ciało spłonęło w przytułku dla obłąkanych, a popioły rozrzucił wiatr. A Tatiana była skazana na wieczne wracanie do Ba-rovii...

Delikatne dotknięcie przywróciło go do rzeczywistości. Sasza przyglądał mu się z troską.

- Nic tu po nas - rzekł Jander, zmienionym, szorstkim głosem.

Ostatnia komnata musiała należeć do Strahda. Podobnie, jak w miejscu spoczynku Barova i Ravenovii, schody prowadziły w dół, do piętnastometrowej krypty, gdzie dostrzegli trumnę hrabiego. Nic nie zagrażało im do niej dostępu.

- Musimy działać ostrożnie - cicho rzekł elf. - Wygląda to aż nazbyt łatwo.

Wolno i uważnie Jander zaczął schodzić do krypty Strahda von Zarovicha.



W powietrzu rozległ się przenikliwy świst, gdy z ukrytych w ścianach, napiętych luków wystrzeliły strzały, wbijając się w ciało Jandera. W okamgnieniu Leisl dobyła sztyletu i przywarła ciasno do ściany. Sasza chwycił święty symbol w dłoń.

- Jander! - wykrzyknął.

Tułów elfa najeżony był kilkunastoma strzałami niczym krawiecka poduszka szpilkami. Jander niewzruszony zaczął je wyjmować, jedna po drugiej. Nie krwawił; na dobrą sprawę nie wyglądał nawet na zranionego.

- Nic mi nie jest - zapewnił kapłana. - Mówiłem, że bycie martwym ma swoje zalety.

Leisl pokręciła z uśmiechem głową. Wampir wydobył już wszystkie groty z ciała i schodził dalej sam.

- Nic się nie stało. Stał na podłodze krypty i rozejrzał się dookoła. W infrawizji dostrzegł kilka czerwonych kształtów, czających się w kątach komnaty. Zanim zdążył uprzedzić Leisl i Saszę by nie szli za nim, w rzucany przez pochodnie krąg światła weszły wilki.

Ogromnych, poruszających się ze złowrogą powolnością bestii było przynajmniej tuzin. Sierść zjeżyła im się na karkach, uszy przylegały płasko do czaszki. Z każdego kąta dobiegał głęboki warkot; nietrudno było dostrzec błysk ostrych, białych kłów i lśniące czerwienią nienawiści ślepie. Komnatę wypełnił ostry zapach piżma.

- Na bogów! - wyszeptała Leisl, czując lodowaty chłód w trzewiach. Szarzy pieśniarze nocy. Niewiele myśląc przysunęła się bliżej do Saszy.

Jander zaklął pod nosem. Wilki słuchały teraz Strahda, ale musiał spróbować nakłonić je do odejścia, zanim zacznie rąbać je mieczem. Spokojnie, przyjaciele. Nie wyrządzimy wam krzywdy. Tak jak i wy nie chcecie nas skrzywdzić...

Wilki na sztywnych łapach podeszły bliżej, gotowe do ataku. Ręka Jandera podążyła ku rękojeści miecza. Zostawcie nas w spokoju. Rozkazy, które wydał wasz pan, nie dotyczą nas!

Jedna z wilczyc przystanąła, zastrzygła uszami i pochyliła łeb. Elf czekał w napięciu, mając złudną nadzieję, że siła jego woli przeważy moc Strahda. Drugi wilk, wyglądający na zmieszanego, przysiadł na zadzie i zaskomlał. Odejdźcie. Dobrze pełniłyście straż Teraz czas odejść...

Trzeci wilk odprężył się, potem czwarty. Jedna po drugiej bestie przestawały zagrażać intruzom. Nagle pierwsza wilczyca pobiegła po schodach na górę, a reszta watahy podążyła za nią opuszczając stanowiska.

Wampir przymknął z ulgą oczy, a Sasza i Leisl przyglądali się całej scenie nic nie rozumiejąc.

- Właśnie tak kiedyś uratowałem twemu ojcu życie - wyjaśnił młodzieńcowi elf. Sasza uśmiechnął się, przypominając sobie matczyne opowieści. - Tb bardzo zachęcające - ciągnął Jander. - Sądziłem, że Strahd całkowicie panuje nad wilkami. Tymczasem zdołałem zmusić je do odejścia, a to oznacza, że hrabia nie jest taki wszechpotężny, za jakiego chciałby, żeby go uważał. Leisl nabrała powietrza głęboko w płuca i zmusiła się do rozluźnienia mięśni ramion.

Jander oczekiwał kolejnego ataku, kiedy podeszli do kamiennej trumny, nic jednak się nie wydarzyło. Sasza zaczął przygotowywać niezbędne wyposażenie: święty symbol, flakonik wody święconej, pęki specjalnie pobłogosławionych ziół.

- Myślisz, że on tu jest? - szeptem spytała Leisl. Jander pokręcił głową.

- Nie - po czym ostrożnie odsunął wieko. Wlepił wzrok w leżącą postać. A więc mylił się.

W obitej atlasem trumnie leżał Strahd, z zamkniętymi oczami, z bladą, przypominającą woskową maskę kościstą twarzą. Ręce miał skrzyżowane na piersi; emanował spokojem. Wyglądał, zresztą zgodnie ze stanem faktycznym, na martwego.

- Dzięki niech będą Panu Poranka, że wciąż mamy dzień - mruknął kapłan. Jander przytaknął i odsunął ręce Strahda na boki, ułatwiając Saszy przyłożenie zaostrego kołka dokładnie nad sercem hrabiego. Kapłan zamierzył się młotkiem.

- „Teraz cię mamy, draniu” pomyślał z satysfakcją Jander w nagłym przypływie nienawiści.

Hrabia usiadł nagle w trumnie, z jego gardła wydobył się łoś zwierzęcy ryk, a białe ręce wyciągnęły się, by pochwycić szyję Saszy. Kapłan wypuścił narzędzia i wbił palce w zaciśnięte na gardle dłonie. Odkoczył, ale udało mu się zyskać tylko tyle, że wraz z hrabią runęli na podłogę. Jander z krzykiem rzucił się na Strahda, wymierzając mu potężny cios. Uchwyt palców na gardle Saszy zelżał nagle i mężczyzna zdołał się uwolnić, po czym odturlał się kawałek, krztusząc się i łapczywie wciągając powietrze.

Jander własnym ciężarem przygniótł hrabiego do ziemi. Oczy Strahda błyszczały czerwienią, a uzbrojone w ostre zęby szczęki zamknęły się gwałtownie dosłownie o cal od twarzy elfa. Jander nie musiał nic mówić - Leisl już była przy nim i z całej siły uderzała młotkiem, celując kołkiem wprost w czarne serce wampira. Kiedy przebiła je, Strahd zawył z bólu. Młotek opadł ponownie, wbijając drewno głębiej. Białe płótno koszuli hrabiego przesiąkło krwią, on sam zaś zadygotał gwałtownie i opadł bezwładnie na ziemię.

Jander bez sił osunął się na jego ciało. Tak szybko - i już po wszystkim. Po przebiegłym władcy Ravenloft spodziewał się trudniejszej walki; teraz zaś, ku własnemu zaskoczeniu, czuł dziwny niedosyt.

Ktoś delikatnie dotknął jego ramienia.

- Jander - odezwała się cicho Leisl. - Myślę, że powinienes to zobaczyć.

Elf zmęczonym ruchem uniósł głowę. Dziewczyna, wciąż drżąc po niedawnym wysiłku, wskazało ciało hrabiego. Jander przyjrzał mu się uważnie. Miał przed sobą niebrzydka wampirzycę z kołkiem w sercu.

- Do diabła, Strahdzie - wyszeptał. Zamknął oczy i odsunął się od ciała. - Powinienem być się domyślić.

- Iluzja? - kaszlnął Sasza, wciąż masując obolałe gardło. Zmartwiony Jander skinął głową.

Kapłan uszanował milczenie przyjaciela i zajął się poświęceniem trumny. Leisl tymczasem odcięła głowę zwłokom.

Sasza posmarował obficie trumny świętym olejem, pomodlił się, po czym obficie skropił ją wodą święconą. Westchnął i podniósł wzrok na elfa.

- Zrobione. Co dalej? Jander otrząsnął się z letargu.

- Idziemy szukać cząstki słońca.

\*\*\*\*\*

Następne parę godzin należało do najprzykrzejszych, najbardziej wypełnionych napięciem i poczuciem beznadziejności, jakie trafiły im się w życiu. Elf sądził z początku, że może Saszy uda się zlokalizować Święty Symbol przy pomocy magii. Niestety, próba się nie powiodła i Jander przyznał niechętnie, że pozostało im już tylko przeszukanie zamku.

- Całe to przekłete zamczysko? - jęknęła z niedowierzaniem Leisl. Jander przytaknął i, przygnębieni obezwładniającym ogromem zadania, rozpoczęli poszukiwania.

Opuścili ohydne katakumby drogą prowadzącą przez gorsze jeszcze lochy.

- Niektórzy z byłych więźniów zostawili w celach prawdziwe skarby - rzekł Jander. - Dlaczego nie mielibyśmy stąd zacząć?

Pamiętał, jak żalosne krzyki i jęki działały mu na nerwy podczas pierwszej wizyty w lochach, teraz jednak było tu znacznie ciszej. Niewolnice Strahda posilały się łakomie, niecierpliwie i nie znały umiaru, toteż więźniów pozostało niewiele. Wytrychem zabranym sprzed drzwi głównej celi otwierał kolejno każdą z mniejszych i wspólnie z Leisl dokonywali szybkiej, ostrożnej inspekcji każdego pomieszczenia. Sasza przyglądał im się w przerażeniu.

- Wcale was to nie rusza, prawda? - zapytał z niesmakiem.

- Mnie tak - odparł Jander, grzebiący w spróchniałej skrzyni złotych monet. Starał się powstrzymać gniew. - Zwłaszcza to, co znajduje się w ostatniej z cel.

Zaciekawiony Sasza podszedł do wspomnianych przez Jandera drzwi i zajrzał do środka. Na stercie gnijącej słomy spał skulony mały chłopczyk.

- Nie budź go - szepnął kapłanowi na ucho elf. - Jedni bogowie wiedzą, jak bardzo potrzeba mu wytchnienia od tego straszego miejsca.

- Czemu go nie wypuścicie? - również szeptem zapytał ze złością Sasza.

- Bo nie ja tu rządzę, tylko Strahd. Robię, co mogę i kiedy mogę. Ciągle za mało. W przeszłości uwalniałem więźniów, ale on zawsze chwycił nowych, i to coraz więcej - warknął w odpowiedzi elf. - Dopiero gdy go zabijemy, można będzie wypuścić uwieczonych, nie wcześniej. Chodź już

- Ale...

- Zostaw go, Sasza - wtrąciła się Leisl. - Zrobmy to, po co tu przyszliśmy, potem zajmijmy się zbawianiem świata, dobrze?

Sasza miał na końcu języka gniewną ripostę, ale zrezygnował z niej, kiedy spojrzał najpierw na dziewczynę, później na elfa. Miała rację. Jander również odczuwał ból na widok tego, co ich otaczało, ale miał plan, dzięki któremu mogli osiągnąć wszystko, co było ich celem; nie było sensu narażać tego planu na niepowodzenie.

Ostatni raz rzucił okiem na skulone dziecko i podążył za wampirem. Leisl, wciąż spiętą zamykała pochód. Odór zgnilizny, który uderzył ich w nozdrza, gdy weszli do sali tortur, przyprawił Saszę o mdłości, ale ich przewodnik, klucząc wśród instrumentów przemocy, pewnie zmierzał ku balkonowi. Kapłan nie mógł oderwać wzroku od gromady wolno poruszających się zombi, na nowo przeżywających własną śmierć i wyszczerzonych w uśmiechu szkieletów, bawiących się narzędziami służącymi do zadawania bólu.

Poczuł delikatne szturchnięcie w plecy, a kiedy odwrócił się, napotkał spokojne spojrzenie Leisl.

- Nie patrz - powiedziała łagodnym głosem. - Po prostu cały czas idź. - Oszołomiony, wstrząśnięty Sasza, zrobił co mu kazała.

Jander przystanął i spojrzała na zawieszony jakieś trzy metry nad nimi balkon.

- Złapcie mnie oboje za szyję - polecił, a kiedy posłuchali, dodał - Trzymajcie się.

Złapał równowagę, przykucnął, po czym wskoczył na balkon.

We troje ruszyli do kaplicy, sprawdzając mijane po drodze komnaty i alkowy. Niczego nie udało im się znaleźć. Kiedy zaczęli przeszukiwać samą kaplicę, ostrożnie opędzając się od wszędobylskiego szkieletu-strażnika, sił dodawała im świadomość nadchodzącego już zmierzchu.

- Święty przedmiot powinien znajdować się w uświęconym miejscu - w głosie Saszy słychać było nadzieję.

Ale znów nic nie odkryli. Sasza i Leisl byli już bardzo zmęczeni; nawet wampirowi wysiłek powoli dawał się we znaki. Kapłan napełnił lampę olejem, zapalił ją ponownie i położył się na jednej z ław, trąc kułakiem oczy. Leisl leniwie żuła wygrzebany z plecaka kawałek chleba, nie przestając rozglądać się dookoła bystrymi, orzechowymi oczyma. Zdawało się, że nie czuje się tu najlepiej.



- No dobra, co teraz robimy? - zagadnęła z pełnymi ustami. Jander obrzucił ich oboje spojrzeniem, ale nie odpowiedział, przygnębiony porażką. Jego myśli bez przerwy krążyły wokół sytuacji, w której się znaleźli. W podziemiach wciąż cierpieli więźniowie, w większości dzieci, Anna nie została pomszczona, a Strahd wróci tu niebawem. Odważna misja przeciw arystokracji-wampirowi przyniosła w efekcie ledwie kilka unicestwionych niewolnic i zniszczonych trumien.

Zaklął cicho. W uszach wciąż dźwięczało mu pytanie Leisl: co teraz robimy?

Nie umiał odpowiedzieć.

Usłyszał znajomy, stłumiony grzechot, obwieszczający zbliżanie się szkieletu-straznika. „Czyżby pora już była zamykać kościół?”, pomyślał żartem. Zmęczony i zniechęcony podniósł wzrok na stróża kaplicy.

To, co dostrzegł, sprawiło, że podskoczył, napinając wszystkie mięśnie.

Tysiące razy oglądał tę żalną postać; potrafiłby ze szczegółami opisać chodzącą kupę kości. Jednak nigdy tak naprawdę nie widział tego, co od dziesięcioleci znajdowało się w zasięgu jego rąk. Ramiona kościotrupa wciąż przyozdobione były resztkami oficjalnego stroju. Pas, jeśli takowy był, dawno opadł na ziemię, ale wysokie, skórzane buty wciąż trzymały się na nogach i spowalniały jego kroki. Na kościstej szyi od setek lat wisiał medalion.

Wykonany z platyny naszyjnik miał kształt słońca wysyłającego na wszystkie strony swoje promienie. W samym środku osadzono kryształ kwarcu. Medalion kołysał się w takt poruszeń szkieletu i głucho stukotał o żebra, migocząc w świetle pochodni.

Nagle Jander przypomniał sobie okładki ksiąg z gabinetu, na których wytłoczono ten sam wzór, rozbłyskujące słońce; potem pomyślał o fresku i inskrypcji, którą udało mu się odsłonić KRÓL GOBLINÓW UCIEKA PRZED POTĘGĄ ŚWIĘTEGO SYMBOLU KRUCZEGO RODU. Wszystko zaczynało układać się w spójną całość - napastliwa uwaga w dzienniku Strahda, dotycząca kapłaństwa Sergieja:... ale dostojnicy kościoła zezwolili mu na noszenie Kapłańskiego Naszyjnika, nawet niebrzydkiego cacka, które ma dla chłopaka ogromne - może nawet zbyt duże - znaczenie emocjonalne; bezgłowy posąg w Sali Bohaterów, na którego piersi wyrzeźbiono ten sam wisior; portret trójki braci, z których najmłodszy nosił go na szyi; krzyk Strahda, pochylającego się nad ciałem zamordowanego brata: Miałeś zostać kapłanem.

Ten, który najbardziej kocha, ma serce z kamienia - cicho rzekł Jander. Prawda olśniła go niczym jasność słonecznego blasku: kryształ kwarcu w medalionie był częścią słońca, zaś szkielet, który stał teraz przed nim, to wszystko, co pozostało ze szlachetnego, kochającego Sergieja.

- Jander? - niepewnym głosem zagadnął Sasza.

Elf gwałtownie zaczął działać. Krzyknął i z gołymi rękoma rzucił się na szkielet, łapiąc pojedyncze kości i rozrzucając je wokół jak szalencie. Żebra zaklekotały o posadzkę, ramiona potoczyły się do kątów, czaszka odbiła się i roztrzaskała o kamienną podłogę.

Nagły atak Jandera wyzwolił uwięzioną w szkielecie duszę. W pewnym sensie byli z Sergiejem braćmi - mógł tylko kochać kogoś, kto tak głęboko umiłował Tatianę, Annę. Szał minął równie nagle, jak przedtem się pojawił i elf przyglądał się rozrzuconym po podłodze kaplicy kościom. Wiedział, że kiedy następnym razem ktoś zbliży się do posągu najmłodszego z von Zarovichow w Sali Bohaterów, znajdzie tam zwykły posąg i nic poza tym.

Sergiej nareszcie zazna pokoju, pozostawiając po sobie to, czego Jander poszukiwał - sposób, aby zemścić się za nich obu na Strahdzie, czyli na potworze, który zniszczył ukochaną przez obydwóch kobietę.

- Mamy to - rzucił chrapliwie elf, wskazując drżącym palcem migoczący na ziemi medalion. - Tb jest częśćka słońca.

Zdumiony Sasza wyciągnął równie drżącą rękę i podniósł naszyjnik. Czuł, jak zimny metal leżącego mu spokojnie na dłoni medalionu rozgrzewa się od jego dotyku. Leisl zaglądała mu przez ramię, gdy wodził palcem wzdłuż zdobiących klejnot runów. Niektóre rozpoznawał: Prawda, Współczucie, Wybaczenie, Sprawiedliwość, Światło... Święty Symbol Kruczego Rodu rzeczywiście zdawał się kryć w sobie kawałek słońca. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widział.

- Hej, to jest warte całkiem niezły grosz - skomentowała Leisl, choć i w jej głosie pobrzmiwał szacunek. Sasza uśmiechnął się lekko, po czym odwrócił się do elfa z oczyma pełnymi łez. Wiedział, że Jander kocha piękno i nagle zapragnął podzielić się cudownością Symbolu z tą umęczoną duszą.

- Janderze, dotknij go. Musisz go dotknąć.

Elf był równie zachwycony i, niczym przyciągany do medalionu, wyciągnął dłoń w rękawiczce, by delikatnie go dotknąć. Natychmiast szarpnął ją z powrotem i przycisnął, poczerniałą i dymiącą, do piersi. Jęk bólu wyrwał mu się z usL

- Och, Jander, przepraszam! Chciałem się tylko nim z tobą podzielić! - na twarzy Saszy widać było szczerzy żal.

- Nic się nie stało - odrzekł Jander. - Najwyraźniej nie jest przeznaczony dla takich, jak ja - uśmiechnął się, ale pod wpływem bólu uśmiech przeszedł w grymas. - Teraz wiesz, dlaczego chciałem, żebyś przyszedł tu ze mną. Jeśli medalion wyrządził mi taką krzywdę, a ja tylko ledwie go dotknąłem, pomyśl, co się stanie, jeśli użyjesz go przeciw Strahdowi.

- Serce z kamienia - rzekł Sasza spoglądając na klejnot - Tak, jak mówiła Maruszka.

Jander podniósł głowę.

- Maruszka?

Sasza kiwnął głową, zbyt pochłonięty pięknem medalionu, by zwrócić uwagę na napięcie w zwykle spokojnym głosie elfa. Jednak Leisl wbiła w wampira baczne spojrzenie.

- Poszliśmy z Leisl do Vistanich, żeby przepowiedzieli nam przyszłość - wyjaśnił Sasza. - Tb ona dała nam wskazówki.

- Kiedy tam byliście?

Kapłan podniósł wzrok na spotkanie wzroku Jandera; strach, który dostrzegł w jego oczach, przygnębił go.

- Parę tygodni po tym, jak poprosiłeś mnie, żebym pomógł ci pokonać Strahda. Coś nie tak? Wiem, że większość Cyganów to oszuści, ale ta...

Jander poderwał się na nogi i czujnym spojrzeniem obrzucił kaplicę.

- Chodźmy - ponaglił. - Musimy się stąd wydostać. Leisl nie trzeba było dalszej zachęty, czekała już na nich, gotowa do odejścia. Cały czas miała rację; coś tu nie grało.

- O co chodzi?

- Sasza, jesteś głupcem! - wykrzyknął Jander. - Vistani szpiegują dla Strahda! Jeśli poszłicie do Maruszki, a ona powiedziała ci to wszystko, to wie, że tu jesteśmy. A to oznacza...

- Ze Strahd też wie, że tu jesteśmy - dokończyła Leisl, na której twarzy malowało się rosnące przerażenie.

Nawet w migotliwym, pomarańczowym świetle pochodni Jander widział wyraźnie, że krew odpłynęła Saszy z twarzy.

Nagle pochodnia i lampa zgasły. Nagły podmuch zimnego powietrza przeleciał przez kaplicę, niemal zwalając z nóg trójkę przyjaciół. Jander widział w infrawizji dokładnie tyłą co Sasza i Leisl normalnym wzrokiem, ale czuł obecność złej istoty w tym niegdyś uświęconym miejscu. Rozległ się głęboki, pełen satysfakcji śmiech, przechodzący w pełen radości jęk, który harmonijnie współgrał z wyciem wichru. Przez całą tę kakofonię przebijał się skowyt wilków, od którego włosy jeżyły się na głowie.

- Za późno - dobiegł ich miękki głos Strahda.

## DWADZIEŚCIA SIEDEM



Wilki przybyły na wezwanie, tak jak o całe pokolenie wcześniej przybyły do wioski, ze wspólnym, morderczym zamiarem. Wpadły do zamkowej kaplicy z korytarza, z alkowy, przez drzwi do ogrodu; niektóre wdarły się przez witrażowe okna, rozpryskując tęcze szklanych kryształków. Jander w myśli nakazał kilku zwierzętom odejść.

Wilki całkowicie zignorowały jego rozkaz. Nie potrafił nawet wyczuć ich umysłów.

- Kiedyś już upokorzyłeś mnie tą sztuczką - w głosie Strahda pobrzmiwała nuta zadowolenia. - Tym razem ci się nie uda.

Pierwszy otrząsnął się Sasza. Czystym, spokojnym, choć wysokim ze strachu głosem rozpoczął inkantację, wodą święconą znacząc krąg wokół siebie i Leisl. Wilki zaszarżowały, ale zmuszone były gwałtownie zatrzymać się tuż przy granicy tego okręgu i tylko powarkiwały zaskoczone.

Jander dostrzegł Strahda, siedzącego wysoko na balkonie, piętnaście metrów ponad nimi - był ledwie przypominającą cień sylwetką z bladą plamą w miejscu twarzy. Hrabia wstał i podszedł do skraju balkonu.

Najgorętszym pragnieniem Jandera było doskoczyć do znenawidzonego wroga i rzucić się na niego z gołymi rękami i zębami. Wiedział jednak, że jeśli uczyni choć jeden ruch, Strahd zniszczy go, taki jest los nauczycieli, którzy przestawali być użyteczni. Przywołał więc na pomoc całe swe pięćsetletnie zapasy cierpliwości umarłego i nie poruszył się, czekając, aż będzie miał pewność, że hrabia poświęcił mu całą swą uwagę. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, elf uśmiechnął się i rozplynął w obłok delikatnej mgiełki, który po chwili stał się praktycznie niewidzialny.

W tej postaci nie miał wprawdzie żadnych cielesnych organów, ale mógł „widzieć” i „słyszeć” wszystko, co się dzieje. Hrabia, zaskoczony i rozdrażniony, wychylił się przez skraj balkonu.

- Janderze! Nie umkniesz mi tak łatwo! - ryknął. W jego oczach rozpałał się czerwony ogień. Nagle jednak uspokoił się i zwrócił uwagę na Saszę i Leisl. Oboje nadal stali w ochronnym kole, wyznaczonym przez kapłana. Tuż za linią święconej wody kręciły się, powarkując, zaskoczone wilki.

Sasza Pietrowicz, kapłan Lathandera - odezwał się hrabia pozbawionym emocji tonem, godnym rozmowy towarzyskiej. - Jesteś odważnym klerykiem, trzeba ci to przyznać, jeśli przychodzisz ot, tak sobie wprost do kryjówki wampira. Jeszcze większej odwagi trzeba było, by się z wampirem zaprzyjaźnić. Ale próżne twoje wysiłki! Ty i twoja przyjaciółka-złodziejka zginiecie, a wasza śmierć na nic się nie zda. Jander opuścił was; teraz widzicie, jak postępuje, kiedy tylko zaczną się jakieś kłopoty.

Sasza nie chciał w to uwierzyć, ale rzeczywiście wszystko na to wskazywało. W jednej ręce ścisnął mocniej Święty Symbol Kruczego Rodu, drugą zaś przycisnął mocniej do siebie Leisl, wciąż drżącą na widok szarych pieśniarzy.

- Prawda to czy nie - odparł młodzieńczym, pewnym głosem. - Wciąż jesteś moim wrogiem, hrabio Strahdzie. Oto jak pomszczę śmierć

mojej rodziny!

Już chciał podnieść medalion wysoko w górę, lecz hrabia nagle zniknął.

Zmieszany kapłan zawahał się, a po chwili Strahd zmaterializował się zniemacka na samej krawędzi ochronnego kręgu. Uśmiechał się triumfalnie, lodowatymi dłońmi przytrzymując przerażoną, młodą kobietę.

Sasza wydał dźwięk, jakby się krztusił. W wielkich, sarnich oczach dziewczyny czaił się lęk.

- Katia! - wyszeptał, porażony strachem.

Mgła zawieszona w powietrzu parę kroków dalej zareagowała podobnym przerażeniem. Katia? Narzeczoną Saszy była w istocie Trina, wilkołaczka szpiegująca dla Strahda! Jander przez moment chciał się zmaterializować i ostrzec Saszę, powstrzymać go przed tym, co młodzieniec zamierzał uczynić. Zwalczył w sobie tę pokusę; tylko cierpliwość mogła przynieść mu zwycięstwo w tej walce, nic więcej. Na bogów, jakże trudno było mu jednak tak stać i patrzeć, jak Strahd bawi się kosztem jego przyjaciół, zupełnie jakby rozgrywał partyjkę „Jastrzębi i zajęcy”...

Sasza stał bez ruchu, na jego twarzy malował się niewysłowiony ból. Do tej pory trwał niewzruszony, bezpieczny w swym przekonaniu o słuszości misji i wierze we wszechmoc swego boga. Teraz stracił zupełnie ducha i poddał bitwę, zanim się rozpoczęła.

- Nie rób jej krzywdy - rzekł cicho. - Proszę, cokolwiek mi zrobisz, nie krzywdź jej.

- Wszystko w twoich rękach, Saszo Pietrowiczu. Rzuć amulet, a będzie żyła - wymruczał Strahd. - Zrób choć jeden ruch w moim kierunku, a zginie natychmiast.

Jakby na potwierdzenie tych słów, odgarnął z gardła dziewczyny kasztanowe włosy, obnażył kły i przysunął je do pulsującej w szyi tętnicy... bliżej... jeszcze bliżej...

- Sasza, nie rób tego, on nas wszystkich pozabija - zaczęła Leisl. Strahd zatrzymał się, przygważdżając ją spojrzeniem płonących oczu.

- Nie waż się nawet drgnąć, złodziejko - rozkazał. Leisl nie odezwała się, czując, że znika jej brak zaufania. Wampir patrzył jej wprost w oczy i poczuła, jak jej wola słabnie.

- Dobrze - wtrącił złamanym głosem Sasza. - Na litość boską, puść ją. Ona nigdy nikogo nie skrzywdziła.

Gorzka ironia tych słów aż targnęła Janderem. Cierpliwości, przypomniał sobie.

Święty Symbol Kruczego Rodu wypadł ze zmartwiałych palców Saszy na kamienną posadzkę.

- Znakomicie, Sasza. Tak się cieszę, że jesteś rozsądny. Proszę, zrób to dla mnie i kopnij go teraz tak, żeby wyleciał na zewnątrz kręgu - polecił Strahd. Kiedy Sasza, otepiał z bólu, nie poruszył się, hrabia szarpnął dziewczynę za ramię. Trina, do końca grając swą rolę - a może Strahd naprawdę zrobił jej krzywdę - syknęła z bólu. Tym razem Sasza pospiesznie wykopał piękny medalion poza obręb koła. Klejnot chrobocząc przejechał po podłodze.

- Dziękuję ci, dziękuję bardzo. Za wszystko. Widzisz, pozwoliłem wam znaleźć tę błyskotkę, gdyż sam chciałem ją odszukać. Teraz, kiedy już ją mam, będę ją mógł przechowywać w bezpiecznym miejscu, prawda?

Jander tracił „wzrok”. Nigdy dotąd nie próbował tak długo pozostać mgłą; zwykle wystarczała chwila - by uciec przed pościgiem bądź przemknąć pod drzwiami. Nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma. Wolno spłynął ku rozgrywającej się scenie.

Wiedziałem o słynnym Świętym Symbolu Kruczego Rodu - ciągnął Strahd. - Ale nie wiedziałem dokładnie, jak ta przeklęta rzecz wygląda! Najwyższy z Wysokich Kapłanów imieniem Kir zmarł zanim zdążył przekazać sekret Sergiejowi. Muszę przyznać, że nie miałem pojęcia, iż naszyjnik mojego ukochanego brata jest owym budzącym grozę Symbolem. Przeceniałem kapłanów sądząc, że będą go bacznie strzegli.

- Ale dzięki wam, drodzy przyjaciele - tu pokłonił się obłudnie Saszy i Leisl - mam tę błyskotkę w garści. Podnieś to, moja droga - dodał, tym razem kierując swe słowa do Katriny.

Trina w okamgnieniu porzuciła rolę wielkookiej chodzącej delikatności, jakby pozbywała się przebrania. Jej śmiech odbił się echem od ścian korytarza, kiedy zarzuciła Strahdowi ramiona na szyję i pocałowała go w błądy policzek.

- Jejku, jesteś taki mądry!

Niczym dziecko zbierające kwiatki poskoczyła radośnie ku porzuconemu symbolowi i podniosła go ciekawie. Sasza nie spuszczał z niej wzroku; jego zmartwiałe umysł odtajał akurat na tyle, by zrobić miejsce nowemu okropieństwu, jakiego był świadkiem.

- Katiu, nie!

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, bardziej złowrogo.

- Zaczynasz rozumieć, kochanie. Och, jakże łatwo, jak łatwo dałeś się oszukiwać!

Sasza otrząsnął się z szoku, jaki wywołała w nim ta zdrada. Cygańska krew zagotowała się w nim na myśl o oszustwie. Ściągnął brwi, a oczy zapowiadały wybuch wściekłości, jakiego nie powstydziliby się czystej krwi Vistani. Z wściekłym warknięciem sięgnął po różowy, drewniany dysk, święty symbol Lathandera.

- Głupi klecho! - ryknął Strahd. - Jak śmiesz grozić mi w moim własnym domu! Chciałbyś tak po prostu zniszczyć tę krainę?

Nagle u stóp Saszy i Leisl rozległ się syk i święcona woda zaczęła gwałtownie parować, przemieniając się w smużki pary. Trzymany

przez Saszę dysk wybuchnął płomieniem; kapłan krzyknął z bólu. Siódemka wilków, podenerwowana, zaczęła podskakiwać.

- Nie. Siedźcie i pilnujcie - przemówił do nich Strahd, głównie z myślą o Saszy. - Dopilnujcie, żeby ten kapłan przyglądał się, co dzieje się z jego przyjaciółką. Przynajmniej przez jakiś czas.

Odwrócił się do Katriny.

- Zajmij się nim, jak będziesz gotowa - rozkazał. Katrina spojrzała na Saszę, nie wypuszczając symbolu z rąk. Na jej śliczną, dziką twarz powoli wypełził szeroki uśmiech.

- Chodź, Sasza, najdroższy. Pocałuj mnie. Nie chcesz mnie pocałować? - odrzuciła głowę w tył i zawyla nieludzkim głosem. Skóra na jej ciele pomarszczyła się, sztywne włosy pojawiały się i znikaly.

- Katia! - Sasza nie mógł uwierzyć w koszmar, który się przed nim rozgrywał. Oczy Triny pozostały bez zmian, ale przednia część jej twarzy wydłużyła się, przypominając groteskowy wilczy pysk. Przez skórę przebiły się szare włosy.

Leisl nie poruszyła się, wpatrzona w wampira.

- Chodź do mnie, najdroższa - rzekł Strahd swoim zachęcającym, aksamitnym głosem. - Chodź.

Mały Lis ruszyła powoli w jego kierunku.

- Odpowiadasz za śmierć moich niewolnic, więc to chyba słuszne, że staniesz się pierwszą z nowych zastępów, prawda?

- Nie! - wykrzyknął Sasza, oderwawszy się na moment od przerażającego widoku Katriny, stojącej parę kroków od niego i przesuwał się językiem po wilczych szczękach. - Zostaw ją!

Katrina znieruchomiała, po czym odwróciła zwierzęcy łeb ku Strahdowi.

- Co takiego? - warknęła. - Zamierzasz zrobić z niej wampira?

- Tak sądzę - odparł Strahd, nie zwracając na nią uwagi. Przesunął palcem wzdłuż linii dolnej szczęki Leisl. - Nie wydaje mi się, żeby Jander Sunstar naprawdę nas opuścił. Ten głupiec ma zbyt szlachetną naturę, by uciec. Zranię go, robiąc temu dziecku krzywdę. Kapłanowi też zrobi się przykro, kiedy będzie patrzył. Poza tym mam wrażenie, że to materiał na interesującą towarzyszkę.

- Nie zrobisz tego! - wściekle warknęła wilkołaczycza, odwracając się i stając twarzą w twarz ze Strahdem. Ręce miała wciąż wystarczająco ludzkie, by na podobieństwo broni ścisnąć w nich Święty Symbol Kruczego Rodu.

W oczach Strahda jej wybuch wywołał cień zaskoczenia, ale hrabia nie wykonał najmniejszego ruchu. Jeszcze nie. Katrina zacisnęła dłoń na Symbolu.

- To wszystko twoja wina - wywarczała. - Wyszukiwałaś sobie wciąż nowe i nowe kobiety, przez które nie miałeś czasu dla mnie. Zastanawiałaś się, jakim cudem tyle z nich zginęło. Pozbywałam się ich, zmieniałam się w wilka i prowadziłam je do Saszy, który zabijał je dla mnie. A teraz słyszę, jak mówisz mi, że uczynisz ją wampirem i wszystko zacznie się od nowa? Nie chcę o tym słyszeć!

- Katrina, kochanie - wykrzyknął Strahd, odwracając się od Leisl. - Nie sądzisz chyba, że ta żalosna istota mogłaby kiedykolwiek zająć twoje miejsce w moim sercu! To tylko zabawa i sposób na dokonanie zemsty, nic więcej. Jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, to zwyczajnie zabiję ją.

- Zrób to - zażądała. Łzy zazdrości wezbrały w jej wciąż ludzkich oczach i zaczęły spływać po kudłatych policzkach. Jej ramiona opadły, rozluźniła uchwyt na Świętym Symbolu.

- Nie! - wrzasnął Sasza.

Teraz, pomyślał Jander.

Bez najmniejszego ostrzeżenia smukły, złotobrazowy wilk wyskoczył spomiędzy reszty gromady i chwycił w zęby medalion, po czym szybciej niż kiedykolwiek przedtem zmienił się najpierw w mgłę, a potem przybrał elfią postać, trzymając w ręce Święty Symbol Kruczego Rodu. Symbol palił go żywym ogniem, zadając, jak poprzednio, wściekły ból. Z przypalonej dłoni unióś się swąd przypalonego mięsa. Jander nie zwracał na to uwagi.

Wiele rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Rozwścieczona Katrina uległa całkowitej transformacji i zmieniła się w potężną, szarobrunatną wilczycę. Skoczyła na Leisl, uderzając ją mocno w tułów i przewracając na ziemię. Mały Lis zdołała jednak sięgnąć po sztylet, który dał jej Jander. Lewą dłonią zasłoniła gardło, a prawą wbiła broń Baal Verzi głęboko w bark Katriny.

Wilkołaczycza zawyla z bólu i wykręciła całe ciało; zatopiła zęby w ramieniu Leisl i sztylet upadł na podłogę, kiedy dziewczyna wydała z siebie przenikliwy krzyk. Nigdy dotąd nie czuła takiego bólu, a w dodatku ta kobieta-wilk, z którą się mocowała, zdawała się być wszędzie naraz. Pazury darły twarz dziewczyny, sierść dusiła ją, ostre zęby trafiały na odsłonięte ciało, kłusząc, rozszarpując.

Mały Lis miała zginąć i zdawała sobie z tego sprawę.

Nie poddawała się jednak, krzesząc z siebie resztki gwałtownie ubywających sił w walce z przerażającą bestią. Walczyła jak zwierzę, paznokciami i zębami, nie o własne życie, lecz o życie Saszy.

Tyłne łapy wilczycy rozorały jej brzuch. Leisl jęknęła, czując tryskającą fontannę krwi. Poczwała przy twarzy gorący, cuchnący padliną oddech i jej wzrok zmętniał.

Sasza sprawnie i skutecznie radził sobie z pozostałymi wilkami. Skoczył w kierunku lampy naftowej i ze słowami modlitwy na ustach cisnął ją pomiędzy zwierzęta. Dymiący knot ożył nagle i kałuża nafty buchnęła płomieniem. Rozbłysło światło, rozpędzając ciemności po kątach niczym tchórzliwe szczury. Dwa z wilków trafiły w sam środek ognia i teraz uciekając wyły z bólu, dwa następne, lżej poparzone, również zmykały z podwiniętymi ogonami. Pozostałe dwa skoczyły na Saszę, który bronił się przed nimi młotkiem, służącym mu przedtem do zabijania wampirów. Szczęśliwym trafem zdołał zgładzić jedno ze zwierząt, druzgocząc mu czaszkę udanym ciosem, a wówczas ostatni z przeciwników uznał, że ma dość i Sasza został sam.

Niczym anioł zemsty rzucił się na pomoc Leisl; jego twarz, zwykle miła i łagodna, wykrzywił grymas słusznego gniewu. Tracąc przytomność Leisl usłyszała jeszcze jego okrzyk i ujrzała, jak jakimś błyszczącym przedmiotem uderza w grzbiet Katriny.

Wilkołaczka zawyla, długo, przeciągle, aż wydawało się, że dźwięk nigdy nie umilknie. Kiedy wreszcie ucichł, Trina uciekła, z lewym bokiem przypalonym przez srebro jednego ze świętych symboli Saszy. Mały Lis pozostała przytomna akurat tak długo, by ujrzeć malującą się na ukochanej twarzy kapłana troskę, po czym jej głowa bezwładnie opadła na jego ramię.

Tymczasem Jander stanął wreszcie twarzą w twarz ze swym wrogiem. Mimo bólu czuł rozpalający go płomień satysfakcji. Wzniósł Święty Symbol, gotów uderzyć nim Strahda w twarz.

- Głupcze! Nie możesz użyć go przeciwko mnie!

- Czyżby? Byłem wyznawcą Lathandera, Strahdzie! Lathandera, Pana Poranka! A to - poruszył medalionem - jest cząstka słońca.

Coś na kształt strachu przemknęło po ostrych rysach oblicza hrabiego. Zniknął wściekły mars z czoła, twarz przybrała bardziej ugodowy wyraz.

- Co próbujesz osiągnąć, przyjacielu? - spytał łagodnie, słodkim niczym miód głosem. - Tb, co robisz, z pewnością zniszczyłoby również ciebie. Przyjrzyj się swojej dłoni!

Głos brzmiał kojąco, ale Jander nie ustępował. Powodował nim rozpalony do białości ogień nienawiści.

- Nie wiesz o wszystkim - rzucił. - Pozwól więc, zanim umrzemy, że opowiem ci o Annie.

- Tak, tak, pamiętam tę biedną, obłąkaną dziewczynę, na której krzywdzicielu przybyłeś się... - Strahd urwał. - Czyżbyś sądził, że to ja jestem tym, który ją wtedy skrzywdził?

- Wiem, że to ty. Nie miała na imię Anna. Po tym, jak zniszczyłeś jej umysł, tyle tylko umiała powiedzieć, ledwie fragment własnego imienia; tak jak i ona sama była ledwie cząstką własnej istoty - Tatiany.

Na bladej twarzy hrabiego zagrały gwałtowne emocje.

- Nie - wyszeptał zbolalym tonem. - Kłamiesz, elfie. Przedostała się przez mgły...

- Ależ tak, spadła poprzez mgły - ciągnął Jander, wolno zbliżając się do drugiego wampira. Coraz trudniej przychodziło mu ignorować narastający ból w dłoni. - Przynajmniej jakaś jej część. Ale nie cała Tatiana. Jakaś cząstka tak bardzo chciała się uwolnić, że udało się jej to sprawić i trafiła do mojego świata. Tylko że na skutek okropieństw, jakich musiała doświadczyć, straciła rozum. Okropieństw, które były twoim dziełem!

- Nie! Kochałem ją! Chciałem tylko...

- Zniszczyłeś ją, draniu. Zanim ją znalazłem, została z niej niemal sama cielesna powłoka, ale resztki duszy, jakie dawało się w niej dostrzec, wystarczyły, bym ją pokochał - zdradzieckie łzy zaczęły napływać mu do oczu, grożąc pogorszeniem widzenia. Rozzłoszczony zamrugał oczami, żeby je odpędzić. - Nic by mnie to nie obchodziło, gdyby kochała Sergieja; on uczynił ją szczęśliwą, uczynił ją całością. Ty miałeś ją taką i zniszczyłeś ją. Bądź przeklęty!

Elf podniósł głos, wypełniając kaplicę, gdy Jander dawała upust swej wściekłości.

- Jander... Gotów byłbyś za to umrzeć? - Strahd był wstrząśnięty.

Elf odpowiedział czynem. W milczeniu pomodlił się do Lathandera, Pana Poranka, nieprzyjaciela wampirów. Tylko ta jedna rzecz, prosił. Ześlij mnie w otchłań, jaka mnie czeka, ale pozwól na ten jeden dobry uczynek.

Z ręki, w której ścisnął Symbol, zostały tylko zwęglone kości, ale udało mu się go nie upuścić, kiedy wzniósł ramię i skierował naszyjnik w stronę Strahda.

Poczuł, jak przez jego ciało przepływa moc, tak jak przez naczynie; czuł, jak niemal rozsadza mu serce i płynie wzdłuż ramion, by skupić się w platynowym medalionie. Z kryształu trysnął snop światła. Z ust Jandera wyrwał się bolesny jęk. Jasny, złoty promień trafił Strahda w sam środek klatki piersiowej.

Wampir krzyknął w męce, jego ciało napięło się całe i wygięło do tyłu, a twarz wykrzywił mu grymas cierpienia. Jander patrzył, a jego serce przepelniała szalona, ogromna radość. Nigdy przedtem cierpienie innych nie sprawiało mu przyjemności, ale tym razem zadowolenie przyćmiło nawet rozdzierający ból w ręce.

Elegancki strój zaczął się tlić, by w chwilę potem buchnąć płomieniem w miejscu, gdzie trafiło święte światło, przepalając sobie drogę coraz głębiej, wywołując pęcherze i zwęglając skórę. Hrabia zachwiał się z bólu, stracił równowagę i przewrócił się za jedną z ławek.

To poruszenie przerwało na moment działanie strumienia światła, więc Jander przesunął się szybko, ponownie ogniskując promień

tryskający z kryształu. Ale ten moment był wszystkim, czego Strahd potrzebował. Zanim światło padło na niego powtórnie, hrabia zdążył wypowiedzieć słowa zaklęcia i, ku przerażeniu Jandera, na jego twarz wypłynął uśmiech przemieszanego z bólem triumfu.

Strahd zniknął.

- Nie! - jęknął Jander. Tak blisko, tak niewiele mu brakowało. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i elf upadł na podłogę.

## DWADZIEŚCIA OSIEM



Jander z trudem otworzył oczy. Nadal leżał na podłodze w kaplicy, zupełnie bez sił. Spróbował się podnieść, ale udało mu się ledwie słabo poruszyć palcami, a i tak jęknął z wysiłku.

Ktoś stanął przy nim.

- Witamy - rozległ się łagodny głos Saszy. - Był moment, kiedy myślałem, że już cię straciliśmy.

Elf nie odpowiedział. W zamian za moc posłużenia się Świętym Symbolem ofiarował Lathanderowi wszystko, co miał. Bóg przyjął jego ofiarę i Jander wiedział, że musi umrzeć.

Umrzeć gorzką śmiercią, z poczuciem niespełnienia. Na myśl o tym, jak został oszukany, poczuł złość. Jeśli odnajdziesz swoją sprawiedliwość, stanie się to za sprawą słońca. Fałszywa Prorokini! Zaklął. Postawił wszystko na szali i przegrał, a Strahda nie udało mu się zniszczyć; zranił go, to prawda, ale nie unicestwił.

Jander leżał twarzą w dół w kaplicy. Nie było całkiem ciemno, bowiem świt zbliżał się już. Czuł, jak resztką żywotności opuszcza go i wsiąka w kamienie Ravenloft.

- Co... - zaczął, ale nie miał siły, by skończyć zdanie. Sasza popatrzył mu w oczy i domyślił się, co chce usłyszeć.

- Strahd zniknął. Wydaje mi się, że w ostatniej chwili zdołał rzucić zaklęcie. Leisl jest ciężko ranna, ale udało mi się wyleczyć najpoważniejsze rany. Ty natomiast prawie całą noc byłeś nieprzytomny. Wyrysowałem wokół nas trojga ochronny krąg i przez noc stałem na straży - uśmiechnął się. - Bogom niech będą dzięki za jedzenie, które Leisl zabrała ze sobą. Cały czas jadłem i czuję się teraz o wiele lepiej.

- Całą noc, tutaj?

- Tak. Nie wiem, co może nas spotkać na zewnątrz, a bałem się odejść, zanim Leisl nie będzie w stanie choć trochę chodzić. Bylibyśmy zbyt łatwym celem.

Jander usiłował zebrać rozproszone myśli. Czuł, że pomału wracają mu siły, przynajmniej na tyle, żeby mógł mówić.

- Myślę, że za dnia będziecie bezpieczni. Strahd jest ranny, chociaż nie zginął - elf starał się, by w jego głosie nie zabrzmiała gorycz, ale nie udało mu się. - Leisl... Została pokąsana. Kiedy będziecie się zbierać, idź do gabinetu Strahda. Weź wszystko, co może ci się przydać, ale zwróć szczególną uwagę na jedną z tamtych ksiąg, z której dowiesz się, jak wyleczyć Leisl.

- Wyleczyć? Jander, nic jej nie będzie.

- Niezupełnie. Pogryzł ją wilkołak i przy najbliższej pełni księżyca ona też przejdzie przemianę.

Sasza zmartwiał. Likantropia, śmiertelnie groźna choroba, była bardzo zaraźliwa i Mały Lis właśnie najprawdopodobniej została zakażona. Nagle zapało mu dech w piersi. Co by się z nim stało, gdyby Leisl, kochana, dzielna, uparta Leisl zginęła? Zaskoczyło go uczucie, jakim darzył tę dziewczynę.

- Natychmiast pójde po tę księgę - rzekł i wstał z ziemi.

Jander jęknął z wysiłku i wyciągnął w jego stronę zdrowe ramię.

- Nie odchodź. Jeszcze nie. Mogę nie dożyć twojego powrotu.

Kapłan powtórnie przyklęknął przy nim.

- Przestań, Jander, wszystko będzie dobrze. To dobry znak, że udało ci się przeżyć tę noc. Spróbujemy... eeee... dostarczyć ci pożywienie - urwał, czując się niezręcznie, choć gotów do pomocy. Popatrzył dookoła, zauważając, że elf leży tuż pod jednym z rozbitych przez któregoś wilka witraży. Dzień był blisko; niebo całkiem już poszarzało.

Sasza wsunął ręce pod ramiona leżącego, próbując odciągnąć go w bezpieczne miejsce. Z ust wampira dobył się głośny krzyk.

- Przepraszam, Jander. Nie chciałem zrobić ci nic złego, tylko odsunąć cię stąd, gdzie padnie światło słońca.

Elf pokręcił głową. Z chaosu myśli powoli wyłaniał się spokój.

Czy naprawdę zawiódł Annę? Osłabiony, wolny od żądzy zemsty, przypominał sobie swoje „sny”, zarazem pełne bólu i szczęścia i nagle dostrzegł w nich coś niewłaściwego.

Wiedział sporo o naturze Tatiany: obdarowała biedaka klejnotami, zakochała się nie we wspaniałym bohaterze wojen, lecz w spokojnym, cichym kapłanie; nawet w Waterdeep, będąc ledwie częścią samej siebie, dzieliła się żywnością z innymi, odbierając sobie od ust Czy taka świetlista duszyczka naprawdę mogła nakłaniać go do zemsty? A kiedy się wahał, karać go koszmarami?

To niemożliwe. Zdał sobie sprawę, że gdyby to rzeczywiście dusza Anny nawiedzała go w snach, domagałaby się od niego wybaczenia Strahdowi wszystkich grzechów. Przecież jemu, Janderowi, wybaczyła, że ją zabił. Pierwsza odpowiedziałaby na zło dobrem, taka była bowiem prawdziwa natura jej szczerzego serca.

Wreszcie dostrzegł piękno starannie plecionych, okrutnych pajęczych sieci, którymi sama kraina próbowała go omotać i uwięzić. To jej ciemne moce starały się zapanować nad jego duszą, od czasu wielekroć wspomnianego ze smutkiem mordu w przytułku w Waterdeep. To Barovia dodawała mu siłę, rozpalając na nowo płomień zemsty w jego sercu, kiedy zdawał się już przygasać. To przez nią nieukojonny ból i tęsknota za słońcem targały wciąż jego duszą. Dostarczała mu ohydnej stawy, dzięki której rozkwitała jego nienawiść.

Ale Barovia nigdy nie pozwoliłaby mu zniszczyć Strahda. Jander został tu sprowadzony wyłącznie jako zabawka dla jej ulubionego dziecka, nigdy nie był niczym więcej.

Przez te wszystkie lata Strahd wiele się od niego nauczył, a kraina karmiła się rozpaczą elfa. Idealne rozwiązanie. Cały czas nim manipulowano, podsuwając to jakieś drobne zwycięstwo, to drobny powód do zadowolenia.

Moce ciemności nie pragnęły jego unicestwienia; wolały utrzymywać go przy życiu, rozpalać żądzą zemsty i napawać się jego bólem. Starały się również pokonać Saszę, jeśli nie zabijając go, to skazując na miłość, zbyt wszechogarniającą, by mógł dalej tropić nieumarłych. Zaś jeśli chodzi o Tatianę, to nic, co uczyniłby Jander, nie mogło przynieść jej duchowi ukojenia. Musiała powracać tu przez wieki, bo Barovia tak chciała.

Moce ciemności wolały utrzymywać przy życiu obu wampirzych władców. Nawet w tej chwili elf czuł, jak w jego ciało wsącza się nowa energia, czuł, że jakaś jego część chciałaby się za wszelką cenę skryć przed zabójczymi promieniami słońca. Troska Saszy służyła idealnie wypełnieniu zamiarów tego miejsca, ale Jander zrozumiał, że czekająca go tu zagłada może mu przynieść pociechę i stać się namiastką zwycięstwa. Za sprawą słońca i dzieci, przepowiedziała mu Maruszka. A więc nie była fałszywą Prorokinią.

- Nie - odrzekł stanowczo dziecku, które zostało poczęte tej nocy, gdy przybył do Barovii. - Pozwól mi zobaczyć światło.

- Nie możesz! Umrzesz...

- Posłuchaj, co mówisz, Sasza - roześmiał się Jander i spojrzał zdenerwowanemu kapłanowi w twarz. - Przecież już jestem martwy. Nigdy nie uda mi się zniszczyć Strahda. Jesteśmy skazani na to, by na wieki pozostać wrogami, a ja stawałbym się coraz bardziej zły i zgorzkniały, pragnąc zwycięstwa, którego odnieść nie mogę.

- Chcesz się poddać?

Jander pokręcił przecząco głową.

- Nie. Z własnej woli wybieram śmierć - spojrzał w kierunku, skąd nadchodził dzień. - Teraz posłuchaj mnie. Kiedy odejdę, kontynuuj naszą misję. Ze względu na własną duszę i dusze wszystkich, których kochasz, kieruj się słusznymi motywami. Jeśli ci się uda, zniszcz Strahda, pamiętając, że jego dusza zazna ukojenia i że wielu innym oszczędzisz podobnego losu. Nie pozwól, żeby powodowała tobą zemsta.

- Ale...

- Strzeż się samej krainy, która będzie usiłowała zniszczyć cię, wykorzystując przeciw tobie twoje najlepsze cechy. Bądź pewien tego, co czynisz, przyjacielu. Kiedy nadejdzie dzień i wszystko tu już się dokona, zejdź do lochów i uwolnij więźniów. Potem będziecie musieli z Leisl się ukrywać.

Sasza zaprzeczył ruchem głowy.

- W wiosce są ludzie, którzy ufają Panu Poranka.

Lathander wciąż tam będzie, tak jak zawsze był, a oni znajdą własną drogę ku światłu. Ty zaś i Leisl jesteście dla Strahda zagrożeniem i gdy tylko będzie mógł, spróbuje was zgładzić. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale w końcu jego rana zaleczy się i zacznie was ścigać. Tb jedno jest pewne - zamknął oczy.

Przez moment obaj trwali nieruchomo. Głowa Jandera spoczywała na kolanach kapłana, który nieświadomie zaczął gładzić jego złote włosy. Tb nieuczciwe, myślał. Jander nie chciał tego; jasność i światło były częścią jego natury, bardziej nawet, niż w przypadku Saszy i Leisl. Nie zasługiwał na to, by zginąć w taki sposób, spalony na popiół przez promienie słońca.

- Nie! - nawet samego Saszę zaskoczyła gwałtowność tego zaprzeczenia. - Nie umieraj! Jander, nie rób tego!

Zdziwił się, czemu nie widzi ostro i co to za ciepła wilgoć sływa mu po policzkach. Jander wyciągnął dłoń i otarł słońcą łzę z twarzy kapłana, rozcierając ją między kciukiem i palcem wskazującym.

- Wiesz jak dawno nikt już nade mną nie płakał? - rzekł cicho, głosem drżącym z emocji. W ten sposób powinien umrzeć. Nie z kołkiem przebijającym mu serce, nie tonąc w otchłani ciemności, nie spalając się w ogniu, namiastce czekającego go piekła. Znów usiąść na słońcu, poczuć ciepłe, miłośnie muskające go promienie, na moment przed tym, gdy pojawi się ból - tak właśnie chciał umierać. Przypomniał sobie słowa Lyrii: „Lepiej zginąć z ręki przyjaciela”. Teraz zrozumiał; nie miał lepszych przyjaciół, niż ten odważny półkrwi Vistani i wspaniałe słońce.

- Nie płaczcie po mnie. Od wieków z utęsknieniem czekałem na coś takiego. Proszę tylko, żebyś został tu, ze mną, kiedy... Sasza, zostaniesz?

- Nie opuszczę cię - odparł ochryple kapłan. Jander uśmiechnął się i odprężył.

- Pomóż mi usiąść - poprosił, a kiedy Sasza zrobił to, niepewnymi palcami odczepił od pasa flet. Z wysiłkiem podniósł go do ust, wziął wdech i zaczął grać, zapraszając świt, by nadszedł.

Nie dbał już o to, co stanie się z nim, kiedy oświetlą go promienie słońca. Miał jednak pewność, że wszystko będzie lepsze od żalostnej egzystencji, jaką wiódł przez ostatnie pięćset lat. Wreszcie skończą się ciemności, skończy się życie w śmierci. Nieważne, czym się stanie: popiołem, kawałkiem zwęglonego ciała, a może jeszcze czym innym, zgoła nieoczekiwanym, a kto wie, czy nie pięknym - nie będzie już stworzeniem nocy.

Niebo jaśniało, a muzyka elfa płynęła niczym woda. Jander przejrzał na wylot oszustwo, jakie zgotowała mu Barovia, wzniosł Święty Symbol przeciw innemu wampirowi, on, który miał być złem wcielonym. Może Pan Poranka znalazł sposób na to, by wlać odrobinę własnego piękna w tę krainę rodem z koszmarów; może świt przyniesie Janderowi nowe życie, zamiast po prostu zakończyć jego nieumarły byt.

Jander wpatrywał się wyczekująco w jaśniejący horyzont, czekając na cud, a jego pieśń była równie świetlista, jak brzask. Kiedy wreszcie słońce wspięło się ponad widnokrąg i opromieniło go niczym błogosławieństwem, zamknął oczy i chłonął je chciwie.



## Epilog

Wiele mil od zamku Ravenloft, daleko w górach, smukła szarobrunatna wilczyca przekroczyła próg ukrytej jaskini. Kulejąc na jedną łapę przemierzyła istny labirynt zakrętów, docierając w końcu do trumny, którą przebiegły wampir schował tu na szczególną okazję. Bark wciąż miała zeszywniały w miejscu, gdzie zranił ją sztylet, bliżej zadu zaś, na lewym boku, na zawsze już miała nosić wypalone srebrem znamię.

Powęszyła przy trumnie, machając niepewnie ogonem, ale zaraz uspokoiła się, rozczarowana. Pan nie obudzi się dzisiaj. Wskoczyła na wieko ciemnej, mahoniowej skrzyni, ziewnęła, zakręciła się w miejscu i zwinęła w kłębek. Kiedy pan już się zbudzi, na pewno jej przebaczy; gdy wstanie, czując szarpnięcia jego wnętrzościami głód, ona zadba o to, by miał świeżą ofiarę dla ugaszenia pragnienia.

Zraniony wampir śnił.

Strahd był ranny - poważnie ranny. Światło słońca omal go nie zabiło, czuł rozdierający, przypominający prawdziwą agonię ból. Będzie musiał odpoczywać wiele tygodni, może miesięcy, a może nawet lat. Cóż jednak znaczy czas dla wampira?

Jander niemal go zniszczył, ale Strahd wzbogacił się o wiedzę, którą przekazał mu starszy wampir; nauczył się nowych rzeczy i wiedział już, kto jest jego najgroźniejszym wrogiem.

Jeszcze się spotkają z Saszą Pietrowiczem, a wówczas chłopakowi nie uda się zwyciężyć.

A Tatiana? Jej dusza mogła cieszyć się krótkim okresem spokoju, ale dziewczyna była na swój smutny i uroczy zarazem sposób równie mocno związana z Ravenloft, jak sam Strahd. On został skazany na wieczną miłość do niej, ona zaś na wieczne odradzanie się, pod innym imieniem, ale z tą samą, piękną twarzą i udręczoną duszą, tylko po to, by być jego ukochaną.

Kiedyś znów zobaczy Tatianę, a pewnego dnia i ona go pokocha. Strahd von Zarovich był pewien, że to nastąpi, a miał dość czasu, by okazać cierpliwość. Miał również moc, dzięki której niemal wszystko, czego zapragnął, stawało się prawdą kraina była mu posłuszna.

Wampir leżał i śnił, a nad Ravenloft wstawał świt.